

Ann Maxwell

RUBIN

1

Laurel Swann delikatnie dotknęła błyszczącego kamienia. Miał gładką i chłodną powierzchnię, zupełnie jak ocean. Świeciła, a jej życie nie było choć w połowie tak wspaniałe jak ten kamień.

Agat przypominał jej o dawnych smutkach i o obecnej niepewności. Barwa kamienia łamała pojedynczą bursztynową smugę. Taki sam kolor miały oczy ojca, jej zresztą też. Laurel zaczęła wspominać Jamiego Swanna. Zastanawiała się, gdzie teraz jest, czy jest zdrowy, czy choruje, czy jest szczupły, czy przytył, czy jest wolny, czy może złapano go w jakimś dalekim kraju, którego nazwa cięgle się zmienia.

- Nie myśl o tym - nakazała sobie podniesionym głosem, jak ktoś kto spędza wikszość czasu samotnie. - Nic na to nie poradzisz. Jest już w takim wieku, a powinien mieć własny rozum. Do diabła, mógłby już spokojnie pójść na emeryturę, sprawić sobie kota i pisać wspomnienia.

Tam już ją rozbawiła. Tak jak jej zmarła matka, Laurel nie umiała przestać martwić się o matkę czyżby, którego pogodny uśmiech i czujne spojrzenie ukształtowały jej życie.

Wciąż uśmiechnięta, uniosła agat i obróciła go powoli. Światło wpadające przez pomocne okno załało stół w pracowni. Kamień nabrał takiego blasku, jakby go gromadził przez setki lat, unoszony przez fale wzdłuż plaży Kalifornii.

Laurel była projektantką biuterii. Miała o wiele cenniejsze kamienie: brylanty, rubiny, opale, szafiry, cytryny. Trzymała je w sejfie. Ale wciąż cieszyła się jak dziecko, kiedy zdarzało jej się odkryć naturalny, czysty agat na plaży koło domu.

Dla Laurel agat znaleziony na plaży był darem od samego Boga, pamiętką po siłach, które nadały ostateczny kształt Ziemi, symbolem trwałości skal i burzliwego oceanu.

Ten agat był wspaniały. Gdy oglądała jego wnętrza, miała wrażenie, że przez magiczne okno zagląda do zupełnie innego świata. Złotawo-ółty, połyskujący agat przepuszczał tylko czyste światła. Nie był idealnie przezroczysty. Maleńkie, ciemne skazy stanowiły świadectwo jego historii. Dzięki tym plamkom wydawał się Laurel bardziej interesujący niż idealnie czysty okaz. Obracając go powoli i przyglądając mu się pod światło, odruchowo zaczęła projektować w wyobraźni złotą oprawę - naturalne opływowe kształty, które wy-

Kamienie są tak samo niepowtarzalne, jak ludzie. Oprawa może podkreślić i uwydatnić ich naturalne piękno albo je unicestwić.

Tworzenie biuterii było dla Laurel czym niezwykle fascynującym. Każdy projekt był indywidualną odpowiedzią na nieme wyzwania stawiane jej przez szlachetne kamienie, dla których wymyślała oprawy, równie niezwykle i trwałe jak ich piękno.

Turkot ciężarówka skręcając na stromy podjazd przed domem wyrwał Laurel z zamyslenia. Marszczył brwi, odłożyła agat i wyrzuciła przez okno na parterze. Silnik samochodu dostawczego pracował na wolnych obrotach. Kierowca podjechał pod garaż, oszczędzając Laurel wycieczki na górę do drzwi frontowych. Ale nie była zachwycona jego pojawieniem.

- A to co, u diabła - wymamrotała pod nosem. - Nie składałam żadnych nowych zamówień. Nie oczekuję żadnych zwrotów. Ale chyba muszę odebrać przesyłkę.

Wyszła z pracowni i otworzyła małe drzwi do garażu. Człuchając mieszkalna domu znajdowała się wyżej, na tym samym poziomie, co ulica. Nieco dziwny rozkład był typowy dla tutejszych domów, które na ogół rozpoczynały swój żywot jako domki letniskowe. Kiedy jednak ceny ziemi gwałtownie skoczyły w górę, większość z nich zaadaptowano na całoroczne rezydencje.

Laurel widziała, jak kierowca zeskoczył z ciężarówka i ruszył w kierunku drzwi garażowych. W prawej dłoni trzymał notatnik, a pod lewym ramieniem niósł duże prostokątne pudełko, które nie sprawiało wrażenia ciężkiego,

- Cześć, Tom - powiedziała Laurel.

- Dzień dobry, panno Swann.

Tom próbował zachowywać się swobodnie, ale zbyt długo przyglądał się Laurel. Jej czarnymi jak noc włosami, luźnym mskim podkoszulkiem, zawiązanemu na supeł. Wreszcie przesunął wzrok na dżinsy, sprane i niezwykle obcisłe.

Laurel nie patrzyła na Toma. Ale i tak była kobietą, która zmysłowo ciębiła na głowę piersiaste blondynki, od których rościła się w Kalifornii.

- Dziś pani urodziny? - zapytał Tom.

- Nie.

- To może w tym tygodniu?

- Nie.

Uśmiechała się uprzejmie, ale nie dodała nic więcej.

Tom westchnął. Zrozumiał, że ta znajomość pozostanie ciętłubowa. Zaczął przewracać papiery. W końcu znalazł ten, który miała podpisać Laurel.

Czekała cierpliwie, ale wyczuła, że Tom, jak większość mężczyzn, którzy przewinili się przez jej życie, pragnął bardziej osobistego kontaktu. Przywykła do trzymania mężczyzn na dystans. Robiła to odruchowo.

Przez wiele lat przyglądała się, jak jej rodzice borykali się z miłością, złością, rozgoryczeniem i rozpaczem, zanim doprowadziło ich to do rozwodu. Dlatego uznała, że wieczne mogą być tylko brylanty, bo zwiędziłmi dwojgiem ludzi z pewnościnię. A skoro tak, nie warto dla nich cierpieć.

- To chyba pani szczęśliwy dzień - powiedział Tom. - Kto przesyła pani wspaniały prezent.

Laurel tylko co mruknęła. Tak jak większość projektantów biuterii, przesyłała swoje prace w zwykły sposób. Pakowała wyroby ze złota i drogocennych kamieni w pudełko, owijała je szarym papierem.

Ostatnio otrzymała paczkę ze złotem od pewnego ormiańskiego handlarza metalami szlachetnymi i w tej chwili nie czekała na adn przesyłkę.

- Prosz bardzo - powiedział Tom.

Laurel chwyciła pudełko w obie dłonie. Pięć kilogramów. Może odrobin więcej, ale z pewno ci nie mniej.

- Może pomóc? - spytał Tom.

- Nie, dziękuj. Radz sobie z dużymi przedmiotami na co dzień.

Spojrzała na nalepkę z adresem. Miała nadzieję, że nie są to nie sprzedane wyroby od jednego z jej klientów z Seattle czy z San Francisco. Reputacja zawodowa Laurel wciąż rosła, klientela była coraz znakomitsza, ale zawsze musiała liczyć się z takim ryzykiem.

List przewozowy nie zawierał jednak adresu zwrotnego.

- Niech to szlag! Mam nadzieję, że nie będ musiała tego odsyłać.

- Dlaczego?

- Bo brakuje adresu zwrotnego. Możesz mi powiedzieć, skąd to przyszło?

Tom z zapalem pochylał się nad paczkę, zadowolony, że może przedłużyć rozmowę. Sprawdził dokładnie list przewozowy przyklejony do paczki i upewnił się, że Laurel ma rację. Burknął coś na temat zatrudniania na pół etatu osób, których zakres obowiązków znacznie przekracza obowiązujące normy.

- Prosz chwilkę zaczekać.

Wrócił do ciarówki i chwycił leżącą na desce rozdzielczej skaner rozszyfrowujący kody kreskowe i odczytał kod przyklejony do paczki.

- No, no - powiedział.

- Co nie tak?

- List przewozowy jest krajowy, ale kod podaje numer międzynarodowej przesyłki. Wyślano ją z daleka. Zna pani kogoś w Tokio?

- Nikogo.

Odpowiedź była błyskawiczna, ale nieprawdziwa. Ostatni list od ojca przyszedł właśnie nie z Tokio, ale Laurel z nikim nie rozmawiała o Jamie Swannie. Zawsze była małomówna. Poza tym już w dzieciństwie wpojono jej, że nikt, nawet matka, nie wie, gdzie podziewa się Jamie Swann. Wszelkie pytania dotyczące ojca były zawsze ignorowane, przemilczane lub zbywane banalnymi kłamstwami. Kiedy ciekawski stawał się nachalny, matka wykręcała pewien zastrzeżony numer i w ten sposób ukrywała całą tę sprawę.

- Paczka musiała przejść przez odpraw celną - powiedział powoli Tom. - Wczoraj wysłano ją z międzynarodowego lotniska w Los Angeles.

Laurel jeszcze raz pogrzebała w pamięci, ale nie przypominała sobie, żeby zamawiała coś zagranicą.

W milczeniu zastanawiała się, czy przypadkiem ojciec znowu nie jest w drodze do jej domu i niebawem tu wpadnie, żeby jeszcze raz wywrócić jej życie do góry nogami, wykorzystując swój czarny i posępny spojrzanie. Czasem rozmyślała, co robi ojciec podczas długich nieobecności. Ale na ogół cieszyła się, że nie ma o tym bladego pojęcia.

- Dziękuj - powiedziała do kierowcy. - Jestem pewna, że w środku jest jakiś list.

- Jeśli nie, proszę do mnie zadzwonić.

- Mhm - odpowiedziała.

Umiechnęła się zdawkowo i wróciła do domu. Drzwi wejściowe zatrzasnęła ramieniem. Znowu spojrzała na paczkę.

Nic się nie zmieniło. Nadal była to tylko zwykła przesyłka bez adresu zwrotnego.

Nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie: to musi być urna z prochami matki. Na tym cały świat Laurela pokryło się gęstą skorupą.

Szybko pobiegła do pracowni. Pracowała właśnie nad dużej klasy eleganckim broszurkiem z tych złotych przeliczków dla onego klienta, choć podejrzewała, że klejnot naprawdę trafi do jego kochanki. To jeszcze jeden powód, dla którego nie chciała mieć do czynienia z mężczyznami. Nie można było im ufać, nawet jeżeli cięgle nie wyjeżdżali.

Zdjęła ze stołu jubilerskie narzędzia, aby zrobić miejsce dla tajemniczej przesyłki. Zerwała tam klejcioność. A kiedy zdarła kolejne warstwy tektury i folii zabezpieczających, jej oczom ukazała się drewniana szkatułka.

To nie był zwyczajne pudełko na przesyłki.

- Co u diabła?

Szkatułka okazała się prawdziwym dziełem sztuki. Była wykonana z bardzo jasnego drewna i grubo lakierowana. Piękne słojki nie przypominały Laurela niczego, co do tej pory widziała.

- To chyba brzoza - mruknęła. - Wielki Boże, wygląda prawie jak kołoniowa. Co mi to przypomina. Chyba widziałam coś podobnego w muzeum.

Ale nie była pewna.

Z bliska przyjrzała się konstrukcji szkatułki. Rogi były połączone na ukos i dodatkowo wzmocnione. Wzdłuż każdego boku dostrzegła łaczenie, że umiejscowienie zamknięcia dowodziło, że całość powinna stać pionowo.

Ustawiła szkatułek prawidłowo i otworzyła ją. Przednia ścianka rozdzieliła się na dwie części i rozsunęła jak drzwiczki precyzyjnie wykonanej gablotki.

- Mój... Boże.

Laurel zamrugła kilka razy, potrząsnęła głową i znowu zamrugła.

Jej oczom ukazało się istne dzieło sztuki, szczyt jubilerskiego kunsztu.

Zaskoczona umiechnęła się mimo woli na widok niewyobraźnego piękna. Jajo stało na jasnokremowej satynie kontrastującej ze szkarłatnym lakierem, który częściowo je pokrywał. Klejnot wysadzany był szlachetnymi kamieniami, otoczony delikatną złotą siateczką, która idealnie przylegała do jego kształtu.

Arcydzieło było wielkością strusiego jaja i tak kunsztownie wykonane, że Laurel nie mogła uwierzyć w jego prawdziwość. Zdumiona dotknęła go opuszkami palców, tak jak przed chwilą agatu. Tak jak agat, jajo było chłodne i jak najbardziej rzeczywiste.

Przez chwilę Laurel wlepiła pełen szacunku i uwielbienia wzrok w to nieziemskie чудо. W końcu rozdekwiła górę. Musi dokładnie obejrzeć szkatułek.

Pochyliła się i powąchała ją. Nie wyczuła nawet wspomnienia po zapachu drewna czy kleju, które mogłyby świadczyć o tym, że wykonano je niedawno w jednej z tysięcy bezimiennych azjatyckich fabryczek, gdzie ludzie pracowali prawie za darmo. Im dłużej przyglądała się szkatułce, tym bardziej utwierdzała się w tym, że jej wykonanie wymagało niemal tyle samo pracy i kunsztu, co jaja.

Wiedziała, że artysta chciał zaskoczyć i wprawić w zachwyt każdego, kto zetknie się z jego dziełem. Jako projektantka, zdawała sobie sprawę, że prawdziwe dzieło sztuki zdobniczej to coś więcej niż garstka błyszczących, drogocennych kamieni połączonych złotem. Prawdziwe dzieło sztuki powinno z:

pi knem.

Uznała, że jajo jest wręcz nieprawdopodobne. Patrzyła na nie, miała wrażenie, że doskonale ci przewyższa wszystko, co do tej pory widziała. Zastanawiała się, ilu ludzi przed nią miało okazję oglądać i jak długo ukrywano je w prywatnych zbiorach.

- To nie może być to, o czym myślałam. On nigdy nie zrobił czegoś takiego.

Pochyliła się nad jajem, by przyjrzeć mu się dokładniej. Siateczka ze złota była perfekcyjna. Jeśli projekt lub wykonanie miało jakieś niedociągnięcia, nie mogła ich dostrzec bez szkła powiększającego. Szkarłatna emalia pokrywała skorupkę z perfekcją, na jaką pozwalała ludzka ręka. Drobne kamienie dobrane z niezwykłą precyzją zadziwiały tak przejrzystością i czystością, że można było zwątpić w ich autentyczność.

Odruchowo sięgnęła po jubilerski lupa. Obejrzała dokładnie kamień po kamieniu przez dziesięć razy powiększające szkło. Kilka drobnych rysek i pyłków, niewidocznych gołym okiem, stanowiło dowód, że musiała stworzyć je natura.

Pod lupa odkryła coś jeszcze. Nieregularne szlify musiały powstać przed erą komputerów. W dzisiejszych czasach kamienie obrabiano elektronicznie. Były idealne, ale chyba właśnie dlatego nie podobały się Laurel

- *Fabergé!* - wyszeptała. - To musi być jego dzieło.

Nie mogła uwierzyć, że to szkarłatne jajo stworzono w pracowni największego jubilera Europy.

Ale to może być fałszyfikat.

Zmarszczyła brwi i raz jeszcze obejrzała jajo. Wyprostowała się, westchnęła i odłożyła lupa. Nawet jeśli to fałszyfikat, jest tak dobry, że można go uznać za osobne, niezależne dzieło.

Jeszcze raz zerknęła na list przewozowy, na którym widniało jej imię i nazwisko. Zadrżała.

Zdarzało się, że Swann przysyłał jej kamyczki z różnych stron świata. Drobiazgi na odczepnego, aby zagłuszyć ojcowskie sumienie. Nawet gdyby zsumowała ich łączną wartość, nie stanowiłyby jednej tysięcznej wartości jaja.

- Jest warte co najmniej milion dolarów - wymamrotała. - Może nawet dużo więcej, gdyby udało się ustalić autentyczność i legalnie je sprzedać. - Ale Laurel nie była naiwna. Wiedziała, że takiego skarbu nie sprzedaje się na wolnym rynku jak mięsa na targu.

Jamie Swann ten nie był naiwny.

- Tato, gdzie do diabła jesteś, kiedy ci potrzebuję?

Echo powtórzyło jej słowa w pustym pokoju, skrzywiła się.

Głupie pytanie. Jesteś tam gdzie zawsze, kiedy ci potrzebuję, czyli gdzie indziej.

Zastanawiała się, dlaczego ojciec wysłał jej prezent wart milion dolarów bez jednego słowa i bez adresu zwrotnego. Im dłużej myślała, tym bardziej była pewna, że gdzieś w odległej części kuli ziemskiej Jamie Swann miał poważne problemy.

A teraz miała je także ona.

2

Kiedy pager przy pasku zaczął brzęczeć, Cruz Rowan siedział w dziurze wielkości wieka o wykopanego grobu. Pracował bardzo cicho, wyrzucając gruz spod skały.

Pager wciąż dzwonił.

Cruz zaklął, wyłączył pager i kopał dalej. Jedyńską osobą, która znała numer pagera była jego szefowa, Cassandra Redpath. Nie miał ochoty teraz z nią rozmawiać. Był zajęty czymś innym.

Spory kilof w jego rękach wyglądał, jakby nic nie ważył. Ilekroć uderzał nim w skały, grudy ziemi i odłamki kamieni strzelały mu prosto w twarz. Nie zwracał na to uwagi. Drobne niedogodności nie miały żadnego znaczenia. Nic nie mogło go odwieść od zbadania szczeliny. Chciał się dowiedzieć, czy pięć lat temu, sto lat czy całe wieki temu.

Po kilkudziesięciu uderzeniach zrobił sobie krótką przerwę. Rękawiczką otarł pot z czoła. Jego krótkie ciemne włosy, mokre od potu, wydawały się prawie czarne. Był nagi do pasa, jego plecy połyskiwały wilgocią. Kiedy znów podjął pracę, słone grzało jego opalone barki jak rozgrzana lampa. Nie był specjalnie wysoki, miał niecałe metr osiemdziesiąt. Za to mógł się poszczycić mocną budową ciała.

Po jakimś czasie odłożył kilof, przeciągnął się, otarł pot spływający do oczu i sięgnął po leżący obok łopat. Swobodnymi ruchami, zdradzającymi ogromną siłę, zabrał się do usuwania odłamków skał.

Nie zwracał uwagi na upał, tumany piasku ani na ból ramion. Nauczył się rezygnować z wygody na rzecz odkrywania prawdy naukowej, prawdy o oszustach i przestępcach, których się cigał.

Mimo koszmarnej upały, bólu pleców i ramion, mimo odpornej skały, Cruz nieprzerwanie machał kilofem, usiłując odkryć choćby fragment geologicznej prawdy o szczelinie, która była już stara na długo przed jego przybyciem na wieki.

Cieszył go każdy kolejny krok. Szczeliny w ziemi fascynowały go tak samo jak rysy na ludzkich duszach. Teraz próbował się dostać w głąb drobnego uskoku długości kilkudziesięciu centymetrów, który widział w kamiennej skale. Potem zamierzał usunąć skalne odłamki.

Szczelina intrygowała Cruza, bo pojawiła się nie tam, gdzie powinna. Drugą stroną tej bezimiennej doliny, położonej na południowy zachód od morza Salton, przecinało całe mnóstwo pięć lat. Wszystkie były odgałęzieniami słynnej szczeliny San Andreas.

Ale ta, nad którą Cruz wyciskał z siebie siódme poty, nie miała z nimi nic wspólnego. Znalazł ją w wysuszonym ścieżką kanionie, który przecinał podnóże gór Santa Rosa i znajdował się w odległości kilku mil od San Andreas. Małe, ledwie widoczne pięć lat wiało o nowej aktywności pod nadržniał skorup Ziemi. Cruz zareagował na odkrycie jak pies, któremu rzucono wieko. Pasjonował się znajdowaniem nowych ładów aktywności sejsmicznej. Uważał, że jeśli po wieki temu do czasu, wysiłku fizycznego i umysłowego, mo na zgłbi tajemnic kadej szczeliny. Nie da się tego samego powiedzie o ludziach, w szczególności o kobietach.

Pustynna rzeczywistość diametralnie różniła się od wiecia, w którym przebywał na co dzie. Nie było tu zegarów i wyścigu z czasem. Odczucie nie decydowały ułamki sekund, w których trzeba było zdecydować, czy zabić i przeżyć, czy zginąć samemu. Tutaj nie przeładowały go odrażające i obłudne typy z prasy.

Na pustyni nie było gazet. Czasem pojawiały się anonimowe łady na piasku błyskawicznie zasypywane przez wiatr. Nikt nie sprzedawał tu reklam i nie zmuszał go do komentowania kolejnych aktów przemocy. Ci, którzy przeżyli, zostawiali łady, ci którym się nie udało, własne kości. Taka była pustynia.

Jedynym znakiem orientacyjnym stanowiły cienie, które w miarę jak zbliżało się południe, stawały się coraz krótsze, a gdy nadchodził wieczór równie leniwie się wydłużały. Noc na całym terytorium królowała ciemnością.

Cruz uwielbiał noc podobnie jak palące słońce. Uwielbiał stać na pustyni i chłonąć jej ciszę. Wspaniale było poczuć czasami wewnątrz spokój. Tylko dzięki pustyni nie zwariował, kiedy wszyscy, którym ufał i na których liczył, rzucili się na niego jak w ciekłe psy. W końcu zaczął nienawidzić siebie niemal tak jak oni,

Długo balansował na krawędzi. Nadal bywały chwile, kiedy zastanawiał się, czy to

je li tak, czy warto było zapłacić tak wysoką cenę.

Zdarzało się, że padał na pustyni i wsłuchiwał się w ciszę tak długo, aż przeszło, teraz niejszo i przyszło przestawały istnieć. Dla Cruza pustynia była błogosławieństwem zesłanym przez samego Boga.

Pager przy pasku znów zaczął brzęczeć.

- Cholera!

Wbił łopatę w stertę gruzu i wyjął pager. Wydostał się z dołu i zaczął przygotowywać do powrotnej drogi.

Cassandra Redpath nie była głupia ani kapryśna. Je li Cruz dał jej wyrażenie do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano, a akurat wydarzyło się coś ważnego, dzwoniła raz. Jeżeli nie zareagował, akceptowała to. Dwie próby oznaczały sytuację wyjatkową. Po piesznie narzucił koszulkę w kolorze khaki.

Kiedy będzie miał czas, wróci tutaj, szczelina na niego poczeka. Ta myśl pomogła mu odzyskać spokój.

Błyszczyca odrzutowiec Grumman Gulfstream zmierzający w kierunku Karroo przeleciał mu nad głową. W Karroo był jedyny pas startowy w okolicy. Miał tysiąc osiemset metrów długości. Należał do Risk Limited, prywatnej agencji detektywistycznej, której właścicielką była Cassandra Redpath.

Nietypowy kształt kadłuba odrzutowca zdradził Cruzowi, że to samolot Risk Limited. Wszystko jasne. Nowy klient zaraz będzie na miejscu. Pewnie dlatego Cassandra wzywała go dwukrotnie.

Jeszcze raz zaledem popatrzył na swoją skalną szczelinę i wyjął butelkę wody z brezentowej torby. Napił się, przetarł twarz i klatkę piersiową wodą. Od razu poczuł się lepiej.

Pozbierał rzeczy, ale zostawił kilof i łopatę. Nigdy nie odkrył śladów cudzej obecności w tym opuszczonym, wyludnionym kanionie. Jeżeli ktoś się tu pojawi i zechce skorzystać z kilofa czy łopaty, bardzo proszę. Zdarzało się, że drobniejsze rzeczy decydowały o życiu i śmierci. Cruz napatrzył się na śmierć w swoim życiu.

Wdrapał się na zdezelowany trójkołowy motocykl i zapalił silnik. Kiedy pokonał skaliste dno kanionu, docisnął gaz i ruszył w dół zbocza z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zastanawiał się, co się stało.

Możliwość były praktycznie nieograniczone. Ostatnio kiedy Cassandra wzywała go dwukrotnie, chodziło o negocjacje z porywaczami syna pewnego włoskiego biznesmena. Chłopak wyszedł z tego cało. Na pamięć wydarzenia zostały mu tylko lądy od sznura na nadgarstkach. Cruz nie miał tyle szczęścia. Wykaraskał się i już nie kulał, ale przy każdej zmianie pogody rwało go kolano.

Podjeżdżając na miejsce, zahamował gwałtownie, wzbijając w górę tuman kurzu i wiru. Cassandra czekała na niego w cieniu ramady. Wybudowała ją własnymi rękami. Ramada miała konstrukcję otwartą ze wszystkich stron, która zapewniała stały przewiew. Kryła ją strzecha, dająca zbawiony cień.

Cassandra Redpath była niezwykłą kobietą. Ramada zaintrygowała ją do tego stopnia, że napisała krótką monografię na temat tej nazwy. Dowodziła w niej, że Indianie Sobba przejęli nazwę od hiszpańskiego słowa ramada. W hiszpańskim pojawiło się ono jako zapożyczenie z arabskiego ramadan, czyli miesiąc upałów. Hiszpanie przejęli słowo od Maurów, a następnie przemierzali pół świata, aby nazwała nim prehistoryczną budowlę indiańską, która była miejscem obrzędów, ale okazała się również bardzo praktycznym wynalazkiem.

Cassandra ubóstwiała takie zaskakujące odkrycia. Umacniały ją w przekonaniu, że rodzaj ludzki stanowi jedno z wielkich zjawisk i wspólnym potrzebom, mimo że dzielą go polityka i chciwość.

- Co się stało? - spytał Cruz, wchodząc w obręb postrzępionego cienia ramady.

Cassandra zmrużyła oczy. Była szczupłą, opaloną kobietą w bawełnianych spodniach i podkoszulku, o zielonych oczach i krótkich, rudych włosach, gdzieś tam przeplatanych srebrem. Cass

piędziesiątka, a może nawet sześćdziesiątka. Cruz nigdy nie był pewien, ale nie interesowało go to i tak, żeby pytać.

Wiedziała, że zaczynała karierę jako wykładowca historii. Specjalizowała się w życiu codziennym i obyczajach innych epok. Dzięki temu odkryła schematy rzadziej współczesnym światem. W rezultacie przez trzydzieści lat zajmowała się analizami, a następnie została jednym z szefów CIA. Po odejściu z CIA mianowano ją ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ. Po zakończeniu czteroletniej kadencji założyła Risk Limited.

- Zasłaniaj mi widok. Gdyby się odsunął, mogłabym zobaczyć, co się stało - powiedziała.

Cruz przesunął się i obejrzał. Upał sprawiał, że asfaltowy pas startowy, na którym czekał firmowy mercedes lekko falował przed oczami. Samolot wyglądał jak chimera z teatru grozy. Drzwi samolotu otworzyły się. Wysunięto schody.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Zawahała się przez moment.

Cassandra się uśmiechnęła.

- Pustynia Mojave przeraża niektórych ludzi - mruknęła pod nosem.

- I bardzo dobrze - skwitował Cruz. - Tych, którzy tu są i tak jest zbyt wielu.

Cassandra przemilczała ten komentarz.

Przybysz zszedł po schodach na rozgrzany asfalt. Dwa kroki za nim, jak dobrze wytresowany pies albo niewolnik, szedł inny mężczyzna. Był wyższy i ubrany na czarno. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że jest silny i trochę się garbi.

Cruz nie wiedział, kto wystąpił w roli komitetu powitalnego w imieniu Cassandry Redpath, dopóki nie zbliżył się do samolotu. Zobaczył potężnego sieranta-majora Ranulpha Gillespiego, byłego operatora i instruktora Dwudziestego Drugiego Pułku Sił Powietrznych armii brytyjskiej, zawodowego żołnierza i jednego z najlepszych antyterrorystów na świecie.

Sierant-major posadził pasażerów na tylnym siedzeniu mercedesa, usiadł za kierownicę i powoli ruszył wzdłuż rozdrożonego pasa startowego w kierunku siedziby głównej Karroo.

Cassandra mruknęła z satysfakcją jak kocica i odwróciła się do Cruza. Zadowolenie znikło z jej twarzy. W brudnych dżinsach i pociemniałym od potu podkoszulku Cruz wyglądał jak górnik, który właśnie wszedł ze zmiany. Nie przypominał wykształconego i gruntownie przeszkolonego zawodowca, którym był w rzeczywistości. Włosy miał przykurzone, nie golił się od kilku dni i na pewno potrzebował kąpieli. Zmrużone bładoniebieskie oczy ostrzegają, że nie jest w najlepszym nastroju.

Podobnie jak Cassandra.

Cruz zauważył, że zaciska wargi. Wiedział, co jej rozszło cięło. Redpath wymagała od swoich pracowników schludności. A Cruz nie spełnił jej oczekiwań.

- Nie jestem na służbie - skwitował. - Zapomniała?

- Szkoda, że nie zadzwoniłam po Carsona Walkera.

- Skoro chciała najlepszego, musisz pogodzić się z moim wyglądem. Nasz klient tego...

Cassandra wzruszyła ramionami.

- Nawet gdyby chciał...

- Ale nie chcę.

- ...wziąć prysznic i tak jest już za późno - dokończyła, ignorując jego uwagę.

Cruz spojrział w stronę mercedesa. Wci był za daleko, by rozpoznać ple pasażerów, a tym bardziej rysy twarzy.

- Kto to jest tym razem? - spytał sarkastycznie. - Mam nadzieję, że to nie nasza czarująca pani prezydent Filipin.

- Stać ją na nas.

- Wiem, że to wpływowa osobistość i że stara się odzyskać fortunę, której jej poprzednicy utopili we włoskim obuwiu, ale naprawdę jest wyjątkowo namolna.

- Tylko wyjątkowo namolna kobieta może zostać prezydentem - odparła Redpath. - Albo ambasadorem, skoro już o tym mowa. Zadręczałam swoją osobę bardzo wielu ludzi przez cały czas.

- Nadal to robisz.

- Dzięki - pokazała zębami w uśmiechu. - Ale nasz gość nie jest politykiem w spódnicy. Należy do artystycznej części kręgów politycznych.

- Wspaniale - burknął Cruz. - Ci są najgorsi. Kim jest, balerina?

- Nasz potencjalny klient jest rosyjskim kustoszem.

- A nazywa się jako?

Cassandra nawet nie drgnęła, ale Cruz wyczuł napięcie.

- Aleksy Nowikow - powiedziała z udawanym spokojem.

- Chryste!

Czekała na dalszy ciąg burzy.

- Wiesz, że delikatnie mówię - mnie i Nowikowa coś jest? - spytał po chwili.

- Wiem, że wasze drogi się skrzyżowały, kiedy pracowałem w FBI - odpowiedziała. Jej ton sugerował, że niewiele jej to obchodzi.

- Skrzyżowały się drogi - powtórzył Cruz. - Tak. Właśnie nie. Przez sześć miesięcy uganiałem się za nim po całej Silicon Valley.

- Twoje podejście było bardzo twórcze.

- Ale przegrałem.

- Bzdura. Nowikowa w końcu odesłano do kraju.

- Wolałbym odesłać go do pudła - odpowiedział Cruz. - Zgodnie z informacją w paszporcie, Nowikow pełnił funkcję attaché kulturalnego przy konsulacie w San Francisco. Ale kiedy go zatrzymaliśmy, miał mnóstwo tajnych informacji o fabryce, która pracowała dla Pentagonu nad laserową technologią przechowywania informacji.

- Inaczej mówię - podsumowała Cassandra - pracował dla wywiadu i to skutecznie. Gdyby można było mu ufać, sama bym go zatrudniła.

- Dla nas każdy radziecki dyplomata był szpiegiem - przyznał Cruz. - Ale Nowikow to wyjątkowy typ. Kiedy podstępem wykorzystał do swoich celów inżyniera z Cal Tech. Ten biedny idiota tak się tym przejął, że popełnił samobójstwo.

Cassandra wykonała gest, który mówił: nie pora na takie dyskusje.

- Wszyscy dobrze wiedzą o orientacji seksualnej Nowikowa.

- Ale ten inżynier nie. Nowikow zerwał go, gdy zgłosił wiadomość.

- Stara historia. Nowikow nie jest już radzieckim dyplomatą. Teraz jest Rosjaninem, a Rosjanie są naszymi przyjaciółmi.

Cruza ogarn 1 wisielczy humor.

- Gdybym s dził, e w to wierzysz, zło yłbym dymisj . W dzisiejszych czasach nie ma przyjaciół Redpath u miechn ła si przebiegle.

- Dlatego Risk Limited tak wietnie prosperuje.

- Czego chce od nas Nowikow? - spytał Cruz.

- Nie wiem.

- wietnie. I daj sobie z nim spokój. S ludzie i sprawy, które pozostawiaj ład do ko ca ycia. Nowikow jest najlepszym przykładem.

- Risk Limited to prywatna agencja. Nie musimy przyjmowa zlecenia, je li klient nas obra a.

- Mnie obra a sam fakt, e ten dra jeszcze yje.

- Jeste przewra liwiony - spokojnie oznajmiła Cassandra. - Najwy szy czas by zapomnił o tym, co zdarzyło si w przeszło ci i zaj 1 przyszło ci .

Cruz nie mógł uwierzy własnym uszom. Odk d dla niej pracował, ani razu nie wspomniła o wydarzeniu, w wyniku którego stracił wszystko, co si dla niego liczyło. A teraz mówiła o tym z takim trudem, jakby zamawiała sałatk w barze.

Zanim zd ył si odezwa , mercedes zahamował przed nimi, wzbijaj c tuman kurzu. Sier ant-major Gillespie wyskoczył z auta z wojskow sprawno ci . Podbiegł do tylnych drzwi, otworzył je i stan 1 z boku. Go cie wysiedli.

Aleksy Nowikow miał włosy koloru słomy, rysy twarzy jak u hermafrodyty, przykuwaj ce uwag , a zarazem pi kne. Był drobny i zgrabny jak Barysznikow w miniaturowym wydaniu. Poruszał si z fascynuj cym, ni to m skim, ni kobiecym wdzi kiem. Tak poruszaj si tylko zwierz ta. Wszystkie spojrzenia skoncentrowały si na nim.

Cruz cz sto my łał, e kto , kto staje obok Nowikowa, robi si niezauwa alny.

Za Nowikowem wysiadł przysadzisty m czyzna. Miał rozbiegane, ciemne oczy, blad cer i postrz pion , czarn brod . Jego czarny garnitur z grubego flauszu okazał si kompletn pomyłk w pustynnym klimacie.

Garnitur Nowikowa, uszyty z jasnoszarego jedwabiu i skrojony według włoskiej mody, prezentował si dyskretnie i elegancko. Je eli doskwierał mu upał, nie było tego po nim wida . Półprze roczyst cer Nowikowa oblewał delikatny rumieniec. Popatrzył na pustyni szarymi, szeroko rozstawionymi oczami. Nast pnie przesun 1 wzrok na li cie tworz ce strzech ramady.

- Chyba nie zintegrowała si zbyt z tubylcami, słonko? - zapytał, zwracaj c si do Cassandry Redpath.

Cassandra roze miała si , zrobiła krok w jego stron i wyci gn ła r k na powitanie.

- Nic si nie zmieniło , Aleksy - powiedziała.

- Ani ty, pani ambasador, poza tym, e stała si jeszcze bardziej niebezpieczna.

U miechaj c si , Nowikow pocałował Cassandr w r k .

- Twoje mi kkie palce wci pachn ró ami - dodał.

Cruz skrzywił si . Nowikow celebrował rytuał powitania ze zwykł sobie gracj . Jedno spojrzenie na Gillespiego powiedziało Cruzowi, e nie tylko on jest zde gustowany.

- Dzi kuj , e wybrała si tu, na pustyni - powiedziała Cassandra. - Wiem, e to nie w twoim stylu.

Ruch ramion Nowikowa odpowiadał elegancji jego stroju.

- Je li góra nie chce przyjść do Mahometa, to niech Mahomet ruszy tyłek.

- Dziwi się, że tak ci zależało.

Nowikow uśmiechnął się lekko.

- Risk Limited ma wielu - nazwijmy to - entuzjastów wśród wysoko postawionych osób w moim regionie. Redpath uniosła brwi. Jej zdziwienie było tak samo wyrażone, jak uśmiech Nowikowa.

- Dziwne - powiedziała. - Nie prowadziliśmy żadnych interesów z Rosją.

- Fakt - przyznał Nowikow. - Ale narobili ci sobie wielu wrogów jeszcze za starego reżimu. Nadal mówi się o was z... zapałem.

- To pochlebstwo - skwitowała Cassandra. Nie oswobodziła jeszcze dłoni z uścisku Nowikowa. - Ale nie interesuje nas prowadzenie przedawnionych wojen. Risk Limited jest zwykłą prywatną agencją detektywistyczną.

Tym razem Nowikow uśmiechnął się szeroko i chyba szczerze. Jego twarz pojaśniała, jakby padło na nią światło reflektora.

- Prosto i zwinie. Jakie to cudownie amerykańskie. - Usta Nowikowa raz jeszcze musnęły palce Cassandry.

- Czy wszystkich swoich klientów witasz tak samo?

Cruz miał doświadczenia i całej tej ceremonii. Wszedł z cienia wprost na bezlitosny świat.

- Nie - powiedział szorstko. - Takie powitanie rezerwujemy na specjalne okazje dla palantów, którym się wydaje, że mogą wynająć nas do brudnej roboty.

Uśmiech znikł z twarzy Nowikowa. Wpatrywał się w Cruza przez kilka długich chwil, po czym zwrócił się do Cassandry:

- Zatrudniasz takich ludzi, jak Cruz Rowan? - zadał retoryczne pytanie. - Droga pani ambasador, czy nie lepiej byłoby unikać znanych przestępców?

Cassandra zabrała rękę.

- Cruz jest jednym z moich najlepszych ludzi - powiedziała spokojnie.

- Szkoda - stwierdził Nowikow obojętnym tonem spikera radiowego. - Kilka lat temu w San Francisco podrzucił dowody przeciwko mnie. Próbowaliśmy skompromitować radziecki rząd. Ale na szczęście spartaczył robot. Chyba stał się na bardziej kompetentnych ludzi?

- Gdyby nie paszport dyplomatyczny, nie uratowałoby twojego tyłka - powiedział Cruz.

Wysoki, przysadzisty mężczyzna, który nie został przedstawiony, zrobił krok do przodu. Chyba chciał przestraszyć Cruza. Cruz rzucił mu groźne spojrzenie.

- Gapan - powiedział miłośnikowi Nowikow.

To wystarczyło. Mężczyzna się cofnął.

- Widzisz, że nadal zatrudniasz goryli - skomentował Cruz. - Bądź mężczyzną, Aleksy. Powiedz pani ambasador całą prawdę. Zabaw trochę towarzystwo. Co ci szkodzi? Gra skończyła się ponad cztery lata temu, punkty podliczone, trupy pogrzebane.

- Dla ciebie to zawsze była tylko gra, prawda? - spytał Nowikow spokojnym tonem. - Szkoda, że rząd nie dopuścił ci do dalszej zabawy. Brakuje ci twoich zabawek?

Oczy Cruza zwiły się w ułamku sekundy, nim zdołał nad sobą zapanować.

Grymas na ustach Nowikowa był zbyt lodowaty, aby nazwać go uśmiechem.

- Po wyjeździe z San Francisco spędziłem dwa lata w Londynie - powiedział Nowikow

chłopce, co te wypisywały o tobie londyńskie brukowce.

- Dla ciebie jestem panem Cruzem - rzucił Rowan. - a nie twoim chłopcem.

- Musz co wyzna - oznajmił Nowikow, odwracając się do Cassandry. - Nigdy tak dobrze się nie ubawiłem, kiedy FBI z hukiem zwolniło go ze służby.

Cassandra lekko pokręciła głowę i westchnęła.

- Aleksy - mruknęła. - Cruz odszedł z FBI, bo ja złożyłam mu lepszą propozycję. Podejrzewam, że wiesz o tym.

Nowikow strzepnął jakiś pyłek z marynarki. Zrobił to tak, jakby chciał zakłócić dyskusję.

- Rozumiem, że Rowan skwapliwie przyjął twoją ofertę - zwrócił się do Cassandry. - Risk Limited jest przecież uznawane za najlepszą w świecie prywatną agencję detektywistyczną.

Cassandra uśmiechnęła się uprzejmie.

- Za to dziwi mnie, słonko - dodał - że ty chciałaś mieć go u siebie.

- Prawie wszyscy ludzie związani z Risk Limited pracowali kiedyś dla tej czy innej agencji rządowej - odparła Cassandra. - Ale te wszyscy, nie wyłóczając mnie samej, zrezygnowali z pracy na rzecz rządu. Nie potrafili się pogodzić z paroma rzeczami, według nas nie do przyjęcia.

Nowikow rzucił Cruzowi mroźne krew w oczach spojrzenie.

Cruz odwdzielił mu się tym samym. Był przekonany, że Nowikow chce mu dokuczyć. Nie wiedział tylko dlaczego.

W przeszłości ci mało by go to obchodziło. Miałby gdzieś Nowikowa i motyw jego zachowania. Ale przeszło już dawno umarła. O mały włos Cruz umarłby razem z nią. Nauczył się najpierw myśleć, a dopiero potem działać. Czasami.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała Cassandra - zrezygnowałam, bo nie odpowiadała mi polityka, w której bardziej dba się o interesy banków i międzynarodowych korporacji niż o ludzi. Zrobiłam co mogłam, a potem odeszłam.

Popatrzyła na Nowikowa. Nic nie umykało jej bystrym oczom. Już to interesowało, dlaczego Nowikow grał Cruzowi na nerwach. Tym bardziej będzie go potrzebował.

- Cruz Rowan odszedł z FBI, bo miał ważne powody - poinformowała Nowikowa. - Darz go całkowitym zaufaniem.

Po tych słowach rzuciła Nowikowowi słodki uśmiech jak Mona Lisa, który stopiłby nawet serce z kamienia.

Cruz pohamował uśmiech. Cassandra Redpath potrafiła sprawić, że mimo wszystko w jej towarzystwie czuł się tak wielki i wspaniały jak Dawid Michał Anioła. Równie łatwo przychodziło jej udowadnianie mu jego głupoty.

Nowikow milczał.

- Praca w sektorze prywatnym ma pewne wady - dodała po chwili. - Nie możemy działać tak jak policja czy inne uprawnione służby. Możemy tylko badać sprawy.

Nie przekonała Nowikowa.

- Straciliśmy już dostęp do starych przyjaciół z rządu. Nasza konkurencja nadal korzysta z ich usług - powiedziała. - Musimy radzić sobie sami. Z drugiej strony mamy pełną swobodę. Możemy przyjąć zlecenie lub nie, zgodnie z naszym uznaniem.

- Możemy zatrudniać, kogo chcesz - odparł Nowikow. - Ja też. Jak słusznie zauważyła, macie przecież konkurencję.

Próbował okryć drogę wymusił na Cassandrze ustępstwo. Na próżno.

- Chcesz mnie namówić, abym zdyskwalifikowała Cruza, a nawet nie powiedziała, co sprowadza cię do Risk Limited - zaczęła rzeczowo. - Jeśli będziesz nalegał, zwrócę ci zaliczkę. To ja przydzielam ludzi do zadań. Klient nie ma na to wpływu.

Na bladej twarzy Nowikowa na chwilę pojawił się rumieniec. Już miał co odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Oczywiście cię - powiedział pojednawczo. - To ty jesteś tu zawodowcem, nie ja.

- Słuchaj, inni zawodowcy - powiedziała. - Jeśli u nas coś ci nie odpowiada, zwróć się do nich.

- Ale to wy wytropiliście mnie miliardy Maracosa - stwierdził Nowikow. - To wy odbiliście dwóch angielskich księży we wschodnim Bejrucie. I to wy ocaliliście korespondenta CNN od pewnej śmierci na Borneo. Niestety, to wy jesteście najlepsi.

Cassandra skinęła głową. Wiedziała lepiej od Nowikowa, jak dobra jest jej firma.

- Potrzebuję najlepszych - oznajmił Nowikow bez ogródek.

- Do czego?

Nowikow spojrzał na Cruza po raz ostatni, wzruszył ramionami i poddał się.

- Zaginął jeden z najcenniejszych skarbów Rosji - poinformował ją.

- Jaki? - spytała Cassandra.

- Rubinowa Niespodzianka.

Cassandra nie zrozumiała.

- Nic mi to nie mówi.

- Rubinowa Niespodzianka to jedno z najważniejszych dzieł, które przetrwało bolszewizm - wyjaśnił Nowikow. - Dopiero niedawno je odnaleziono.

Cruz i Gillespie popatrzyli na siebie. Jeden z nich nie miał pojęcia, o czym mówi Nowikow. Rosja rozprzedawała na prawo i lewo wszystko, co jeszcze ktoś chciał kupić, by jakoś przetrwać, ale nikt nie wspominał o kradzieży na tak skalę.

- A co to jest ta Rubinowa Niespodzianka? - spytała Redpath.

- Ostatnie złote jajo wykonane przez Carla Fabergé dla cara.

3

Latanie przyprawiało Damona Hudsona o seksualne doznania. Zawsze kiedy wchodził na pokład odrzutowca Hi-Flyer One, najbardziej reprezentacyjnej jednostki Hudson International, czuł, że ciska go w dołku, jakby piękna kobieta posłała mu wulgarne pomyślny, prowokujący uśmiech.

Może to z powodu fallicznego kształtu samolotu? Długi, cienki kadłub boeinga siedemset pięćdziesiąt siedem metrów w mglistym blasku słońca na płycie lotniska La Guardia. Oczami wyobraźni widział swój samolot mknący w przestworzach na wysokość czterdziestu tysięcy metrów w kierunku Los Angeles.

Może doznania seksualne wywoływał przepych, z jakim urządził wnętrze odrzutowca. Samolot o tych parametrach mógł przewozić do stu osiemdziesięciu pasażerów, co oznaczało, że koszty utrzymania go znacznie przekraczały możliwości przeciętnego przedsiębiorstwa.

Hudson sprawił sobie Hi-Flyer One nie tylko dlatego, że widział, jak istotny jest wizerunek publiczny. Lubił robić wszystko z ogromnym rozmachem. Zamówił samolot bezpośrednio w fabryce Boeinga. Wyłożył podłogi perskimi dywanami, ściany obić chińskimi jedwabiami i umeblował antykami z całej

Hudson International, przedsięwzięcie publiczne, posiadające setki akcjonariuszy. Mimo to Damon Hudson traktował samolot jako prywatną własność. Nie przejmował się tym, co mówili niektórzy niezadowoleni inwestorzy i wiceprezysy przedstawiciele różnych komisji.

Hi-Flyer One był jednym z najbardziej wykwintnych samolotów firmowych na świecie. Przedni czaj przeznaczony dla gości i załogi. Podróże w komfortie, ale bez zbędnego przepychu. Czaj tylna to królestwo Hudsona. Wyposażony w najnowsze urządzenia i czystość, wysmakowaną kolekcję malarstwa erotycznego. Czaj sto główne ozdoby tej czaj samolotu były najdroższe prostytutki świata.

Apetyt seksualny Hudsona trudno było zaspokoić. Ale zachowywał wiele rozsądku w tej kwestii. Dochrapał się wielkiego majątku, bo potrafił kontrolować własne popędy.

Hudson International to była jego trzecia próba wdrapania się na szczyt po drabinie sukcesu. Dwa poprzednie koncerty szybko osiągnęły szczyt i równie szybko upadły. Za każdym razem udało mu się wymknąć z nienaruszonym własnym kapitałem.

Uciekając, zostawiał po sobie ruinę. Komuś innemu zniszczyłoby to reputację raz na zawsze. Ale Hudson miał szerokie kontakty i bardzo liczny personel odpowiedzialny za wizerunek publiczny. Po siedemdziesiątce stał się mistrzem przedsięwzięcia i manipulacji.

Wciąż do płuc gęstoci haust starannie oczyszczonego powietrza w samolocie. Hudson wdychał tyle czystego powietrza, ile mógł, a czasami do tego celu używał nawet tlenu z butli. Był bardzo wybredny, jeśli chodzi o jedzenie i wodę. Postanowił dożyć setki. Co więcej, zamierzał zachować sprawność seksualną do ostatniej minuty swego długiego życia.

Gdy Hi-Flyer One osiągnął już właściwą wysokość i lot się ustabilizował, Hudson zrzucił płaszcz, czaj gęstoci krawat i podwinął rękawy bawełnianej koszuli. Potem włożył luźny dzierzgany, dobiegający sweter. Chciał zaprezentować całemu światu swój płaski i napięty brzuch. Wielu młodszych od niego o trzy dekady mogłoby mu pozazdrościć.

Stał na wprost lustra, które wisiało pomiędzy oryginalnymi aktami Vargasa. Patrzył na siebie w taki sposób, w jaki przyglądałby się dziwce; wnikliwie i krytycznie. Wciąż był przystojny. Głowa pokrywała go szwina srebrnych włosów, a gładka twarz pozbawiona zmarszczek, o zarumienionych policzkach promieniała brytyjskim krzepem.

Tak jak wiele innych sukcesów, i ten osiągnął dzięki manipulacji. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat, kiedy to inni mężczyźni zaczynają niedość nie, a pamięć powoli ich zawodzi, Hudson przeszedł kompletną metamorfozę za sprawą słynnego francuskiego chirurga plastycznego.

Podczas kuracji trochę ponacięli, zrobili kilka zakładów, odessali nieco tkanki tłuszczowej, wszczepili to i owo. Po operacji wracał do siebie przez trzy miesiące, ale rezultat graniczył z cudem. Zdjęcie, które jego ludzie przekazali magazynowi „People”, przedstawiało mężczyznę o aparycji, jakiej pozazdrociłby nie jeden czterdziestolatek.

Od tamtej pory minęło prawie osiem lat. W międzyczasie przeszedł kilka poprawek i liftingów. Podkreślone oczy i siwocę goiły się po kilku tygodniach, lecz dzięki nim skóra jego twarzy pozostawała napięta.

Hudson poddał się także innej, bardziej intymnej kuracji, o której raczej się nie mówiło. Była bardzo bolesna, ale skuteczna. Polegała mniej więcej na tym samym, na czym polega wymiana wkładu w wysłonym, ale jeszcze całkiem dobrym piórze marki Mont Blanc.

Hudsonowi zdawało się, że przechrzcił proces fizycznego starzenia się. Zamknął

czasu i nie zmieniał ani trochę, podczas gdy jego rówieśnicy marszczyli się i tracili popęd seksualny. Rozkoszował się każdą chwilą po chirurgicznym odmłodzeniu. Najwięcej satysfakcji dawały mu kontakty z ludźmi w jego wieku.

Usatysfakcjonowany wynikiem rutynowej inspekcji wyglądał, Hudson podszedł do lakierowanego czereśniowego biurka, które stało w korytarzu apartamentu. Wolałby wprawdzie zadzwonić po dwie dziewczyny, które czekały na niego w dziobie samolotu, ale najpierw musiał załatwić interesy.

Hudson oparty był seksem, ale dawno przekonał się, że im dłużej go odwleka, tym więcej ma później satysfakcji.

Mruknął niezadowolony i sięgnął po telefon komórkowy. Nie znosił telefonów komórkowych, bo ułatwiały jego wrogom podsłuchiwanie. Można było wprawdzie szyfrować rozmowy, ale to nie dawało absolutnej gwarancji. Kodowane rozmowy można było nagrać i przy odrobinie dobrej woli rozszyfrować. Hudson systematycznie nagrywał swoje rozmowy. Wydawało mu się zatem, że inni robią to samo. Niestety, w samolocie nie miał wyboru. Mógł kontaktować się przez radio, ale ryzyko było jeszcze większe.

Zadzwonił do swojego biura w Los Angeles.

- Muzeum Hudsona - powiedziała kobieta z drugiej strony. - W czym mogę pomóc?

- Mówi Hudson. Czy jest tam gdzie Aleksy?

- O, dzień dobry, panie Hudson.

Głos należał do osobistej sekretarki Hudsona. Znała dobrze jego nawyki, więc nie czekała na uprzejme powitanie z jego strony.

- Pana Nowikowa nie ma w tej chwili - powiedziała po śmiechu.

Hudson odchrząknął.

- A gdzie jest?

- Nie powiedział, dokąd się wybiera.

- Kiedy będzie?

- Nie powiedział.

- To co powiedział? - spytał Hudson niecierpliwie.

- Nic, proszę pana. Wyglądał na zdenerwowanego, ale nie powiedział, o co chodzi.

Dreszcz niepokoju przeszył Hudsona. Zainwestował nieprzyzwoitą kwotę w budowę Muzeum Sztuki Hudsona. Prawie tyle samo przeznaczył na sprowadzenie wystawy „Wspaniało ci Dawnej Rosji” do Los Angeles, która ma być pierwszą w jego muzeum. Otwarcie za cztery dni.

Podobnie jak w przypadku Hi-Flyer One, pieniądze na budowę wzięł z funduszu operacyjnego Hudson International. Teraz chodziło przede wszystkim o uwiecznione sukcesem otwarcie. Chciał załagodzić niezadowolonych akcjonariuszy. Woleliby dostać swoje pieniądze do ręki niż finansować muzeum na potrzeby Hudson International.

- Znajdź tego darmozjaka i to szybko. - Hudson stracił panowanie nad sobą.

- Oczywiście, proszę pana.

- Płacimy jego rzadowi cholernie dużo o pieniądze za tę wystawę, a ten pedał zachowuje się, jakby on tu rzadził.

- Tak, proszę pana.

Hudson skarżył się na Nowikowa do kadełgo, począwszy od rosyjskiego:

najbliższych sojuszników w biurze prezydenta Rosji. Skargi te zbywano z zadziwiającym spokojem. Wszyscy mówili to samo: Pan Nowikow ma nasze pełne poparcie. Zrobiłby pan słusznie, gdyby zechciał pan wziąć pod uwagę jego wskazówki.

- Lepiej, żeby wrócił na spotkanie z prasą - warknął Hudson. - Media to najważniejsza część tego przedsięwzięcia.

- Tak, proszę pana.

- Nie jestem jakimś typem dentysty z Wichita. Wspieram rosyjską kulturę i sztukę dłużej, niż ta ciota żyje!

- Tak, proszę pana.

- Czy gabloty są już na miejscu? - spytał.

- Mam sprawdzić, proszę pana?

- Nie. Daj mi pomocnika Nowikowa.

- Obawiam się, że pan Gapan pojechał z panem Nowikowem.

Hudson zapomniał o zasadach dobrego wychowania.

- Płac Rosjanom fortunę za tę wystawę, a jedynemu skurwielowi, któremu pozwalają się do niej dotknąć, pieprzyć akurat jak sterydowi ciocię na plażę dla odmórki onych miśniaków.

- Eee...

- Zadzwoń do mnie, jak tylko się pokaję.

- Tak, proszę pana.

Hudson trzasnął słuchawką i z wściekłością popatrzył na akty Vargasa. Wywił wprost niewypowiedziany wstręt do homoseksualistów. Podejrzewał, że Nowikow wiedział o tym i próbował się z nim drażnić. Bez Nowikowa nie było wystawy, a to z kolei oznaczało kłopoty dla Hudsona. I to poważne.

Zaklął, wstał zza biurka i zaczął chodzić tam i z powrotem. Obiecał już wpisać na wystawę przed oficjalnym otwarciem czołowych dziennikarzy działów kulturalnych z „Los Angeles Times” i „Washington Post”. Wysłał nawet prywatny samolot po gołęgo krytyka sztuki z „New York Timesa”, by ten zrecenzował wystawę w rodzimym numerze, a więc jeszcze przed oficjalnym otwarciem.

Pochlebne recenzje w prasie były bardzo ważne. Bez nich amerykańskie środowisko artystyczne nie uznałoby Hudsona. Wtedy akcjonariusze wścieknęli, że wywalił tyle forsy na coś, co przeszło bez echa, a miało być wystawą dziesięciolecia.

- Działalność filantropijna miała prawie tyle samo wspólnego z polityką, co prezydenckie wybory. Polegała na informacji i umiejętność pociągania za odpowiednie sznurki. Ale to właśnie Aleksy Nowikow trzymał w rękach najważniejsze z nich, nie Damon Hudson.

Hudson wątpił jednak, czy Nowikow ma do rozstrzygnięcia, bym drzewinami dysponował.

- Cholerne pedały - powiedział Hudson na głos. - Są gorsi od bab.

Jeszcze przez chwilę chodził tam i z powrotem, zastanawiając się nad różnymi możliwościami.

Niech tylko musiał przyznać, że czas wyciągnąć z rękawa wywiad. A miał nadzieję, że to nie będzie konieczne. Podniósł słuchawkę wewnątrz trzonoego telefonu.

- Przyłóż tu Billa Cahilla.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Wyciągnął się na obitym aksamitem szeszlunku i zaczął liczyć, ile sekund potrzebuje szef jego ochrony, żeby dotrzeć do drzwi i zapukać.

Dwadzieścia osiem sekund. Nie le, ale mogłoby być lepiej.

- Prosz - powiedział Hudson.

Cahill otworzył drzwi i wetknął przez nie głowę. Był uosobieniem wszystkiego, co kojarzy się z agentem specjalnym FBI, z kwadratową szczęką i ciemnymi włosami. Przystojny w bardzo amerykański sposób, utrzymywał odpowiedni wag ciała. Miał akurat tyle mięśni, żeby kula nie przeszła na wylot. Jednak prawdziwy talent Cahilla polegał na czym innym. Były agent FBI stanowił ogniwo łączące Hudson International z państwowym aparatem wywiadowczym. Cahill potrafił zdobywać informacje, wykonując dwa telefony, niedwóch oficerów ledzących zebrałoby w ciągu tygodnia wyłożonej pracy.

- Dzwonił pan, szefie?

Cahill wciąż operował tym szorstkim, bezpozyrednym stylem, który był charakterystyczny dla FBI. Hudsona drażniła ta poufałość.

- Potrzebne mi informacje na temat naszego gościa - powiedział Hudson.

- Rudej czy blondynki?

- Dziennikarki.

- Ach, o nią chodzi.

Cahill starannie zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej. Prezentował się wietnie w swoim grafitowym garniturze, białej koszuli i bordowym krawacie. Jedyne zgrzyt stanowiło wybrzuszenie pod pachami.

Ale Cahill wiedział, że Hudson lubił mieć paru uzbrojonych ludzi na liście płac.

- Wersja pełna czy skrócona? - spytał Cahill. - Mam sporo materiału na ten temat.

- Jest niezależna reporterka. - Głos Hudsona brzmiał niecierpliwie. - Nawet nie wiem, dlaczego zgodziłem się z nią spotkać.

- Możliwe to jej głos? - spytał Cahill i puścił do niego oko.

Hudson zmarszczył brwi, ale nie zaprzeczył. Rzeczywiście głos Claire Toth brzmiał tak, że facetowi od razu przypominało się, co ma w spodniach.

- Wersja skrócona. Jeśli byś chciał więcej informacji, dam ci znać.

Cahill rozpiąłszy marynarkę i wepchnął ręce do kieszeni spodni.

- No cóż... Claire Toth jest wolnym strzelcem - powiedział - ale na własne życzenie, a nie dlatego, że nikt nie chce zatrudnić jej na stałe.

- Skąd wiesz?

- Z jej zeznań podatkowych wynika, że zarabia ponad trzysta tysięcy rocznie. Kiedy, kto tyle zarabia, mógłby pracować praktycznie wszędzie.

Hudson odchrząknął.

- Ja kupuję ludzi dużo taniej.

Bill Cahill był jednym z nich.

- Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać, panie Hudson - zaczął. - Stawki idą w górę. Jeden z moich starych kumpli został zatrudniony w American Airlines jako szef ochrony. Razem z udziałami w firmie dostaje prawie pół miliona rocznie. I w przeciwieństwie do mnie, wszystkie obowiązki ma jasno sprecyzowane na piśmie.

Hudson tak długo przesywał wzrokiem byłego agenta, a odwaga ustąpiła miejsca zaniepokojeniu.

- Czy to jakaś aluzja do twojego udziału w zniszczeniu tej firmy prawniczej,

publicznego, która nas nakała? - spytał Hudson.

- Byli grupą porządnych młodych ludzi. Nie chciałem maczać w tym palców.

- Ale zrobiłeś to.

Cahill miał ponurmin. Im dłużej pracował dla Hudsona, tym bardziej go nie lubił.

- I nadal będziesz robił dla mnie takie rzeczy - powiedział Hudson słodkim głosem - ponieważ bardzo trudno byłoby ci znaleźć pracę w American Airlines lub gdziekolwiek indziej, gdyby dotarło do FBI, że to ty stałeś za fałszywymi oskarżeniami, które doprowadziły do dochodzenia w sprawie tych prawników.

Cahill wyprostował się i wyjął rękę z kieszeni. Odwzajemnił lodowate i butne spojrzenie swojego pracodawcy.

- Robisz, co do mnie należy.

- Robisz, co ci każe.

- Chciałem się tylko upewnić, że zna pan realia rynku - kontynuował Cahill chłodno. - Był agent federalny z koneksjami jest wart dużo pieniędzy w amerykańskim biznesie. Szczególnie, jeżeli chłynie korzysta ze swych znajomości.

Hudson uśmiechnął się.

- Naturalnie. Rób swoją robotę, a ja dopilnuję, żeby ci się to opłaciło.

Cahill trochę się odprężył.

- A teraz - rzekł Hudson - powiedz mi coś jeszcze o tej przedstawicielce dziennikarskiej rzetelności.

Cahill ponownie wetknął rękę w kieszenie.

- Claire Toth ma wszystkie atuty - powiedział. - Skończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie Columbia, a następnie zrobiła dyplom z ekonomii w Londynie, odbyła staż w biurze senatorskim i wreszcie praktyki w „New York Timesie”.

Hudson pokiwał głową. Typowy wyciorys wpływowego dziennikarza.

- Jest związana z kręgami Nowego Jorku i Waszyngtonu od dziesięciu lat - powiedział Cahill. - Przez jakiś czas zajmowała się dziennikarstwem dochodzeniowym dla „Washington Post”. Wówczas wywołała kilka skandali dotyczących zagranicznych dyplomatów i tym podobne.

Ciemne oczy Hudsona rozbłyły, ale nic nie powiedział.

- Jedynym, ale za to grubym rys na tle jej wzorcowej kariery stanowi Pulitzer, którego musiała zwrócić - dodał Cahill.

- O! Dlaczego?

- Zdaje się, że napisała coś o ekskluzywnej prostytutce. Okazało się, że bohaterka jest zlepkiem różnych osób, a nie prawdziwą postacią. Komisja etyczna mediów uznała to za niedopuszczalne.

Hudson zaśmiał się krótko.

- Niedopuszczalne jest tylko to, że dała się złapać. Reszta to pozory utrzymywane na użytek durniów, którzy wierzą w wiary Mikołaja.

Pogardliwy uśmiech Cahilla przypominał uśmiech Hudsona.

- Toth brała udział w zbieraniu materiałów dotyczących służb dyplomatycznych - ciągnął Cahill.

- Jaka wybrana dziedzina?

- Wszystko, co psuje wizerunek Ameryki.

- Na przykład?

- Odkryła infiltrację FBI w ród uchodźców z Ameryki Łacińskiej. Napisała exposé dotyczące związków pomiędzy Departamentem Stanu a gangami narkotykowymi w Panamie i Salwadorze.

- Może ma jakie kontakty w Lewicy?

- Tak. W całym wschodnim bloku - mruknął Cahill.

- Słuchaj, na to dowody?

- Nic, co przekonają się.

- Czy może na jej przestraszyć albo wprawić w zakłopotanie?

- Nie.

- To ciekawe.

Hudson wyprostował się, wziął jabłko z kosza z owocami, który stał na stoliku przed szeszlonym, i wytarł je o rękaw swetra.

- To taka ciekawa wersja Boba Woodwarda - spuentował Cahill.

Hudson wgrzył się w jabłko najmocniejszymi i najbielszymi z bami, jakie może kupić za pieniądze. Przełknął dokładnie i połknął, ciesząc się wiadomością, że bardzo niewiele może zrobić w jego wieku, może pogryźć i strawić surowe jabłko.

- Czego chce ode mnie? - spytał.

- Wydaje mi się, że szuka tematu.

- Skąd ten wniosek?

- Zwykle wolny strzelec musi przedstawić listę pytań komuś, kto zamawia materiał - poinformował go Cahill. - Co na kształt planu proponowanego wywiadu.

- Czego dotyczył plan pani Toth?

- No cóż, pani Toth ma listę poleceń od wydawcy „New York Times Sunday Magazine”, z którego wynika, że niby dla nich pracuje. Ale kiedy przeprowadziłem małe dochodzenie, okazało się, że nie przedstawiła żadnej listy pytań, żadnego planu, zupełnie nic.

- A list jest autentyczny?

- Tak. Zadzwoń do wydawcy i powiedz, że chce napisać artykuł biograficzny o Damonie Hudsonie, a on w ciemno zamówił ten materiał.

Hudson zmienił pozycję na szeszlonym. Znał dziennikarzy lepiej niż Cahill. Zaniepokoił się.

- Musisz być bardzo ostrożny, szpieguj dziennikarzy - powiedział.

- Bez obawy. Byłem naprawdę dyskretny.

Nic nie mówiąc, Hudson raźno wgrzył się w jabłko.

- Przekonałem pańskich ludzi z public relations, żeby spróbowali się czegoś dowiedzieć - powiedział Cahill. - Dali wydawcy do zrozumienia, że może odmówić współpracy, jeśli nie spodoba się panu pomysł.

Hudson wiedział, że to mu nie zaszkodzi. Prawdę mówiąc, znane osobistości unikały prasy, o ile same nie chciały o wiadczyć publicznie.

- No i? - spytał z ustami pełnymi jabłka.

- Powiedzieli, że cokolwiek Claire Toth napisze, kupi to, z pańską zgodą czy bez.

Brwi Hudsona uniosły się jak majestatyczne srebrne skrzydła.

Kimkolwiek była ta Toth, w redakcji „New York Timesa” bardzo ją cenili. Jeśli c

dzielił ich na dwie grupy: lizusów i śpy. Współpracował z pierwszymi i unikał drugich.

Niestety, nikt nie mógł być całkiem pewny, którzy zaliczali się do której grupy, dopóki nie ukazał się artykuł.

- Jak ona wygląda? - spytał Hudson.

- Jest w połowie Mulatką, w połowie Azjatką. W stu procentach fantastyczny dup.

Hudson spojrzał surowo. Twarz Cahilla wyglądała drapieżnie. Twardziel z ochrony napalił się na Claire Toth.

- Przyprowadź ją tutaj, zanim ci stanie - powiedział Hudson chłodno.

Po niespełna minucie po wyjściu Cahilla ktoś zdecydowanie zapukał do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział głośno.

Drzwi otworzyły się.

Pierwsze wrażenie Hudsona było takie, że w całym swoim życiu spędzonym na rozpuście spotkał bardzo niewiele kobiet zbudowanych tak wspaniale jak Claire Toth. Nigdy jednak nie spotkał takiej, która byłaby równie wiadoma i pewna swej seksowności. Zdawało mu się, że za chwilę od jej majestatycznie wyrzeźbionych nóg zajmie się dywan.

Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, była szczupła, lecz silna. Z łatwością trzymała cię kółko skórzanej torby podróżnej, w której bez trudu zmieściłaby się niewielka kamera albo uzi, a nawet obie rzeczy naraz. Dumne, pełne piersi przylegały pod ciemną jedwabną bluzką, pod którą widział zagłębienie nad kremowym, koronkowym stanikiem. Jdrne, kręgle poładki napinały się pod spódnicą, która kołysała się wysoko nad kolanami. Szeroki skórzany pas podkreślał klasyczny tali osy.

Z mieszanin uznania i konsternacji, Hudson odkrył, że jest podniecony. Ta kobieta obnosiła swój zmysłowo jak ciękie, tanie perfumy.

- No, no - mruknął pod nosem.

Powoli wstał z szezlonga, trochę z grzecznością, ale przede wszystkim, żeby ukryć erekcję. Nie chciał, by zauważyła, że nie potrafi się kontrolować.

Claire Toth rzuciła okiem na niepowtarzalny wystrój wnętrza. Jej wzrok powdrował na chiński obraz. Wyglądał tak, jakby kiedyś ozdobił ściany w brytyjskim przybytku rozkoszy. Umiechając się lekko, porównała scenkę z własnymi do wiadzeniami.

- Przyjemniej jest, jeśli nie robi się tego z obowiązku - powiedziała.

Jej przytłumiony, lekko zachrypnięty głos pięcił zmysły Hudsona.

- Tak jest z większością rzeczy - przytaknął Hudson. - Proszę usiąść, panno Toth. Proszę wybaczyć, ale muszę dojść do siebie. Moi ludzie nie uprzedzili mnie.

- Jestem czarna?

Hudson pokręcił przecząco głową. Patrzył na nią tak, jakby była dziełem sztuki, a on rozważał możliwość wycenienia go do swojej kolekcji.

- Jest pani czarna - powiedział. - Jest pani Azjatką. Jest pani Gruzinką. Jest pani tym, czym zapewne była Ewa. Jest pani najbardziej zmysłową kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- To mi pochwala. - Jej umiech był lodowaty jak srebrna klamra paska. - Te dwie, które czekają na pana w kabinie dla pospólstwa, to istne dynamity. Ich cycki i tyłki wzbudziłyby zazdrość niejednej striptizerki.

Mówiąc to w drowała czarnymi oczami po ciele Hudsona, a dotarła do krocza. Krótkie oglądzenie wystarczyło, by wiedzieć, że jest on bardzo mskim, seksualnie agresywnym typem. Nie wiedział

patrz c na ni .

- Mo emy odło y wywiad - powiedziała - do czasu, kiedy te dwie dziwki rozwi pa ski mały problem. A propos, nie jest chyba taki mały, prawda?

U miechn ła si z uznaniem. To sprawiło, e Hudson nie mógł skupi si na niczym poza swoim kroczem.

- Dziwki? - spytał. - Ma pani na my li te dwie sekretarki?

- Przecie to pracuj ce dziewczyny. - Niski miech Toth wydobywał si wprost z gardła. - Pa skie nie słabn ce potrzeby seksualne spotykaj si ze zrozumieniem ze strony pana znajomych i nie tylko. Istnieje termin medyczny okre laj cy t przypa dło : *satyriasis*.

- Wymy lony przez zazdrosnych m czyzn.

- Te tak uwa am. Chyba trudno było zaspokaja panu potrzeby, zanim stał si pan bogaty?

- wiat pełen jest ch tnych kobiet - skwitował Hudson. - Ale nie wszystkie s do atrakcyjne, by pieprzy je twarz w twarz.

Claire posłała mu kokietyjny u miech ulicznicy.

- A mo e te mniej ch tne s bardziej atrakcyjne? - spytała niskim głosem.

- Prawdopodobnie b dziemy mieli okazj si przekona , prawda? - powiedział, u miechaj c si . - Ma pani ochot na drinka?

- Z przyjemno ci wypij odrobin szampana.

- Naturalnie.

Hudson podszedł do kredensu i otworzył niewielkie drzwiczki, za którymi ukazała si dobrze wyposa ona lodówka. Si gn ł po butelk moeta. Otworzył j kilkoma wprawnymi ruchami i napełnił dwa kieliszki. Jeden wr czył Claire, drugi trzymał jak do toastu.

Spojrzała na jego kieliszek i uniosła jedn ze swych doskonałych brwi.

- Jestem zaszczycona - powiedziała. - Słyszałam, e rzadko pije pan alkohol. To ze wzgl du na wiek, metabolizm czy fiuta?

Kotka pokazała pazurki. Omal si nie u miechn ł, gdy poczuł słodki ból, Jaki mu sprawiła. Z ka dym słowem coraz wi cej o niej wiedział.

- Jest pani dobrze poinformowana - skomentował.

- Nie ma pan poj cia jak dobrze, panie Hudson - odparła.

Co w jej u miechu sprawiło, e Hudsonowi przebiegł dreszcz po plecach. Tym razem nie miało to nic wspólnego z seksem.

- Mam nieprawdopodobnie dokładny komplet dokumentów dotycz cych pa skiej osoby - powiedziała.

Mówi c to, delikatnie tr ciła swoim kieliszkiem o jego, chwyciła go za przegub dłoni i napiła si z jego kieliszka. Powoli ocieraj c si brzuchem o jego twardego członka, popatrzyła mu gł boko w oczy.

- I - powiedziała zachrypni tym głosem - zamierzam opublikowa ka de słowo z tego bagna. Chyba e da mi pan wyj tkowo dobry powód, ebym zmieniła zdanie.

4

Kiedy Nowikow niech tnie zdradził, co sprowadza go do Risk Limited, Cassandra ust piła i zaprosiła go na dalsz rozmow do rodka. Cruz, Cassandra i Gillespie przywykli do aru, który łał si z nieba, gdy zbli ało si południe, ale Rosjanie nabrali niezdrowych kolorów. Gapan nie odezwał si ani słow

mózg zdolno ci funkcjonowania.

Teraz cała piątka siedziała w chłodnym podziemiu biurowca Risk Limited. Gabinet Cassandry mieścił się w tej części budynku, która została wbudowana we wzgórze. Dzięki temu nie czuło się tu upału.

Na niewidzialny znak Cassandry Gillespie rozdał napoje orzechowe. Cruz widział coś miłego, a zarazem zabawnego w potnym czarnym mundurze, ubranym w szorty i koszulkę, który serwował lemoniadę z gracji starej panny.

Cruz znał się na ponurej sztuce zabijania, ale Gillespie mógłby nauczyć go tylu nowych sposobów, ile dni w roku. To dlatego Cruz uważał, żeby nie parsknąć miechem, gdy Gillespie czystował wszystkich korzennymi ciasteczkami własnego wypieku. Potny sierżant-major miał skomplikowaną osobowość. Dumny był z faktu, że urodził się w Szkocji, a jego przodkami byli Zulusi. Ten twardy żołnierz uchodził za wspaniałego kucharza. Intelktem przewyższał większość młodych.

Ale nie Redpath. Cassandra bardzo ceniła sobie wspólne wieczory z Gillespiem spędzane na szachach i rozmowie. On także. Role, jakie pełnił: ochroniarza, taktyka i powiernika Cassandry, odkrywały subtelność jego natury. Nawet rolę kamerdynera grał z wdziakiem, choć Cruz czuł, że Gillespie wolałby podać Rosjaninowi ciasteczka z cyjankiem.

Gdyby w oczach Nowikowa czaiło się mniej przebiegłości, może by uwierzył w jego dostojęstwo. Właśnie skończył trzeci szklankę lemoniady. Zwykle grzeczność Gillespiego potraktował z nadmiernym entuzjazmem. Spędził na zewnątrz niespełna dziesięć minut, ale pustynia dała mu się już we znaki. Nowikowa denerwowało, że Cruz zdawał sobie z tego sprawę.

- Jeszcze lemoniady? - spytał uprzejmie Cruz.

Rosjanin spojrzał z ukosa i zignorował go. Delektował się chłodem gabinetu. Cieszył się, że może sam się przekonać, czy plotki o romansie Cassandry z Gillespiem były prawdziwe. Niewątpliwie bardzo się szanowali, bymówił czyło ich jakie uczucie, lecz jeśli chodzi o seks, jeszcze nie miał pewności.

- Nie chcę cię ponaglać, Aleksy - powiedziała Cassandra - ale jeśli sprawa, która cię do nas sprowadza, jest pilna, powinniśmy wiedzieć jak najwcześniej.

Nowikow zmarszczył brwi.

Cruz z niesmakiem zauważył, że zmarszczki, które pojawiły się na czole Rosjanina, tylko podkreślały jego urodę. Zastanawiał się, czy Nowikow wyczytał to min przed lustrem.

- Okoliczności zmuszają mnie do ujawnienia kilku tajemnic wagi państwowej - powiedział, cedząc słowa. - Byłbym wdzieczny, gdybym mógł porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Cruz niecierpliwie zabrzęczał kostkami lodu w szklance lemoniady.

- Jestem tutaj, ponieważ Cassandra wyraża niechęć do tego, więc przestań pieprzyć i przejdź do rzeczy - powiedział bez ogródek Cruz.

Przez moment Nowikow bacznie przyglądał się byłemu przeciwnikowi. Co zmieniło się w Rowanie, ale Nowikow nie wiedział co. Cruz odznaczał się do osobliwym postrzeganiem świata polityki jako wielkiej, pełnej napięcia gry. Złość nie przeszkodziła mu załatwić Nowikowa z precyzją mistrza szachowego.

Kiedy bardzo go to drażniło. Teraz już Nowikow nie chciał przyznać, że choć wygrał ostatnią rundę, we wszystkich pozostałych przeważał Rowan.

Cruz zawsze był bezwzględny i skuteczny. Teraz stał się lodowato obojętny. 7

gro niejszym.

- Kiedy si ostatnio widzieli my - powiedział Nowikow - my lał pan, e jestem szpiegiem, dla którego sztuka stanowi wył cznie przykrywk .

Cruz machn ł lekcewa co r k .

- Było, min ło.

- Mo e dla pana - stwierdził Nowikow. - Pan sam wybierał rodzaj pracy. Ja nie. KGB kazało mi wykona zadanie. Z wykształcenia i z zamiłowania Jestem historykiem sztuki.

- Jasne.

- De facto - powiedział Nowikow, nie zwracaj c uwagi na sarkazm Cruza - jestem kustoszem najpowa niejszej zorganizowanej przez Rosj wystawy, która je dzi po wiecie. Mo e słyssał pan o niej: „Wspaniało ci Dawnej Rosji”?

Zanim Cruz zd ył zareagowa , Nowikow odpowiedział za niego.

- Oczywi cie, e pan nie słyssał.

Nowikow zwrócił si do Cassandry:

- Ale ty chyba słyssała ? Otwarcie zaplanowano na pi tek w Muzeum Sztuki Damona Hudsona w Los Angeles.

Oboj tno na twarzy Cassandry zast piło rozbawienie.

- Rzeczywi cie słyssałam, e Hudson chce zainaugurowa otwarcie swojego muzeum wystaw rosyjskich dzieł - odpowiedziała.

- ...która wła nie wróciła z Tokio - dodał Nowikow. - Odniosła tam ogromny sukces.

Cruz wyci gn ł szklank . Gillespie napełnił j , zachowuj c kamienn twarz. Cruz zauwa ył, e Gillespie nie odst pował Nowikowa ani tym bardziej Gapana.

- Wystaw spakowano i wywieziono - oznajmił Nowikow.

- To brakuj ce jajo... - zaczą ł Cruz.

- Rubinowa Niespodzianka - przerwał mu Nowikow z uraz .

- Jak go zwał, tak go zwał. Ale było tam, kiedy pakowali cie wszystkie eksponaty w Tokio? - spytał Cruz.

- Tak. Skorzystali my z usług firmy przewozowej, która specjalizuje si w tego rodzaju przesyłkach. Absolutnie solidni.

- Jest pan pewien, e jajo, które wysłali cie, było autentyczne? Czy nikt nie mógł go podmieni ?

- Całkowicie pewny - odrzekł Nowikow. - Wczoraj eksponaty dotarły do Los Angeles. - Jak tylko celnicy je odprawili, zaczę li my sprawdza , czy nic nie uległo zniszczeniu podczas drogi.

- I wtedy okazało, e jajo znikn ło - powiedział Cruz.

- Wła nie.

- Ile jest warte?

Nowikow był niezadowolony, e musi odpowiedzie na to pytanie.

- Zarówno z historycznego, jak i artystycznego punktu widzenia jest bezcenne - powiedział krótko. - W pracowni Fabergé projektowano i wykonywano najbardziej liczone si jubilerskie dzieła sztuki w carskiej Rosji. Stamt d wyszły nadzwyczajne przedmioty o w tpliwej warto ci u tkowej. Za to ich warto artystyczn trudno przeceni .

- Przedmioty, które raczej powinno nazywa si dziełami wyobra ni zamiast sztuki - powiedziała Cassandra do Cruza.

- Właśnie - stwierdził Nowikow z uznaniem w głosie. - Wielu historyków sztuki twierdzi, że jaja wielkanocne są cudami jubilerskiego kunsztu.

- To w Rosji niezbyt popularny punkt widzenia w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat - skomentował krótko Cruz.

- Moda zmienia się wraz z polityką - odpowiedział mu Nowikow takim tonem, jakby mówił o czym oczywistym. - Po upadku cara *Fabergé* stracono. Rubinowa Niespodzianka była ostatnią rzeczą, jaką zamówił car. Nikt zresztą nie wiedział, że została ukochana, a do szczegółowej inwentaryzacji majątku narodowego kilka lat temu.

Cassandra pokiwała głową. To, że Rosja rozpaczliwie poszukiwała wszelkich możliwych sposobów na zdobycie gotówki, głównie z wyprzedawaniem dzieł sztuki ukrywanych od pokoleń, było tajemniczością.

- A zatem jaki bohater rewolucji przeżył proletariackie obrzydzenie do luksusu i pieczołowicie przechował Rubinową Niespodziankę w swojej betonowej willi - podsumował ironicznie Cruz. - Potem jakiś inny przedstawiciel mas wysłał ją i odebrał ją przy okazji następnego przewrotu społecznego.

Nowikow zacisnął zęby.

- Nie wiem, w jaki sposób ją trafiło do narodowego skarbcza.

Z współzamyślnymi oczami, Cruz kodował informacje jak komputer. Gdy sięgnął po szklankę lemoniady, Nowikow spojrzał uważnie. Cruz wiedział, co przyciągnęło wzrok Rosjanina: palec wskazujący lewej ręki, który było o kilka centymetrów od dłoni.

Nowikow uświadomił sobie, że gapi się na kikut i że Cruz obserwuje go z nadbrzeżnej szklanki. Ostatni raz rzucił okiem na okaleczony palec i zaczął mówić.

- Wystawa składa się z różnych eksponatów pochodzących sprzed rewolucji, ale dzieła *Fabergé* to gwiazda programu - powiedział Nowikow. - Światełko krysztalowe i emaliowane kwiaty, cięte w kryształach egzotyczne zwierzęta, dwadzieścia wspaniałych emaliowanych cygaretek oraz pozłacane ramki do zdjęć wysadzane brylantami.

- Jakiego pochodzenia tych wszystkich wspaniałości? - spytał od niechcienia Cruz. - Macie jakie dowody zakupu od poprzednich właścicieli?

Cassandra posłała mu piorunujące spojrzenie.

Cruz uśmiechnął się.

- Setki tego typu drobiazków bolszewicy przejęli od arystokracji - poinformował go Nowikow.

- Brylanty też - dodał Cruz. - Całe kupy.

- Łupy wojenne - powiedział Nowikow, bagatelizując problem ruchem ręki. - W najtrudniejszym okresie Sowieci pozbyli się znacznej części majątku narodowego. W ten sposób zdobyli trochę twardej waluty.

- Resztę zagrabili skorumpowani komunisty i historycy sztuki, prawda? - spytał Cruz.

- Niewykluczone - odrzekł Nowikow, uśmiechając się równie lodowato, jak Cruz. - Moja wystawa prezentuje najlepsze eksponaty z tego, co zostało w państwowym skarbcu. Niektóre z nich są naprawdę wyjątkowe. Należą do nich Rubinowa Niespodzianka i Jajo Petersburskie.

- Wielkanocne jajo - zauważył Cruz.

- Słynne - wtręciła Cassandra. - Aleksander III zamówił pierwsze jajo u *Fabergé* dla swojej żony. Tak się nim zachwycał, że zamawianie następnego stało się coroczną tradycją.

- Istotnie - powiedział Nowikow. - Jego syn, ostatni car Rosji, kazał sobie robić dwa jaja co roku. Jedno dla matki, drugie dla siostry. Kilka sztuk zostało wykonanych dla rosyjskich fabrykantów.

- Dlaczego Rubinowa Niespodzianka? - spytał Gillespie.

Nowikow spojrzał z pogardem na potęgę męczyzny. Zdumiało go, że miał się odezwać. Jedno spojrzenie w surowe, inteligentne oczy wystarczyło, by Nowikow skorygował swoją opinię o Gillespiem. Niezależnie od koloru skóry, ten człowiek z pewnością nie był typym kamerdynerem czy igolakiem.

- Zgodnie z tradycją - powiedział Nowikow - każda jajka kryje coś w środku.

- Tajemnicę państwa? - spytał Gillespie.

- Nie - powiedziała Cassandra. - To są błyskotki.

- Zgadza się - potwierdził Nowikow. - Czasami są to miniaturowe portretyki obramowane brylancikami ukryte za specjalnym panelem lub miniaturowe krajobrazy. Innym razem w środku jest miniaturowe zwierzę, taka mechaniczna zabaweczka.

Gillespie uniósł czarne brwi i odszedł bez słowa, żeby dolać do dzbanka lemoniady.

- Ile w sumie jest tych wielkanocnych jaj? - spytał Cruz.

- Łącznie pod koniec dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku wykonano sto pięćdziesiąt sztuk - powiedział Nowikow.

- Kto je kupił?

- Kilka nabyła brytyjska rodzina królewska. Cztery zaginęły podczas rewolucji. Pozostałe stały się najdroższymi na świecie, unikatowymi gratkami dla kolekcjonerów.

- Gdzie można je znaleźć poza granicami Rosji? - ciągnął Cruz.

Nadal sprawiał wrażenie obojętnego, ale jego oczy nabrały blasku. Kiedyś, kto posiadał jajko Fabergé, mógłby nabywać następne, niezależnie od legalności jego pochodzenia.

- Damon Hudson, ten przedsiębiorca, ma kilka - powiedział Nowikow. - Malcolm Forbes, amerykański wydawca, zgromadził tuzin.

- Ile za nie zapłacił? - spytała Cassandra.

- Ponad półtora miliona dolarów za ostatnie, które wystawiono na sprzedaż - oznajmił Nowikow. - Ale to było jakiś czas temu. Nikt nie wie, jak wartością miałyby takie jajko dzisiaj.

- A panu udało się jedno zgubić - skomentował Cruz. - Nic dziwnego, że się pan zdenerwował,

- Nie martwi mnie osobista odpowiedzialność. To wielka strata dla kultury. Nie potrafię przewidzieć politycznych konsekwencji tego incydentu.

Cruz milczał.

- Jak pan słusznie zauważył - powiedział Nowikow - pracuję dla rządu, który balansuje na krawędzi przepaści. Na dodatek w Rosji rozpętała się nagonka przeciwko demokracji. Partia komunistyczna ma mocną pozycję.

Nowikow przeniósł szare, skupione spojrzenie z Cruza na Cassandrę.

- Zatwardziali komunisty są gotowi poświęcić wszystko, co udało nam się osiągnąć przez kilka ostatnich lat, byleby odzyskać władzę.

- Proszę nie zapominać o prawicy - powiedział Cruz, odgryzając kawałek ciastka. - Wojsko i byli urzędnicy poświęcili swoje interesy.

- Do tego dochodzą potomkowie białogwardzistów - dodał Gillespie, ukazując

dzbankiem lemoniady w dużej, silnej dłoni. - Jest kilka starych rodów, którym udało się wywieźć pieniądze przed rewolucją. Z ogromną przyjemnością biali Rosjanie wykorzystywaliby trudną sytuację Rosji. Jeszcze lemoniady?

Nowikow spojrzał na Gillespiego w sposób, w jaki kobieta spogląda na mężczyznę, kiedy nagle odkryje, że jest godny zainteresowania.

- Tak, z przyjemnością - powiedział Nowikow i wyciągnął szklankę. - Ma pan rację. W tej chwili w Rosji cierają się ze sobą różne siły, co w każdej chwili może doprowadzić do eksplozji.

Nowikow pogardliwie rzucił okiem na Cruza, a potem na jego lewą dłoń.

- Może brzmi to zabawnie dla takiego kowboja jak Cruz Rowan, ale inteligentny człowiek doskonale rozumie powagę sytuacji.

Nowikow spojrzał na Cassandrę.

- Chyba pani ambasador straciła już zainteresowanie stabilizacją sytuacji w wiecie, odkąd nie pracuje dla rządu.

- Ja i moi koledzy nie zajmujemy się politykami dzynarodowymi - powiedziała Redpath. - Ale jesteście my ludźmi. Troszczymy się o losy świata, tak jak każdy obywatel.

- A zatem pomożecie nam?

- Sądzi, że Urząd Celny albo policja z Los Angeles mogłyby się szybciej uporać z tą sprawą - powiedział Cruz, nie zwracając się do nikogo wprost.

- Kradzież nie została zgłoszona - oznajmił Nowikow.

Cruz nawet nie próbował udawać zdziwienia. To oczywiste, że Nowikow tego nie zgłosił.

- Na pewno ktoś zauważył, że wśród eksponatów nie ma jaja - powiedziała Cassandra.

- Naturalnie, ale kiedy zorientowałem się, że znikło, powiedziałem, że jest u mnie.

- Wiem tylko ty wiesz, że je skradziono? - spytała Redpath.

- Wie tak, że pan Gapan, który pełni funkcję szefa ochrony całej wystawy. Oczywiście teraz wiecie również wy.

- Proszę nas nie posłuchać w razie jakichś przecieków - ostrzegł Cruz. - Jest przynajmniej jeszcze jedna osoba, która wie o Rubinowej Niespodziance.

- Co takiego? Kto? - spytał Nowikow z oburzeniem.

- Złodziej - rzekł Cruz pobłażliwym tonem.

- Jasne. Ale on, czy ona, będzie starał się zataić ten fakt, nie sądzi pan?

- Zakładając, że zechce je sprzedać - stwierdził Cruz - musi pójść do niego. A kiedy to zrobi, informacja pójdzie w świat.

- Nie możemy do tego dopuścić - powiedział stanowczo Nowikow.

Cruz wzruszył ramionami.

- Proszę powiedzcie to złodziejowi.

Nowikow zwrócił się do Cassandry.

- Sytuacja w Rosji jest... niezwykle delikatna - wykrztusił. - Niektóre wpływowe osoby nie chciały, aby ta wystawa w ogóle opuszczała kraj.

- Dlaczego?

- Z poczucia patriotyzmu. Uważają, że te drobniaki są częścią duszy Rosji i należą

za którymi kryją się nieczyste zamiary.

- Patrioci? - wymamrotał Cruz. - To są raczej zwykłe wiry.

Nowikow nie spuszczał wzroku z Cassandry Redpath. Jego oczy błyszczały z emocji.

- Błagam, Cassandro - powiedział - musicie wytropić złodzieja, zanim wiat dowie się o kradzieży.

- Po co zwrócił się pan do nas? - spytał Cruz, nim Cassandra zdążyła się odezwać. - Jeśli nie chce pan zgłosić kradzieży na policji w Los Angeles, proszę skontaktować się z FBI. Oni z przyjemnością panu pomogą.

Nowikow poczuł się urażony.

- Policja? FBI? Wszystko to biurokraci. Jedni i drudzy zrobiliby sobie przy okazji tej sprawy darmowe reklamy.

Cruz nie zaprzeczył. Nowikow miał rację.

- W dodatku - ciągnął po pieśni Nowikow - wasze władze stanowe podlegają Waszyngtonowi. Rząd próbowałby skorzystać na kradzieży i dochodzeniu. Taka jest natura każdego z nich. „Rząd nie ma przyjaciół, jedynie interesy”, jak kiedyś napisała pani ambasador.

Cassandra przeniosła wzrok ze skupionej twarzy Nowikowa na kryształowy globus, który stał przed nią na stole. Kulki pokrywały delikatnie wygrawerowane kontynenty i węższe wyspy. Wyglądała jak skrzywienie rekwizytu wrotki z globusem geopolityka.

- Cytowałam wówczas de Gaulle'a - powiedziała Cassandra. - Rzeczywiście, jednym z przyjemnych stron odjeżdżania jest posiadanie przyjaciół i prywatnej firmy.

- Zgadza się z tobą - potwierdził Nowikow. - Nie przeczę, ale kieruj mnie także względnie polityczne. Reprezentuj rosyjski rząd. Uczyłbym sobie dwóch rzeczy. Po pierwsze, aby Rubinowa Niespodzianka odnalazła się jak najszybciej i bez rozgłosu. Po drugie, aby koszty poniesione przez Rosję były jak najniższe.

- Nie jesteście mi tani - powiedział Cruz. - Niech pan spyta peruwiańskiego rządu, ile kosztowało ich odzyskanie dziesięciu milionów dolarów, które zwrócił były prezydent.

- Rozumiem, że wasza prowizja wynosi dziesięć procent od wartości odzyskanych dóbr - powiedział Nowikow. - Mogę osobiście zagwarantować, że kiedy odzyskacie jajo, poddamy je wycenie. Jeśli zaakceptujecie obie strony, natychmiast wypłacimy wam dziesięć procent od orzeczonej wartości.

Cruz spojrzał na pokerową twarz Cassandry. Równie dobrze Nowikow mógł zaproponować jej w tej chwili garnitur brylantów lub półmisek zimnych mięs. Jej twarz pozostała niezmieniona.

- Sowiecie ci to wynagrodzą - nalegał Nowikow. - Zysk to przecież jedyne kryterium w świecie interesów, prawda?

Gillespie i Cruz spojrzeli na Nowikowa, zastanawiając się, czy obraził Cassandrę niechęcią, czy z pełną premedytacją.

Cruz stawiał na to drugie. Zastanawiał się, co sprawiło, że ten zwykle opanowany człowiek lekko imnie tracił kontrolę nad sobą.

- Pani ambasador nie powiedziała, że jesteście mi dziwkami na sprzedaż - powiedział spokojnie Cruz. - Stwierdziła tylko, że w warunkach gospodarki rynkowej mamy prawo wybierać sobie klientów.

- W porządku - powiedziała Cassandra. - Aleksy próbował jedynie na swój osobliwy sposób odwołać się do wymiernych korzyści, ponieważ szczerze wierzy, że to jedyny skuteczny sposób, by osiągnąć cel. Mam rację, *mon petit chou?*

Nowikow uśmiechnął się chłodno.

- Oczywiście.

Cassandra Redpath patrzyła na kryształowy globus przez długą chwilę.

Cruz nieraz widział ten pozbawiony wyrazu wzrok. To znak, iż nadzwyczajny umysł pani ambasador, kryjący się za uderzającymi zielonymi oczami, pracuje na pełnych obrotach.

Po kilku sekundach Cassandra wróciła do rzeczywistości.

Spojrzała na Nowikowa z dziwnym, beznamiatnym wyrazem, jakby zaskoczyło ją, że jeszcze tu siedzi.

- Po odzyskaniu jaja wycenimy je w domu aukcyjnym Christie's - powiedziała wyraźnie, artykułując każde słowo.

- Zgoda - odparł Nowikow.

- Ale honorarium nie będzie niższe niż milion dolarów, niezależnie od wyceny - dodała. - Całkowite koszty uzależnimy od poszukiwań. Nasza ocena sytuacji jest ostateczna.

- Ocena sytuacji? - spytał Nowikow. - Co masz na myśli?

- Jeśli odwołamy poszukiwania, to będzie koniec sprawy - wyjaśniła. - Jeśli uznamy, że trzeba wezwać policję, nie będzie nam przeszkadzała.

Nowikow głono przełknął ślinę, a potem pokiwał głową.

- Zgoda - powiedział szorstko. - Kiedy może zacząć?

- Już zaczął.

- Kradzieży tego typu nie dokonał amator - oznajmił Nowikow. - Dochodzenie musi znaleźć się w dobrych rękach.

- Naturalnie.

Nowikow spojrzał na Cruza i dodał:

- W dwóch dobrych, sprawnych rękach.

Cruz podniósł się, nie kryjąc pogardy. Gillespie natychmiast podszedł do niego i schylił się po pustą szklankę, zaszedł mu drogę. Wyglądało to na przypadek, ale Cruz wiedział, że było inaczej.

- Sprawa znajdzie się w dobrych rękach - powiedziała Cassandra. - Sierżancie-majorze, czy sprawdził pan, co z samolotem?

- Tak. To samo, co zwykle.

- Cholerny panel sterowania. Czasem elektronika utrudnia życie - mruknął. - Będzie musiał odwiedzić pana Nowikowa i pana Gapana do Los Angeles. - Proszę się nie martwić, on osiąga tak szybko jak samolot. - Zwróciła się do Nowikowa: - Czy mógłby kontaktować się z tobą przez Muzeum Sztuki Hudsona?

- Tak.

- Doskonale. Masz zdjęcie Rubinowej Niespodzianki i list przewozowy?

- Zdjęcie owszem. O list musisz się dowiedzieć. - Mówi ci sięgnięciem do kieszeni, z której wyjął niewielką kopertę. Gillespie wziął ją od niego i podał Cassandrze.

- Dziękuję - powiedziała.

Zaraz potem wstała, dając w ten sposób do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Nowikow poderwał się i ucisnął dłoń, którą mu podała. Nim zorientował się, co się dzieje, Gillespie wypchnął go i Gapana z gabinetu.

Gdy tylko drzwi za trójkami zamknęły, Cassandra znów usiadła w fotelu.

przezroczyzny globus.

Cruz rozgryzał kostki lodu, cierpliwie czekaj c, a Cassandra zako czy analiz . W ko cu spojrzala na niego z lekk irytacj .

- Połamiesz sobie z by - rzekła.

- Wiem, mamusiu - powiedział uszczypliwie. - Czy b dziesz zadowolona, je li powiem ci, e robi to tylko wówczas, gdy jestem w ciekły?

- W ciekły? Na mnie?

- Jestem zły na tego cwane go drania. Bezczelnie ci obra ał. Zachowywał si , jakby Risk Limited było straganem, gdzie mo na wynaj par kilo mi ni do czarnej roboty.

Cassandra machn ła r k , nie przejmuj c si specjalnie słowami Cruza.

- Nie ufaj Nowikowowi - powiedział Cruz krótko.

- Jaki konkretny powód?

- Kłamał od pocz tku do ko ca. Je li jest tylko urz dasem od kultury, to jak, u licha, mo e obiecywa milion dolarów za odnalezienie klejnotu, którego kradzie y nawet nie zgłosił?

Twarz Cassandry zdradzała rozbawienie.

- Lepiej id i doprowad si do porz dku. Znów jeste na słu bie.

- Czy by? Wydawało mi si , e obiecała Nowikowowi kogo z dwiema „dobrymi” r kami.

- Bzdura - odparła krótko. - Przesta si zachowywa jak ura ona ksi niczka i bierz si do roboty. Pilot wła nie ko czy przegl d i b dziecie mogli lecie .

- Panel elektroniczny znowu działa, co? - spytał ironicznie.

- Taki panel to wygodna wymówka.

- Nie ufasz Nowikowowi podobnie jak ja. Dlaczego przyj ła t robot ?

- Poniewa najbardziej interesuje mnie to, czego Nowikow nie powiedział nam o tym jaju.

- Na przykład?

- Ach, takie tam plotki, aluzje, pogłoski.

- Na przykład jakie?

- To mo e by nieporozumienie.

- No to opowiedz mi te plotki, aluzje i pogłoski, a ja zadecyduj , czy to nieporozumienie, czy nie.

- Masz doskonały instynkt - powiedziała Cassandra. - Powiniene mu skłama , tak jak ja.

Cruz skrzywił si .

- To znaczy, e ka esz mi bł dzi po omacku.

- Ale nie samemu i niezbyt długo. Rusz si , Cruz. Obawiam si , e w tej sprawie b dziemy mieli spor konkurencj .

Cruz odwrócił si bez słowa i ruszył do drzwi.

- Cruz.

- Tak?

- Włó czarny gorset.

Par minut po czwartej limuzyna marki Cadillac jechała przez Hill Street, mijaj

przy skwerze Pershinga. Damon Hudson przyglądał się miastu zza przyciemnianej bocznej szyby wozu. Od lat nie odwiedzał dzielnicy jubilerskiej Los Angeles. Wiele się tu zmieniło.

Kiedy ta dzielnica była spokojną angielską enklawą, potocznie nazywaną Ródmieciem. Żydzi, Ormianie i Syryjczycy handlowali złotem, drogimi kamieniami i brylantami wynajmowali małe sklepiki w budynkach należących do Chendlerów, Shermanów, Strubsów i Gerkenów. Dzięki sami ludzie z Bliskiego Wschodu stali się właścicielami i odnajmowali sklepiki Wietnamczykom, Meksykanom i Filipińczykom.

Zdaniem niektórych Ródmiecie kwitło. Inni uważali, że rozrasta się jak tkanka nowotworowa. Władza polityczna i finansowa uciekła do Century City, San Fernando Valley, Orange County. W wyniku masowych ucieczek na przedmieścia, dzielnica jubilerska została opuszczona i pozostawiona sama sobie.

Dzielnica rozrastała się niepostrzeżenie, a wreszcie opanowała samo serce Ródmiecia. Kilkanaście ulic zmieniło się w tętniące żyłami, czasem niezbyt bezpieczne arterie, biegnące wzdłuż Pacyfiku, gdzie handlowano białymi. To miejsce przeistoczyło się w wielojęzyczny, postmodernistyczny tygiel, stając się mikrokosmosem całego Los Angeles.

Hudson go nie lubił.

Czarna limuzyna przejechała między dwiema opancerzonymi ciężarówkami firmy przewozowej Brick's. Na wprost widniał budynek przy Hill Street 550. Konstrukcja tej budowli odzwierciedlała zmiany, jakie zaszły w tej dzielnicy. Istniała Wieża Babel wybudowana za pieniądze pochodzące z handlu złotem, brylantami i innymi drogimi kamieniami. W środku Izraelcy, Holenderscy i Hinduscy szlifierze diamentów mijali się z japońskimi handlarzami pereł, po rednikami z południowo-wschodniej Azji oferującymi szafiry i rubiny oraz kupcami z RPA i Bliskiego Wschodu sprzedającymi złoto.

W normalnych okolicznościach Hudson starałby się uniknąć zgiełku i tłoku charakterystycznego dla tej części miasta. Widział coś niestosownego w tym, że człowiek z jego pozycji odwiedza takie miejsce. Dawno przestał być królowym chłopakiem, który rozpychał się między ludźmi na tyłach strzeżonych drapaczy chmur.

Teraz nie miał wyboru. Musiał ocierać się o zuchwałych nowicjuszy. Chciał po kryjomu dotrzeć do Armanda Daviniana. Nie uprzedzał go, żeby przed nim nie zwiął. Tylko przez zaskoczenie Hudson mógł wymusić na byłym wspólniku i przyjacielu naturalną, niewymuszoną reakcję.

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku naprzeciwko South Hill 609, jednego z najstarszych budynków w okolicy. Nie czekając na kierowcę go obsługiującego, Hudson pchnął drzwi, wysiadł z samochodu i ruszył chodnikiem. Winda była stara i pełna ludzi mówiących w niezrozumiałych dla niego językach.

Wybrał schody, szybko pokonując trzy piętra. Na górze poczuł lekką zadyszkę. Stał na chwilę, by uspokoić rozszalałe serce. Davinian był stary i słaby, ale za to niebezpiecznie sprytny. Hudson wiedział, że za wszelką cenę musi uzyskać nad nim przewagę. Nawet siłę.

Korytarz na trzecim piętrze tonił w mroku. Wyglądał tajemniczo. Po obu stronach znajdowały się małe sklepiki. Z każdej z nich ogromne okno wyglądało na wiat. Każde odgródzone było od korytarza grubymi szklanymi drzwiami, które otwierały się wyłącznie od wewnątrz.

Przynajmniej to się nie zmieniło. Ludzie, którzy zamykali się w swoich małych pracowniach ze złotem i drogimi kamieniami doskonale wiedzieli, do czego może prowadzić ludzka chciwość.

Hudson szybko pokonał korytarz. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami z napisem: „Davinian i synowie, brylanty i szlachetne metale na sprzedaż”. Mniejszy napis w rogu ciemnej, prawie

„Otwieramy wył cznie zainteresowanym”.

Hudson pochylił si do przodu i przez szklane drzwi zajrzał do mrocznego wnętrza sklepu. Wisko ekspozycji toniła w półmroku. W następnym pomieszczeniu w tły, łysym mężczyzna siedział zgarbiony nad stołem warsztatowym.

Hudson spróbował pchnąć drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte. Zamiast zapukać mocno, szarpnął za klamkę.

Starzec podniósł wzrok. W bełznie niejasnym blasku lampy jego twarz wyglądała trupio białą. Na nosie miał typowe jubilerskie okulary powieszony w stalowej oprawce, których szkła umocowane były na obrotowych prętkach. Wyglądał zupełnie jak sowa. Mrugnął, dając oczom czas na oswojenie się ze zmianami ostrości. Powoli jego wzrok spoczął na twarzy Hudsona. Przez dłuższą chwilę patrzył tak, jakby nie wierzył w to, co widział.

Hudson ponownie szarpnął za klamkę i potrząsnął drzwiami, niecierpliwie domagając się ich otwarcia. W końcu człowiek-ptak nacisnął przycisk na ścianie obok stołu.

Przy drzwiach zadzwonił brzęczyk. Hudson po piesznym przekręcił klamkę. Drzwi otworzyły się z charakterystycznym piskiem metalu ocierającego się o metal. Zanim Davinian zdążył zmienić zdanie, Hudson był już w środku. Minął gabloty, nie patrząc na zdumiewający wybór szlachetnych kamieni. Chodziło mu wył cznie o starego człowieka, który obserwował go z pracowni.

Drzwi za Hudsonem zatrzasnęły się z hukiem, odcinając dwóch mężczyzn od reszty świata. Gablota i lada półczone zamykanymi drzwiczkami zagroziły Hudsonowi drogę do pracowni, gdzie czekał Davinian.

- Armand, jakiego szaleństwa dopuścili się tym razem twoi przyjaciele? - spytał niecierpliwie Hudson.

Davinian mrugnął i nie powiedział ani słowa.

- Czy cała Rosja zwariowała, czy wy jesteście tymi kilkoma mniej inteligentnymi, którzy próbujecie wywołać zamieszanie? - ciągnął rozwścieczony.

Davinian wyprostował się, odszedł od stołu i zbliżył się do gabloty, która trzymała Hudsona na dystans. Stanął naprzeciwko Hudsona, przyglądając się mu uważnie, jakby spodziewał się jakiejś sztuczki.

- I kto tu oszalał? - spytał Davinian. - To ty przyszedłeś tu w środku dnia na oczach całego świata. Dlaczego, na miłość boską? Przecież ustaliliśmy, że się nie zobaczymy.

- Nie sądziłem, że kiedyś jeszcze będę musiał ujrzeć twój twarz - warknął Hudson. - Ale twoja wielka czarna gołbica wylądowała mi wczoraj na plecach i musiałem zmienić zdanie.

Davinian wysunął głowę do przodu jak człowiek, któremu zaczyna szwankować słuch.

- Czarna gołbica? - spytał Davinian łagodnie. - O czym ty mówisz?

- Sto osiemdziesiąt centymetrów kobiety. Ciemna. Napalona dziennikarka - pociął się Hudson.

- Nie znam żadnej...

- Jasne, że nie znasz! - przerwał mu Hudson. - Tylko te pytania, które zadawała, mogły pochodzić tylko z jednego źródła. Od ciebie.

- Powtarzam ci, że nie znam tej osoby.

- Głównie prawda. Zaledwie garstka ludzi na świecie ma do informacji, by pytać o paczki z brylantami sprzedane na aukcji w Antwerpii w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym.

Davinian wytrzeszczył oczy.

- Albo o obrazy francuskich impresjonistów w mojej kolekcji - dodał z wściekłością

te wiedziała, tych sprzedawanych na aukcjach od końca lat trzydziestych a do sześćdziesiątych.

- Kłn się na swoją duszę, nie...

- Pytała nawet o dzieła Fabergé, które zaczęły pokazywać się na Zachodzie w latach pięćdziesiątych - wpadł mu w pół słowa.

Davinian oparł się ciężko o ład.

- Jest tylko kilka osób na świecie, które wiedzą, jak kłopotliwe byłoby dla mnie udzielenie odpowiedzi na te pytania - powiedział Hudson. - Ty jesteś jedyną, która mieszka w Los Angeles.

Davinian zdjął okulary i potarł grzbiet nosa droczymi palcami.

- Dlaczego mnie zdradziłeś? - spytał Hudson. - Uznałem, że jestem już za stary, żeby zemścić się na tobie, ty szpiegu? Nie potrafisz tak cię urządzić, żeby w końcu zaczął błagać mnie o litość?

Davinian zaczął odruchowo czyścić szkła swoich okularów końcem granatowego krawata. Jedwab był postrzępiony, jakby od dłuższego czasu używał go wyłącznie do tego celu.

- Jestem jubilerem - powiedział stanowczo. - Urodziłem się w sowieckiej Armenii. Utrzymywałem pewne kontakty z krajem. Od czasu do czasu robiłem z tobą interesy. Ale nie jestem szpiegiem.

Hudson wyrzucił ręce w zamasztyście.

- Jesteś nie zarejestrowanym agentem obcego państwa. Działałeś w imieniu Związku Radzieckiego. Obaj wiemy, skąd pochodziły brylanty, obrazy i pozostałe rzeczy, które sprzedawałeś za moim pośrednictwem.

- Dobrze ci płaciłem - powiedział Davinian.

Hudson oparł się otwartymi dłońmi o gablot. Szkło groźnie jęknęło.

- Wiem także, że pieniądze z każdej sprzedaży wracały do twoich szefów z KGB - powiedział Hudson. - A teraz powtórz jeszcze raz, że nie jesteś szpiegiem.

Davinian oparł swoje pomarszczone dłonie o szybę, jakby chciał ją przytrzymać.

- Uspokój się - rzekł Davinian suchym, słabym głosem. - W przeciwieństwie do ciebie, od pewnego czasu nie mam kontaktów z Moskwą. Moi byli współpracownicy nie mają już żadnej władzy. Wiele się zmieniło.

- Zmieniło? - spytał Hudson sarkastycznie. - Takie rzeczy nigdy się nie zmieniają. Przynajmniej nie tak, jak mówisz. Zawsze jest więcej miejsc przy korycie. Wić wykombinowałeś sobie, że dopchasz się do mojego.

Davinian pokręcił głowę jeszcze raz, niemo zaprzeczając oskarżeniom.

- Ile? - spytał Hudson. - Chcę wiedzieć, za ile mógłby cię kupić.

- Pomyśl - powiedział łagodnie Davinian. - Po co miałbym pakować cię w takie kłopoty. Mam do stracenia tyle samo co ty, jeśli prawda o przeszłości ci wyjdzie na jaw.

Suchy, cichy głos Daviniana dotarł wreszcie do załpionego gniewem Hudsona. Poczł strach. Przez całe życie wierzył, że bieda, snobizm i choroby go nie dotyczą. Przez wiele lat czuł się niezwyciężony.

Teraz to się zmieniło.

Odwrócił się plecami do Daviniana. Nie chciał, żeby bystre oczy dostrzegły łęk na jego twarzy.

Usłyszał dźwięk brzozy. Zasuwa na białce odskoczyła. Wtędko dotknęła ramienia Hudsona.

- Chodź ze mną na zaplecze - powiedział starzec. - Usiądź, napij się herbaty i opowiedz mi dokładnie, co się stało. Znajdziemy jakieś wyjście. Kiedy radziliśmy sobie z każdym problemem.

Przez moment Hudson ani drgnął. Potem zakłęk i odwrócił się.

Davinian wci tam stał, czekał na niego i przyglądał mu się oczami, które wcale nie zmieniły z upływem czasu.

- No dobrze - zgodził się Hudson. - Chryste, co za piekło.

Podczas gdy Davinian parzył i nalewał herbaty, Hudson opowiadał mu, co zaszło.

Nie przerywajcie, Davinian słuchał w cichym skupieniu. Od czasu do czasu popijał mocną herbatę.

Im dłużej słuchał, tym lepiej rozumiał przerażenie Hudsona. Claire Toth miała bardzo dokładne informacje.

- Ta dziwka musiała czytać wszystkie moje listy. - Nasze wszystkie listy - poprawił się. - Trzeba było wiedzieć, jak ocierała się o mojego fiuta i wpychała mi do ucha język, wymieniając nielegalne transakcje, jakich dokonali my.

- Co do jednej?

- Wszystkie, począwszy od brylantów, a skończywszy na starych mistrzach.

- Brylantów jest pełno i są anonimowe - powiedział Davinian.

- Nie wszystkie.

- O tych te wiedziała?

- Tak. O białych brylantach Romanowów i o tych różowych, które kupił Harry Winston.

- Naprawdę? - sapnął Davinian. - To bardzo niedobrze, Damon.

- Jest znacznie gorzej. Wyrecytowała precyzyjną listę płóci. Wiedziała o wszystkich. Wiedziała nawet, jak dzielili my zyski i w co inwestowałem pieniądze.

- No - powiedział Davinian. - Teraz masz pewno, że nie maczałem w tym palców.

- Co? - spytał Hudson.

- Nigdy pytałem o twoje interesy. Ty też nie wtrącałeś się do mojego życia.

Hudson po chwili niechętnie przytaknął.

- A ci twoi kolesie z Rosji? - rzucił Hudson. - Oni nikomu nie ufają. Nawet mnie.

Davinian niemal się uśmiechnął, widząc zdenerwowanie Hudsona.

- W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat okazałem tyle przyjaźni Związkowi Radzieckiemu - powiedział Hudson. - Walczyłem z embargiem. Przez to z wielu prawicowych wirów zrobiłem sobie wrogów, a Rosja nigdy nie okazała mi zaufania. A teraz jeszcze to! Chryste, zasłużyłem na lepsze traktowanie.

Davinian pokręcił głową.

- Byłbyś z siebie wietny aktor - powiedział z ironią. - Kto mógłby pomyśleć, że nie wiedziałeś, iż zdrada jest w tym zasadą takich ludzi.

- Ale ja miałem swój wizję - stwierdził Hudson. - Przez całe życie pracowałem na rzecz pokoju i współpracy. Zabiegałem o dobre stosunki z każdym radzieckim przywódcą; od Stalina do Gorbaczowa. Ułożyłbym się nawet z tym idiotą Jelcynem, gdybym musiał.

Domniemywał, jaki wydobyl z siebie Davinian, mógł oznaczać cokolwiek.

- Wszystko robiłem w imię przełamywania barier między narodami - powiedział poważnym tonem Hudson.

- I w imię zysku - dodał Davinian.

- Wykorzystali mnie!

- Tak jak ty wykorzystaste ich.

- Ale...

- Daruj sobie - powiedział Davinian. - Nie odgrywaj naiwnego filantropa. Nie do twarzy ci z tym. Byłeś przyjacielem Sowietów, bo ci się to opłacało.

- Nieprawda. Wierzyłem, że postępuj słusznie.

- Wiadomo byłeś idiotą. A mnie się wydaje, że nie jesteś głupcem, Hudson.

Przez krótką chwilę może nie patrzyli na siebie w milczeniu. Choć byli równymi, Davinian zawsze zazdrościł Hudsonowi siły i potencji.

Teraz Davinian ujrzał Hudsona w innym świetle. Jego ciało pozostawało w doskonałej formie, ale umysł zaczynał szwankować. Davinian zastanawiał się, czy ma to związek z kuracją hormonalną, której Hudson poddawał się potajemnie.

Przynajmniej wydawało mu się, że zdołał utrzymać to w tajemnicy. Dla większości owszem, jednak nie dla Daviniana. Miejsca w Europie Wschodniej, które Hudson często odwiedzał pod płaszczykiem interesów, pełne były starych przyjaciół Daviniana.

Nagle jubiler pojawił się, dlaczego Hudson tak histeryzował na myśl o zdradzie ze strony Rosji. Obawiał się, że straci dostęp do swojego eliksiru.

Davinian zanotował to sobie w pamięci. Może kiedyś będzie musiał zrobić z tego użytek.

- Słuchaj, że traktujesz te kobiety poważnie, nie na to zasługują - powiedział pojednawczo. - Inni też pisali o twoich dawnych interesach i nic z tego nie wynikło.

Hudson zlekceważył jego słowa niecierpliwym ruchem ręki.

- Wydałem miliony na speców od public relations. Oni dbali, żeby dementować wszystkie sensacyjne informacje - oznajmił Hudson.

- Nie wyrzuciłeś tych pieniędzy w błoto.

- Tylko dlatego, że większość dziennikarzy to lenie - wybuchnął Hudson. - Jednemu z nich nie chciało się grzebać tak głęboko w mojej przeszłości jak Claire Toth.

- To ciekawe - mruknął Davinian.

- Jeśli wie o mnie coś tyle, to musi wiedzieć i o tobie. Wziął to pod uwagę?

Davinian pokiwał głową.

- Tak. To bardzo niewygodne położenie.

Hudson nie wiedział, jak bardzo ta sytuacja zmartwiła Daviniana. Przez ponad trzydzieści lat Davinian należał do rozbudowanej tajnej siatki pracowników politycznych. Co prawda pełnił funkcję operacyjną, nie zajmował się ideologią, ale swoje zdolności wykorzystywał wyłącznie na rzecz Moskwy.

Głównie był szpiegiem Hudsona, ale parał się też innymi rzeczami. Obserwował wskazanych sowieckich emigrantów w Los Angeles. Przekazywał informacje gromadzone przez niewielką, ale przynależną do siatki szpiegowskiej, działającą w przemyśle obronnym i lotniczym w południowej Kalifornii. Organizował likwidację niewygodnych ludzi.

Co prawda Hudson nie miał pojęcia o dodatkowych zajęciach Daviniana, ale domyślał się, że są rzeczy, które nie powinny ujrzeć dziennego światła.

Gdyby Davinian pojawił się jako radziecki szpieg w artykule o Hudsonie, sprawa miałaby dalszy ciąg. Byłoby możliwe, że zdemaskowałby nawet całą siatkę.

Ludzie, dla których pracował Davinian, nadal siedzieli w Moskwie, a może nawet rzadzili Rosją. Ich interesy pokrywały się z interesami Hudsona. A to oznaczało, że chwilowo Hudson i Davinian mają wspólny interes.

Davinian westchnął ciężko i znów zaczął uspokajać Hudsona.

- Nikt z naszych ci nie zdradził - powiedział, zastanawiając się, czy to prawda. - Rosja nic by na tym nie zyskała, raczej sporo straciła.

- Nie tyle, ile ja.

- Co ci obiecuję. Zrobię małe dochodzenie w sprawie tej Toth.

- Nie ma na to czasu - oznajmił Hudson. - Ma być u mnie jutro rano.

- Tak przynajmniej? Po co?

- Aby udowodnić, że ma te wszystkie dokumenty.

Davinian położył delikatnie rękę na dłoni Hudsona. Jakim zakamarkiem mózgu zarejestrował ogromną różnicę między ciałem Hudsona a własnym. Skóra Daviniana była sflaczała, cienka i pokryta plamami wtrąconymi. Hudson miał mocną i jasną skórę jak zdrowy czterdziestolatek.

Davinian zdał sobie sprawę, że w sposób absurdalny ma przewagę nad Hudsonem. Jego życie dobiegało końca. Niezależnie od tego, co się wydarzy, niewiele miał już do stracenia. Hudson się bał, bo uważał, że może stracić wszystko.

Davinian zastanawiał się, czy Hudson zdaje sobie sprawę, że może stracić życie.

- Uspokój się - powiedział do Hudsona. - Zanim spotkasz się z Toth, bądź miał coś dla ciebie.

6

Sammy, jesteś pewien? - powiedziała Laurel do słuchawki.

- Całkowicie - odparł Samuel Archer.

- Ale... - zaczęła Laurel.

- Moje drogie dziecko - Archer przerwał jej niecierpliwie. - Ponura, szczerą prawdą jest taka, że nie można kupić carskiego jaja Fabergé ani za milion, ani za dziesięć milionów dolarów. Po prostu niczego takiego nie ma obecnie na rynku.

- Rozumiem.

A Laurel miała właśnie przed oczami czerwono-złote, lakierowane dzieło, które beztrząsco stało przed nią na stole. Późnopołudniowe słońce wpadało do pracowni przez oszklone drzwi. Jajo połyskiwało niezwykłym blaskiem.

Przez jedną szaloną chwilę Laurel bała się, że wybuchnie głośnym śmiechem. Samuel Archer był kustoszem wystawy dzieł sztuki Europy Wschodniej i Azji Wschodniej w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Od lat był przyjacielem rodziny i ulubionym dzieckiem jej matki. Już dawno uznał, że lepiej mu idzie handel dziełami sztuki niż ich tworzenie.

Laurel darzyła Archera tak miło, jak kocha się piątkowy kwiat, którym w istocie był. Ale nie znosiła, kiedy traktował ją protekcyjnie.

- Jak możesz być taki pewny?

- Moja droga dziewczynko - powiedział, ciężko wzdychając. - Czy nikt nie mówił ci o pewnych faktach z życia artystycznego?

- Owszem. Ty. Wiele razy.

- Wiem chyba nie słuchałaś mnie zbyt uważnie, prawda? - odparł. - Twoje własne prace zaczynają przyciągać uwagę kolekcjonerów. Lepiej naucz się, na czym polega handel dziełami sztuki.

Laurel zdusiła jęk. Archer miał rację. Szkoda, że wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Prywatni kolekcjonerzy i kustosze są jak pajki - powiedział rzeczowo. - Każde starannie buduje własną sieć i próbuje złapać w nią każdą dobrą rzecz, która się pojawia. Tak się składa, że zbudowałem najlepszą sieć w świecie. Wierz mi, że gdyby cokolwiek firmowanego nazwiskiem Fabergé, niekoniecznie jajko, wystawiono na sprzedaż, wiedziałbym o tym.

- No tak, ale...

Archer przerwał jej w pół słowa.

- Europa Wschodnia jest teraz na czasie - powiedział. - Właśnie zostanie otwarta wspaniała, wprost fantastyczna wystawa z Rosji w twojej części świata.

- Naprawdę? Gdzie?

- W tym obrzydliwym, ciasnym jak kurnik Muzeum Sztuki Hudsona. Wszyscy, którzy coś znaczą, chcieli mieć „Wspaniałość ci Dawnej Rosji” u siebie. Oferowali mi worek złota, ale Hudson dał micej.

- Dlaczego wam tak zależało?

- Bo zarobiliśmy trzy worki. Ludzie nie mogli dać dobrej rosyjskiej sztuki od czasów tej paskudnej rewolucji. Biliby się o miejsce w kolejce po bilety za dwadzieścia dolarów od łabka.

Laurel westchnęła. Nie przekonał jej.

- Dziecinko - powiedział Archer szorstko - naprawdę powinna czasami ruszyć swój piękny tyłeczek z pracowni i zorientować się, na czym polega biznes w muzeach. Królewskie klejnoty z Anglii są dość mierne pod względem artystycznym, ale ludzie codziennie ustawiają się w kolejce, żeby je obejrzeć. To samo dotyczy *Mona Lisy*. To raczej wpływ na ludzką wyobraźnię przyciąga tłumy. Artystyczna wartość dzieła to sprawa drugorzędna.

- Czy Fabergé potrafi wpływać na ludzką wyobraźnię? - spytała Laurel.

- Jeśli o to chodzi, mogłaby postawić na niego swój ostatni brylant.

Na mi dzymiaszowej linii zapanowała cisza. Laurel myślała intensywnie, próbowała pogodzić to, co powiedział Archer z tym, co leżało przed nią na stole.

- Halo? - odezwał się Archer po chwili. - Jesteś tam?

- Tak...

Rozkojarzenie Laurel wprawiło czujny umysł kustosa w stan najwyższego napięcia. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było już nawet cienia wyniosłości.

- Laurel, dziecinko kochana, czy by wiedziała coś, czym nie chcesz podzielić się z wujkiem Sammym? - zaczął brać ją pod włos.

Błady rumieniec oblał twarz Laurel. Kiepska z niej kłamczucha, zwłaszcza kiedy chodziło o przyjaciół i rodzinę. Archer nie należał do rodziny, jednak spędzali mnóstwo czasu razem, kiedy była dzieckiem. Poza tym kochał jej matkę tak samo, jak ona.

Za to z całego serca nienawidził Jamiego Swanna. To dlatego Laurel zachowywała tak ostrość w sprawie jajka. Archer z rozkoszą pogrybowałby człowieka, przez którego Ariel tak często płakała.

Wobec tego Laurel musiała wybierać. Zdecydowała, że pozostanie wierna ojcu, nie będzie pewna, czy dobrze robi.

Jak zwykle, zwyciężył Jamie Swann. Głęboko w rodoku, pod maską projektantki wyrafinowanej biuterii kryła się mała dziewczynka, która wierzyła, że jeśli będzie grzeczna, tatuś ją pochwali i wróci do domu.

- A co takiego mogłabym wiedzieć o Fabergé, czego ty nie wiesz? - spytała. - Nawet

si jaka wystawa. Siedz na tym zadupiu i staram si zarobi na ycie. Nie bylam w mie cie od tygodni.

- Oszcz d mi tych słabych popisów aktorskich i przesta zgrywa si na zapyział wie niaczek - powiedział uszczypliwie. - Masz chyba telefon, prawda? Cho by ten, z którego wła nie rozmawiasz.

- Przeszan gra przed tob , je li ty przestaniesz gra przede mn .

- Kogo niby gram?

- M sk dziwk z Manhattanu.

Archer roze miał si z zachwytem. Laurel nale ała do w skiej grupy osób, które dorównywały mu sarkazmem.

- Och, dziecinko, szkoda, e nie jeste facetem. Dobrze tyłoby nam razem.

Chichocz c, Laurel pokr ciła głow . Archer był błyskotliwy i bezpo redni. Mi dzy innymi dlatego go kochała. Inne powody wi zały si z dzieci stwem i matk , któr oboje kochali i stracili.

- Wi c powiedz wujkowi Sammy'emu wszystko, co słyszała o kr cym na rynku carskim jaju - zaatakował j .

- To bardzo proste. Nic nie słyszałam.

- Pomy l. Mo e słyszał to kto inny od ludzi organizuj cych wystaw w muzeum Hudsona. W zeszłym roku, kiedy podró owałem z „Pustelni ” poznałem pewnego kustosza. Mówi ci, ol niewaj ca pi kno . Nazywał si Nowikow. To dopiero dzieło sztuki. Ale podejrzewam, e głównie zajmuje si brudnymi interesami.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- O nim te nie? Có , nie twoja liga. Zawsze istnieje prawdopodobie stwo, e Rosja wystawi na sprzeda takie dziełko.

- My lisz, e sprzedadz ci Nowikowa?

- Nie. Jajo Fabergé. Chocia gdyby wystawili na aukcj Nowikowa, na pewno zło yłbym ofert .

Laurel z trudem nad ała za pogmatwanym tokiem my li Archera.

- Taaak - powiedział powoli. - To całkiem mo liwe. Wcale niewykluczone. Cały wschodni blok rozpaczliwie poszukuje gotówki. Wszystko jest na sprzeda , nawet Syberia. Ale po co komu lodówka pi razy wi ksza od Tek-sasu.

Laurel odchrz kn ła na znak, e słucha. Czuła, jak mózg Archera wchodzi na szybkie obroty.

- Kilka miesi cy temu rozeszła si plotka, e japo ski kolekcjoner kupił co Fabergé - powiedział. - Naturalnie pochodzenie tego drobiazgu budziło wiele w tpliwo ci.

- Carskie jajo?

- Nie miel j zykiem bez sensu. Gdyby to było cesarskie jajo, wiedziałbym o tym. Co mniejszego. S tego setki...

Laurel cieszyła si , e nie dr czył jej dłu ej pytaniami, na które nie chciała odpowiada , przynajmniej dopóki nie wiedziała, co wspólnego miał jej ojciec z jajem Fabergé.

Słuchaj c Archera, ze lizn ła si z wysokiego stołka w swojej pracowni i przeci gn ła si . Chciała rozlu ni napi te mi nie. Podniosła do góry długi przewód, by nie str ci adnej z du ych, wysadzanych szlachetnymi kamieniami figur szachowych, które niedawno sko czyła. Podeszła do okna i popatrzyła na roz arzane zachodz cym sło cem niebo.

Jeszcze raz si przeci gn ła. Ju od godziny wisiała na telefonie. Starła si dowiedzie , czy kto nie narobił szumu wokół zaginionego, nieznanego carskiego jaja.

W pierwszej kolejno ci zadzwoniła do Archera. Nie zastała go, wi c nagrała si na automatyczn sekretark . W oczekiwaniu na telefon od niego porozmawiała z kilkoma handlarzami i z historył

mówili. Ona głównie słuchała. Nie wspomniała ani słowem o drogocennym jaju w jej pracowni.

Wszyscy eksperci zgadzali się w kilku sprawach: carskie jaja wielkanocne miały ogromną wartość i były unikatowe.

Historyk sztuki z uczelni, na której studiowała - Pratt Institute - udzielił jej dokładniejszych, ale i bardziej niepokojących informacji. Teraz jego głos, a nie Archera dźwięczał w jej głowie.

„Panno Swann, jeżeli ktoś proponuje pani kupić jaja *Fabergé*, zapewne jest ono fałszywe albo kradzione. W obydwu przypadkach trzymałbym się od tego z daleka. Ze sztuk jest tak samo, jak z innymi przejawami ludzkiej działalności. Potrafi być bardzo piękna, lecz także bardzo, bardzo niebezpieczna”.

Telefon od Archera potwierdził jej obawy. Przy każdej wzmiance o jaju, Archer automatycznie wpadał w stan najwyższego napięcia. Gdyby powiedziała mu prawdę, obudziłaby w nim bezwzględny gniew.

Z drugiej strony bardzo się wahała, czy nie może mu o wszystkim powiedzieć. Ale na razie było to zbyt niebezpieczne. Lepiej będzie, jeżeli nie wtajemniczy Archera. Poza tym ojciec w pełni odwzajemniał jej niechęć w stosunku do niego.

Uznała, że powinna milczeć. Zawsze od niej tego oczekiwał.

- Ogólnie rzecz biorąc, wszelkie pogłoski o jaju muszą mieć coś wspólnego z wystawą - podsumował Archer.

- Hmm - powiedziała Laurel.

- Jest w tym coś?

Odwróciła się tyłem do stołu, jakby widok jaja utrudniał jej kłamstwo.

- Nie miałam bladego pojęcia o tej wystawie - powiedziała szczerze. - Właśnie myślałam o pewnym złotym drobiazgu. Chciałabym osiągnąć taki efekt, jakby cała wystawa była wysadzana kamieniami. Ludzie nie chcą przepychu...

- Chcę mieć wszystko taniej - przerwał jej z ironią.

- ...próbuj zrobić szkatułkę, która wygląda jak klejnot, ale nim nie jest.

To przynajmniej zgadzało się z prawdą.

- Chińskie szkatułki, które oglądałam, nie przypadły mi do gustu, szukam czegoś innego - ciągnęła. - Przypominałam sobie o tych jajach *Fabergé*. Pomyślałam, że będziesz wiedział, gdzie może się znajdować takie cacko. Chciałabym przyjrzeć mu się z bliska. Skoro mówisz, że znajdziesz je w muzeum Hudsona, musisz tam wybrać.

Archer przewiercał ją na wylot.

- Dziecinko, nigdy nie umiałaś kłamać - powiedział. - Pamiętasz, jak próbowałaś mi wmówić, że nie chcesz przespać się z tym aktorem? Od razu wiedziałem, że kłamiesz. Przede wszystkim dlatego, że ten facet był fantastyczny. Biseksuali ci są najlepsi.

Laurel zacisnęła usta.

- Zawsze miałaś intuicję, jeżeli chodzi o sprawy osobiste albo jakieś obrzydliwość. Tym razem to problem cię zawodowy.

Archer westchnął.

- Poderwałem wtedy Roya, bo nie chciałem, żeby złapała od niego jakieś paskudztwo. Była wtedy zbyt młoda, żeby się obroniła.

- Ale już nie jestem.

- Mam nadzieję, że światu potrzeba więcej takich ludzi jak ty. Ludzi z kręgosłupem

go dawno temu. Wiele innych rzeczy tak e.

- Sammy...

Głos Laurel uwi zł w gardle. Nie wiedziała, co powiedzie . W głosie Archera usłyszała smutek, który ciskał ją boleśnie.

- Tak, tak - powiedział Archer. - życie to kupa gówna, przez którą trzeba przebrnąć, potem się umiera. Wiadomo zadzwoni do mnie, jak będziesz chciała mi coś powiedzieć . Znalazła je za jajo będzie imponujące.

- Uwaga na siebie - powiedziała Laurel miłośnikowi.

- Za późno, dziecinko. Ale nie dla ciebie.

Po rozmowie z Archerem jeszcze długo stała i obserwowała odchodzące w karmazynowe zapomnienie słowa. Panowała niemal absolutna cisza. Między uderzeniem jednej a drugiej fal dochodził jej krzyk mew.

Nagle usłyszała samochód wjeżdżający na podjazd przed domem. Zatrzymał się . Trzasnęły drzwi. Nie wiadomo wstrzymała oddech.

Ktoś mocno i pewnie zapukał trzy razy w równych odstępach. Usłyszała, że drzwi się otwierają . Znajomy głos zawołał ją po imieniu.

- Laurie?

Tajemnica jaja sama się rozwiązała, pomyślała z goryczą . Czemu same to nie dziwi?

- Na dole! - krzyknęła.

Usadowiła się na wysokim stołku, na którym zawsze pracowała, żeby jeszcze raz dokładnie przyjrzeć się jajku. Oczekiwała na wyjaśnienie, jakim cudem znalazło się ono w rękach Swanna.

Zawsze wietnie potrafił jej wszystko wytłumaczyć , ale tym razem będzie się musiał nie le napoci . Czekając ciekawe przedstawienie.

Jamie Swann zbiegł po schodach. Jego krok mówił, że jest człowiekiem sporo młodszym, niż wynikałoby z metryki. Miał od urodzenia silne ciało, oprócz tego regularnie ćwiczył, żeby zachować dobrą kondycję . Oczywiście brało się to z próżnością, ale głównie z instynktu samozachowawczego.

Miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważył zaledwie o trzy kilogramy więcej niż w wieku dwudziestu jeden lat. Głowa nadal pokrywała burza ciemnych włosów, gdzieś tam poprzepłatanych srebrnymi nitkami, których było znacznie więcej w głębi, krótko przystryżonej brodzie. Z brody, opalenizny i przymrużonymi oczami, wyglądał jak pirat.

Laurel nie знаła osoby, która na pierwszy rzut oka sprawiałaby wrażenie bardziej pewnej siebie niż jej ojciec. Zawsze szedł prosto, zdecydowanie, jakby niczego się nie bał. Wydawałoby się mogło, że niewiele czasu po wi ca na mylenie. Ale Laurel wiedziała, że jest sprytny i bystry. Z łatwością mógłby manipulować ludźmi.

Po siedmiu latach od śmierci matki zrozumiała, że jej rodzice nie rozstali się , bo wszystko się między nimi wypaliło. Wręcz przeciwnie, była ich zbyt wielką namiętnością . Po rozwodzie nadal bardzo za sobą tęsknili, ale Swann jeszcze bardziej tęsknił za wolnością . W ciągu ostatnich siedmiu lat Laurel zrozumiała, że z powodu rzadkich wizyt ojca jeszcze gorzej znosi jego nieobecność . Inaczej było, kiedy ktoś umierał. Śmierć oznaczała koniec. Ze śmiercią można się zmierzyć , a z czasem nawet pogodzić . Przekonała się o tym, kiedy straciła matkę .

Ale z ojcem sprawa nigdy nie miała końca. Zawsze wpadał niespodziewanie, kiedy Laurel traciła nadzieję , że ujrzy go kiedykolwiek. Nagłe, niezapowiedziane pojawianie się i znikanie ojca wprowadzały zamęt w jej życie. Nigdy nie mogła mu całkowicie ufać , ale nie potrafiła też ostatecznie go przekreślić .

Czasem zastanawiała się, czy przypadkiem stosunki między nią a ojcem nie odebrały jej szansy na stworzenie trwałego związku z mężczyzną. W każdym razie do tej pory nie spotkała nikogo, kto wart byłby takiego poświęcenia.

Laurel kochała swego ojca, ale z upływem lat traciła pewność, czy jeszcze go lubi.

Kiedy go zobaczyła, z tym młokiem, pełnym życia uśmiechem, sopeł lodu, w który na chwilę zmieniło się jej serce, stopniał w ułamku sekundy. Owszem, miała wiele smutnych wspomnień z dzieciństwa, ale radosnych też nie brakowało.

- Skąd wiedziała, że to ja? - spytał Swann.

- Po prostu wiedziałam. Kiedy postanowiłem zapuścić brody?

- Twoja matka rozpoznawała mnie na kilometr, ale nie miałem pojęcia, że to dziedziczne.

Laurel nie spytała o brodę po raz drugi. Nauczyła się już, że zignorowane pytanie to znak, że staje się zbyt wścibska.

- Chodź tu i uściskuj staruszkę - powiedział, szeroko otwierając ramiona.

Przez chwilę Laurel nawet nie drgnęła.

Nagle ojciec zrobił minę zbitego psa. Wyglądał jak mały chłopiec, którego skarcono za jakieś psoty.

- Mojesz chyba mnie uścisknąć, prawda? - spytał cicho.

- Oczywiście - powiedziała i uśmiechnęła się. Zapomniała o goryczy.

Szybko przeszła przez pokój i mocno uścisknęła ojca. Czując jego siłę, przez moment, w najskrytszym zakamarku duszy, poczuła się bezpieczna.

Swann przytulił córkę równie mocno. Myśli szybko przelatywały mu przez głowę. Kiedy Laurel szła do niego przez pokój, zobaczył ją. Zaplanował, że dotrze na miejsce przed paczką. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby mu się udało.

Laurel była taka sama, jak jej matka: uczciwa i szczerza do szpiku kości. W tej sytuacji wyjątkowo, które sobie przygotował, może nie wystarczy.

- Jesteś wyjątkowa, nie mi się zdawało - powiedział.

- Zawsze to powtarzasz.

- Naprawdę?

- Aha.

Roześmiał się.

- W mojej wyobraźni chyba już na zawsze pozostaniesz gdzieś między dwunastym a trzynastym rokiem życia. Dopiero kiedy cię widzę, dociera do mnie, jak ten czas leci.

Podobnie jak broda, gorycz w jego głosie była czymś nowym. Laurel odchyliła głowę i uważnie przyjrzała się ojcu. Skądkolwiek przyjechał, miał za sobą bardzo długą podróż. Nigdy nie widziała go tak zmęczonego.

- Szukasz nowych zmarszczek? - zapytał.

Laurel pokręciła przecząco głową.

- Po prostu... patrz.

Swann uśmiechnął się smutno.

- Kiedy to robisz, przypominasz mi swoją matkę.

Wypuścił ją z ramion i spojrzał na stół.

- Widz , e moja paczka ju przyszła - zauwa ył.

- Jak godzin temu.

Zaledwie jedn przekl t godzin , pomy lał w ciekły. A był ju tak blisko... Niech to diabli!

Laurel zauwa yła prawie niewidoczn zmian na jego twarzy. Zrozumiała, e ojciec wolałby, eby nie otwierała paczki.

- Była zaadresowana na mnie - powiedziała. - Dlatego j otworzyłam.

Swann bez słowa podszedł do jaja i przyjrzał mu si uwa nie. Ostatnie promienie zachodz cego sło ca prawie ju znikły, ale jajo nadal l niło.

- To jest co , nie uwa asz? - spytał.

- Tak, ale wła ciwie co to jest?

Nie odpowiedział, tylko podszedł do stołu. Kiedy miał ju jajo na wyci gni cie r ki, nachylił si . Jeszcze bardziej zmru ył oczy. Zakł ł pod nosem, wyprostował si i wydobyl okulary z kieszeni koszuli i spojrzal na córk .

- Nie wiem, po co w ogóle nosz to cholerstwo - powiedział. - Potrzebuj ich tylko przy bardzo słabym wietle.

Laurel poczuła ukłucie w sercu. Ojciec był silniejszy i sprawniejszy ni wi kszo m czyzn , których znała, nawet tych sporo młodszych, a jednak kr powały go okulary. Jak b dzie znosił prawdziw staro ? - pomy lała. Jak, u diabła, poradzi sobie z faktem, e opuszczaj go siły witalne?

Jak ja sobie poradz ?

Swann niecierpliwie zało ył okulary i nachylił si , eby dokładnie obejrze klejnot z bliska. Zacz ł go bez enady poszturchiwa , ale bezskutecznie. Wtedy poruszył złotymi drucikami, które oplatały jajo. Znowu nic. Tym razem u ył paznokcia kciuka, eby opuka siateczk .

- Tato, ostro nie. To złoto jest tak mi kkie, e z łatwo ci mo na je uszkodzi .

Przez moment Swann patrzył na córk znad okularów, po czym ponownie zaczą ł pastwi si nad jajem.

Laurel podeszła szybko i stan ła tu za nim.

- Szukasz czego konkretnego? - spytała opanowanym tonem.

- Próbuje po prostu doj , jak to jest zło one. Nie widz adnych ł cze .

- Pozwól, e spojrz - powiedziała Laurel.

- Siedzisz nad nim ju godzin i jeszcze go nie otworzyła ...? - urwał.

- Byłam zbyt pochłoni ta podziwianiem go, eby zastanawia , si jak je otworzy .

Swann odetchn ł z ulg .

- Ty i twoja matka - powiedział, kr c c głów . - Ariel potrafiła godzinami wpatrywa si w jedn rzecz i si nie znudzi .

- Za to ty nudziłe si wszystkim po trzech minutach. Potem wyje d ałe .

Zaskoczony gorycz w jej głosie, Swann oderwał wzrok od jaja. Laurel wykorzystwała moment i wcisn ła si przed niego, staj c tu przed delikatnym dziełem sztuki.

- Według mnie siateczka jest tak zaprojektowana, eby przysłoniła wszystkie ł czenia - stwierdziła.

Swann odchrz kn ł.

- W takim razie ci gnij to wi stwo i przyjrzyj si dokładnie.

- ci gn to... - Laurel gwałtownie wci gn ła powietrze. - Czy ty zdajesz sobie spraw , co to jest? - spytała ostro.

- A ty? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Wygl da mi to na jedno z carskich jajek *Fabergé*.

- Prawda?

- Jest prawdziwe?

Swann spojrział na córk zaskoczony. Zwykle kiedy milczał, potrafiła odgadn odpowied .

- Na moje oko wygl da cholernie autentycznie. A na twoje? - spytał.

Laurel miała ochot krzycze ze zło ci. Je eli nawet ojciec wiedział co o jaju, nie miał zamiaru tego zdradzi .

- Na moje oko wygl da cholernie autentycznie. A na twoje? - powtórzyła po nim, z tak sam intonacj .

Swann wzruszył ramionami.

- Masz poj cie, ile to jest warte? - zapytała.

Na jego twarzy pojawił si chłodny, tajemniczy u miech.

- Miliony - odparł zwi le. - Wystarczaj co du o, ebym miał z czego y do ko ca swoich dni. Wystarczy, eby i tobie zapewni przyzwoite ycie. Kiedy mnie zabraknie, nie b d mógł wysyła ci ju drogich kamieni z ka dego zadupia.

- Nie chc pieni dzy. Takich pieni dzy.

- Za pó no. W taki sam sposób zdobywałem pieni dze, które dostawała do tej pory.

- Ale...

- Nic nie mów, Laurie - rzekł Swann i utkwiał w niej swoje ponure bursztynowe spojrzenie. - Ju pora, eby zrozumiała, jak funkcjonuje tenwiat. Bogactwo okupuje si krwi , a czas biegnie tylko w jednym kierunku. Jamie Swann wzi ł sprawy w swoje r ce.

7

Kiedy Swann spostrzegł, e jego córka pobladała, zrozumiał, e popełnił ogromny bład, wysyłaj c paczk na jej adres. Laurel była bardziej córk Ariel ni jego, osob wyj tkowo przyzwoit . Wychodziło jej to na dobre.

Jemu te .

Swann uwa ał si za człowieka honoru, nawet je li nie zawsze post pował całkiem uczciwie. Zdarzało mu si łama prawo na tyle sposobów i w tylu krajach, e niektórzy ludzie nie potrafiliby ich nawet wymieni z pami ci. Ale nie robił tego dla własnej korzy ci. Zawsze chodziło o dobro wy szego rz du: rz dy prawa. Dawno ju pogodził si z paradoksem, e po to, by wprowadza rz dy prawa, trzeba najpierw to prawo złama .

Inni ludzie nie mieli do czynienia z t dziwn sprzeczno ci na co dzie . Swann cz sto zapominał, jak ra co brzmiała ta prawda dla osób postronnych. Szczególnie tak niewinnych jak Laurel.

- Dobrze si czujesz, kochanie? - spytał, podtrzymuj c córk .

Przez moment Laurel miała wra enie, e ko ci rozsypuj si jej w drobny mak.

- W porz dku - szepn ła. - Ju w porz dku.

Swann odwrócił córk tak, by patrze jej prosto w oczy.

- Posłuchaj mnie - powiedział. - Posłuchaj uwa nie. Ta paczka nigdy tu nie przyszła. Nigdy jej nie otworzyła . Mnie tu nie było. Zrozumiała ?

Laurel nigdy przedtem nie słyszała tego głosu - zimnego, brutalnego, bezwzgl dnego. Jego oczy w tym momencie były takie same.

Nagle poj ła, czemu ojciec tak cz sto wyje d ał i tak rzadko wracał. Nie chciał,

jakim jest naprawdę człowiekiem.

- Laurel.

To wszystko, co powiedział albo chciał powiedzieć .

- Zrobi , co b d mogła - powiedziała słabym głosem. - Ale wiesz, e nie jestem w tym dobra.

Swann odetchn ł z ulg , zmieniaj c si na oczach córki. Z powrotem stał si człowiekiem, którego znała. Dotkn ł jej policzka z zadziwiaj c czuło ci .

- Wiem, kochanie - odparł. - Nigdy nie chciałem, eby nauczyła si kłama . Zapomnij wi c o tym, co si tu dzi wydarzyło, dobrze?

Głos znowu brzmiał znajomo. Gł boki i ciepły, troch zachrypni ty.

- Dobrze - szepn ła.

Pu cił jej ramiona i odwrócił si . Przez dług chwil milcz c wpatrywał si w niespokojny ocean. W ko cu znów si odwrócił.

- Laurie - zacz ł. - Najwy szy czas, eby my pogadali. Wi c lepiej usi d , eby si nie przewróciła. - Wskazał wysoki stołek. Usiadła bez sprzeciwu. Prawd mówi c, cieszyła si , e ma takie oparcie. Stół w warsztacie był znajomy, wygodny i przewidywalny. adnej z tych rzeczy nie mogła powiedzie o swoim ojcu.

Swann wło ył r ce do tylnych kieszeni d insów i zacz ł chodzi tam i z powrotem.

- Nie wiesz zbyt du o o moim yciu - powiedział. - Podobnie jak twoja matka. Tak było lepiej. Bezpieczniej. Ale ju nie jest.

Odwrócił si gwałtownie i przewiercił Laurel wilczym, dzikim spojrzeniem.

Biedna mama, pomy łała chłodno Laurel. Jej nigdy nie dał tej szansy. Jamie Swann to kompletny szaleniec.

- Przez ostatnie trzydzie ci lat prawie bez przerwy pracowałem dla CIA.

- A ja my łałam, e pracowałem na zlecenia.

- Powiedziałem tak twojej matce. Czasem rzeczywi cie tak było. - Błysn ł z bami w chłodnym u miechu. - Ale nikt w to nie wierzył. Nawet ona.

- Byłe ... jeste szpiegiem?

- Nie, nic tak wyrafinowanego. Jestem tym, co w telewizji okre ła si mianem agenta operacyjnego.

- A ty jak by si nazwał? - spytała

- Kiedy nazywali my siebie bohaterami.

- A teraz?

- Teraz? - za miał si gorzko. - Teraz wiemy, kim byli my: sko czonymi głupcami.

Rozgoryczenie w głosie ojca wywołało grymas na jej twarzy.

- Widzisz - powiedział - wojen nie prowadzi si w miły, kulturalny, uczciwy sposób, tak jak to było przed Kore . Teraz wojny tocz si w zaułkach, gdzie ciekie pełne s szczurów, tajemnice wstawia si na sprzeda , a ludzie ko cz z poder ni tym gardłem, cz sto za spraw przyjaciół. Powinienem był to wiedzie . Ko cz z tym.

Laurel na chwil zamkn ła oczy. Potem znów je otworzyła. Przez całe ycie miała pretensje, e nie wiedziała nic o ojcu. Teraz ma prawd , której tak chciała.

- Gra, w któr grałem całe ycie, to jeden wielki szwindel. Oszukiwanie wszystkich dookoła - powiedział.

- Dlaczego nie rzuciłe tej pracy, skoro uwa ałe , e była taka zła?

- Wierzyłem, e nie jest zła. Potem było za pó no, eby odej . Ariel umarła.

Swann odwrócił się gwałtownie i spojrzał córce prosto w twarz.

- Do diabła, Laurie. Kogo ja próbuję oszukać? Zwariowałbym, gdyby przyszło mi siedzieć w jednym miejscu, a najciekawszym zajęciem dla ciebie stałoby się oczekiwanie na mnie.

- A gdyby mama żyła...?

- Gdyby, gdyby... to zbyt trudne pytanie dla takiego kowboja. - Wzruszył ramionami. - Nie powinienem się skarżyć. Sam wybrałem takie życie i zrobiłbym to jeszcze raz. Tyle że niezbyt dobrze je zaplanowałem. Kiedy pracowałem, zarabiałem mnóstwo pieniędzy, ale potem wszystko jakoś się rozeszło.

Laurel pomyślała o całej gamie drogocennych kamieni, które ojciec jej podarował, i poczuła się winna.

- Wiem - powiedziała. - Za dużo wydałaś na mnie.

- Nie martw się. Kamienie, które ci przysyłałem, kupowałem okazjonalnie. Znacznie poniżej cen hurtowych. Były tanie jak barszcz. Tak jak życie.

Swann spojrzał na przerażoną twarz córki i zakłamał pod nosem.

- Posłuchaj - powiedział niecierpliwie - gdybym zdecydował przyjechać tu przed paczką, mogłaby pozostać słodka, naiwna, miła, współczująca dziewczyna. Ale w Kowloon zatrzymała mnie burza, a w Hongkongu spadł samolot, więc nie zdecydowałem. Teraz musisz dorosnąć i to szybko. Chyba że się wygadasz pierwszemu lepszemu dupkowi, który z uśmiechem na twarzy zapuka do drzwi i pokaże ci legitymację służbową.

Laurel siedziała jak sparaliżowana. Była coraz bliżej prawdy i wiedziała, że jej się nie spodoba.

- Widzisz - powiedział Swann. - W podziemiu, tam gdzie pracowałem, agenci CIA nie są miłymi, czystymi facetami w spodniach w kanciki i z wydrukami komputerowymi pod pachami. Ludzie, z którymi pracowałem to przemytnicy, nielegalni handlarze albo zwyczajni bandyci. Kupowali i sprzedawali wszystko od amunicji po małe dziewczynki, a na każdą dym cencie zarabiali dolara.

Swann rzucił okiem na Laurel, przekonał się, że ją słucha w absolutnym skupieniu, mówił więc dalej. Opowiadał rzeczy, których wcale nie chciała słyszeć. Ale musiała ojca wysłuchać, żeby go nie pogryzła, gdyby kto zaczął zadawać jej pytania.

- Niezbyt przyjemnie, ale tak jest na polu walki - powiedział. - Agencje wywiadowcze muszą zatrudniać zbirów, bo to jedyni prawdziwi realci. Tylko oni potrafią rozpracować każdą dyktando w dowolnym miejscu kuli ziemskiej.

Swann znowu zaczął chodzić po pracowni z rękami w kieszeniach w tylne kieszenie dżinsów. Potem zatrzymał się przed stołem i spojrzał na ocean.

- Niepisane przymierze między złymi i dobrymi facetami to nic nowego - oznajmił. - Takie praktyki stosuje się od czasów drugiej wojny światowej. Wtedy właśnie amerykańskie służby wywiadowcze wynajęły ludzi z francuskiej partyzantki i włoskiej mafii. Kiedy zaczynałem karierę, pracowałem w jednej siatce z chińskimi hazardzistami i mordercami, którzy mieszkali w Kowloon i odwalali za rządną robotę w Sajgonie.

Gdy Swann nachylił się do okna, Laurel z przerażeniem spostrzegła kolbę pistoletu pod łuną bawełnianą koszulki. Broń w ręku była za pasek na wysokości krzyża. Wyglądała dziwnie naturalnie, jak portfel w kieszeni innego mężczyzny. Po raz pierwszy nosił broń w obecności córki. Laurel zastanawiała się, dlaczego tym razem uznał, że może jej potrzebować.

Żadne z wydarzeń, które przysły jej do głowy, nie przyniosło ulgi.

- Niewiele zmieniło się w tym biznesie - powiedział spokojnie. - Ostatnie zadanie, którym się zajmowałem, dotyczyło baskijskich biznesmenów w małym miasteczku w Kolumbii, Medellin.

ludzie. To taka kolumbijska odmiana Cosa Nostry. Prawdziwe dupki, ale byli znakomici w przemycaaniu broni dla ludzi, których Stany Zjednoczone chciały widzieć u władzy w Ameryce Południowej.

Swannowi wystarczyło jedno spojrzenie na córkę, by wiedzieć co czuje. Mówiły to jej rozszerzone reńce, pobiadła twarz i zaciśnięte wargi.

- Chryste, dziecko - powiedział Swann - przecie nie jestem bandytą. Fakt, nie jestem też skautem. Zapytaj jakiegokolwiek tajniaka jak to naprawdę jest. Jeśli usi dżiesz i zaczniesz rozmawiać o moralności ci, zaraz znajdzie się taki, dla którego moralność znaczy tyle samo, co pomyłony i wpakuje ci nóż pod łeb.

Odwrócił się i znów zaczął krążyć po pracowni, mierząc obwód pokoju krokami. Przypominał wilka, który stara się ustalić obszar swego terytorium.

- Robiłem rzeczy, które zmroziłyby ci krew w żyłach - wyznał, nie owijając w bawełnę. - Dlatego wczoraj nie powiedziałem ci o tym. Ale nigdy i nikomu nie zrobiłem nic złego pierwszy. Ja tylko nie dawałem im szansy.

Znów zatrzymał się przy oknie. Patrzył na ciemniejszą noc, jakby coś tam zobaczył.

- Popęliłem błęd - powiedział z goryczą - bo aż do samego końca nie wierzyłem, że jestem tylko narzędziem w ich rękach. Tak jak wszyscy, których najmowali do brudnej roboty. Wyeksploatowali nas do cna. Nie należałem do tych u góry. Nie byłem eleganckim oficerem wywiadu z dyplomem w kieszeni. Pracowałem jako agent na kontrakcie - tania, anonimowa siła. Wykorzystywali nas do pojedynczych zadań i wyrzucali jak zużyte prezerwatywy.

Jego miech sprawił, że gardło Laurel cisnęło się od dławionych łez, które nie mogły popłynąć.

- Nie dopchałem się do rzędowego koryta. Tylko tam zbijało się kaszo w łatwy sposób - powiedział. - Niektórzy faceci odsłużyli kilka lat, odeszli na emeryturę i pootwierali własne firmy. Wiąkszość z nich wzbogaciła się na handlu bronią, samolotami i sprzętem łącznościowym z zaprzyjmoanymi krajami. Czasem z niezaprzyjmoanymi także. Ja nie. Trzydzieści lat służby i adnej emerytury. adnych świadczeń medycznych. Takich jak ja jest wielu. Orzeczli nas.

Swann odwrócił się gwałtownie i spojrzał Laurel prosto w twarz.

- Przez najbliższe dziesięć lat nie mam prawa do adnych świadczeń. Nie chcę tkwić przez ten czas gdzieś na zadupiu Ameryki Południowej.

Laurel chciała odwrócić wzrok od szalonych oczu ojca, ale nie mogła. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Jego oczy wyrażały bezgraniczną gorycz.

- Kończ z tym - powiedział łagodnie. - Wracam do świata, w którym moralność cokolwiek jeszcze znaczy. Przywołałem ze sobą własną emeryturę. Zapracowałem sobie na nią.

Wbrew własnej woli, Laurel spojrzała na karmazynowe jajo.

- Zgadza się - powiedział Swann. - Dzięki temu nie będę musiał nalewać benzyny do cudzych baków, smażyć hamburgerów ani przelewać niczyjej krwi przez następne dziesięć lat. Nie będę kupował arcia dla psów, bo na inne nie będzie mnie stać. Ty też nie.

Laurel próbowała pokonać dławienie jej przerażeniem.

- Skąd wzięte to jajo? - spytała zachrypniętym, obolałym głosem.

- Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Nie powinienem był go tu przysyłać, ale jesteś jedyną osobą na świecie, której mogłem zaufać. Wiedziałem, że jeśli paczka dotrze tu przede mną, nie wykiwasz mnie.

Swann wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta.

- Teraz wiesz już wszystko - wymamrotał. - Mojesz zająć się szukaniem mechanizmu.

- Czego?

- Mechanizm jest ukryty gdzieś w rodku - powiedział niecierpliwie. - Jajomiało być etui na rubin z wygrawerowanym podobizną Mikołaja II. Potem wszystko się pogmatwało. Cara zamordowali, zanim wygrawerowano portret. Reszta to już historia.

Laurel zamknęła oczy, potem otworzyła je powoli. Nic się nie zmieniło. Ojciec nadal tu był i patrzył na nią z ukrywanym wyczekiwaniem.

- Niespodzianka - powiedziała.

- Tak, domyślam się, że to wszystko jest dla ciebie niespodzianką. Ale życie pełne jest przykrych niespodzianek.

- Nie o tym mówisz. Jajo. Ten kamień to niespodzianka. Wszystkie wielkanocne jaja miały coś w rodku.

Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Niespodzianka - powtórzył, odwracając się do jaja. - Taaak. Wiem o to chodzi. No dobrze, ale jak to się, do diabła, otwiera? Jeśli będzie trzeba, potniję w plasterki, ale wtedy mogą uszkodzić coś, czego nie da się odtworzyć.

Coś na podobieństwo gniewu przemknęło przez głowę Laurela. Nagle zsunęła się ze stołka i zaczęła chodzić. Starła się kontrolować uczucia, które rozsadały ją od rodka. Może ojciec chciał ją chronić, ale nie mogła oprzeć się wrażeń, że manipuluje nią.

Zastanawiała się, czy on wie, co robi. Może tak długo przebywał w ród szpiegów, że nawet sam przed sobą miał tajemnice.

Swann chwycił jaję i obejrzał je uważnie od spodu.

- Nie widzę tego cholerstwa - powiedział, przyglądając się złotej siateczce. - A ty?

Laurel nie odpowiedziała.

- Laurie?

- Nic nie widziałam - wycodziła przez zęby. - Bo nie szukałam. Wraz ze złoci narastało w niej poczucie winy. Przyjęła od ojca tyle prezentów w ciągu tych lat. Nigdy nie pytała, czy było go na niej stać. Teraz czuła się zupełnie zagubiona. Nie wiedziała już, kto jest wierny, a kto nie, kto jest niewinny, a kto zdradzony.

„Jeśli usidziesz i zaczniesz rozmyślać o doskonałej moralności, zaraz znajdzie się taki, dla którego moralny znaczy tyle samo, co pomyłony i wpakuje ci nóż pod łeb”.

Laurel zastanawiała się, jak ojciec przez tyle lat mógł stać po tak grzeskim gruncie.

- Szukała? - spytał Swann.

- Mechanizmu?

- Nie, króla Syjamu. Jezu, Laurie. Zbierz się do kupy. Im szybciej dostaniesz się do rodka, tym prędzej wyjad. Bdziesz bezpieczniejsza. Tego właśnie nie chcesz, prawda? Powrotu do swoich przyjemnych, bezpiecznych wyborów moralnych.

Poczucie winy rosło w niej coraz bardziej. Rzeczywiście, wołałaby, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Aby nadal mogła postrzegać ojca przez pryzmat dziecińczych, różowych okularów. Na to było już za późno. Patrzyła na niego ponurym dorosłym spojrzeniem.

- Ukradłeś jaję? - spytała bez ogródek.

- Skradziono je oszustom. To bez znaczenia.

- Skąd wiesz, że byli oszustami?

Swann niecierpliwie włożył jajo do szkatułki i odwrócił się do córki. Przez moment stało pionowo, lecz potem zachwiało się i zaczęło przewracać. Laurel chwyciła je odruchowo.

- Ostro nie! - rzuciła ostro. - Mogłoby je uszkodzić.

- Mam zamiar dostać się do rodka za wszelką cenę.

Rzucił okiem w stronę narzadzi rozłożonych na wiszącej półce tuż nad stołem.

- Co powiesz na dłuto? - spytał. - Pewnie masz jakieś, które by się do tego nadawało?

Laurel się przeraziła.

- Tato, to przecież dzieło sztuki!

- Podobnie jak jednodolarowy banknot. Spytaj fałszerzy.

W osłupieniu pokręciła głowę. Wreszcie zrozumiała, dlaczego ojciec był dobry w tym, co robił. Potrafił skupić się wyłącznie na jednej rzeczy, blokując pozostałe funkcje mózgu. Liczył się aktualny cel. Przypominało to skupienie, jakie towarzyszyło pilotom bombowców tuż przed atakiem na szpital czy w tym. Współczucie, strach, smutek i poczucie winy przychodziły dopiero po zakończonej akcji.

O ile w ogóle.

Kiedy Swann znów się gnął po jajo, Laurel dokonała już wyboru.

Jak zwykle wygrał ojciec.

- Przestań! - powiedziała, stawiając mu na drodze. - Pozwól, że ja spróbuję.

Udawając spokój, ale w środku się gotowała. Szybkimi ruchami zrobiła porządek na stole. Kiedy uznała, że jest względnie czysto, zapaliła lampę i skierowała światło na jajo.

- Dziękuję, Laurie, ja...

- Nie dziękuj mi.

- ...wiedziałem, że mogła na ciebie liczyć.

- Nie mogłam pozwolić, żeby po wiaartował jak wiewi teczny indyka - powiedziała szorstko.

Kiedy szła do szafki z narzadkami, dostrzegła błysk zadowolenia w oczach ojca. Wiedział, że przy okazji pomoże, nie pozwoli zniszczyć to przepiękne dzieło sztuki.

- Zawsze wiesz, za które sznurki pociągnąć? - zapytała chłodno, przekręcając zamek szyfrowy.

Swann nie odpowiedział.

Drzwiczki szafki odskoczyły. Laurel wyjęła niedużą, skórzaną walizkę i przez ramię spojrzała na ojca. Obserwował ją przymknionymi, bursztynowymi oczami.

- Jeśli to może pomóc - powiedział miłko. - Nie robię tego tylko dla siebie.

- Powiedziałam ci, nie chcę pieniędzy.

- Jak uważasz. Ale ja mam kilku przyjaciół, którzy potrzebują gotówki tak samo, jak ja. Może nawet bardziej. Oni też zostali oszukani przez system.

Drzwi szafki trzasnęły z hukiem. Laurel przekręciła zamek i popatrzyła na ojca ze złości. Potem wzięła głębi oddech, żeby uspokoić rozszalałe serce.

- Laurie, czy to takie straszne, że mi pomożesz?

- Trzymaj się ode mnie z daleka - powiedziała ostro. - Nie mogę tego zrobić, kiedy trzęsą mi się ręce.

- Przepraszam. Nie sądziłem, że tak łatwo to zniesiesz. Czasem wydaje mi się, że wsz

powiniennem był wraca .

Laurel chciała by zła, bo tak czuła si bezpieczniej, ale ból w głosie ojca przytłumił jej gniew.

- Ju dobrze, tato. Postaram ci si pomóc. Bóg jeden wie, ile dla mnie zrobię . Zwłaszcza po mierci mamy.

Wspomnienie Ariel sprawiło, e oczy Swanna zaszły mgł . Nie potrafił tego ukry .

- Ty i Ariel jeste cie najlepszymi rzeczami, jakie spotkały mnie w yciu - powiedział szczerze.

- Obie ci kochały my - odparła. - Ja nadal ci kocham. Ostatecznie tytko to si liczy.

- Kochasz?

- Tak.

Swann nie protestował, ale jego u miech był tak smutny, e Laurel nie mogła znie tego widoku. Podeszła do stołu, poło yła na nim skórczan walizk i otworzyła zamek. Wewn trz był laptop i kilka skórczanych pudełek.

Otworzyła jedno z nich. W jednej z przegródek le ały kopertki, w których trzymała kamienie. Uło one równiutko jak karty pacjentów w gabinecie lekarskim, W innej były najró niejsze narz dzia jubilerskie w specjalnych skórczanych etui.

Swann zajrzał Laurel przez rami . Kiedy zobaczył pedantyczny porz dek, gwizdn ł z uznaniem.

- Jednak co po mnie odziedziczyła - skomentował. - Przypomina mi to mój nieodł czny komplet narz dzi. Z tym e nie był a tak wytworny.

- Robiłe bi uteri ? - spytała zaskoczona.

- Nie. Robiłem bomby i mechanizmy zegarowe, ale miałem identyczne pilniki i dłuta.

Rzucona mimochodem informacja sparali owała Laurel. Tłumi c dr enie, si gn ła po zgł bnik z cienk gumk . Przeprosiła w duchu za własne barbarzy stwo i pochyliła si nad jajem.

Od tej chwili nie my lała o niczym, tylko jak odkry sekret jaja. Pobie nie obejrzała kamienie. Za to długo zastanawiała si nad oprav , pod któr mógł ukrywa si mechanizm.

Nic nie znalazła, ale si nie zniech ciła. Skoncentrowała si na złotym filigranie.

Był tak pi knie wykuty i zmy lnie poł czony, e Laurel nie mogła dostrzec najdrobniejszej niekonsekwencji we wzorze. adnego odst pstwa od reguły. Niczego, co zdradzałoby, e jajo mo na otworzy .

Wreszcie zmarszczyła brwi i wyprostowała si .

- Nic? - spytał Swann. Bezbł dne rozszyfrował wyraz jej twarzy.

- Na razie nic - przyznała.

- Zawsze mo na zrobi to po mojemu - powiedział, si gaj c po jajo.

- Nie!

Odepchn ła jego r ce.

- Daj mi jeszcze kilka minut - powiedziała poirytowana. - Chyba mo esz po wi ci par minut, eby nie niszczy tak pi knej rzeczy.

- Dobrze. Ale tylko kilka minut, Laurie. Ka da dodatkowa minuta nara a ci na niebezpiecze stwo.

Laurel bez słowa wróciła do pracy.

Czekaj c, Swann obserwował córk . Zmarszczki mi dzy ci gni tymi brwiami Laurel i skupienie przypominały mu samego siebie.

Nie po raz pierwszy zastanawiał si , jakie byłoby jego ycie, gdyby potrafił si ustatkowa i gdyby wiat nie był taki zły.

Czas biegnie w jednym kierunku.

- Jajo przede wszystkim miało by niespodziankę, prawda? - mruzczała do siebie pod nosem.

- Nigdy nie znałem się specjalnie na sztuce.

Nie zwracała na niego uwagi.

- Ostatni rzecz, jakiej chciałby Fabergé, było rozłożenie cara - mruknęła. - Musiał więc zamontować prosty mechanizm. Ukryty - owszem, ale tak, by można go odnaleźć.

Laurel chwyciła jajo prawą ręką, jakby to był prezent, który planie nie rozpakowała. Jeden z palców w naturalny sposób znalazł się na fantazyjnym splocie filigranu. Jeden z pręcików filigranu uniósł się lekko.

- Cóż za bystry dworzanin z ciebie - szepnęła do dawno zmarłego Fabergé. - Ukryte to tak, aby odnalezienie dawało satysfakcję, ale nie było na tyle trudne, aby rozsierdzić monarchę.

- Znalazła? - spytał Swann niecierpliwie.

- Chyba tak.

Wyciągnęła rękę po jajo, ale Laurel zaprotestowała.

- Zaczekaj - powiedziała. - Jest bardzo delikatne.

Naciśnięta lekko odstąpił filigran, próbując zsunąć złoty drucik. Kiedy ukryta dźwignia poruszyła się, usłyszeli miękki metaliczny dźwięk. Całość rozdzieliła się na dwie części: podstawę i wieczko. Kiedy wieczko odskoczyło, ukryty mechanizm wewnętrzny wyniósł do góry czerwony kamień wielkości ptasiego jajka.

- O mój Boże - szepnęła Laurel, zaskoczona rozmiarami kamienia.

Miał kolor głębokiej czerwieni i spłaszczone boki. Połyskiwał niezwykłym płomiennym blaskiem, który zdawał się być własnym światłem.

- To dlatego nazywali je Rubinową Niespodzianką - powiedział Swann.

Laurel prawie go nie słyszała. Skoncentrowała się wyłącznie na kamieniu. Kolor rubinu był zbyt głęboki, aby nazwać go gołębim krwi - standardowym określeniem wśród jubilerów. Nie miał żadnej skazy.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego - powiedziała. - Podejrzewam, że podobizna cara miała się znaleźć na jednym z płaskich boków.

Swann odchrząknął.

- Ale kolor nie odpowiada najwyższym standardom - dodała Laurel. - Jest zbyt ciemny.

- Jak zaschnięta krew - powiedział Swann.

Laurel od tak dawna używała terminu gołębim krwi, że nie zwracała uwagi na jego dosłowne znaczenie. Skrzywiła się i oderwała wzrok od hipnotyzującego kamienia. Na dnie, wewnątrz jajka, znajdowała się fantazyjna, asymetryczna siateczka ze srebrnych i złotych drucików oraz kawałków czegoś, co wyglądało na czysty kryształ. Jeśli w jajku ukryte inne klejnoty, na pierwszy rzut oka nie było ich widać.

Nagle coś zabrzęczało, odrywając przerażoną Laurel od wnikliwych oględzin.

Swann uniósł dośladu koszulę i sięgnął po biper przyczepiony do paska. Wtedy Laurel zobaczyła rękę pistoletu. Był czarny, służył do zabijania, a jednak krył w nim nieokreślone piękno. Praktyczne dzieło sztuki dla praktycznego mężczyzny.

Swann spojrzął na wyświetlacz i pokiwał głową, jakby spodziewał się tego numeru.

- Tam - powiedziała Laurel i wskazała telefon w drugim kącie pokoju.

Swann podszedł, wybrał numer i chwilę czekał. Laurel nie umiała poznać po minie,

nie ma to znaczenia, e kto mu przeszkodził.

- To ja - powiedział, kiedy kto podniósł słuchawkę. - Co się dzieje?

Przez moment słuchał.

- I co powiedział? - zapytał.

Kiedy Swann słuchał, Laurel czuła jak przepała między nią a ojcem rocznie z każdą chwilą. Gdzie podział się ten kochający ojciec i mąż, który nadal opłakuje zmarłego przed siedmioma laty on?

Teraz znów był tym, do czego skłoniło go życie, co sam wybrał: płatnym zamachowcem. Kup mi ni do wynajęcia. Był może nawet mordercą.

„Kochaj się z tym”.

- No to mocniej dokręć mi ją - powiedział Swann dobitnie. - Kręć, a odpadnie. To go powinno przekonać.

Kiedy uśmiechnął się chłodno, jego oczy pociemniały.

- Postaraj się - powiedział szorstko. - Jestem teraz na południu. Spotkamy się za kilka godzin.

Kiedy odłożył słuchawkę, przez długą chwilę wpatrywał się w telefon, jakby coś w nim było. W końcu rozejrzał się dookoła. Kiedy zobaczył Laurel, jego oczy rozszerzyły się, jakby przypomniał sobie, że nie jest sam.

- Czy potrzebujesz jeszcze czegoś ode mnie? - spytała.

Gardło miała tak ciśnie, że z trudem mówiła.

Swann przyglądał się jej bacznie przez dłuższą chwilę. Stopniowo skupienie na jego twarzy ustąpiło miejsca ponurej melancholii.

- Muszę zostać sam przez kilka minut - powiedział cicho. - Muszę... zatelefonować. Potem zabiorę ją i zmykam. A ty zapomnij o nim. Zapomnij o wszystkim. Zrozumiała?

- Paczka nigdy nie przysłała. Nigdy jej nie otworzyłam. Ciebie nigdy tu nie było.

Przez moment Swann przyglądał się córce zaskoczony. Potem uśmiechnął się i z powrotem stał się jej beztrojskim, szalonym ojcem.

- Trzymaj się tego, to nikomu nic się nie stanie - powiedział z uznaniem w głosie.

- Czy grozi ci niebezpieczeństwo? - zapytała wprost.

- Biegnij na górę. Kiedy wrócisz tu za dziesięć minut, mnie już nie będzie.

- Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Nie martw się. Potrafi się o siebie troszczyć.

Jasne, pomyślała w duchu. I dlatego tkwisz w tym bagnie.

- Zostawić ci numer pagera - powiedział.

Podszedł do ciemnego notatnika, gdzie Laurel trzema różnymi kolorami rozrysowała swoje następne projekty. Obok w jednym rzędzie zanotowała czerwonym pisakiem numery telefonów dostawców kamieni z całych Stanów Zjednoczonych. Swann dopisał numer pagera.

- Nie dzwoń bez ważnego powodu.

- A czy kiedykolwiek to robiłam?

- Nigdy nie dałem ci szansy.

Swann obrócił się. Laurel stała blisko niego z wyrazem napięcia na twarzy.

- Nie wyślę czaj automatycznej sekretarki, skarbie - powiedział i pocałował ją w czoło. - Bądź w kontakcie.

- Tato, co...

- Id na gór - przerwał jej, ale jego głos brzmiał łagodnie. - Wszystko jest w porządku. Już ci to nie dotyczy. Mojesz wrócić do swojego świata drobnych, nieskomplikowanych wyborów. Droga wolna.

Chwycił ją za ramiona, obrócił i lekko pchnął w stronę schodów. Ociagał ją, zrobiła kilka kroków do przodu. Strasznie chciała znaleźć kilka słów, które mogłyby zmienić cokolwiek. Ale przychodziły jej na myśl tylko słowa, które padały wiele razy i niczego nie zmieniły.

Kiedy Laurel zamknęła za sobą drzwi, chwilę nasłuchiwał. Potem cicho jak duch ruszył schodami do góry. Zatrzymał się bardzo blisko drzwi i słuchał. Latacyca w stałym zagrożeniu sprawiły, że słuch niezwykle mu się wyostriął.

Nie słyszał żadnych podejrzanych odgłosów.

Laurel zrobiła to, o co ją prosił.

- Jesteś paranoikiem - mruknął do siebie. - Mogło być gorzej. Paranoicy przynajmniej nie kończą z nosem w plecach.

Pogwizdując cicho pod nosem, zaczął wyciągać narzędzia z walizki Laurel, a znalazł to, którego szukał. Następnie, nadal gwiżdżąc, pochylił się nad jej jadem.

Dziesięć minut później Jamiego Swanna już nie było.

8

Cruz próbował przebić wzrokiem nadchodzący zmierzch. Przyglądał się ciemnemu, pofałdowanemu pustynnemu krajobrazowi, który rozciągał się pod samolotem. Wystartowali dużo później, niż planował. Pilot był bardzo pedantyczny, gdy chodziło o sprawność samolotu. Nie, żeby Cruz miał jakieś zastrzeżenia. Lepsze to niż awaryjne lądowanie.

Samolot dopiero co wystartował z lotniska Anza-Borrego. Obszar Karroo kurczył się z każdą chwilą. Silnik pracował spokojnie i równomiernie. Chociaż zrobiło się już prawie ciemno, Cruz widział kanion, w którym kopał dół jeszcze kilka godzin temu.

Przez chwilę pozwolił sobie na niepohamowaną, szczerząco. Był już tak cholernie blisko rozwikłania tajemnicy nowej szczeliny. Przeczuwał to tak samo, jak teraz niebezpieczeństwo. Po prostu jego system nerwowy tak miał konstrukcję.

Cruz podejrzewał, że ta pojedyncza szczelina to zaledwie pierwszy widoczny element całego podziemnego systemu. Pewne niepokojące sygnały wiadczyły, że przez szczeliny Ziemia pozbędzie się nadmiaru ciśnienia latami gromadzonego się w niesławnym uskoku San Andreas.

Odkrycie całego systemu szczelin byłoby dla Cruza wielkim wydarzeniem. Czym całkowicie nowym i unikatowym pod pustynnym niebem. Taka kolekcja plików w grubej skorupie Ziemi mogła mieć donioślejsze znaczenie. Mogła nawet stanowić dowód na to, że chaos jest samoregulującym się mechanizmem.

Chaos i porządek. Oto co fascynowało Cruza. Jednak najbardziej interesowała go cienka granica między jednym a drugim. Strefa zagrożenia to jedyne miejsce, które Cruz szczerze kochał. Zawsze go pociągało.

Jeszcze przez jakiś czas patrzył na dobrze znaną, ascetyczną skorupę pustyni. Potem westchnął i zaczął rozmyślać o sprawie, która została mu przydzielona.

Wyciągnął z kieszeni niewielkie zdjęcie i przyjrzał się dokładnie Rubinowej Niespodziance. Zdjęcie i nazwa przewidywała to jedyne informacje, jakie Nowikow przekazał im w ramach współpracy.

Albo jedyne, jakie chciał przekazać.

Dla ledztwa przedstawiały warto blisk zeru.

Bładniebieskie oczy Cruza uwa nie wpatrywały si w Rubinow Niespodziank . Ze zdj cia mógł wywnioskowa , e jajo *Fabergé* było fantazyjne, bogato zdobione i drogie. Poza tym, e cieszyło oko, nie miało konkretnego przeznaczenia.

Co za przedziwna i zb dna rzecz, pomy lał Cruz. Jak wiele kobiet - pi kna i bezu yteczna. Ale mo e pi kno samo w sobie jest warto ci . Wiele kobiet tak uwa ało.

Bywały momenty, kiedy Cruz zgadzał si z tym. Nic nie mogło równa si z przebudzeniem obok mi kkiej, cieplej kobiety i w lizgni ciem si w ni .

Cruz gwałtownie przerwał ten nie kontrolowany strumie my li.

- Za długo byłem na pustyni - mrukn ł. - Nauczyłem si jednego: je li ju obrywasz, powiniene wiedzie za co.

Pod prawym skrzydłem samolotu asfaltowa droga wiła si w stron wielopasmowej mi dzystanowej autostrady do Los Angeles. Cruz popatrzył na w sk , kr t drog i u miechn ł si bledo. Miał nadziej , e Nowikowowi podoba si jazda z Gillespiem. Kiedy sier ant-major jechał t drog siedem bitych godzin. Pr dko zale ała od stopnia wkurzenia. Im bardziej był w ciekły, tym wolniej prowadził.

Przynajmniej Nowikow zszedł Cruzowi z oczu na jaki czas. Niekiedy klient zamiast pomaga , przeszkadzał, zwłaszcza gdy nie mo na mu było ufa . Ale Cruz nie miałby nic przeciwko temu, eby Nowikow odpowiedział mu na kilka pyta .

Bez ryzyka nie ma zysku.

Chwycił telefon komórkowy i wybrał numer. Gillespie odebrał telefon w mercedesie, gdzie pod nim, na pustyni.

- Gillie, spytaj swojego pasa era, czy mo e poda numer listu przewozowego na t zaginion przesyłk z Tokio.

Sier ant-major przekazał pytanie. Przez moment w słuchawce zapanowała głucha cisza. Potem Gillespie wrócił na lini .

- Daj nam pi minut.

- Zgoda.

Po pi ciu minutach Gillespie zadzwonił i podał Cruzowi dziesi ciocyfrowy numer.

- Co jeszcze? - spytał sier ant-major.

- Na razie nie.

Cruz rozł czył si i zadzwonił do biura numerów w Los Angeles. Dwie minuty pó niej rozmawiał z dyrektorem działu zagranicznego wymienionej przez Nowikowa firmy przewozowej. Dotarcie do szefa przesyłek powietrznych zaj ło mu kilka kolejnych minut.

- Sam Harmon - powiedział m czyzna. - Prosz si streszcza .

Cruz u miechn ł si . Rozpoznał wojskowy sposób mówienia. Facet pewnie niedawno przeszedł na emerytur i jeszcze si nie przyzwyczał, e ludzie nie musz go słucha i e nie grozi im za to s d polowy.

- Harmon? Znałem jednego Harmona w lotnictwie - powiedział Cruz.

- Ja słu yłem w marynarce - powiedział. - Trzydzie ci lat i cztery miesi ce.

- Front?

- Logistyka. Jak inaczej, u diabła, wyl dowałbym teraz w takiej robocie?

Cruz u miechn ł si do siebie. Emerytowany oficer marynarki, specjalista od logistyki. Je eli ktokolwiek wiedział, o co chodzi w systemie, to na pewno on.

- Mam pewien logistyczny problem - rzucił od niechcenia Cruz. - Zdaje się, że jesteście jedyną osobą na świecie, która może mi pomóc.

- Wal miało.

Tu ci mam, pomyślał triumfalnie Cruz. Nic tak nie skłoni emeryta do Współpracy, jak poczucie, że jest niezbędny.

- Mam klienta, któremu zginiła przesyłka. Kto powiedział mi, że macie system komputerowy, czy coś takiego, co pozwoli przelecieć drogę paczki.

Cruz celowo unikał opisu zawartości przesyłki. Nie chciał, żeby Harmon wpadł w panikę.

- Mamy komputery, czytniki kodów kreskowych, znaczniki lokalizujące oraz system globalnej lokalizacji - powiedział Harmon. - Mogę przelecieć drogą naszą paczkę w dowolnym miejscu na świecie. Mogę sprawdzić, czy jest w magazynie, czy w samolocie. Jeśli jest w ciarówce, mogę połączyć się telefonicznie z kierowcą, który ją dostarczy. Jesteśmy w pełni zorganizowani.

Kiedy w coś wierzy. Sam Harmon wierzył w system swojej firmy.

- Wspaniale - powiedział Cruz z entuzjazmem. - Od czego zaczynamy?

- Masz numer listu przewozowego?

Cruz odczytał numer i usłyszał, jak Harmon wystukuje coś na klawiaturze komputera. Zastanawiał się, ile informacji podaje się, wysyłając przesyłkę.

- Odpowiedź negatywna - powiedział Harmon szybko.

- Co to znaczy?

- Nie ma takiego numeru w naszym systemie.

Cruz myślał przez chwilę. Nie sądził, żeby Nowikow kłamał. Takie kłamstwo miało krótkie nogi.

- To właściwy numer - owiadczył.

- Tu go nie ma. Chyba że paczka była gdzieś w innej przesyłce.

- Oczywiście, że tak.

- Dlaczego nie powiedziałyście od razu?

Kilka kolejnych kliknięć klawiatury komputera w słuchawce.

- Mam - powiedział Harmon. - Leciała razem z tymi dziełami sztuki, które dotarły wczoraj z Tokio boeingiem siedemset czterdzieści siedem.

- Zgadza się.

- O matko... do diabła! Tylko nie mów, że zgubili my jedną z nich.

- To właściwie próbuj ustalić - powiedział Cruz. - Ale uspokój się. Nawet jeśli gdzieś się zapodziały, to przecie nie Mona Lisa.

Harmon odetchnął z ulgą, ale Cruz słyszał, że bardzo szybko wciska klawisze na klawiaturze.

- Mam na monitorze wszystkie dane o przesyłce - powiedział Harmon. - Pięćdziesiąt pięć eksponatów.

- Gdzie są teraz?

- Wszystkie przeszły odprawę celną, potem zostały zaksięgowane i trafiły do pośrednika. Stamtąd pojechały bezpośrednio do muzeum.

Palce Harmona robiły duży hałas na klawiaturze. Po chwili zapadła cisza.

- To zabawne - powiedział.

Cruz poczuł dreszcz podniecenia. Wła nie wkraczał w strefę niebezpieczną, gdzie nie rządził ani porządek, ani chaos.

- Co tam masz? - spytał spokojnie.

- Wła nie otworzyłem wykazu ładunków całego samolotu - poinformował go Harmon. - Czasami zdarza się, że jakiś pojedynczy element oddziela się od całego ładunku do powtórnej inspekcji. Przetrzymuje się go wtedy dzień lub dwa. Jednak cały ładunek z tego lotu przeszedł odprawę za pierwszym razem.

Cruz odchrząknął i zachęcił Harmona do dalszych wyjaśnień.

- Ale - rzekł Harmon - teraz wyskakuję mi ten nieprawidłowy numer.

- Jaki numer?

- To krajowy list przewozowy, ale wpisany jest ze wszystkimi przesyłkami z zagranicy. Nie ma go w wykazie ładunku samolotu, za to pojawia się po odprawie celnej.

- Tak jakby ktoś nie odczytał numer? - spytał Cruz.

- Raczej jakby któryś z celników nakleił krajowy list przewozowy na zagraniczną paczkę.

Cruz rozparł się w fotelu i rozejmiał cicho. Mam cię!

- Proces sortowania jest całkowicie zmechanizowany - wyjaśnił Harmon. - Maszyna mogła przez pomyłkę wrzucić paczkę na linię krajową.

Albo celowo, pomyślał Cruz, jeżeli maszyna obsługiwała sprytny złodziej.

- W porządku, mamy numer krajowego listu przewozowego - powiedział Cruz. - I co teraz?

- Poczekaj.

Harmon zbliżył się do klawiszy. Brzmiało to jak seria pocisków z karabinu maszynowego. Najpierw jedna, a następnie druga. Po piętnastu sekundach odetchnął z ulgą.

- Odnalazłem ją! Paczkę dostarczono dzisiaj po południu do Cambrii. To małe miasteczko na wybrzeżu. Zapisz sobie adres.

Cruz zapisał go w pamięci.

- Masz? - spytał Harmon.

- Tak. O której ją dostarczono?

- O czwartej czterdzieści dziewięć.

- Czy ktoś pokwitował odbiór, czy zostawili ją na werandzie? - spytał Cruz niby mimochodem.

- Laura... nie, Laurel Cameron Swann. S jak Stanisław, W jak Wojciech, A jak Anna, N jak Natalia i N jak Natalia - przeliterował.

- To wszystko powiedziała ci ta maszyna? - spytał Cruz. - Szatański system.

Harmon odchrząknął z dumą.

- Wyślę kogoś, żeby odebrał paczkę - powiedział Harmon. - Ale nie wczoraj, nie jutro z samego rana. Powinna przed wieczorem dotrzeć z powrotem do muzeum w Malibu.

- Mój klient będzie zachwycony - odparł Cruz. - Wielkie dzięki.

Odłożył słuchawkę i po chwili z pilotem wewnątrz trzymał linię.

- Wyląduj jak najbliżej Cambrii - powiedział. - I nie oszczędzaj paliwa.

Jeszcze raz złapał telefon komórkowy i zadzwonił na prywatny numer Cassandry.

- Słucham?

- Mówi Cruz. Wytropiłem jajo w Cambrii w Kalifornii. Sprawdź, czy mamy jakieś

powiedział, podaj c jej dokładny adres. - Albo o Laurel Cameron Swann - dodał.

9

Kilka minut po dziewi tej, po zapadni ciu zmroku, samolot wyl dowął na lotnisku Paso Robles. Tam czekał ju na Cruza wynaj ty samochód. Kiedy dotarł do Cambrii, spokojnej, nadbrze nej mie ciny, dochodziło wpół do jedenastej.

Nie był w najlepszym nastroju. Niewiele dowiedział si z komputera Risk Limited o Laurel Cameron Swann. Miała dwadzie cia dziewi lat, panna, bez długów, adnego rodze stwa. Rodzice rozwiedzeni. Matka nie yła, ojciec, odznaczony za zasługi agent, tak e zmarł. adnych dziadków. Jaki wujek, o którym chodziły słuchy w przeszło ci, ale równie dobrze mógł by kochankiem matki.

adnej informacji, która wiadczyłyaby, e Laurel byłaby zdolna do kradzie y Rubinowej Niespodzianki.

Poło ona tu nad oceanem uliczka, na któr dostarczono paczk , wygl dała tak samo niewinnie jak przeszło Laurel. Z odnalezieniem domu nie miał najmniejszego problemu. Stary domek ze spadzistym dachem, który stał samotnie na stromym urwisku. Z tego, co Cruz widział, domek był mały , dobrze utrzymany posesj . W otwartym gara u stał ford explorer. Nawet je li w domu paliły si jakie wiatła, z ulicy nie było ich wida . Najbli szy s siad mieszkał pi dziesi t metrów dalej.

Cambria pozostawała z daleka od kalifornijskiego zgiełku. Panował tu absolutny spokój. Cruz zastanawiał si , czy Laurel rzeczywi cie była taka niewinna, jak si wydawała.

Mo e przesyłka naprawd zawieruszyła si przez pomyłk ? Mo e cała ta sprawa to tylko fałszywy alarm? Mało prawdopodobne.

Kiedy w gr wchodziła natura ludzka i zbieg okoliczno ci, Cruz był pełen sceptycyzmu. Dlatego postanowił wybra si na krótki rekonesans po u pionym miasteczku.

Wszystko było zamkni te. Jedyne wyj tek stanowił bar przy jednej z bocznych uliczek, oznaczony przekrzywionym, nieregularnie migaj cym szyldem. Przed barem stało kilka zaparkowanych samochodów. Nic nie wskazywało na to, e kto zaraz stamt d wyjdzie.

Na pomocnym skraju dzielnicy handlowej znajdowała si stacja benzynowa. Wygl dała, jakby chciała przeprosi , e wraz z benzyn sprowadziła tu cywilizacj . Była czynna, ale nikt nie tankował. Staruszek z nocnej zmiany pewnie nie odró niłby samochodu osobowego od ci arówki.

W biurze szeryfa, które s siadowało z budynkiem ochotniczej stra y po arnej, nie paliło si ani jedno wiatło. Cruz domy lał si , e okolic musiał patrolowa radiowóz. Nie martwiło go to zbyt. Cambria nie nale ała do miejsc, gdzie gliniarze nieustannie czuwali.

Cruz nie musiał si obawia , e zostanie zaskoczony przez wkurzonego glin , w cibskiego s siada albo przypadkowego przechodnia. Skr cił w ulic równoległ do oceanu. Zaparkował trzysta metrów za domem Laurel. Zgasił wiatła i wysiadł z samochodu jak kto , kto ma ochot zaczerpn wie ego powietrza i posłucha nocnego szumu fal.

Nie zapaliło si ani jedno wiatło, nie otworzyły adne drzwi. Nikt nie spacerował z psem, nie wypuszczał kota ani nie przemyczał si ukradkiem, by wskoczy do łó ka s siadki.

Jak gdyby nigdy nic Cruz przespacerował si kawałek w wietle ulicznej latami, po czym znikn ł w mroku. Szybko natkn ł si na cie k prowadz c do w skiej, skalistej pla y. Wkrótce patrzył na skromny domek, w którym pomyłkowo lub nie znajdowało si bezcenne jajo *Fabergé*.

Fale oceanu wznosiły się i opadały z hukiem. Gdyby nawet narobił trochę hałasu, huk idealnie zagłuszyłby każdą dyktando. Ale starał się zachowywać jak najciszej, kiedy wspinał się po drewnianych schodach w górę urwiska. Skrył się za ogromnym, podniszczonym głazem i obejrzał dom z bliska.

adnych sadzawek, płotów ani psów. Nie zauważył żadnej skrzynki alarmowej, krat w oknach ani pancernych zamków. Szedł po wygładzie domu, Laurel Swann nie miała nic do ukrycia i nie obawiała się bliźnich.

Musi być tak samo naiwna jak całe to miasteczko, pomyślał Cruz.

Choć dom wyglądał na upiorny i nie strzeżony, Cruz zaczął na chmurę, która przesłoniła księżyc. Dopiero wtedy opuścił kryjówkę i dotarł przed dom.

Ze rodka nie dobiegał żadnego dźwięku. Nie widział po wiaty telewizora w żadnym z okien. Laurel Swann spała albo poszła na randkę. Z tego, co Cruz widział w mieszkaniu, wywnioskował, że jest w domu i śpi. Przedostał się na tyły budynku. Zanotował w pamięci numery rejestracyjne fordów i zatrzymał się w nieoświetlonym garażu. Chwilę trwało, zanim oczy przywykły do ciemności. Na dworze wiał księżyc rozjaśniał noc. Panował tu wiskarski porządek w wiskarskim garażu, jakie widział. Poza tym nie wyróżniał się niczym szczególnym. Stały tu pralka i suszarka. Na ścianach wisiały szafki. W miejscu, gdzie mógłby stać kolejny samochód, piły trzyły się jakieś rzeczy. W drzwiach garażu stał ford combi i nowy, metalowy pojemnik na śmieci. Kiedy oczy zaadaptowały się, Cruz przyjrzał się dokładniej przedmiotom przechowywanym w garażu. Odkrył dwie duże butle z butanem, stary odrapany stół warsztatowy i stert pudełek. Pudełka zaintrygowały Cruza. Wyjął maleńkie latarki punktowe i przejrzał je. Każde z nich było podpisane wyraźnym, czytelnym charakterem pisma, prawdopodobnie kobiecym: odlewy, formy, oprawy, uchwyty do kamieni.

Fachowa terminologia jubilerska, wywnioskował Cruz.

Zgasił latarki i w ciemnościach próbował zebrać do kupy wszystkie informacje, jakie miał.

Kobieta robi biuteriaż, albo nie handluje. Wszystko wskazuje na to, że mieszka sama. Porządna, ale nie przesadnie pedantyczna. Żyje na przyzwoitym poziomie, niczego się nie obawia.

Co nie gra w tej układance, pomyślał. Nie wygląda mi to na dom oszustki ani paserki. Oszuści są paranoikami. Mają psy obronne. A przynajmniej zamykają garaż na noc.

Poczuł się nieswojo, jakby to on był przestępcą. Wokół było zbyt cicho i spokojnie. Powietrze pachniało zbyt czysto. W tym domu czuło się uczciwość.

Cruz jako agent federalny zakradał się do domów podejrzanych i nie miał wyrzutów sumienia. Rzadko zastanawiał się nad problemem prywatności. Ale dziś był intruzem.

Pod wpływem impulsu chciał się wycofać, zostawić Laurel Swann w spokoju. Jeśli miała swoje sekrety, to pewnie nie usprawiedliwiłyby takiego najścia.

Zaskoczony własną reakcją, Cruz walczył z uczuciem, że robi coś niewłaściwego. Do tej pory nie miał takich skrupułów. Wiskarski świat spłonął w piekło, cigajcy porywacze, terrorystów i handlarzy narkotyków. Nie miał okazji zastanawiać się nad ludźmi.

Niezwykli ludzie, tacy jak Cassandra Redpath oraz Ranulph Gillespie - byli wyjątkami od reguły. Utwierdzały go w przekonaniu, że człowiek nie był ani odrobin lepszy, niż musiał.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mały domek na plaży w Cambrii nie należał do tego piekła. Był czysty, porządkowy i otwarty. Pachniał oceanem. Cruz nie miał prawa tu być ...

Ale był.

Odwrócił się powoli, rzucając okiem na gara. Błyszczyły nowy pojemnik na mieci, znów przyciągnął jego wzrok. W przeszłości zbierał informacje, nurkując w mieciach. Wiąkszość oszustów to głupcy. Wydawało im się, że rzecz wyrzucona do mieci, przestaje istnieć.

Gliniarze byli mądrzejsi.

Cruz podszedł do pojemnika. Zakłamał cicho, kiedy okazało się, że jakiś niechlujny mieciarz zdjął go już powyginał. Teraz nie udało mu się zdjąć metalowej pokrywy bezgłośnie.

Im miał rację. Pokrywa zaklinowała się mocno, ale po kilku skrobnięciach i jednym piśnięciem ciu dała się zdjąć. Mam nadzieję, że Laurel Swann piśnie jak zabita, pomyślał. Piśnięciem niewiniątka i nigdy się nie dowiedzie, że tu byłem.

Bardzo delikatnie ułożył pokrywę na betonowej podłodze i zajrzał do środka. Na samej górze leżał porozdzierany papier pakowy, a na nim naklejony list przewozowy.

Pierwszy raz w życiu Cruz nie potrafił się cieszyć, że wpadł na trop przestępstwa.

Nie umiem już prawidłowo oceniać sytuacji, myślał przygnębiony. Sądziłem, że ta Swann jest czysta. Trzeba było pozwolić Cassandrze wezwać Walkera, a samemu wrócić do szczeliny na pustyni.

A może Laurel Swann miała urodziny po ostatnim wywozie mieci? To by wszystko tłumaczyło. Niewinny prezent nadesłany z dowolnego miejsca na ziemi oprócz Tokio.

Jak to się stało, że instynkt tak strasznie go zawiódł co do Laurel Swann? Sięgnął po latarkę, by dokładniej przyjrzeć się znalezisku.

Wizka jaskrawego światła oświetliła folię koszulki przyklejonej do papieru. Wewnątrz koszulki były dokumenty. Zobaczył krajowy list przewozowy z międzynarodowej firmy transportowej. Na liście znajdowało się nazwisko i adres Laurel Swann.

Cruz oddarł róg przyklejonej folii. Pod spodem znajdował się kolejny list przewozowy z pieczęcią PRZESYŁKI ZAGRANICZNE.

Nie musiał dalej czytać. Wiedział, że paczka najpierw zaadresowana na Muzeum Sztuki Damona Hudsona w Los Angeles.

Po chwili wahania sprawdził, żeby się upewnić. Laurel Swann nie była taka niewinna. Na liście międzynarodowym widniał adres Muzeum Sztuki Hudsona.

W umyśle Cruza toczyła się zacięta walka między rozczarowaniem a triumfem. Ostatecznie nie wygrało. Poczuli się zmęczeni.

Znajomy metaliczny dźwięk odbezpieczanego spustu spowodował przyływ adrenaliny do krwi. Cruz znieruchomiał i zaczął intensywnie myśleć. Zdawał sobie sprawę, że najdrobniejszy ruch może przyciągnąć uwagę.

Dźwięk dobiegał z tyłu. Nie widział pistoletu, ale czuł czarne oko lufy gapiące się na niego w ciemnościach. Przeklął się w myślach, że tak się pomylił co do Laurel Swann. Przygotował się na uderzenie lub na kulę.

Nic się nie wydarzyło.

Uczucie ulgi ogarnęło jego ciało.

Bardzo powoli unosił ręce na wysokość ramion, żeby pokazać, że nie jest uzbrojony.

Nikt nie kazał mu stać bez ruchu. Nikt nic nie mówił. W garażu było cicho jak makiem zasiał.

Bardzo powoli odwrócił głowę. Na tle ciemności zobaczył białą postać, Kobieta. Ręce miała uniesione w klasycznej pozycji strzeleckiej.

Kiedy ten okrzyk zauważył wizka jaskrawego pomarańczowego światła, w miejscu, w którym

lufa. Handlarze broni nazywali to szybkim celownikiem. Nie był to modny, kieszonkowy pistolet, tylko kawał gnata, który mógłby odstrzelić całą głowę.

Kiedy mi się w ciele tej kobiety wiadczył o tym, że dobrze wie, jak się tym posługiwać.

10

Twój ruch, Laurel - powiedział Cruz swobodnym tonem.

Do własnego imienia zaskoczył Laurel. To ostatnia rzecz, jak spodziewała się usłyszeć z ust podejrzanego typu, który plądrował jej gara. Głos ten mile ją zaskoczył. Niski, łagodny, spokojny. Chciałoby się mu zaufać.

Nagle zrozumiała, jak wilk nabrał Czerwonego Kapturka; dzięki nieodpartemu czarowi swego głosu.

- Zamierzasz strzelić? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze.

Niepewność w jej głosie przeraziła Cruza.

- Kiedy już się zdecydujesz, obiecuję, że dowiem się pierwszy, dobrze? - powiedział z sarkazmem.

Laurel z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Aksamitny głos i poczucie humoru. No, no. Czerwony Kapturek spotkał wilka. Ja przynajmniej mam broń. Biedny Kapturek miał tylko koszyczek z prowiantem.

Laurel wycofała się przez niedużę drzwi do domu, cały czas trzymając intruza na muszce.

- Przejdź tyłem przez drzwi - rozkazała. - I trzymaj ręce w górze.

Kiedy Cruz posłusznie wykonał polecenie, Laurel poczuła tak ogromną ulgę, że przez moment broń zadrapała jej w dłoń.

Trwało to bardzo krótko. Widok napastnika idącego tyłem w jej stronę nie dodawał otuchy.

Zwróciła uwagę na przytłaczającą przewagę ciemnych kolorów: ciemne włosy, ciemny sweter, ciemna kurtka, ciemne dżinsy i ciemne buty.

Mocno poruszał się jak kot. Oczywiście nie domowy, tylko dziki, taki którego trzeba trzymać w klatce z grubych stalowych prętów.

Mój Boże, pomyślała z niepokojem. Jest taki wysoki jak tata. Nie, nawet wyższy. I szybszy.

Mocno lekko odwrócił głowę. Blask jego oczu niepokoił Laurel. Przyglądał jej się uważnie.

Dreszcz przeleciał Laurel po plecach. Czeka na jakiś błąd z mojej strony, pomyślała. Tata mówił, że tak zachowuj się zawodowcy.

Oddychała głęboko. Zgodziła się na lekcje strzelania pod warunkiem, że ojciec nauczy ją także, co robić, aby nie doszło do strzelaniny. Dotrzymał obietnicy. Wiadczył o tym kiedyś ruch córki.

Laurel trzymała się w bezpiecznej odległości od Cruza. Ani na chwilę nie spuszczała go z oka. Kiedy szli do domu, celowała w sam róg pleców.

- Idź na lewo, w stronę okien - powiedziała. - Nie! Nie odwracaj się!

Posłusznie wykonał polecenie.

Szukając po omacku włócznika przy schodach, dokładnie widziała jego sylwetkę na tle księżycowego blasku.

Elektryczne wiatło zalało pokój.

Lepsza widoczność w niczym jej nie pomogła. Zrozumiała tylko, że nie doceniła przeciwnika. Od szerokich ramion po muskularne uda emanował siłą, wiatło ujawniło pełen gracji, zwinny sposób poruszania się włąmywacza.

Nigdy przedtem Laurel nie uwiadomiła sobie, jak niesprawiedliwie natura po

m czyn.

Intruz rozglądał się po jej pracowni i notował w pamięci wszystkie szczegóły jak komputerowy skaner. Potem zrobił pół obrotu i zawiesił na niej wzrok. Błyszczące, lodowatoniebieskie, fascynujące spojrzenie spoczęło na niej zuchwale. Te same oczy wdrążyły się do jej ciała.

Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie.

Laurel przypomniała sobie, że nie ma pod cienką jedwabną koszulę, którą chwyciła w pośpiechu, gdy usłyszała hałas w garażu. Teraz naelektryzowany jedwab oblepiał jej ciało na piersiach i biodrach. Ten drażniący materiał przylegał do skóry. Zwłaszcza górne partie ud.

- Powinieneś położyć się twarzą do ziemi - powiedziała rozdrażniona inspekcja, której wcale nie próbował ukryć.

Podniósł wzrok, z trudem powstrzymując się od miechy.

- To nie będzie konieczne - powiedział spokojnie.

- Nie jestem pewna.

Spojrzał na lufę pistoletu.

- Jesteś przekonana, że umiesz się z tym obchodzić?

- Jest odbezpieczony, cyngiel odciśnięty, w komorze znajduje się naboje - powiedziała urywanym głosem. - Musz tylko sobie przypomnieć, jak się naciska spust.

- Nie jak - poprawił ją Cruz - ale czy i kiedy.

Tym razem Laurel z trudem zapanowała nad miechem. Ojciec mówił mi te same rzeczy, w taki sam sposób, akcentował te same wyrazy.

- Twoje zadanie jest łatwiejsze - odparła. - Musisz tylko nie dać mi powodu do strzału.

- Poradz sobie.

Laurel nie miała wątpliwości.

Prawdopodobnie stwożenie pociśnięcia za spust miało zająć kilka chwil. Laurel zaczęła czuć wagę pistoletu. Większość kobiet nie ma tak silnych mięśni, by przez dłuższy czas utrzymywać ciężar wyciągniętych rękach. Laurel nie była wyjątkiem.

Za to włamywacz mógłby pewnie w każdej chwili trzymać długi strzebi i nawet tego nie zauważyć. Mieczyna bardzo powoli odwracał się do niej. Teraz widziała jego profil.

- Wystarczy - powiedziała krótko.

Jest piekielnie przystojny, pomyślała, o ile komu nie przeszkadzały oczy, które stopiłyby lód.

Cruz nadal odwracał się bardzo, bardzo wolno. Jednocześnie obserwował palec Laurel na spuście. Kiedy napięła rozluźniony palec, przestał się poruszać. Miał już za sobą trzy czwarte obrotu.

Nagle Laurel odniosła wrażenie, że skądś zna twarz.

- Jak się nazywasz? - spytała.

- Cruz Rowan.

Imię i nazwisko, tak jak trzy czwarte twarzy, wydawało się dziwnie znajome.

- Co robisz w moim garażu?

- Próbuje odnaleźć pewne jajo wielkanocne.

Adrenalina trysnęła do i tak już nadwrotnego układu nerwowego Laurel. Pomyślała, że wspaniale byłoby mieć Cruza Rowana po swojej stronie.

Ale nie miała, a takie życzenia mogły okazać się niebezpieczne.

Pełen aprobaty uśmiech rozchylił zaciśnięte wargi Cruza, nadając mu surowy rys twarzy.

Laurel zdała sobie sprawę, że znowu taksuje wzrokiem przyklejony do ciała nocny koszul. Opuściła lufę pistoletu i wycelowała w miejsce nieco poniżej klamry jego paska.

- Spokojnie, Laurel - powiedział pojednawczo. - Nie chcesz zostać zastrzelony, a ty wcale nie chcesz mnie zabić.

- Lepiej nie zakładaj się w tej sprawie.

- Jesteś amatorką - powiedział łagodnie. - Gdyby miała zamiar mnie zastrzelić, zrobiłaby to do tej pory. Gdyby chciała wezwać gliny, te by ją to zrobiła.

- Mam kilka możliwości ci. Poza tym wyglądasz... znajomo.

Cruz wiedział dlaczego.

Przez moment na twarzy pojawiło się zmieszanie. Teraz jego mina już nic nie mówiła. Maskę obojętności nie zdradzała, co się pod nią kryje.

Jaki irracjonalny impuls sprawił, że Laurel miała ochotę go przeprosić, a potem delikatnie wygładziła drobne zmarszczki wokół jego ust.

Bo nie, tracę kontrolę nad sytuacją, powiedziała sobie w duchu. Dlaczego ojciec nie ostrzegł mnie, że pierwszy facet, którego wezmę na muszkę, będzie na tyle atrakcyjny, że od razu zapragnę spędzić z nim resztę życia.

W ponurym nastroju Laurel próbowała pozbiierać rozbiegane myśli.

- Zrób trzy kroki w lewo - powiedziała z udawanym spokojem. - Odwróć się do mnie.

W milczeniu badała go wzrokiem. Oszukiwała się, że chce go tylko zidentyfikować, że nie zwraca uwagi na rysy twarzy, które świadczyły o dawnym bólu i obecnym napięciu. Nie zastanawia się, jak smakują jego kształtne usta. Ciekawe, czy potrafiłaby nazwać wszystkie odcienie niebieskiego, które widziała w jego oczach.

- No i? - spytał.

- Jesteś dość przystojny - powiedziała Laurel. - Ale to już pewnie wiesz. Jesteś silny i dobrze zbudowany, ale to też wiesz. Czy my się kiedy nie spotkali?

- Czy to przypadkiem nie moja kwestia? - uśmiechnął się ironicznie.

- Do diabła z podziałem na role. Spotkali się czy nie?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Skąd ta pewność? - spytała.

- Masz najbardziej niezwykłe oczy ze wszystkich kobiet, które spotkałem w życiu. Reszta tego łatwo zapadłaby mi w pamięć. Zwłaszcza w takim skrawku jedwabiu.

Cóż, sama się o to prosiłam.

- No dobrze. Skoro się nie spotkaliście, czemu wydajesz mi się dziwnie znajomy? - wycodziła przez zęby.

- To ty mi powiedz.

Laurel obejrzała sobie dokładnie resztę jego ciała. Jej wzrok powdrował wolniutko z ciemnych włosów w kierunku szerokich ramion, w skłębionych bioder i muskularnych nóg. Kiedy dotarła do ciemnych, sportowych butów, obejrzała go raz jeszcze. Jej eli ta lustracja wprawiła go w zakłopotanie, wspaniałe się maskował. Spojrzała na jego dłonie. Były to piękne dłonie o długich, smukłych palcach z wyjątkiem lewego wskaźnika.

krótki kikut.

Cruz zorientował się, że Laurel patrzy na jego dłonie. Z trudem powstrzymał się od zaciśnięcia lewej w piastkę.

Po chwili złote oczy Laurel rozszerzyły się z przerażenia. Cruz domyślił się, że już wie skąd go zna. Wiele razy obserwował te zmiany na twarzach ludzi, którzy nagle kojarzyli jego twarz z twarzami widzianymi w telewizji albo na pierwszych stronach gazet.

Niełatwo było znosić sławy. Z powodu tej historii wyrósł mur między Cruzem a jego przyjaciółmi, niewielkimi rodzinami, jak miała na wiecie, i między Cruzem a Cruzem.

Ale szok, zaskoczenie i niechęć, jakie zobaczył na twarzy najatrakcyjniejszej kobiety, jak widział, wyprowadziły go z równowagi.

Tak, Cassandro, pomyślał gorzko. Najwyższa pora zapomnieć o przeszłości, co? A co z resztą świata? Kiedy oni zapomną?

Cruz czekał, a Laurel coś powie. Kiedy milczała dłuższą chwilę, sam zaczął:

- Widzisz, czytasz gazety.

Na dźwięk jego głosu wzdrygnęła się. Jego aksamitna barwa ulotniła się jak kamfora. Zimny, łamliwy i sarkastyczny ton skułby lodem nawet słowice.

- Dlaczego tak twierdzisz? - spytała Laurel,

- Widywałem już wcześniej ten wyraz twarzy.

Mieszanie goryczy i pogodzenia się z losem w głosie Cruza przypomniały Laurel matkę. Ariel targały te same uczucia za każdym razem, kiedy ojciec po raz kolejny opuszczał rodzinę.

Kimkolwiek był ten człowiek i cokolwiek uczynił, pomyślała Laurel, na pewno głębokogo zraniono, tak jak matkę. Ale w przeciwieństwie do matki, on nadal żył, nadal cierpiał.

Odgłos zabezpieczanego spustu zaskoczył Cruza bardziej niż jego odbezpieczenie w garażu. Z niedowierzaniem patrzył, jak wymierzona w niego lufa zmieniła pozycję, celując teraz w podłogę. Powoli opuścił ręce.

- Pozwól, że coś sobie wyjąknij - powiedział Cruz. - Odkrywasz, że jestem tym draniem, który z zimną krwią zastrzelił dwóch nastolatków w obliczu Boga oraz fotoreportera i zabezpieczasz broń?

Laurel spojrzała na pistolet jakby zdziwiona, że mierzy w podłogę.

- To dawne czasy - odrzekła Laurel. - A oni nie byli nastolatkami.

- Minęło pięć lat. Jeden z nich miał ukończoną dziewiętnaście.

Laurel zmarszczyła brwi. Próbowała ustalić, dlaczego instynktownie uznała, że Cruz jej nie skrzywdzi. Z incydentu przed konsulatem któregoś z państw afrykańskich w Los Angeles pamiętała tylko, że biały agent FBI zastrzelił dwóch czarnych mężczyzn.

Potem w całym mieście zawrzało. Zamieszki, demonstracje, strzelanina i obszerne artykuły o tym, jak społeczeństwo kolejny raz zawiodło czarnych obywateli.

Najlepiej pamiętała zdjęcie, które stało się symbolem zła końca dwudziestego wieku. W chaosie, jaki zapanował po zabiciu dwóch czarnych mężczyzn, pewien fotoreporter zrobił mroczny krew w żyłach portretów fotografii agenta FBI, który do nich strzelał. Wisko ludzi patrz na to zdjęcie, widziała zimnego, brutalnego, zdecydowanego mężczyznę. Odczłowieczone monstrum.

Fotografia dostała Pulitzera. Przedrukowywano ją setki razy. Politycy i dziennikarze, demagogowie i socjologowie, wszyscy na swój sposób interpretowali portret federalnego zabójcy.

podwinił czarną kominiarkę na głowie Cruz Rowan stał się synonimem bezmyślnego, brutalnego automatu, działającego na polecenie rządu.

Trzy dochodzenia przeprowadzone na polecenie Kongresu nie zmieniły wizerunku Cruza, mimo że nigdy nie znaleziono podstaw, by postawić go w stan oskarżenia.

Kiedy Laurel patrzyła na twarz snajpera po pięciu latach, wciąż wydawał się zimny i ponury, ale nie nieludzki. Był twardym mężczyzną, może nawet niebezpiecznym, ale nie był bydlakiem.

- Jest w tobie coś, czego nie uchwycił aparat fotograficzny - powiedziała otwarcie.

Cruz zaniemówił ze zdumienia. Zauważył, że znów spogląda na jego lewą dłoń.

- Czy to się stało wtedy w konsulacie? - spytała Laurel.

Przez krótką chwilę Cruz wyglądał tak samo jak na zdjęciu.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast. - To nie moja sprawa.

Jego twarz złagodniała.

- Myślałem, że odpowiedziałem już na wszystkie pytania związane z tamtą sprawą - rzekł po chwili. - Ale tego jeszcze nikt mi nie zadał. Gdyby mi mieli więcej czasu, odpowiedziałbym na nie, ale nie mamy.

Laurel spojrzała na Cruza lekko zakłopotana. Wydawał się teraz mniej bezwzględny i brutalny, ale jego mina nie dodawała otuchy.

Nie powstrzymało to Laurel od zadania kolejnego pytania.

- Nadal pracujesz dla FBI?

- Cofam to, co powiedziałem o twoim czytaniu gazet - oświadczył cynicznie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Złożyłem rezygnację podczas trzeciego przesłuchania w Kongresie. Zwołał je Komitet Wyborczy Czarnych po tym, jak prasa zwietrzyła moje tak zwane sympatie dla rządu białych osadników. Ostatnie słowa wyrzucił z siebie jednym tchem, jak bezmyślnie powtarzany slogan polityczny. Choć dobrze znany, nadal pozostawiał niesmak w ustach.

- Musiałam to przeoczyć - uznała Laurel.

- Jako jedna z bardzo niewielu osób w Ameryce. Rzuciłem odznak na ław wiadka, a słuchowisko, jeszcze nagrał, przekazałem dyrektorowi.

Gdyby nie zmarszczki po obu stronach ust Cruza upamiętniające ból, Laurel zapewne uśmiechnęła się.

- Pokazali to we wszystkich stacjach telewizyjnych tego dnia - ciągnął. - Oczywiście, mój wywód przerywali krótkimi piszczącymi sygnałami, bo była zbyt ostra dla wrażliwych uszu polityków.

- Wiem... nie pracujesz już dla rządu.

- Nie. Powiedziałem ci, że pracuję dla Risk Limited.

Laurel poczuła nagły przebłysk nadziei.

- Skoro nie jesteś agentem FBI, co tutaj robisz?

- Mówiłem ci, poszukuję pewnego jaja wielkanocnego. Czy to ty jesteś króliczkiem, który ma w koszyczku jajo warte milion dolarów?

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Cruz uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Słonko, nie za bardzo potrafisz kłamać.

- Dlatego powiniene mi uwierzy , e w całym domu nie ma adnego cholernego jaja wielkanocnego.
Jego u miech znikł bez ladu.

- Pokwitowała odbiór paczki dzi po południu - powiedział, cedz c słowa. - List przewozowy jest w twoim koszu na mieci. A przy okazji, trzeba było go spali .

- Chyba nie jestem dobr oszustk - powiedziała cicho. - Nie potrafi kłama . Nie potrafi ci zastrzeli . Nie umiem nawet zniszczy dowodów.

Poło yła bro na stole.

Nie odrywaj c spojrzenia od jej niezwykłych, bursztynowych oczu, Cruz wzi ł pistolet i opró nił magazynek.

Laurel skrzywiła si i czekała, co si dalej wydarzy. Instynktownie postanowiła zaufa Cruzowi. Je li si myli, bardzo szybko si o tym przekona.

Cruz obejrzał jasne, zalane na ko cach miedzi pociski, po czym odło ył magazynek. Wprawnymi, mechanicznymi ruchami wyj ł jeden nabój i dokładnie sprawdził komor , by upewni si , e lufa jest pusta, a potem do niej zajrzał.

- Niezłe cacko - powiedział. - Model tysi c dziewi set dwadzie cia jeden, kolt. Ruchome elementy troch poluzowano, eby kobieta mogła u ywa go bez problemu. Bardzo dobry laserowy celownik. Magazynek naładowany pociskami w osłonach.

Poło ył go na stole obok magazynka.

- Do profesjonalny strzelaj cy kawał elastwa jak dla kobiety jubilera, która nie potrafi kłama . To twojego chłopaka?

Laurel poczuła przypływ zło ci. Cruz z góry zało ył, e tylko m czyzna poradziłby sobie z pistoletem.

- Nie mam chłopaka.

W chwili kiedy to mówiła, wiedziała ju , e popełniła bł d. Bóg wie jak cz sto ojciec j ostrzeżał, e ludzie b d starali si wyci gn od niej informacje na jego temat w po redni sposób.

- No wi c czyj? - spytał Cruz. - Obchodzisz si z nim całkiem dobrze, ale przerabiał go jaki profesjonalista, któremu na tobie zale y.

- Sama sobie wietnie radz - odparła.

Cruz spojrział na drogie narz dzia rozło one na stole.

- Najwyra niej - rzekł. - Niewiele kobiet mo e pozwoli sobie na taki komplet narz dzi, eby odda si swojemu hobby.

- Jestem na tyle dobra, e nie musz ugania si za jakimi jajami wielkanocnymi. Mam z czego płaci rachunki.

- Czy przetopiła ju to jajo?

Laurel rzuciła mu lodowate spojrzenie. Milczała.

- Jestem pewien, e nie - mrukn ł. - To nie w twoim stylu.

Lew r k si gn ł do kieszeni kurtki i wyci gn ł zdj cie Rubinowej Niespodzianki.

- To chyba jest wi cej warte w cało ci ni złoto i kamienie, które mo na by pozyska .

Laurel wzruszyła ramionami.

- Nie zniszczyłaby bezcennego dzieła sztuki dla garstki szlifowanych w Rosji brylantów i bryłki złota - powiedział z przekonaniem.

Ledwie zauwa alny dreszcz wstrz sn ł Laurel. Jakim dziwnym sposobem Cruz Rc

kilku minutach ni jej ojciec, znaj c j całe ycie.

- My lisz, e jest autentyczne? - spytał Cruz.

Pytanie tak zaskoczyło Laurel, e zacz ła na nie odpowiada , nim zorientowała si , co robi. Po plecach znów przebiegł jej dreszcz, tym razem ze zdwojon sił .

Cruz był dobry w tym, co robił. Za dobry. Fakt, e mu ufała, utrudniał jej samoobron .

U miechn ł si smutno, patrz c na twarz Laurel, z której wszystko mo na było wyczyta .

- Nie powinna w to gra . Nie nadajesz si do tego. Powiedz po prostu, gdzie jest to jajo i zapomnimy, e w ogóle je widziała .

- Nie mog .

Cruzowi nie podobała si ta odpowied , ale nie w tpił w jej szczer .

- Dlaczego? - spytał.

- Nie wiem, gdzie ono jest. Nawet gdybym wiedziała... nie powiedziałabym ci.

- Zabawne. Nie wygl dasz na kobiet , która ma ochot ogl da wi zienie od rodka.

Laurel gwałtownie wci gn ła powietrze. Chciała powiedzie Cruzowi, e mo e sobie pracowa dla prywatnej firmy, za to jej ojciec ma podpisany kontrakt z rz dem i e nie pójdzie do wi zienia, pomagaj c mu.

O ile Swann faktycznie pracował tym razem dla rz du. I o ile rz d mógł sobie pozwoli , by otwarcie to potwierdzi .

O ile...

- Nie dojdzie do tego - powiedziała z determinacj .

- Masz nadziej - dodał Cruz.

Odwróciła si plecami. Chciała si skry przed jego przenikliwym spojrzeniem i błyskotliw inteligencj .

- Kiedy firma przewozowa zorientuje si , e jajo zgin ło, w panice natychmiast zawiadomi federalnych wyja nił. - Potem posypi si nakazy rewizji i aresztowania. Kradzie przesyłki zagranicznej. Przyj cie skradzionej własno ci. Spisek. To dopiero pocz tek.

Cruz odszedł od stołu i stan ł tu za plecami Laurel. Ponad jej ramieniem popatrzył na ciemny ocean za oknem.

- Ja mog sobie pozwoli na wyrozumiało - powiedział. - W przeciwie stwie do przewo nika, nie mam ju reputacji, o któr musz dba . W przeciwie stwie do policji federalnej, nie zale y mi na oskar aniu nikogo. Ja po prostu chc odzyska jajo.

Laurel wstrzymała oddech. Cruz stał tak blisko niej, e przez jedwabn koszul nocn czuła jego ciepło. Po ciele przebiegł jej dreszcz, który nie miał nic wspólnego ze strachem.

Co za piekielnie nieodpowiedni moment, eby lecie na faceta, pomy łała markotnie. Z drugiej strony, co za niezwykle facet. Czy to samo przydarzyło si mamie? Czy straciła głow tak szybko? Zanim zorientowała si , e ma du y problem, było ju za pó no?

- Jestem frajerem, który przyczepił si do niewinnej dziewczyny, co? - powiedział łagodnie. - Złotko, powiedz mi, co wiesz. Pozwól sobie pomóc.

Laurel odwróciła si . W przy mionym wietle twarz Cruza zdradzała zm czenie i koncentracj .

Robił to ju przedtem. Zbyt wiele razy.

- Jeste dobry. - Jej głos łamał si pod wpływem sprzecznych uczu . - Cholernie dobry. Ale to nie znaczy, e ze mn ci si powiedzie.

Cruz nie odpowiedział. Ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że ma nieodpartych pocałować oszustkę o oczach koloru miodu i głosie dziwnie zachwycającym jak cała reszta.

- To ty jesteś dobra - powiedział. - Prawdziwy dynamit. Kto jest tym szczeniakiem?

- Co?

- Kim jest twój wspólnik? Przecież o to chodzi, prawda? Ochraniasz skurwysyna, który pozwolił, żeby opakowanie po przesyłce zostało u ciebie?

- Czy mówisz poważnie o tym, co mi grozi? - spytała Laurel. - Czy jeśli pomogę ci odzyskać ją, będziesz usatysfakcjonowany?

Cruz pokiwał głową.

- Jakich procesów są dowych? - naciskała. - Jakiego rozgłosu?

- Zrobię, co w mojej mocy - oznajmił. - Po wszystkim będziesz musiała radzić sobie sama. A raczej twój wspólnik. Zastąpił siebie na to. Facet, który pakuje tak kobiety na pierwszy ogień, nie zasługuje na pomoc.

Laurel na krótko zamknęła oczy. To, co obiecał jej Cruz, nie zadowalało jej w pełni, ale nie mogła dać niczego więcej. Oboje o tym wiedzieli.

- Przynajmniej ty mnie nie okłamałaś - powiedziała zachrypniętym głosem.

Otworzyła oczy, minęła Cruza i podeszła do telefonu. Nie spojrzała nawet na notatnik cienki, na którym ojciec zapisał numer pagera, wybrała go z pamięci. Kiedy usłyszała sygnał, wybrała swój numer.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Cruza Rowana, mężczyznę, któremu zaufała, bo tak powiedział jej instynkt.

Robił wrażenie pewnego siebie, inteligentnego, silnego i odległego jak księżyc.

- To musi być bardzo przydatna umiejętność - rzekła z naciskiem.

- Co?

- Nakłanianie ludzi, by ci ufali, nawet wtedy, gdy wiesz, że są manipulowani. Bo że, pewnie myślisz, że wszyscy jesteście strasznie głupi.

Ruszyła w stronę schodów.

- Dokąd idziesz? - spytał.

- Muszę coś na siebie włożyć.

- Mnie się nie przejmuj.

- Niech cię piekło pochłonie, Cruzie Rowanie.

- Byłem już w piekle, kochanie.

- Musiało ci się podobać. Tak naprawdę nigdy stamtąd nie wróciłem.

11

Zachodnia część Los Angeles pełna była przytulnych hotelików, które wychodziły naprzeciw potrzebom międzynarodowych elit ze świata sztuki i biznesu. Jamie Swann nie należał do żadnej z tych grup, ale lata obcowania z przestępcami nauczyły go sztuki perfekcyjnego kamuflażu.

Zameldował się w „Century Plaza” jako przedstawiciel szwajcarskiej firmy chemicznej: podróżujący handlowiec z imponującym funduszem reprezentacyjnym do dyspozycji. Gdyby ktoś chciał go sprawdzić, przekonałby się, że ma pokrycie. Kiedy rzeczywiście figurował na liście płac tego przedsiębiorstwa. W dziale personalnym byli przekonani, że Swann nadal dla nich pracuje.

Zarezerwował apartament w pomocnym skrzydle hotelu. Z okna pokoju obserwował

a po teren, na którym stała kiedyś synagoga przy Santa Monica Boulevard. Niedawno Damon Hudson kupił ten teren, zrównał w tym z ziemi, a na jej miejscu wznosił pomnik sławiący jego potęgę.

Kiedy zabrzęczał pager, Swann akurat oglądał przez lornetkę ciany muzeum. Chciał sprawdzić instalację alarmową. Systemy alarmowe były jego konikiem. Próbował się zorientować, co najlepszego jest teraz na rynku.

Odpisał pager od paska i zmrużył oczy, żeby odczytać numer z wyświetlacza. Światło w pokoju okazało się za słabe, żeby mógł dojrzeć małe cyferki.

Zniecierpliwiony, zaklął pod nosem i podszedł do komody, gdzie stała nocna lampa. Na wyświetlaczu pojawił się numer Laurel.

- Daj spokój, Laurie - mruknął. - Wiesz, że nie powinna dzwonić.

Rozdrażniony podszedł do telefonu, przełączył się na zewnętrzny lini i wykręcił numer. Laurel odebrała po pierwszym dzwonku.

- Mieszkanie Swannów, słucham - powiedziała.

- O co chodzi? - spytał szorstko.

- Na dole jest męcząca. Poszukuje wielkanocnego jaja.

Swann zadygotał w fotelu. Serce biło mu w szalonym tempie. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuł coś, co przypominało strach.

Nie bał się o siebie, lecz o córkę.

- Cholera - syknął. - Do diabła, Laurie, tego nie było w planach.

- Powiedział, że nie wniesie oskarżenia. Chce tylko odzyskać jajo.

- Wielu ludzi chce je mieć - powiedział Swann. - Nie możesz ufać pierwszemu lepszemu. Czy powiedział ci, jak się nazywa?

- Cruz Rowan.

- Znam to nazwisko...

- To ten agent FBI, który pięć lat temu strzelał do terrorystów przed jakimś konsulem.

- Nadal pracuje dla FBI?

- Nie.

Swann myślał w przyspieszonym tempie.

- Dla kogo teraz pracuje?

- Dla Risk Limited - poinformowała go Laurel.

Umysł Swanna pracował w zawrotnym tempie, kojarząc fakty z przeszłości, która nieraz ocalała mu życie. Przypomniał sobie Cruza Rowana, a także Risk Limited. Firma zyskała sobie opinię pogromcy w małym, ponurym wiatku międzynarodowych szpiegów i ich tropicieli, terrorystów i bojowników o wolność.

- Nie masz dla mnie dobrych wiadomości - powiedział. - Jak Rowan wpadł na mój łódź?

- On nie wie, że to twoja robota. Wie tylko o mnie. Prawdopodobnie przez firmę przewozową. Zainteresowały go listy przewozowe z opakowaniami, które znalazł w moich plecach.

Swann gwizdnął. A taki był dumny ze swego planu. Dał pięćset dolarów celnikowi i w ten sposób nowa, krajowa nalepka znalazła się na paczce, szczelnie zakrywając poprzednią, naklejając wyraźnie na przesyłki zagraniczne.

Rowan wytropił paczkę niemal natychmiast, co znaczyło, że musiał mieć dostęp do komputerowego systemu monitorowania przesyłek firmy.

Swann burkn 1 jakie przekle stwo, demonstruj c swoje niezadowolenie. Jego plan miał by niezawodny, a teraz kto go rozszyfrował.

Najgorsze, e w cały ten bałagan wpl tał Laurel.

Pocieraj c czoło, próbował znale jakie wyj cie.

Przychodziły mu do głowy jedynie najprostsze i najbardziej brutalne rozwi zania: łapówka albo zabójstwo.

- Gdzie jest teraz Rowan? - spytał Swann.

- Na dole.

- Słucha naszej rozmowy?

- Nie, o ile nie ma jakiego sposobu, eby to robi bez podnoszenia słuchawki. Jako d wi ku znacznie si pogarsza, je li korzysta si jednocze nie z drugiego aparatu.

Swann odchrz kn 1.

- wietnie. Pozb d si go.

- Jak? Przecie nie mog zawiadomi policji, prawda? - powiedziała uszczypliwie. - Nie wyjdzie st d bez jaja. Poszłam z nim na układ. On dostaje jajo, a my wychodzimy z tego czy ci.

- Nie.

- Nic wi cej nie wynegocuj - powiedziała Laurel. - To i tak du o wi cej, ni zaoferowałyby FBI. Chyba e si dla nich pracuje i b d chcieli otwarcie udzieli poparcia.

Swann roze miał si . Nie był to miech, który mógł uspokoi Laurel.

- Musisz przesta rozumowa jak wzorowy, przyzwoity obywatel - powiedział otwarcie.

- Co masz na my li?

- Prawo stworzono dla damulek, które martwi si o to, e kto włamie si do ich domu. No i mo e dla urz dników yj cych z pensji, którym kradn samochody. Znalazła si teraz w innym wiecie. W tym wiecie władza wyst puje przeciwko władzy, a prawo cholernie si do tego przyczynia.

Na linii zapanowało długie milczenie. Cisza była wymowna. Swann widział, e jego córka nie pochwała stanowiska.

- Posłuchaj, Laurie. Robi to dla ciebie, dla siebie i jeszcze dla kilku durniów, którzy wierzyli, e lojalno działa w obie strony.

- Ale...

- Trzymaj si z daleka i pozwól robi mi to, w czym naprawd jestem dobry - powiedział, przerywaj c jej w pół słowa. - Zadzwoni do ciebie, jak ju b dzie po wszystkim.

- Zaczekaj. Co mam powiedzie Cruzowi?

- Nic mu nie mów. ład urywa si na tobie. Nie znajdzie mnie, o ile go nie naprowadzisz. Nie zrobisz tego, prawda? Obiecuj mi, Laurie.

- Nie wymagaj tego ode mnie, tato - powiedziała rozpaczliwie. - Nie znam si na tym twoim wiecie. Wcale mi si nie podoba. Nie mog ci obieca , e zrobi to, czego ode mnie dasz.

- Posłuchaj mnie, posłuchaj uwa nie - mówił Swann podniesionym głosem. - Mój wiat mo e ci si nie podoba , ale ju si w nim znalazła . Nie mo esz go teraz opu ci , przenosz c si do Kansas jak za dotkni ciem czarodziejkiej ró d ki. Mo esz mi pomóc albo udawa , e jeste ponad to i spieprzy cał spraw . Które wyj cie wybierzesz?

Na linii znów zapanowała cisza.

- Poradz sobie w twoim wiecie, tak jak ty radzisz sobie w moim.

Ból przeszył Swanna. W głosie córki brzmiała gorycz. Kiedy po raz ostatni rozmawiał z Ariel, jej głos brzmiał identycznie; mieszanina alu, goryczy i miło ci. Nie wiedział wtedy, co bolało najbardziej - al, gorycz czy miło . Nie wiedział tego do tej pory.

- Do widzenia, Laurie - szepnął, kiedy już odłożył słuchawkę. - Kocham cię, o ile ma to jakieś znaczenie.

Długo jeszcze siedział w drogim pokoju hotelowym i przyglądał się światłom miasta przez mgłę, która każe deej nocy zakradała się tuż nad Pacyfiku. W końcu wstał i nalał sobie czystej wódki. Wypił dwoma haustami i wla nie nalewał następnego szklaneczkę, kiedy usłyszał pukanie.

Otrząsnął się jak człowiek, który wyszedł z transu, i podeszedł do drzwi,

- Kto tam?

- To ja, kotku.

Swann rozpoznał głos i otworzył drzwi.

Claire Toth stała w progu i uśmiechała się jak kobieta, która oczekuje Wylewnego powitania.

- Wejdź - powiedział Swann i wycofał się w głąb pokoju.

Toth dalej stała w drzwiach z rękami na biodrach.

- Tylko na to cię sta, kotku? - próbowała go sprowokować.

- Mamy kłopoty, kotku - odbił piłeczkę.

Ton jego głosu zdradzał, że na razie nie ma mowy o potyczkach słownych. Zamknęła drzwi, zablokowała zamek i odwróciła się do mężczyzny, który był najlepszym kochankiem, jakiego miała.

Toth dorastała w przerzeczonym domu. Pieprzyła się z tyloma facetami, że nie mogła ich nawet spamiętać. Im wydawało się, że to oni pieprzają ją, ale Toth wiedziała swoje. Ostatecznie to ona odchodziła z pieniędzmi.

A w życiu liczyły się tylko pieniądze. Jeśli ktoś myślał inaczej, to znaczy, że nie zaznał takiej biedy, żeby je karaluchy.

- Co się stało? - spytała.

- Ktoś depcze nam po piętach. Dotarli już do mojej córki.

Toth wyglądała na zaskoczoną. I zmartwioną. Kiedy Swann odwrócił się i poszedł do barku, na jej twarzy pojawiła się zaciętość.

- Chyba córka tatusia będzie trzymała język za zębami?

Subtelnej zmiany w tonie jej głosu można by nie zauważyć, gdyby Toth miała do czynienia z mniej do wiadczonego mężczyzną. Swann odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Rzekł za nią - powiedział z przekonaniem.

wietnie kłamał. Miał duży praktyk. Przestał by już pewien, gdzie kończy się kłamstwa, a zaczyna prawda. Jeśli w ogóle gdzieś się zaczynała.

- To dobrze - powiedziała głosem, który znów był miękki i ciepły.

Przez chwilę przytrzymała wzrok mężczyzny, którego jasnobrowa żona, szalone oczy zafascynowały ją od chwili, gdy ujrzała je po raz pierwszy. Lwie oczy. Równie zmysłowe, co niebezpieczne. Nie wiedziała, co bardziej jej się podobało: zmysłowość czy niebezpieczeństwo. Wiedziała natomiast, że chce mieć i jedno, i drugie, bo jedno to za mało. Tylko Swann mógł jej to dać.

Nie odrywaj c od niego wzroku, podeszła tak blisko, e mogła go dotkn .

- Gdzie jest jajo? - spytała. Ton jej głosu zdradzał, e naprawd pyta, czy Swann czuje si przy niej taki m ski, jak ona przy nim kobieca.

- W bezpiecznym miejscu - odpowiedział.

- Czy udało jej si wyj ten rubin?

- Nie prosiłem jej o to - powiedział i u miechn ł si blado. - Im mniej wie, tym lepiej dla nas.

- Kto za ni łązi?

- Cruz Rowan.

- Rowan? Federalny, który zamordował tych dwoje niewinnych dzieciaków?

Swann roze miał si cynicznie.

- Jezu, Claire. Od kiedy wierzysz w bzdury, które sama wypisujesz? Oboje wiemy, e ci gówniarze byli terrorystami.

Opró nił kolejn szklaneczk wódki.

- Nie oszcz dzasz si , co? - spytała.

- Nie martw si . To nie wysuszy atramentu w moim piórze.

Toth zast piła u miech zmysłowym, zapraszaj cym wyd ciem warg.

- Nikt nie jest w stanie wysuszy go na dłu ej - powiedziała chrapliwie. - Nawet ja.

Swann u miechn ł si cynicznie. Nachylił si gwałtownie i wgrzył w wargi Toth tak mocno, e w jej oczach pojawiły si łyzy, a brodawki stwardniały w ułamku sekundy.

- Kłamiesz jak dziwka, któr zreszt jeste - powiedział i zaczą oblizywa ład, który pozostawił na dolnej wardze.

- A ty wierzysz mi jak ka dy frajer, który za to płaci - odgryzła mu si .

Swann odchylił głow i wybuchn ł miechem. Odporno emocjonalna Toth kontrastowała z wra liwo ci Ariel, któr tak łatwo było zrani . Przy Toth nie musiał si kontrolowa .

- Do diabła - powiedział - takie gadki tylko bardziej ci podniecaj .

- To ty zaczą łe t mił gr . Kiedy zamierzasz j zako czy ?

- Kiedy doprowadzisz mnie do takiego stanu, e o niczym innym nie b d my łał.

R ka Toth pow drowała do jego krocza. Patrzył w półprzymkni tymi oczami, nie przerywaj c rozmowy.

- Wielka szkoda, e twój raport o rzekomych powi zaniach Rowana z rz dem jednego z krajów afryka skich doprowadził do jego odej cia z FBI - powiedział.

- Dlaczego? - spytała, badaj c jego erekcj dło mi. Palce wbijała tak mocno, e balansował na kraw dzi bólu. Im wi kszy si robił w jej dłoni, tym ci ej było mu oddycha .

- Rowan pracuje teraz dla prywatnego biznesu, Risk Limited - zakomunikował jej Swann.

R ka Toth przestała si porusza .

- Niedobrze, kotku - skomentowała.

- Wiem. Musiałem ukrywa si przed nimi w zeszłym roku.

Toth chwyciła zapi cie suwaka dwoma czerwonymi paznokciami. Bawiła si nim i obserwowała Swanna. renice mu si rozszerzyły, a puls na szyi stał si widoczny. Ale daleko jeszcze mu było do utraty kontroli.

To wła nie podobało jej si w Swannie. Był prawie tak zimny, jak ona i prawie tak :

Prawie.

Toth zostawiała sobie większy margines bezpieczeństwa.

- Z jakiego powodu? - zapytała.

- Kupili my sprzęt elektroniczny dla byłego sojusznika. Rzeczy, które figurowały na rzadowej czarnej liście. Producent wynajmował Rowana, żeby dowiedział się, kto kupił objęte embargiem towary.

- Udało mu się?

- Tak. Natychmiast wyczuł sprawę - powiedział Swann.

Dźwięk otwieranego suwaka w cichym pokoju słychać było bardzo wyraźnie.

- Kiedy ma czasem pecha - podsumowała Toth.

Wsunął rękę do rozporoka.

- Nie miałem pecha - zaproponował. - To Rowan okazał się cholernie dobry. Lepiej, żeby został w FBI.

- A ty nie wiałaby z FBI? - spytała Toth.

- Tam trzeba grać według paru zasad, które nie obowiązują w prywatnej firmie.

Przez chwilę słychać było tylko przyspieszony oddech Swanna. Toth wyjęła jego członka.

- Czy jajo jest gdzieś niedaleko? - spytała, ciskając go dwiema rękami.

- Wystarczająco blisko.

- Gdzie?

Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, uklękła przed nim. Jej twarz przybrała obojętny wyraz. Było tak zawsze w obecności Hudsona i wszystkich pozostałych mężczyzn, ale nigdy Swanna.

A do teraz.

- Przynieś je - powiedziała.

Widok własnego członka w umalowanych czerwonym szmink ustach Toth zawsze podniecał Swanna. Nawet wówczas, gdy drażniła go swymi ostrymi, małymi zębami. Zwłaszcza wtedy.

Swann ledwie oddychał z podniecenia, ale postanowił, że jeszcze ją przetrzyma. Jeszcze chwilę. Dopóki nie będzie mógł wytrzymać ani sekundy dłużej. A może nawet wtedy nie da jej poznać?

- Nie przyjmuję twoich rozkazów - powiedział.

- Nawet kiedy trzymasz Fiuta w moich ustach?

- Tym bardziej wtedy - odciął się.

Toth za nią się i zaczęła go lizać. Podrażniła go zębami. Swann syknął. Nagle jego palce zacisnęły się pieśczołliwie na jej szyi.

Zadręła wzburzona i jęknęła z podniecenia.

Umięch Swanna był tak samo okrutny, jak jego oczy.

- Gdybym teraz włożył rękę w twoje majtki, okazałoby się, że jesteś bardzo wilgotna - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Nie zaprzeczyła. Tylko Swann potrafił naprawdę ją podniecić, bo nie miała nad nim całkowitej władzy. Nawet teraz, gdy wydawało się, że nad nim panuje, jego ręce w każdej chwili mogły pozbawić ją życia.

Gdyby miał powód, zrobiłby to.

Toth wierzyła, że żadna inna kobieta nie podniecała go tak jak ona. I te umiałaby zabić. Dlatego jej pozwolił.

Mogłaby zabić nawet jego.

- Je li kto miałby mnie kiedy zabi - powiedziała - mam nadzieję , że to będzie ty.

Swann walczył z uczuciem gorąca, które narastało od nasady kręgosłupa.

- Dlaczego? - spytał niskim głosem.

- Bo w trakcie doprowadziłby mnie do szczytowania.

- Ty mnie też .

- Mmm, tak.

Swann może miał się miłośnik. Niewiele to miało wspólnego z miłością .

Jego ręce zacisnęły się , delectując rozszalałym pulsem kochanki. Potem wsunął dłoń pod jej ramiona i bez trudu uniósł ją do góry.

- Już ? - spytała, ciesząc się z szybkiego zwycięstwa.

- A ty?

Nie czekając na odpowiedź zadarł spódnicę . Dwa palce wliznęły się pod wilgotny pasek jedwabiu i wbijały się w nią do chwili, kiedy poczuł , że dłużej nie wytrzyma.

Toth jej knęła i zacisnęła się na jego palcach, zwińszając napięcie. Z rozkoszy wygięła ciało.

- Tak, maleńka - powiedział, kładąc ją w usta. - Lubię , kiedy jesteś taka mokra.

Bez ostrzeżenia zabrał rękę i odszedł. Toth, zaskoczona, patrzyła, jak z powrotem wskakuje w spodnie.

- Wróć za dziesięć minut - powiedział. - Z jajem.

Oddychając gwałtownie patrzyła, jak wychodził. Przygryzła usta i poczuła smak krwi. Przygryzła mocniej.

Podeszła do telefonu, wybrała numer i czekała.

Ochrypli, gardłowy głos po drugiej stronie powiedział jedno słowo, które brzmiało jak „tak?”. Ale mogło być powiedziane w obcym języku.

- Czy miała jakiego gościa? - spytała.

- Możliwe. Działo się tam coś dziwnego. Zapaliły się światła. Nadal się wiec .

- Zabij wszystkich.

- Kiedy?

- Natychmiast.

Toth odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Patrzyła na swoje odbicie w szybie i czuła armię dzy udami. Zastanawiała, kto będzie miał orgazm, a kto umrze.

I kiedy.

12

Poruszając się , jakby pod powierzchnią wody, Laura włożyła luźny kremowy tunik na ciemny golf i dżinsy. Skarpetki i sportowe buty.

Kiedy je sznurowała, zorientowała się , że są identyczne jak te, które ma na nogach Cruz. Nie zносиła sportowych butów w pastelowych kolorach, które masowo zalegały na półkach w damskim dziale, więc kupiła je w mskim. Umiechnęła się cierpko, zastanawiając się , czy Cruz też to zauważy.

Powolnymi ruchami chwyciła szczotkę do włosów i zaczęła je czesać . Wreszcie straciła rachubę , ile razy przecięgnęła nią po włosach.

Grała na zwłoki i dobrze o tym wiedziała. Podejrzewała , że Cruz też wie.

W końcu wyszła z sypialni i poszła na dół. Cruz oglądał woskowe figurki, które

oknem. Był zafascynowany rzeźbionymi kształtami. Rodkowym palcem lewej dłoni delikatnie dotykał łobionego kwiatu. Nie wiedziała, czy Cruz zorientował się, że już wróciła, bo nie dał żadnego znaku.

- Uwaga - powiedziała nienaturalnym tonem. - Jeszcze ich nie odlałam, a w przyszłym tygodniu mam je dostarczyć klientowi.

Cruz ostro nie odłożył formy.

- Rzeczywiście to nie tylko hobby - stwierdził.

- Nie tylko. W przeciwieństwie do niektórych, zawsze mówi prawdę.

Cruz spojrział na nią z ukosa i wrócił do podziwiania figurek.

- Sama je zaprojektowała? - spytał.

- Tak.

- Kto je sprzedaje? A może tym też zajmujesz się sama?

- Kilka galerii w kraju wystawia moje prace na sprzedaż,

- Firmujesz je nazwiskiem Laurel Swann?

Laurel zastanawiała się, czy Cruza naprawdę interesują jej prace, czy zadaje pytania z przyzwyczajenia. To nie miało znaczenia, uznała. Na te pytania mogła przynajmniej szczerze odpowiadać, nie walczyła o każde słowo.

- Sygnuję je nazwiskiem Swann Cameron.

- Podpisała z kim umowę?

- Nie mam ani głowy, ani ochoty, żeby produkować te rzeczy ta mowa - powiedziała Laurel. - Jestem wolnym strzelcem.

Cruz pokiwał głową i przyjrzał się z bliska filigranowym łukom odlewu.

- Co powiedział ojciec? - spytał, nie zmieniając tonu.

Laurel obróciła się i spojrzała na niego wrogo.

- Ty sukinsynu - powiedziała. - Podśłuchiwałeś!

- Próbowałem. Nie chciałem, żeby ktoś zorientował się, że podniosłem słuchawkę w drugim aparacie. Stałem na szczycie schodów. Słyszałem ton twojego głosu, ale nie rozumiałem wielu słów.

- Zatem skąd wiesz, że rozmawiałam z ojcem? - spytała z wyrzutem.

- Powiedziała, że nie masz chłopaka...

- Bo nie mam!

- ...ale rozmawiała z kim bardzo swobodnie. I nie widać cię w kłopoty.

Laurel nie wykonała żadnego ruchu, nie odezwała się słowem.

- Nie masz rodziców, kuzynów, wujków ani ciotek, a twoja matka zmarła przy wiadkach. Za to ojciec...

Cruz zauważył, że reńce Laurel rozszerzyły się w charakterystyczny sposób, a puls na szyi gwałtownie przyspieszył. Wiedział, że trafił w dziesiątkę.

- Tak - powiedział. - Tak właśnie myślałem. Uznano go za zaginionego w akcji, ale nigdy nie znaleziono ciała. Czy on pracuje dla CIA?

Laurel nie odpowiedziała.

- Zdradziła cię broń - powiedział spokojnie. - Ktokolwiek ją przerabiał i uczył ci strzelać był tradycjonalistą. Prawdopodobnie szkolony w armii amerykańskiej za czasów Wietnamu. Ktoś bardziej na czasie sprawił ci mały, lekki pistolet, dziewięć milimetrów.

Laurel zmusiła si do patrzenia Cruzowi prosto w błyskotliwe, lodowate oczy.

- Najbardziej zdradziła ci twoja postawa - stwierdził. - Martwiła si o osob po drugiej stronie linii bardziej ni o sam siebie. Była posłuszna. W przeciwnym razie kazałaby mu si wypcha , kiedy poprosił ci , eby dla niego skłamała.

Wstrz ni ta Laurel odwróciła si do Cruza plecami.

- ałuj , e nie podsłuchała wszystkiego. Nie znosz , kiedy kto czyta w moich oczach z tak łatwo ci , jakby przegl dał porann gazet .

- Łatwiej ci rozszyfrowa ni innych, bo jeste uczciwa - powiedział Cruz i wzruszył ramionami. - Co mam ci powiedzie ?

- Do widzenia.

- Nie chcesz ju ze mn rozmawia , co? Dlaczego?

- Skoro jeste taki cholernie bystry - wycedziła przez z by - ty to powiedz.

- Masz pełne prawo, eby chroni własnego ojca w normalnych warunkach - powiedział. - Ale mamy do czynienia z bardzo powa n kradzie na skal mi dzynarodow .

- Niezłe, ale nie dam si na to złapa - powiedziała opryskliwie.

- My lisz, e tatu pracuje dla rz du, mam racj ?

- Prawo nie ma nic wspólnego z t spraw . Dlatego tu jeste . Twój klient nie chce miesza do tego glin.

Wyraz zaskoczenia i uznania przemkn ł przez jego twarz.

- Widz , e szybko łapiesz - powiedział. - A mo e tata wprowadził ci w temat?

- Czy to wa ne?

- Nie wiem. Wiem natomiast, e nie jeste do ko ca odporna na to, co si dzieje.

- A kto jest - spytała cierpko.

- Nikt. Ale wielu ludzi bł dnie s dzi, e oni s .

Cruz ponownie rozejrzał si po pracowni. Jego twarz nie zdradzała adnych uczu .

Laurel niespokojnie czekała na kolejn rund potyczki. Podejrzewała, e nie potrwa to długo.

Nie trwało.

- Nasz klient nie chciałby zwraca na siebie uwagi - powiedział Cruz i gwałtownie odwrócił si do Laurel, przewiercaj c j swoimi błyskotliwymi, jasnymi oczami. - Ale zrobi wszystko, eby odzyska jajo.

Laurel patrzyła na niego.

- Je li b dzie trzeba załatwi Bogu ducha winn córk złodzieja, zrobi to bez zastanawiania - ci gn ł Cruz. Zawahał si i dodał: - Nie chciałbym, eby to si stało.

- Tak. Jasne. Popłakałby sobie nad czekiem za wykonan robot .

Oczy Cruza zw ziły si .

- Ojciec wszystko mi o was powiedział - rzuciła Laurel przez zaci ni te z by. - Pracujesz w tym samym biznesie co on, wi c nie wmawiaj mi, e tak strasznie martwisz si o wszystkie biedne, małe owieczki na wiecie. Obaj wykorzystujecie ludzi i jeste cie kłamcami. Tak was wyszkolono, natura niewiele ma z tym wspólnego. Ludzie to dla was tylko pionki.

Zapadła cisza. Cruz i Laurel słyszeli swoje oddechy.

- Czy twój ojciec wie, jak bardzo go nienawidzisz? - spytał łagodnie.

- Nie, bo to nieprawda.

- Wi c dałem si nabra .

- W takim razie łatwo ci nabra - powiedziała Laurel. - Kocham swojego ojca. Tylko niezbyt go lubi , zwłaszcza kiedy pracuje.

Laurel odwróciła si od Cruza i popatrzyła w ciemno za oknem.

- Nie lubi by pionkiem - powiedziała. - Ale wiem, na którym polu stoj . Ojciec mnie kocha tak, jak umie.

Jej słowa kryły w sobie wielki smutek. Cruz niespodziewanie odkrył, e chce chroni kobiet , która wydała mu si teraz bardziej bezradna i nieszcz liwa, ni sama s działa.

Zanim zd ył zrobi co pod wpływem impulsu, stan ło mu przed oczami brutalne wspomnienie z przeszło ci.

Kobieta odwróciła si do niego, u miechaj c łagodnie. W r ku trzymała du y, czarny pistolet. Poczł piek cy ból w lewej r ce, kiedy kula roztrzaskała mu kostk wskazuj cego palca. Potem usłyszał strzały z własnej broni i odgłosy mierci.

Współczucie do niektórych kobiet okazywało si powa nym bł dem. Mo e Laurel była jedn z nich?

- Chcesz pomóc ojcu? - spytał mi kko. - Doskonale. Powiedz mi, gdzie jest jajo.

Po plecach Laurel przebiegi lodowaty dreszcz. Spojrzała na niego przez rami i z powrotem odwróciła głow w stron ciemno ci za oknem. Nigdy w yciu nie widziała czego smutniejszego ni oczy Cruza Kowana. W porów naniu z nimi noc kusła powabn wesóło ci .

- Nie wiem, gdzie jest jajo - powiedziała.

- Czy ojciec zabrał je ze sob ?

Wzruszyła ramionami.

- Dok d pojechał? - spytał Cruz.

- Nie wiem.

- Dok d mógł pojecha ?

- Nie potrafi ci pomóc - powiedziała.

- Nie potrafisz, czy nie chcesz?

- Jedno i drugie - odparła Laurel. - Nie potrafi go zdradzi .

Przez kilka chwil Cruz wpatrywał si w kobiet , która wołała patrze w ciemno nocy ni na niego. Jej postawa była zgodna ze słowami. Wyprostowane plecy, rozstawione nogi i uniesiona głowa. Była gotowa zmierzy si z nieznanym.

Cruz u wiadomił sobie, e pewnie robiła to od dawna. Taki ojciec jak Swann niecz sto bywał w domu. Matka, artystka, pewnie wi kszo czasu yła we własnym wewn trznym wiecie. Ale bior c pod uwag , e była on Swanna, nie mo na mie jej za złe, e zamykała si w sobie.

Laurel odwróciła si , zaintrygowana milczeniem Cruza. S działa, e znajdzie w jego oczach determinacj . Odnalazła współczucie i podziw, ale ledwie je rozpoznała.

Tym razem Cruz odwrócił wzrok. Nie mógł dłu ej patrze w twarz kobiecie, w której ycie wchodził z buciarami z powodu pewnego przest pcy - jej ojca.

Podniósł ci ki, czarny pistolet, który le ał na stole. Trenował strzelanie z ró nych rodzajów broni, ale mierzenie do ywego celu to całkiem co innego. Cruz wiedział, e nigdy nie przyzwyczai si do tego. Wiele razy zastanawiał si , czy gdyby mógł cofn czas, zrobiłby jeszcze raz to, co zrobił pi lat temu.

Strzelanie do ludzi nie było takie proste, jak pokazywali w telewizji. A już na pewno nie było ani schludne, ani eleganckie.

Cruz odchylił lufę pistoletu i zajął do strzelaka. Krótka przerwa, a zobaczył światło z drugiej strony.

- Brudna - powiedział i jeszcze raz zajął w lufę, mrużąc oczy. - Ojciec nie nauczył ci, jak czytać broń?

Laurel obserwowała w milczeniu, jak Cruz obchodzi się z nią kimś pistoletem. W jego rękach wydawał się taki zwyczajny, jak hebel w rękach stolarza albo dłuto w jej dłoniach.

- Ta broń jest czysta jak w dniu, w którym opuściła fabrykę. Dlaczego twój klient obawia się policji?

Cruz opuścił pistolet, wziął magazynek ze stołu i wprawnym ruchem załadował.

- Jesteś bardzo bystra, ale pakujesz się w grę, której zasad i konsekwencji nawet się nie domyślasz.

- Czy to groźba?

- Nie. Szczerą prawdą. Mogę zrozumieć, że nie chcesz zdradzić ojca - powiedział Cruz. - Nawet podziwiam cię za to, choć wiem, że le robisz. Jeśli dalej będziesz tak postępować, popełnisz miernotny błąd. Nie mogę ci na to pozwolić.

Laurel poczuła, że włosy zjeły się jej na karku. Nie używał przesadnej intonacji ani teatralnych pauz, żeby ją przekonać. Mówił rzeczowo i prosto.

- Nie możesz mnie powstrzymać - oznajmiła.

Jej głos zdradzał niepokój.

- Mogłbym zabrać cię ze sobą - stwierdził.

Spojrzała na pistolet w jego rękach. Jej pistolet.

- Pod bronią? - spytała kłóliwie.

Jego usta drgnęły w kąślikach od prawie niewidocznego uśmiechu.

- Po prostu przetrzasną cię przez ramiona i wywiozę do swojej kryjówki na pustyni - powiedział. Zawsze chciałem zrobić to jakiejś pięknej kobiecie.

- Jesteś zadowolony - stwierdziła, ale w jej głosie pobrzmiewało rozbawienie.

- Dzięki.

- Poza tym prywatni detektywi nie mają kryjówek na pustyni.

- Nie?

- Mają małe, tandetne gabineciki z używanymi biurkami, na których stoją telefony takie same jak te, które można zobaczyć na czarno-białym filmie.

Cruz rozejmiał się głono.

- I kto tu jest zadowolony?

- Laurel odkryła, że się uśmiecha. Cieszyła się, że dystans i chłód zniknęły z jego oczu.

- Jestem innym gatunkiem prywatnego detektywa - powiedział Cruz. - Posługujemy się wyłącznie telefonami komórkowymi. Mamy sieć radiowozów działającą na całej kuli ziemskiej, przez którą porozumiewamy się z naszymi pracownikami.

- Pagery te?

- Tak - powiedział. - Chciałbym wyrzucić w cholerę te wszystkie gadżety.

Spojrzał na cienie, przestarzały, lecz wciąż niebezpieczny pistolet, który trzymał w ręku.

- Mogłoby ci się spodobać na pustyni - powiedział. - I na pewno polubiłabyś Cassara

Twarz Laurel stała się nieufna.

- ona, dziewczyna czy oswojona iguana?

- Pudło. To moja szefowa, Cassandra Redpath.

- Ta Cassandra Redpath? Ambasador, profesor, historyk? - spytała zdumiona Laurel.

- Pominęła jeszcze analityka CIA i Departamentu Stanu.

- Nie wspominali o tym na okładce książki,

- Książka? - spytał. - Naprawdę czytujesz Cassandrę?

- Naturalnie. Wśród pochtaniam. Redpath jest jedynym historykiem, który rozumie sztukę równie dobrze jak politykę. Pewnie dlatego, że jest kobietą.

Cruz poczuł się urażony.

- Następną babską szowinistką - mruknął. - Cassandra będzie cię uwielbiała.

Zabezpieczył broń i odłożył ją na stół, po czym spojrzał wyczekując na Laurel.

- Lepiej się zbierajmy - powiedział. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Co?

- Spakuj rzeczy. A może wolisz podróżować bez bagażu?

- Nigdzie nie jadę.

- Oczywiście, że jedziesz - powiedział, uśmiechając się. Ale w jego oczach była powaga.

- Nie - odparła Laurel.

- Nie chcesz być jaskiniowcem, stonko, ale albo jedziesz ze mną na pustyni ...

- To uprowadzenie.

- ...albo przyłtu człowieka, który będzie łaził za tobą jak ciebie, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Taksował ją wzrokiem.

- Po namyśle stwierdzam, że sam mógłbym się podjąć tego zadania - dodał.

- Jaskiniowiec to komplement w twoim przypadku - uznała Laurel. - A teraz wyjdź stąd, zanim...

- Wezwiesz policję? - spytał miertelnie poważnie.

Strach, złość i frustracja targwały Laurel. Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Cruz wiedział to równie dobrze, jak ona. Nawet lepiej. Przecież przez niego znalazła się w tym położeniu.

- Kiedy tak sobie rozmyślasz, jakim jestem okropnym bydlakiem i sukinsynem, mogłabyś się jednocześnie pakować.

- Nie.

- Jak chcesz.

Laurel nigdy nie pomyślałaby, że taki duży mężczyzna może poruszać się tak szybko. Zanim zorientowała się, co zamierza, złapał ją i uniósł na rękach jak dziecko.

- Niech ci diabli wezmą! - powiedziała, szarpąc się. - Puść mnie!

- Jeśli będziesz się wyrywać albo krzyczeć, pozbawię cię przytomności.

Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczyło, żeby Laurel wiedziała, że nie artuje.

Nie zdążyła się zastanowić, co robi, gdy usłyszeli tępy odgłos za drzwiami.

- Co...? - zaczęła.

Cruz już był w akcji. Nieraz słyszał taki odgłos. Bez sprawdzania wiedział, że

wła nie dziur wielko ci dorosłego m czyzny mi dzy gara em a pracowni .

Postawił Laurel na podłodze i skr cił po pistolet, który le ał na stole.

- Kład si ! - krzykn ł do niej, odbezpieczaj c bro .

Oszołomiona Laurel patrzyła, jak dwie ciemne postacie wskoczyły do pokoju. M czy ni mieli bro . Lufami omiatali pracowni , poszukuj c celu.

Cruz podci ł stop Laurel i powalił j na ziemi . Zakrył j własnym ciałem. Podniósł bro i odwrócił si twarz do m czyzn. Laurel narobiłaby wrzasku, gdyby miała cho odrobin powietrza w płucach.

Cruz zablokował jej plecy przedramieniem, le ała wi c płasko na cementowej podłodze gara u, twarz do napastników. Usłyszała dwa d wi ki, które brzmiały, jakby kto si zakrztusił, a potem dwa pla ni cia podobne do klapsów.

Cruz wzdrygn ł si . Potem hukn ły dwa strzały z jej pistoletu.

Kula trafiła jednego z intruzów, który stracił równowag i zatoczył si na cian . Jego pistolet poszybował w gór , a on zawył z bólu.

Drugi włamywacz chwycił swój nadgarstek i zaskomlał. Bro wyleciała mu z r ki. Kiedy schylił si , eby j odzyska , Cruz posłał mu dwa szybkie strzały. Kule uderzyły o beton.

Obaj m czy ni wycofali si i zacz li w popłochu ucieka , porzucaj c bro .

Cruz przykucn ł i obiema r kami trzymał wycelowany w przestrze pistolet. Z napi ciem obserwował wej cie do gara u.

Na zewn trz nic si nie działo. Nie słyszeli innych odgłosów poza tupotem po piesznie oddalaj cych si m czyzn.

- Jeste ...?

- Cicho.

Wypowiedziane łagodnym tonem polecenie zostało wykonane i Laurel nie doko czyła pytania.

Cisza rozbrzmiewała echem.

Cruz odczekał jeszcze jaki czas. Nic nie zakłócało ciszy.

Nie spuszczał c oczu z drzwi, si gn ł za siebie i bł dził tak długo, a odnalazł r k Laurel. Jednym mocnym u ciskiem dał jej do zrozumienia, e ma si nie rusza z miejsca.

Jej zimne palce zacisn ły si na jego dłoni potwierdzaj c, e rozumiała.

Cruz skradał si bezgło nie do drzwi z wdzi kiem poluj cego kota. Natkn ł si na bro napastnika. Wystarczył mu jeden rzut oka, eby rozpozna pólautomat du ego kalibru z tłumikiem wielko ci parówki.

Doskonały zawodowiec, doskonale uzbrojony, pomy lał opanowan cz ci mózgu.

Przyjrzał si dokładniej broni zamachowca. W miejscu, gdzie powinien znajdowa si numer seryjny, pozostały jedynie wie e lady po stalowym pilniku.

Profesjonalista w ka dym calu, pomy lał ponuro. Całkiem celnie strzelał. Maszyna do zabijania.

Dwa strzały trafiły w przestrze mi dzy klamr paska, a klatk piersiow Cruza. Jego mózg zakodował t informacj , ale ciało jeszcze jej nie otrzymało. Dopóki istniało niebezpiecze stwo, adrenalina działała jak silna narkoza.

Zdławił j k, kiedy ból dotarł do jego układu nerwowego. Chciał i dalej, eby podnie drugi porzucony pistolet, ale upadł na kolana. Kiedy próbował si podnie , przera liwy j k wyrwał mu si z g

Laurel podbiegła szybko i podała mu ramię. Spojrzał na nią zaskoczony i oszołomiony. Zobaczył, jak jej piękne złote oczy rozszerzyły się w panice, kiedy zauważyła dwie dziury w jego ciemnym swetrze.

- To mój problem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Jesteś wierzysz w to, co mówisz, znaczy, że masz tyle rozumu, co lakier do paznokci.

Laurel nachyliła się, żeby przyjrzeć się ranom. Cruz chwycił ją za włosy i pociągnął do góry.

- Jesteś chcesz żyć, nie ma na to czasu - powiedział.

- Ja? A co z tobą?

- Oni przyszli tu po ciebie. Ja przypadkiem znalazłem się na linii ognia.

- Czy oni wrócą?

- Ja bym wrócił.

Laurel spojrzała w jasne, szalone oczy Cruza. Czowała wyrażenie, że powinna się go obawiać. I pewnie tak by było, gdyby nie pewien drobiazg.

To on dostał dwie kule przeznaczone dla niej.

13

Laurel gwałtownie potrząsała głową. Chciała pozbyć się odgłosów, które cięgle dzwoniły jej w uszach.

Nic nie pomogło.

Nagle zawałił się cały jej świat. Pistolety plujące ogniem, krzyki mężczyzny, gardłowo wypowiedane słowa, dwie ciemne postacie, które rozplynęły się w ciemności, Cruz wyglądający jak zaciągnięty na ofiarę kot.

Tyle przemocy wydarzyło się w tak krótkim czasie. Najbardziej przerażało ją, że kto pragnął jej śmierci.

- Cruz? - szepnęła.

- Idź się spać. Natychmiast.

Na ciemnej, kanciastej twarzy mężczyzny, który uratował jej życie, rysował się ból. Cruz przycisnął lewy łokieć do boku i podniósł się. Oparł się ciężko na stole warsztatowym. Duży, czarny pistolet wciąż wisiał z jego dłoni jak zabawka. Tyle że nie był zabawką.

- Ruszaj się - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Nie możesz nigdzie jechać. Jesteś ranny.

- Wprawdzie nie oberwałem, ale nie jestem ranny - poinformował ją.

- Przecież czułam, jak ci rzuciło, kiedy dostała kulę - upierała się Laurel. - Czułam wyrażenie.

- Ja też. Wierz mi.

Cruz uśmiechnął się smutno i spróbował oswobodzić się ze swetra, nie ruszając lewej ręki.

- Co robisz? - spytała.

- Rozbieram się. Pomóż mi, czy będziesz podziwiała i wsuwa mi banknoty za gumki w slipkach?

Laurel burknęła coś, co zabrzmiało mniej więcej jak pieprzony troglodyta, chwyciła sweter Cruza.

- Jezu, powoli!

Ręce Laurel znieruchomiały w trakcie zdejmowania swetra, tuż nad jego głową. Nawet z bliska nie mogła dopatrzeć się żadnych śladów krwi.

Dziękuję Bogu, pomyślała. Kule chyba go nie trafiły.

- Cruz? - spytała bez tchu.

- Jeszcze tu jestem. Czekać. Nie... ruszaj się.

Słyszała, jak przez zaciśnięte zbywiszczy powietrze. Uniosła jego prawą rękę i usłyszała niski dźwięk. Cruz ją knął.

- Dobra - powiedział, cięko dyszycie. - Teraz cięgaj. Delikatnie.

- Przepraszam. Nie chciałam sprawić cię bólu.

- Jasne. Najpierw zdejmij z prawej rękę.

Z wahaniem zaczęła cięgać sweter z prawej rękę. Potem uporowała się z głową. Kiedy rozluźniła cięgacz wokół lewej dłoni, Cruz z sykaniem wciągnął powietrze.

- Cruz...

- Zdejmij wreszcie ze mnie to gówno - wycedził.

Laurel zdjęła sweter i położyła go na stole. Ręce jej się trzęsły. Widok jego zamkniętych oczu, bladej twarzy i wykrzywionych bólem rysów nie poprawiał jej nastroju.

- Teraz koszula - powiedział.

- Nie chcę sprawiać cię bólu.

Cruz otworzył oczy. Spojrzał na Laurel i kiedy przekonał się, że mówi szczerze, posłał jej wykrzywiony cierpieniem uśmiech.

- W porządku - rzekł i dotknął lewą dłonią jej policzka. - Następnym razem zanim pozwolę do siebie strzelić, upewnij się, że nie mam na sobie swetra.

Laurel miała ochotę zwymyślać Cruza za to, że stroi sobie sztuki, ale stała bardzo blisko niego i widziała, jak cierpi. Jeeli potrafił jeszcze sztuka, zamiast ualać się nad sobą, nie miała prawa narzekać.

- Bardzo dobrze - mruknęła. - Jak na razie żadnych ładów krwi. Gdzie najbardziej boli?

- Z lewej strony. Najpierw wyciągnij koszulę ze spodni. A potem porozpinaj.

Laurel podeszła od tyłu i wyciągnęła ją, ale Cruz opierał się biodrami o stół.

Niezręcznie sięgnęła za jego plecy jedną rękę, starając się nie dotykać lewego boku. Przywarła policzkiem do jego klatki piersiowej i chwyciła spory kawałek materiału. Był bardzo ciepły. Tak jak Cruz.

- Ładnie pachniesz - powiedział.

- Ty nie - stwierdziła. - Proch i pot.

Cruz rozejrzał się głośno i zaraz zaklął.

- Nie roz mieszaj mnie, kochanie.

Powrócił spokój, a wraz z nim aksamitny ton jego głosu. Laurel spojrzała na Cruza, ostro nie wyciągając materiału.

Tu popełniła błąd. Jego oczy miały kolor brazylijskiej akwamaryny, jasne, krystaliczne, błyskotliwe. Wyciu nie widziała nic piękniejszego niż zestawienie srebrnoniebieskich oczu z otaczającymi je gęstymi, czarnymi rzęsami.

Odchyliła głowę.

- Boli tylko, gdy się miewiesz, tak?

- Nie - skrzywił się. - Boli cały czas.

- Ta koszula sięga cię chyba do kostek - mruzczała Laurel, ostro nie wyciągając materiału.

- Zrób to dwiema rękami.

- A co z lewym bokiem?

- Po prostu nie dotykaj siebie.

Laurel głębię wciągnęła powietrze i objęła szczupłe biodra Cruza, sięgając po koszulę. Na szczęście na dwie rzeczy szło znacznie szybciej. Zimna klamra paska ocierała się o twarz, co wytrącało ją lekko z równowagi. Nie mówiła już o gorąco buchającym od niego na jej twarz, dłonie i rękę.

- Laurel?

Spojrzała w górę w chwili, gdy koszula była już na wierzchu. To, co zobaczyła, po prostu ją zatknęło. Na twarzy Cruza rysowała się mieszanka cierpienia, rozbawienia i... pośmiewania.

Nagle pojęła, że nie tylko klamra paska ocierała się o jej policzek.

Skoczyła na równe nogi tak gwałtownie, że niemal nie upadła.

- Spokojnie, kochanie - powiedział jej coś. - To tylko adrenalina. Najlepszy afrodyzjak świata.

Laurel miała nadzieję, że wiatło padające ze schodów było do słabe, by ukryć rumieniec.

- Nie bój się - powiedziała. - Nie zemdlej.

- To dobrze. Nie le bym się nam czył, żeby zatargać ci do samochodu.

Zamiast z nim dyskutować, zabrała się do guzików przy koszuli. Fakt, że Cruz z uwagą przyglądał się jej rozdygotanej ręką, wcale jej w tym nie pomagał.

- Zamknij oczy - powiedziała, walcząc z ostatnim guzikiem.

- Dlaczego. Widziałem się już nago, raz czy dwa.

Laurel może miała się bezradnie. Ale kiedy zaczerpnęła powietrza, poczuła, że miech z łatwością mógłby przerodzić się w szloch. Próbowwała za wszelką cenę zapanować nad emocjami. Uporała się z ostatnim guzikiem i skoncentrowała na zdejmowaniu koszuli. Ciężki ciężar prawego rękawa nie sprawił jej większego kłopotu. Kiedy zabrała się do lewego, przygryzła sobie wargę tak mocno, że pozostał ślad po zębach.

Cruzowi wcale nie było łatwiej. Chociaż bardzo starał się nie stukać, zajczał niskim, głębię bokiem głosem, kiedy przyszło do podniesienia lewej ręki.

Kiedy pozbyła się koszuli, odkryła kolejną warstwę ubrania, którą trzeba było zdjąć. Kamizelka z ciemnego materiału, gruba, ale wygodna.

- To dlatego nie ma krwi - wyjąknął Cruz.

Laurel zmarszczyła brwi i znalazła dwie głębokie bruzdy w materiale na wysokości czoła. Nachyliła się i przyjrzała jeszcze dokładniej. Ciężkich śladów krwi.

Dotknęła bruzdy bardzo ostrożnie. Tuż pod powierzchnią jednej z nich wyczuła niewielki twardy przedmiot.

- Co, do cholery? - szepnęła.

Zamiast odpowiedzi, Cruz obmacywał materiał przez moment. Po chwili zakłócił siarczyste i wydobyl błyszczący pocisk.

- Daj rękę - powiedział.

Wyciągnęła dłoń. Twardy, gładki pocisk upadł na radek dłoni. Metal był nieprzyjemnie ciepły, jak kawałek odlanego złota, którego nie schłodzono dostatecznie przez skruszenie formy.

Laurel popatrzyła na pocisk, a potem na kamizelkę na torsie Cruza.

- Jesteś robotem, czy co? - spytała zdenerwowana.

- Jestem tylko zwykłym rycerzem dwudziestego pierwszego wieku w matowej zbroi - odparł.

Krzywiąc się, odpiął dwa rzepy z boku kamizelki. Przednia część przedziwnej garderoby odłoniła fragment klatki piersiowej. Po spodem już nic nie miał.

- Mi kka zbroja - wyja nił. - Mam j dzi ki uprzejmo ci Brytyjskich Powietrznych Sił Specjalnych. Laurel zaniemówiła. Nie mogła uwierzy , e Cruz nie jest zboczony krwi .

Pomy lała, e musi mie przynajmniej poparzenia od kuli. Była pewna, e jeden pocisk go trafił.

- To znacznie przewy sza kevlar, materiał, z którego wykonuje si kamizelki kuloodporne - wyja nił Cruz. - Pewien czarnoskóry kumpel sier anta-majora Gillespiego opracował to чудо i dał nam, eby my przetestowali je w akcji, zanim zło y ofert rz dowi Jej Królewskiej Mo ci.

Praw r k wzi ł pocisk z dłoni Laurel i obejrzał go z bliska.

- Mog mu przekaza , e doskonale zachowuje si w kontakcie z dziewi ciomilimetrowym nabojem wystrzelonym z odległo ci około dwóch metrów - stwierdził Cruz i podrzucił pocisk do góry, po czym zrcznie złapał. - Oczywiście ten pocisk wytracił pr dko przez tłumik.

Laurel wpatrywała si w pocisk, potem przeniosła wzrok na kamizelk , w ko cu na kruche ludzkie ciało, które si pod ni kryło. Na klatce piersiowej Cruza, tu pod brodawk , zaczynały pojawia si dwie ciemne smugi.

Bez kamizelki ka da z kuł zabiłaby go.

- Pieprzony jaskiniowy macho - powiedziała roztrz sionym głosem.

- Powiedz mi jeszcze co miłego. Uwielbiam to.

- Podobała ci si gra w łapanie kuł, co? - powiedziała oskar ycielsko. - W yciu nie miałe takiej frajdy bez zdejmowania majtek, prawda?

- Alternatywa wydała mi si mniej poci gaj ca - powiedział z przek sem.

Bardzo delikatnie badał palcami wi ksy siniak. Skrzywił si , ale nie przestał.

- Skoro jeste uzale niony od bólu, dlaczego nie zajmiesz si zawodowo waleniem głów w mur?

- Próbowałem. W tym zawodzie nie ma przyszło ci. - Wypu cił cały zapas powietrza z płuc. - Pewnie ucieszy ci wiadomo , e mam uszkodzon chrz stk i prawdopodobnie złamane ebrowy.

Gdy Cruz odwrócił si do wiatła, eby szczegółowo zbada si ce, Laurel zobaczyła dziwne odciski na skórze wokół obra e .

- A to co? - spytała ostro.

Cruz spojrział.

- To? Wzór materiału kuloodpornego. Odcisn ł mi si na skórze pod wpływem siły uderzenia.

Laurel odwróciła si bokiem i próbowała zapanowa nad roztrz sionymi r kami. Robiło jej si słabo na my l, e Cruz ju by nie ył, gdyby nie kamizelka najnowszej generacji.

- Dobrze. Teraz pomó mi wło y j z powrotem - powiedział.

Laurel złapała si pod boki i pokr ciła przez co głów .

- wiat zwariował. Profesja rycerza nie jest ju tym, czym była za starych dobrych czasów. Oto podzi kowanie za uratowanie ycia - poskar ył si .

- Rycerze nie strzelaj do ludzi po to, eby kto im za to podzi kował.

Cruz spojrział na surowy profil Laurel. Zorientował si , e jakiegokolwiek słowa pociechy wcisn łaby mu z powrotem do gardła. Wi kszo ludzi podobnie znosiła nast pstwa szoku adrenaliny, wpadaj c w gniew.

Cruz przyzwyczaił si ju i w znacznym stopniu panował nad sob . Laurel była nowa w tej grze. cl;;;

- Masz racj - powiedział spokojnie. - Mieli my tu wspaniały przykład zawodowego rycerstwa w ci gu ostatnich paru minut.

- Chcesz powiedzie , e te dranie, które przed chwil latały tu z broni i strzelały, to rycerze?

- Nie. Za to twój ojciec to prawdziwy rycerz. A przynajmniej był nim kiedy .

- Co masz na my li?

- yjemy w cholernym wiecie, w którym rycerze musz rzuca swoje córki smokom na po arcie.

Laurel odwróciła si do Cruza tak gwałtownie, e a si zatoczyła. Oparła si o stół.

- Mój ojciec nie rzucił mnie adnemu smokowi na po arcie - powiedziała dobitnie.

- Jestem pewien, e nie chciał tego robi .

- Nie „nie chciał”, tylko nie zrobił. Koniec. Kropka.

- Kto jeszcze wie o tobie i o jajach?

- Ty!

- No pewnie - wycodził. - Teraz sobie przypominam. Chciałem twojej mierci, wi c uratowałem ci ycie. Taki ze mnie głupiec. Ale czego mo na si spodziewa po pieprzonym jaskiniowym macho?

Laurel miała ochot wrzeszcze . Jej reakcja była irracjonalna. Wiedziała o tym. Mimo to nie umiała si opanowa .

- Mo e przyszli po ciebie? - powiedziała ostro nie.

Cruz słyszał desperacj w jej głosie. Z jednej strony, miał ochot porz dnie ni potrz sn i przywróci odrobin zdrowego rozs dku. Z drugiej, chciał j przytuli i pozwoli wypłaka cały strach.

Nie mieli na to czasu. A ju na pewno nie mieli czasu na to, co pewnie by nast piło, gdyby znalazła si w jego obj ciach. Z pogruchotan chrz stk i ze złamanym ebrem, Cruz pragn ł Laurel tak bardzo, e z trudem trzymał si na nogach.

To tylko adrenalina, wmawiał sobie. Przejdzie mi. To nie jest kobieta, z któr mo na wskoczy do łó ka dla sportu.

Nic innego nie wchodziło w gr . ycie dało Cruzowi bolesn nauczki . Teraz uwa ał, e łatwiej jest y bez kobiet ni z nimi.

- Nie przyszli tu po mnie - powiedział.

- Sk d mo esz wiedzie ? - spytała. - Przecie to ty oberwałe .

- Nikt nie mógł mnie ledzi , bo sam nie wiedziałem, dok d si wybieram, dopóki nie znalazłem si w samolocie nad Los Angeles.

- Ale...

- Pomy l, Laurel - powiedział. - Pomy l głow , nie sercem.

Po ciele Laurel przebiegł dreszcz.

- Nie - powiedziała stanowczo. - On nigdy nie skazałby mnie na mier .

- Wiedziała , e ta paczka ma tu trafi ? - spytał Cruz.

- Nie.

- A on?

Niech tnie pokiwała głow .

Cruz wyci gn ł r k i delikatnie poło ył dło na jej ramieniu. Mi nie Laurel były napi te.

- Laurel - powiedział najłagodniej, jak umiał. - Kto , twój ojciec albo jeden z jego wspólników, próbował ci zabi .

- Ale dlaczego?

Łami ci się głos Laurel zasmucił Cruza jeszcze bardziej. Miał nadzieję, że włączy cię i ocenił. że prawda zmobilizuje cię do działania. Jeśli się pomylił, najdalej za trzydzieści sekund będzie miał przed sobą rozhisteryzowaną kobietę.

- Próbowali cię zniszczyć, bo jesteś ogniwem w łańcuchu, które prowadzi Wprost do twego ojca. - powiedział cicho.

- Dlaczego?

- Nie chcieli, żeby ktoś taki jak ja wpadł dziękuję ci na trop jaja. Gdyby nie była, ład urywałby się tutaj.

Laurel westchnęła. Słowa Cruza składały się w okrutnie logiczną całość.

- Zapewniam cię, że pojawi się tu następni zamachowcy, gdy się dowiedzą, że próba się nie powiodła - ciągnął Cruz. - Dlatego musisz pojechać ze mną. Sama nie potrafisz zniknąć tak, by nie pozostawić śladów.

Cruz poczuł, że między nimi Laurel się napięła. Mimo to czuł emanującą od niej kobiecą delikatność. Nie słabo. Szczególny rodzaj łagodności, zmysłowej uległości cielesnej, która na niego działała.

Laurel spojrzała na Cruza. Jej oczy zrobiły się prawie czarne, pozostała jedynie cienka złota obwódka.

- Moje w sumie cię dranie wywiadczyli mi przysługę? - stwierdziła Laurel. - Nie patrzysz już na mnie z tym chłodnym, obojętnym wyrazem twarzy, jakbym była kolejnym punkcikiem na mapie twojego radaru.

Ciemne brwi Cruza uniosły się.

- Przejrzałaś mnie na wylot.

- Nie. Widzę zaledwie cienie.

- Bo to wszystko, co jest, skarbie.

Cruz delikatnie przeciągnął kciukiem po długim, silnym mięśniem jej ramienia. Dotyk miał ją pocieszyć, a nie kusić.

Laurel cię westchnęła. Patrzyła na Cruza jak na drogowskaz, który pokazuje jej drogę z piekła, do którego już stracono.

- Idź się spakować - powiedział. - Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Pokusa nie do odparcia, ale Laurel wiedziała, że długo nie zapomni tego, co się dzisiaj wydarzyło i o wstrząsającej prawdzie, która wreszcie do niej dotarła.

„Przyszli tu po ciebie. Ja przypadkiem znalazłem się na linii ognia”.

- Nie - powiedziała Laurel z uporem. - Twoja umowa o pracę nie zawiera klauzuli o nadstawianiu za mnie karku.

Troska Laurel wzruszała i bawiła Cruza.

- Paragraf czwarty, punkt drugi, ustęp trzeci: „Prawdziwi rycerze słuchobowi zani chronią uczciwe damy, bez względu na ryzyko z tym związane”.

- Nie zniosłabym, gdyby... - Mocno pokręciła głowę. - Nie. Znam pewne bezpieczne miejsce, gdzie mogłaby się ukryć. Nikt o nim nie wie oprócz...

- Twojego ojca - dokończył za nią Cruz.

Laurel nie odpowiedziała. W jej głowie rozbrzmiewały słowa. Jego słowa.

„Próbowali cię zniszczyć, bo jesteś ogniwem w łańcuchu, które prowadzi wprost do twego ojca. Nie chcieli, żeby ktoś taki jak ja wpadł dziękuję ci na trop jaja. Gdyby nie była, ład urywałby się tutaj”.

- Nie mogłoby zdradzić ojca - powiedziała krótko. - Nie ma więc sensu, żeby...

rycerzem. To nic nie da.

Cruz rozluźnił uścisk ręki na jej ramieniu, lecz kciuk pozostał na miejscu.

Laurel odsunęła się odrobinę, chcąc zwinąć dystans. Cruz przysunął się, by podtrzymać ten subtelny kontakt.

- Zawrzyjmy umowę, ale to nie ma nic wspólnego z twoim ojcem - zaproponował Cruz.

- Jest taka możliwość ?

- Naturalnie - skłamał, ponieważ wiedział, że to jedyny sposób.

- Potrzebuję kierowcy, który przewiezie mnie przez góry na lotnisko w Paso Robles. Zrobisz to i będziemy kwita.

- To wszystko? Mam cię po prostu zawieźć ?

- Aha - potwierdził, a potem dodał: - Chyba nie wymagam zbyt wiele w zamian za nadstawianie karku?

Ta czuła się Laurel, która potrafiła racjonalnie rozmawiać, podpowiadała jej, że manipuluje nią człowiek, który dobrze ją rozszyfrował.

Do tego był uparty. Gdyby ten sposób zawiódł, obmyśliłby następny i jeszcze następny, a znalazłby właściwy kod do jej systemu.

W normalnych okolicznościach mogłaby pobawić się z nim w kotka i myszkę. Ale dzisiejszej nocy nie wydarzyła się ani jedna normalna rzecz.

Delikatnie, bez powątpienia, Cruz gładził kciukiem napięty mięsień ramienia Laurel. Próbowała zdusić w sobie pragnienie, żeby wtulić się w jego ramiona i tak pozostać. Nic więcej, po prostu się przytulić.

Cruz przyciągnął Laurel bardzo leciutko. Chciała się sprzeciwić, ale teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, opadła z sił. Z urywanym, ciężkim westchnieniem oparła czoło o klatkę piersiową Cruza. Pogłaskała go po włosach, ale nie zrobił żadnego ruchu, by przyciągnąć ją bliżej.

Jego powściągliwość miała w sobie nieodparty urok. Nie zdaję sobie sprawy, co robi, Laurel przytuliła policzek do jego piersi. Serce Cruza biło mocno i regularnie. To najlepszy dowód, że nie zginęła od kul, które miały ją zabić.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Patrzył na nią z mieszaniną zmęczenia, smutku i ciepła, które sprawiły, że serce Laurel waliło jak szalone.

Boże, miej mnie w opiece, jeżeli Cruz postanowi kiedyś mnie uwieść, pomyślała z niepokojem.

- Dziękuję - powiedział Cruz.

Laurel drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. Dokładnie, z jak Cruz odgadywał jej myśli, przerażała ją.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie podoba mi się, że czytasz w moich myślach.

- A czytam?

- Właśnie myślałam o tym, jak dobrze... - Raptem zorientowała się, co mówi i urwała w pół zdania. - Za co mi podziękować ?

- Za to, że wiesz kim jestem, a jednak przede mną nie uciekasz. Ja sam długo musiałem się uczyć, żeby przed sobą nie uciekać. Nadal zresztą nad tym pracuję.

- Bo e! - jęknęła Laurel. - Dlaczego nie jesteś głupi, odrajdajcy, stary i brzydki?

- Moje nie jestem strasznie głupi, odrajdajcy i brzydki, ale bezduszny. Czas dopilnuje, żeby się zestarzał.

Laurel rozemknęła się, bezradna wobec jego uroku.

Wiedział, że nie powinien, ale nie mógł się opanować. Nachylił się i musnął wargami jej skroń.

- Lepiej się spakuj - powiedział ochryple. - Przez jakiś czas nie będziesz mogła tu w

- Wiem.

Odwróciła się, a potem spojrzała przez ramię na du ego mężczyznę, który ubrany w połowę nowoczesnej zbroi, opierał się o jej stół warsztatowy. Cruz Rowan był ostatnim mężczyzną, który powinien jej się podobać. A już na pewno nie tak, żeby czuła mrowienie na całym ciele, kiedy na niego patrzyła. Ale tak właśnie nie się działo. Była zbyt uczciwa wobec siebie, żeby zaprzeczyć.

- W lodówce znajdziesz worek z lodem - powiedziała i wskazała palcem.

- S dzisz, że trzeba mnie ostudzić ?

- Twoje ubrania mogłyby ci za to bardzo wdzieczne.

- Dzięki, skarbie. - Cruz uśmiechnął się.

Laurel nie lubiła, kiedy mężczyźni używali pieszczotliwych słów, ale kiedy szły w parze z takim uśmiechem, podobały jej się. I to bardzo.

Chyba tracę rozum, pomyślała. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie jestem pewna, czy mogę ufać rozszkodkowi.

Podczas gdy Cruz szukał lodu, Laurel zebrała narzędzia porzucane na stole. Kiedy układała narzędzia na swoich miejscach, przestała się czuć jak w koszmarnym śnie. Pudełko, w którym trzymała nieoprawione kamienie nie leżało na swoim miejscu. Włożyła je do walizeczki i potrząsała nią dla sprawdzenia. Trzymała się. Pozapinała skórzane paski. Walizka była wyposażona w szerokie szelki, dzięki którym można było nosić ją jak tornister. Laurel przełożyła sobie jedną z nich przez ramię.

Kiedy odwróciła się do Cruza, ze zdumieniem zauważyła, że ubrał się bez jej pomocy.

- Czy to potrwa dłużej niż tydzień? - zapytała.

Cruz oderwał wzrok od guzika, który usiłował zapiąć jedną ręką.

- Poszukiwanie jaja? - spytał.

- Tak.

- Jeśli potrwa dłużej, to nasz klient będzie tkwił po uszy w gównie. Spakuj się. Mamy mało czasu.

- Jestem gotowa.

Cruz zmrużył oczy.

- Tak jak teraz? A ubrania?

- Nie potrzebuję więcej ubrań, żeby ci odwieźć.

- Co masz zamiar zrobić potem?

- Co wymyślę.

Cruz w to nie wątpił.

Jednak Laurel nie wiedziała, że on już coś wymyślił.

A do tego był od niej silniejszy.

14

Claire Toth przeciągnęła narzut z podwójnego łóżka, ułożyła poduszki w stos i rozebrała się. Za pół godziny ktoś z obsługi przyniesie przekąskę, którą zamówiła. Swann mógł wrócić z jajem w każdej chwili. Nie miała zamiaru tracić czasu, kiedy się zjawi. Była bardzo rozpalona.

Kiedy Swann wrócił do pokoju hotelowego, pod pachę trzymał szkatułkę z Rubinow Niespodzianką.

Toth leżała wsparta na trzech poduszkach. Jej ciało pomysłowo spowijało prześcieradło, które odsłaniało jedno biodro i widoczne pełnych piersi. Na tle niebieskiej pościeli jej skóra miała kol

Umiechajcie się, Swann spokojnie zamknął drzwi na klucz. Potem stanął i znów popatrzył na Toth. Kiedy jej brodawki stwardniały tak, jakby je drażnił, poczuł, że ma ochotę rzucić się na nią i pieprzyć, a bledzie krzyczała.

- Szybko wróciła - powiedziała Toth.

- Nie chciałem, żeby zaczęła bez mnie.

Toth podniosła się. Jej migdałowe oczy miały barwę nocy. Były wyraziste i niezwykle inteligentne. Poklepała prześcieradło obok siebie.

- Pokaż mi to - powiedziała.

Swann postawił drewnianą szkatułkę na łóżku i usiadł. Odpinął zaczepy, odłożył na bok wieczko i wyjął jajo razem ze zdobionym cokołem.

- Chodź tutaj - powiedział.

Toth usiadła i przysunęła się bliżej. Przez prześcieradło, które zakrywało jej piersi, zsunęło się do brodawek, potem zatrzymało na moment, jakby się wahała i ze liznęła dalej, do samego łona.

Swann dotknął dłonią gładkiego, zimnego czubka jaja, jakby dotykał kobiecej piersi.

- Ładne, prawda? - spytał niskim głosem.

- Ładne?! Raczej głupie. Po co włożyli tyle pracy w skorupę? Naprawdę liczy się to, co jest w środku.

Swann rozłożył dłońmi wierzchem dłoni między jej piersiami, potem pogładził płaski brzuch, wreszcie dotarł do krocza.

- To samo można powiedzieć o kobietach - zauważył.

Toth też się rozłożyła, rozchyliła nogi.

Jedną ręką odgarniał gęste, kręcone włosy. Drugą, na której spoczywało jajo wyciągał w jej stronę. Dotknęła go dłonią, a potem opuszką swego zadbanego palca wodziła po jego pięknie zdobionej powierzchni, jakby naśladowała ruchy, które Swann wykonywał między jej nogami.

Swann zastanawiał się, czy to jego ręka, czy ta moc ukryta w klejnocie sprawiły, że brodawki Toth wyglądały jak ciemne kamyczki.

- Pokaż mi - szepnęła. - Pokaż mi, jak to działa.

Jej gardłowy, natarczywy głos był cięki z podniecenia.

Raptem Swanna przestało interesować, czy to jego dłoń, jajo, czy jedno i drugie ekscytowały Claire. Zamierzał z tego skorzystać.

Ta myliła go podnieciła. Miał w swoim życiu mnóstwo kobiet: dużych, małych, kolorowych. Ale Toth była wyjątkowa. Zawdzięczała to swemu zniewalającemu ciału, przenikliwemu umysłowi, ale w głównej mierze swej wyzywającej zmysłowość. Sposób, w jaki szczytowała, był niewiarygodny. Swann mógłby eksplodować na samą myśl o tym. Ona też.

Kciukiem delikatnie i pieszczotliwie gładził zimną skorupę jaja. Drugi kciuk penetrował znacznie cieplejsze miejsce. Powolnymi ruchami chwycił jajo w taki sposób, żeby łatwo odnaleźć złote zgrubienie, które przyciągało go w odpowiedni sposób, odkrywało skarb ukryty wewnątrz.

Toth pojękiwała.

- Otwórz to, do diabła - powiedziała, dysząc.

- Cierpliwo ci.

- Chrzanić cierpliwość.

Swann roze miał si , dalej gładz c cenne dzieło i kobiet . Czuł narastaj ce gor co jej ciała i przetrzymywał j na granicy orgazmu. Potem przeci gn ł mocniej po złotym zgrubieniu i niecierpliwym ciele Toth.

Co cicho pstrykn ło i górna cz jaja powoli otworzyła si , ukazuj c ciemne fasety rubinu.

Toth wstrzymała oddech i zadr ła na całym ciele. Zapach orgazmu miał w sobie co tak pon tnego, e adna, nawet najlepsza perfumeria, nie mogła oferowa niczego podobnego.

Swann w równym stopniu podziwiał kobiet i rubin.

- Jeste bardzo pomysłowym draniem - powiedziała chrapliwym głosem. - Jeste jedynym facetem, jakiego znam, który potrafi pieprzy mnie umysłem i fiutem jednocześnie.

- A ty jedyn , kobiet jak znam, która potrzebuje jednego i drugiego.

Toth leniwie przekr ciła si na bok, przytrzymuj c r k Swanna mi dzy udami. Widziała, e był twardy i rozgrzany jak tani pistolet. Oblizła wargi i u miechn ła si .

- Ile to jest według ciebie warte? - spytał. - Pi milionów? A mo e dwadzie cia?

Toth długo wpatrywała si w rubin, jakby starała si odczyta wiadomo ukryt w jego ciemnoczerwonej gł bi.

- Ten konik zawiezie nas wsz dzie, gdzie dusza zapragnie. Wszystko, czego nam potrzeba to uzda. Gdzie to masz?

- Jest w drodze. B d cierpliwa.

Prychn ła niecierpliwie. Paznokciem wskazuj cego palca przejechała po gładkiej, chłodnej powierzchni kamienia.

- Kiedy tu b dzie?

- Kiedy b d gotowy.

Jednym płynnym ruchem zabrała jego r k spomi dzy ud, wyprostowała si i naci gn ła prze cieradło tak, e zakryło jej piersi. Wygl dała jak rozebrana tancerka ukryta za wachlarzem.

- O ile dobrze pami tam, powiedziały , e masz wszystko, co potrzeba - burkn ła pogardliwie. - Chcesz mie dzisiaj dobrze, to sam sobie zrób.

Swann dobrze wiedział, do czego zmierzała Toth. Ale to było tak jak z grawitacj . Wiedza o jej istnieniu nie zmieniała zasad działania. Swann był podniecony i doskonale wiedział, e Toth nadal ma ochot . Oboje wiedzieli, e tylko si z nim dra ni.

- Uspokój si , słonko - powiedział. - Nie szwendam si z robionymi na zamówienie kablami, ł czami i nietypowym komputerem w бага u podr cznym.

Wyci gn ł r k i delikatnie obrysował brzegi brodawek Toth na chłodnym prze cieradle. Jego palce zostawiły wilgotne lądy na materiale.

- Mog to zrobi za par godzin... je li zechc . Potrzebujemy szybko troch anonimowej gotówki od Hudsona i w nogi.

Przez kilka chwil patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Brodawki pod jego palcami mi kły, zamiast twardnie .

- Teraz b dziesz udawa ozi bł , co? - spytał.

Jego usta rozchyliły si w dzikim u miechu, kiedy kciukiem i palcem wskazuj cym szczypał mi kk brodawek , chc c j ponownie pobudzi .

Czubki piersi Toth pozostały mi kkie jak silikonowy el w foliowej saszetce. Utkwiła w Swannie beznaminy wzrok, gdy ten dra nił j i dotykał z rosn c sił . To, co jeszcze przed chwil sprawił

si tortur . Ale wyraz jej twarzy nie zmienił si nawet odrobin .

Z dziwnym u miechem Swann złagodził u cisk i wrócił do delikatnych pieszczot.

- Nie masz dzi ochoty na odrobink słodkiego bólu? - spytał.

Toth patrzyła na niego bez słowa.

- Którego dnia natkniesz si na typa, który zgwałci ci tylko po to, eby usłyszec twój krzyk i zobaczyc krew.

- Spotkałam takiego, zanim poszłam do pierwszej klasy liceum - powiedziała oboj tnym tonem.

Nie zaskoczyła Swanna.

- Tam sk d pochodz , zabawianie si z matk i córk jednocze nie było na porz dku dziennym - powiedziała. - Ju dawno nauczyłam si , jak ucieka my lami w trakcie. Mam nad tym pełn kontrol .

- Kiedy jeste ze mn , nie musisz si kontrolowa .

- Wiem. Chciałam tylko, eby si troch postarał. Je li zbyt łatwo ci to przychodzi, szybko si nudzisz.

Podczas gdy Toth mówiła, jej brodawki nabrzmiały i stwardniały jak za dotkni ciem czarodziejskiej ró d ki. Swann oddychał bardzo szybko. Widział co perwersyjnie zachwycaj cego w kobiecie, która miała nad sob absolutn kontrol . Toth miała racj . Gdyby za ka dym razem potrafił przewidziec jej zachowanie, dawno zanudziłby si na mier .

- Jak mógłbym si tym znudzi ? - spytał retorycznie i z powrotem wsun ł r k mi dzy jej nogi. - Dopóki nie przyjdzie ci do głowy, eby wróci pod skrzydła tego pedała Nowikowa, wszystko b dzie dobrze.

Przesun ła si , u miechaj c pozwoliła mu robi to, co chciał mi dzy jej udami. Ona tymczasem obmy ła nast pny ruch.

Bardzo szybko odkryła, e przy Swannie cholernie trudno było nie szczytowa . Nigdy nie czuła takiego podniecenia. Nigdy nie była tak bliska utraty kontroli. Dodatkowo zlecenie morderstwa doprowadzało j do ekstatycznego zachwytu.

Poło yła r k na udzie Swanna. Podczas gdy jej palce rytmicznie głaskały członek, druga dło spocz ła na przecudnym, zimnym jajcu.

- Aleksy nie jest prawdziwym p dzlem - powiedziała ochryple. - Lubi małych chłopców, du ych chłopców, dziewczynki i dziury w płocie. Ale przede wszystkim uwielbia władz .

- Tak jak ty - stwierdził Swann. - Polityczn , seksualn , fizyczn . Niewa ne jak . Ka da władza ci podnieca.

Toth roze miała si gardłowo i szerzej rozło yła nogi. Prowokowała go, bo wiedziała, e jej nie skrzywdzi. Nie tak naprawd , jak krzywdzono j wiele razy w przeszło ci.

- Jeste pewien, kochasiu? - mrukn ła.

- Nie mam najmniejszych w tpliwo ci, słonko. Lubi to w tobie. Kiedy b dziesz si znów widziała z Hudsonem?

- A kim ty jeste , moim alfonsiem?

- Chc po prostu zrobi wszystko, eby si udało.

- Trzeba zrobi du o wi cej - odparła.

Swann miał si , pieszcz c Toth. Na razie ostro nie omijał najczulsze miejsce.

Toth wiedziała, e powinna go znów ukara ozi bło ci , ale nie mogła si do tego zmusi . Nie dzi . Ju nigdy nie sp dzi takiej nocy ze Swannem. Nie miała zamiaru zmarnowa ostatniej okazji.

- Jutro rano - odpowiedziała na pytanie.

- Czy Hudson przyniesie fors ?

- Lepiej, żeby przyniósł. Te informacje od Aleksego to prawdziwa bomba. Wszystko na temat pierwszej umowy między rafinerią Hudsona a Związekiem Radzieckim i koncesją na nawozy.

- To stara historia - powiedział. Masował jej ciało tam, gdzie trzeba i został nagrodzony utratą tchu. - Nikogo już nie obchodzi.

Toth zamknęła oczy, delektowała się zrzeczno ci Swanna. Robił to tak, jak lubiła najbardziej. Przetrzymywał ją na granicy bólu i rozkoszy. Wiedziała, że może pójść w każdym z tych kierunków.

- To znacznie obchodzi - powiedziała dysząc. - Jest tam dokładny opis, w jaki sposób Hudson International przekazało szczegóły technologiczne do produkcji gazu paraliżującego centralny układ nerwowy, który potem zrzucano na Libię. Hudson nawet nie ma pojęcia, że Rosjanie dowiedzieli się o tym.

- Lepiej uważaj, jak będziesz ujawniać mu te wiadomości - uprzedził ją Swann. - To stary człowiek. Jego serce może nie wytrzyma.

Toth otworzyła oczy. Wyglądały tak, jakby odbijała się w nich ciemność.

- Mało prawdopodobne - powiedziała. - To silny drażniący.

- Obciążała go drutami?

- Nie musiałam. Skończył w portki, kiedy recytowałam mu, co na niego mam.

Swann zaczął się rozszerzać trochę przestrzemiędzy jej udami za pomocą kciuka i palca wskazującego.

- Prawie mi go - stwierdził Swann. - Pewnie musi upłynąć tydzień, żeby znów mu stanęło.

- Stało mu w pięć minut - powiedziała, leniwie przesuwając biodra.

- Imponujące.

- Od dziesięciu lat poddaje się jakiejś hormonalnej kuracji.

- O ile można wierzyć plotkom, to ponoć bardzo bolesne.

- I uzależnia jak heroina. Po kilku razach nie może już przestać. Im dłużej przyjmuje się te hormony, tym bardziej staje się organizmowi potrzebne.

- Cudownie - powiedział Swann.

- Kombinuj, jakby wykorzystała to przeciwko niemu.

- Uwielbiasz szantaż, prawda? - spytał Swann. - Dzięki temu jesteś świetną dziennikarką.

- Siła nie tkwi w publikowaniu tych bzdur. Prawdziwa moc ujawnia się wtedy, gdy powiesz takiemu biednemu draniowi jak Hudson, że właśnie nie zamierzasz wydrukować jego sekrety. Wtedy zrobi dosłownie wszystko, żeby do tego nie doszło. Zabawa zaczyna się, gdy wymyślasz, co taki dupka ma zrobić.

- Tak właśnie postąpiła z facetem, który niepokoi moją córkę? Przygotowała zasadzki i obserwowała, jak stara się ich uniknąć?

Toth rzuciła mu krótkie spojrzenie i po raz pierwszy zastanowiła się, czy domyślała się, co zrobiła.

Swann obserwował swoje palce. Jego twarz wyrażała podanie.

Toth wygięła ciało. Przypominała mu, jak to będzie, kiedy przestaną torturować się nawzajem. W nagrodę smagnęła go paznokciem kciuka, co sprawiło, że zaczął wiercić się po dłużej.

- Cruz Rowan to uczciwy, twardy gnojek - powiedziała, szybko oddychając. - Miał tylko współpracować z Aleksym. Wtedy nie wydrukowałabym ani słowa. Sowieci nie chcieli go zniszczyć, chcieli jedynie zrobić z niego użytek.

- Sprytnie. Chcieli cię zmusić agenta federalnego do współpracy. To prawie zamach

- Zgadza się, złotko. Współpraca Rowana byłaby dla nas dużo bardziej cenna niż chwilowa nagonka, którą rozpętałem swoim artykułem.

Swann pochylił się do przodu i włożył cenne jajo między piersi Toth.

- Trzymaj to - powiedział. - Bardzo potrzebował obu ręk.

- Do czego?

- Sama zobacz.

Zwinnymi ruchami ukłonił się nogami Toth. Jego dłonie powdrowały pod nią i zapadły się w jej kręgi biodra. Ciskał ją bardzo mocno. Wiedziała, że zostanie łady. Ale nie obchodziło jej to. Przeczynała, co się szykuje. Pragnęła tego. Kręciła się i przylała w jego kierunku, ale przytrzymywał ją w silnym uścisku.

- Jeszcze nie teraz, kochanie - powiedział niskim głosem i popatrzył na rozpalone ciało. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek byłaś tak rozgrzana. Dziś chyba zobaczysz coś, czego jeszcze nigdy mi nie pokazałaś. - Powoli przeciągnął szorstkim policzkiem po jednym udzie, potem po drugim. Zanim zdołał zanurzyć się w nią wargami, zadrżała.

Po raz pierwszy w życiu doznawała takich niebezpiecznych, zmysłowych wrażeń. Chyba miało to coś wspólnego ze zleceniem morderstwa jedynej córki mężczyzny, który klęczał między jej udami. Taki dreszcz emocji miał w sobie wiele złego, ale choć poddania mu się była nieodparta. Co takiego zdarzało się tylko raz.

Próbowała powstrzymać nadchodzący fal, ale nie zdołała. Swann miał rację. Jeszcze nigdy nie straciła panowania nad sobą do tego stopnia. Wraz z pierwszym mężczyzną z bów Swanna poczuła orgazm o sile huraganu.

15

Nie - powiedział Cruz i wyprowadził Laurel z garażu. - Znajdź markę twojego samochodu i numery rejestracyjne. Pojedziemy moim.

Rzucił Laurel kluczyki niedbałym ruchem. Chociaż jej nie uprzedzał, chwyciła je zwinnie.

- Niezły refleks - skomentował.

To było ostatnie zdanie, jakie powiedział do Laurel przed bardzo długą przerwą. W samochodzie Cruz wyparł myśli o niej. Jak na niego, i tak poświęcił tej kobiecie zbyt wiele uwagi.

Sięgnął do schowka, wydobyl maleńki telefon komórkowy i włączył go. Najpierw zadzwonił do Risk Limited.

Ponieważ mały telefon nie miał żadnego urządzenia kodującego ani zakłócającego sygnał, Cruz musiał uważać na każde słowo. Kądy, kto miał telefon komórkowy i był ciekawy świata, mógł go podsłuchać.

Jeżeli była to ciekawa zawódowa, grzebaniem po kanałach zajmował się komputer dużej mocy zaprogramowany na nagrywanie wszystkich rozmów, w których padało słowo klucz. Tak właśnie ułatwiały to FBI i CIA.

Gdyby to, co miał przekazać, było bardziej skomplikowane albo nie tak pilne, odłożyłby rozmowę do chwili, kiedy znajdzie się w samolocie. Telefony komórkowe na pokładzie miały doskonały system zakłócający. Ale teraz każda minuta zwłoki to kolejna minuta podarowana Swannowi. Zyskiwałby na czasie i spokojnie mógłby zapisać pod ziemią.

- Tu John Smith Drugi - powiedział Cruz, kiedy ktoś odezwał się w słuchawce.

- Paskudna pogoda.

- Może u ciebie. U mnie się wyklarowała.

- Co moemy dla ciebie zrobić .
- Podaliśmy szefowej adres. Trzeba tu trochę posprzątać - powiedział.
- Będziecie nam pomagać?
- Nie.
- Czy ktoś jeszcze tam będzie?
- O ile wiem, nie. Ale to robota zawodowców.
- Dużo do sprzątnięcia?
- Trochę mieci i kawałków elastwa. Potem może się pojawić ktoś komukolwiek, kto się tam pojawi.
- Uszkodzenia systemów?
- Nie takie, żeby się tym teraz zajmować .
- Co jeszcze?
- Powiedz swoim ludziom, żeby włożyli czarne gorsety. Okazja może się zdarzyć niespodziewanie.
- Czarne gorsety. Zrozumiałem.

Cruz rozłączył się, wystukał kolejną serię cyfr i natychmiast, gdy ktoś odebrał, zaczął mówić :

- Tu Czerwona Dwójka. Nie mam odzieży ochronnej, więc będziemy streszczać. Pierwsze: Jan, Adam, Maria, Iza, Ela. Drugie: Stanisław, Witold, Adam, Natalia, Nikodem. Sprawdź, co agencja ma na temat. Szukajcie. Potrafi się ukrywać . Jeśli spróbujecie osobiście, włożcie czarne gorsety. Spodziewa się go ci.

Cruz rozłączył się, wybrał kolejny numer i powtórzył wiadomość . Ale tym razem kazał sprawdzić w FBI.

Trzy kolejne połączenia to rozmowy z agencjami rządowymi, które mogły zatrudniać Swanna. Numery składały się z coraz większej liczby cyfr. Cruz dzwonił do baz informacyjnych Risk Limited, rozrzuconych po świecie.

Laurel siedziała jak sparaliżowana. Wysłuchiwała wszystkich rozmów w trzech językach. Jednej chyba po rosyjsku. Szybko zorientowała się, co oznaczały zaszyfrowane wiadomości: Jan, Adam, Maria... Pierwsze litery imion układały się w imię i nazwisko ojca.

To jej nie zaskoczyło, spodziewała się, że Cruz będzie cięcił ojca. Przerażało ją zdanie, którym skończyła rozmowę : „Włożcie czarne gorsety. Spodziewa się go ci”.

Laurel zastanawiała się, czy produkowali ten nowoczesny zbrojnik w jakichś innych kolorach. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej w to wątpiła.

Cruz odłożył telefon, przesunął się na siedzeniu, skrzywił i znów zmienił pozycję . Włożył rękę pod ubranie i wydobyl worek z lodem, który wziął z lodówki Laurel. Worek był cienki, elastyczny i nadal w dużym stopniu zmroźony, ale najwyraźniej wypełniony czymś innym niż wodą .

- Ciekawe, czy Gillie też ma taki? - mruknął pod nosem. - To cholera naprawdę działa.

Laurel rzuciła okiem. Cruz nie mówił do niej. Chyba nie bardzo zdawał sobie sprawę z jej obecności.

Ciekawe, ile razy ktoś wioził go samochodem po tym, jak został ranny, o przepraszam - kiedy oberwał, i musiał wysłuchać trzydziestu enigmatycznych rozmów?

Takie sytuacje mogły się zdarzać już wcześniej, sadząc po bliznach na ciele Cruza. Myślała o tym, że Cruz mógł być kiedyś poważnie ranny, sprawiając jej ból. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale tego nie mogła jej zaprzeczyć .

Gorsza była myśl, że Cruz mógłby zostać ranny w przyszłości. Skóra jej cierpła. Wówczas przypominała sobie, że przed chwilą oberwał, żeby ratować jej życie. Tego już nie mogła znieść . Z trudem opanowała się, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pogłaskać go po policzku, nie dotknąć brwi i ust. Miała ochotę

oddechu, który potwierdziłby, że to nie sen, że Cruz nadal żyje.

Zaczęła myśleć o jego lewej dłoni. Brakujący palec był makabrycznym świadectwem tego, co spotkało go w przeszłości.

Czy mój ojciec też ma blizny? - zadała sobie w duchu pytanie, patrząc na wijące się przed samochodem czarne drogi. Czy dlatego mama w końcu zdecydowała się na rozwód? Czy by zmieniło jej oczekiwanie na dzieło, w którym przywiozł go do domu martwego?

Odpowiedzi na te pytania nie istniały. Nigdy. Mama nie chciała rozmawiać o ojcu ani o ich problemach małżeńskich. Ojciec też nigdy o tym nie mówił. Czasem tylko napomknął, że bardzo brakuje mu Ariel.

Na ułamek sekundy Laurel oderwała wzrok od drogi, by przenieść go na siedzącego obok mężczyznę. W mglistym świetle tablicy rozdzielczej spostrzegła, że Cruz pogryzł się w myślach. Siedział lekko pochylony, jakby chciał ułamywać swoim śladem. Ale jego twarz zdradzała ogromną koncentrację, a nie ból.

Laurel potrafiła skoncentrować się do tego stopnia tylko wówczas, gdy tworzyła w głowie nowy projekt, albo zastanawiała się, jak zrealizować jakieś zawiłe formy w trójwymiarowej rzeczywistości. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś, kto potrafiłby tak dalece wyłączyć się z rzeczywistości i przenieść w miejsce poza czasem.

Laurel zastanawiała się, jaki był Cruz Rowan, kiedy wyłączał swoje czujniki i pozwalał sobie na odpoczynek. O ile w ogóle robił to kiedykolwiek. W tym biznesie człowiek nie mógł dać się zaskoczyć podczas drzemki, bo mógłby się już nigdy nie obudzić. Wycie na krawędzi uczyło człowieka głębiej nieufności, a to nie pozwalało na chwilę odpoczynku.

Swann nigdy nie był całkowicie rozluźniony, nawet gdy się szeroko uśmiechał.

Kiedy Cruz wybierał kolejny numer, Laurel usłyszała jakieś nieregularne dźwięki. Tym razem rozmawiał po hiszpańsku. Znała ten język na tyle, żeby wyłapać sens jego słów.

Znowu mówił o czarnych gorsetach.

Dotarli na peryferie Paso Robles, kiedy Cruz odłożył telefon i usadowił się wygodniej. Jęknął z bólu, a może ze zmęczenia...

- Jak tam twoje śniegi? - spytała Laurel.

- Na swoim miejscu.

- Może aspiryna by ci pomogła? Mam w torebce.

Cruz chciał wzmocnić ramionami, ale ból wykrzywił mu twarz, więc zaklął cicho.

- Na pewno nie zaszkodzi. - powiedział. - Możesz sięgnąć do tyłu? Gdzie tam leży butelka z wodą.

Prowadząc jedną ręką, Laurel przekręciła się w prawo i namacała butelkę.

Pomimo dziwacznej pozycji prowadziła mały wyprowadzony samochód samym rodzkiem pasa, podobnie jak na wsiącej krętej, górskiej drodze do Wielkiej Doliny Kalifornijskiej.

- Dzięki - powiedział Cruz.

Wziął butelkę, znalazł aspirynę w torebce Laurel i połknął kilka tabletek. Oparł się na fotelu i wpuścił trochę nocnego powietrza przez okno.

- Możesz?

- Podwójna szkocka lepiej by mi zrobiła, ale nie jest.

- Szkocka, co? Ja wolę wino. A po całym, długim dniu w pracowni nalewam sobie kieliszek brandy.

Cruz uśmiechnął się.

Potem odwrócił się w stronę Laurel i obserwował ją. Przyjemnie było popatrzeć na gryśnięcie wiatel na twarzy. Jej kocie oczy przypominały teraz czyste złoto. Rzęsy rzucały na policzki postrzępione cienie, które poruszały się przy każdym mrugnięciu. Wiatr podkreślał wystające kości policzkowe, głębokie dołki poniżej i ciemne usta. W słabym wietle jej ręce sprawiały wrażenie bardzo delikatnych, chociaż trzymała je pewnie na kierownicy.

Jeśli nawet Laurel zorientowała się, że Cruz ją obserwuje, nie była tym skrzepowana. Prowadziła samochód sprawnie i swobodnie, umiejętnie wykorzystując możliwości auta i drogi.

- Dobrze prowadzisz - skomentował Cruz.

Laurel uśmiechnęła się słabo.

- Słyszysz zdziwienie w twoim głosie.

- Wiąkszość kobiet nie przewiozłaby mnie przez te góry. A nawet jeśli, to dojechałbym na miejsce w opłakanym stanie.

- Wiąkszość mężczyzn też - rzuciła ironicznie.

Cruz zaśmiał się, skrzywił lekko i znów zaczął ją obserwować. Dzięki temu zapomniał o debrach.

- Jazdy te uczył ci ojciec? - spytał.

- Dlaczego „te”?

- To on nauczył ci strzelać, prawda?

- Tak. Ale prowadzenia samochodu nauczyłam się sama. Poszłam na kurs wiele lat temu.

- Wyścigi?

Laurel pokręciła przecząco głową.

- Chciałam dobrze prowadzić.

- Dlaczego?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Po raz pierwszy spojrzała na niego, odkąd zaczęli rozmawiać. Jedną z wielu rzeczy, jakich nauczono ją na kursie, była umiejętność rozmawiania bez patrzenia na rozmówcę.

Ale w ten sposób nie mogła nic wyczytać z jego twarzy.

Cruz wyglądał tak jak zwykle: poważy, inteligentny, skoncentrowany.

- Nie lubi, gdy rzeczy wymykają mi się spod kontroli - odpowiedziała, kierując wzrok na drogę.

- A gdybym uparł się, że teraz ja poprowadzę?

- To zależy jak byś sobie radził. Nie lubi zbyt szybkiej jazdy, niezależnie od umiejętności. Między innymi poszłam na kurs po to, by mieć lepszy refleks. Nauczyłam się obiektywnie oceniać własne możliwości, ale tak i możliwości samochodu i drogi.

- Następna obsesja na punkcie pełnej kontroli, co?

- Tak jak ty? - spytała.

- Wolę słowo „samowystarczalność”.

- Kiedy, kto cierpi na tę obsesję, woli się nim posługiwać.

Cruz bez słowa wskazał jej skręt w lewo. Laurel skręciła, nie pytając dokąd jadą.

- Chcesz być samowystarczalna? - spytał. - To dlatego mieszkasz sama?

- Czy to okrutna droga do wyciągnięcia ze mnie informacji, dlaczego nie ma w moim życiu mężczyzny?

- Ale skąd. Jeśli jest jakaś mężczyzna, czy będzie gotów stawić czoło trudno ciom, z jakimi musisz się teraz zmierzyć?

- A co, je li sama zeche stawi im czoło?

- W przypadku wi kszo ci gatunków, to m ski osobnik lepiej radzi sobie w walce wr cz. Chyba e mówimy o sokołach i jastrz biach.

- Słyszałe kiedy o spluwie?

- A je li li chłopcy te maj spluwy?

- A je li nie?

- Chcesz ryzykowa ycie, eby si przekona ? - achn ł si Cruz.

- A ty chcesz na sił ratowa mój tyłek? Nie b d mieszny.

- To ty jeste mieszna.

- Od szesnastego roku ycia musiałam sama dba o siebie - rzuciła Laurel ostro.

- Ale nie w takiej sytuacji.

Cruz wskazał kolejny zakr t. Gdy skr cili, Laurel spostrzegła w oddali wiatła małego lotniska.

- Skr w prawo za tym znakiem - polecił jej Cruz.

Droga prowadziła przez otwart bram w stron płyty, na której samoloty kołowały przed startem. Po chwili zobaczyła oczekuj cy na Cruza samolot. Całkiem poka na maszyna. Czymkolwiek zajmowało si Risk Limited, niew tpliwie było to lukratywne zaj cie.

- Zaparkuj przy samolocie.

Laurel stan ła, ale nie wył czyła silnika.

Cruz nie wysiadł.

- Chc , eby ze mn poleciała - powiedział.

- A je li nie zeche ?

Jego oczy si zw ziły.

- Wtedy uznam, e jeste cholern idiotk , bo nie chcesz ratowa własnego ycia i zachowam si stosownie do sytuacji - ostrzegł j .

- To znaczy?

- Jeste bystr kobiet . Sama sobie odpowiedz.

migła samolotu obracały si tu za mask samochodu. Ciemnowłosa kobieta w starannie skrojonym mundurku czekała na szczycie schodów. Kontrola techniczna widocznie ju si odbyła. Teraz nale ało tylko wprowadzi pasa erów na pokład.

- No prosz , samolot z obsług - powiedziała Laurel. - Jestem pod wra eniem.

- I ty miesz nazywa mnie jaskiniowcem? - powiedział Cruz. - Ona jest pilotem.

- *Touché*. A jak twoje ebra?

- Na swoim miejscu.

- Naprawd wydaje ci si , e wniósłby mnie wierzgaj c po tych schodach?

- Wolałbym, eby mnie do tego nie zmuszała.

- Jasne. Tym bardziej e przez siedem lat trenowałam tae kwan do.

Cruz uniósł brwi.

- Kobieta o wielu twarzach.

- A ka da z nich niezale na.

Mówi c to, Laurel zaci gn ła r czny hamulec, wył czyła silnik i si gn ła na tylne siedzenie po swoj skórzan walizk . Odwróciła si do Cruza, który nie odrywał od niej wzroku. Jego oczy w blasku ksi yca wygl dały jak dwa iskrz ce si kawałki lodu.

- Podobno si spieszysz - powiedziała.

- Tak, ale sam nie lec .

- Lec z tob .

- Dzi kuj .

Uniósł praw r k i kciukiem obrysował jej doln warg . Dotyk był delikatny jak pocałunek. Szybki oddech Laurel rozbudził w nim gwałtowne po danie. Na chwil zapomniał o bólu.

Zanurzył palce w jej włosach. Wiedział, e nie powinien tego robi , ale nie mógł si powstrzyma . Nie wiedział, czy to on j przyci gn ł, czy sama zbli yła si do niego bezszelestnie jak wiatło ksi yca. Jej wargi były gor ce, a oddech pachniał słodko i orze wiaj co jak noc. Musn ł j ustami, najpierw raz, potem znów. I resztkami silnej woli odsun ł si od niej.

- Zastrzegam sobie prawo do powrotu, kiedy zechc - szepn ła.

- Uczciwa propozycja - powiedział Cruz i dodał pod nosem - jak na razie.

Wysiadł, splótł palce swojej r ki z jej palcami i delikatnie cisp ł.

- Zaopiekuj si tob - powiedział.

- Wiem, ale nie dlatego z tob lec .

Przez zw one oczy Cruz spojrział na uniesion do góry twarz Laurel.

Bardzo powoli, daj c czas na unik, nachylił si do jej ust. Ten pocałunek nie był ju tak delikatny, raczej po dliwy. Przywarła do niego. Podniecał j tak samo, jak ona jego.

Obojgu wydawało si , e poraził ich piorun. Ciało Cruza napi ło si pod wpływem fali gor ca. Praw r k przyci gn ł do siebie Laurel. Dał jej odczu , jak na niego działa. J kn ła cicho. Nie był pewien czy to zdziwienie, czy przyzwolenie. Bał si , e Laurel si odwróci, ale nie zrobiła tego. Jej ciało stało si uległe. Pozwoliła mu przywrze do siebie i odpowiedziała nami tno ci , któr w niej wzbudził.

Nagle Cruz wyprostował si , przytomniej c. Zaprowadził Laurel do samolotu. Z ka dym krokiem przeklinał si w duchu. Dotkni cie jej było złamaniem elementarnych zasad zawodowstwa. Pocałunkiem złamał własne zasady. Na domiar złego odkrył, e ona pragnie go tak samo, jak on jej. Popenił straszliwe głupstwo.

- Zabierz nas do domu - powiedział do pilota kobiety, kiedy weszli na pokład. - Szybko.

Drzwi zamkn ły si , tworzc za ich plecami gładk cian . Usiedli naprzeciwko siebie, a pani pilot zwi kszyła nieco obroty silników, aby ostatni raz przed startem upewni si , czy wszystko jest w porz dku. Po chwili silniki troch przycichły i samolot zacz ł kołowa w stron pasa startowego. Wystartował szybko i bez przeszkód.

Podczas kołowania i startu Cruz nie odezwał si ani słowem.

- Jestem pod wra eniem - powiedziała znowu Laurel.

- Troska o ludzi to nasza specjalno .

- Nie wynaj łam ci .

- To bez znaczenia - powiedział.

- A gdybym zdecydowała si zda na siebie?

- Wybij ci to z głowy.

Cruz pochylił się i przekręcił włącznik. Światło w kabinie przygasło.

Ale Cruz wcale nie miał zamiaru jej uwodzić. Wpatrywał się w powierzchnię ziemi poniżej, gdzie blask księżyca i ostre cienie wyrysowały swój krajobraz. Jego oczy badały teren jak radary.

Laurel wyjrzała przez swój luk ciekawa, co te fascynowało Cruza w tym labiryncie srebrnej po wiaty i mrocznych cieni.

- Dokąd lecimy? - spytała.

- Gdyby była takim dobrym geologiem jak gemmologiem, rozpoznałaby tę postrzępioną linię w dole.

- Która?

- Ta, która przecina wzgórza na pół.

Laurel próbowała dostrzec coś w ciemnościach. Światło księżyca było bardziej zwodnicze od słonecznego. Chwilę trwało, nim odnalazła linię, która tak zaintrygowała Cruza.

- Ta? - spytała, pokazując palcem.

- Tak.

- Co to jest?

- San Andreas. Najwspanialszy egzemplarz spośród wszystkich szczelin ziemnych w zachodniej Ameryce. Mam zamiar kiedyś spędzić tam cały miesiąc, chodząc w jej wnętrzu.

- Tam nie da się chodzić. Co krok będziesz walczył o przetrwanie - powiedziała ironicznie Laurel.

Na twarzy Cruza rozblęsnęły mu mięśnie, mimo iż dokuczały mu rękawy,

- Będziemy lecieć nad San Andreas prosto na południe, a potem nad pustynią. Dalej szczelina odbija na zachód do miejsca zwanego Anza-Borego, na zachód od morza Salton.

- Była geologiem?

- Nie, ale lubi odkrywać chaos, którym obdarzyła nas natura. Upewniam się wtedy, że niektórych jeszcze interesuje, co dzieje się wokół nas.

Znow zapadła cisza. Laurel obserwowała gigantyczne rozpadliny, odsłaniające pod nimi swe piwno. Od czasu do czasu spoglądała ukradkiem na Cruza, ale on ani razu nie oderwał wzroku od pofałdowanej Ziemi. Był skoncentrowany jak wtedy, gdy strzelał do tych drani w jej domu.

Laurel też ulegała fascynacji Ziemi, ale w inny sposób. Uwielbiała drobne przejawy piękna, którymi obdarowywała ona człowieka: szlachetne kamienie, agaty z plaży oraz niezwykle okazałe minerały, które zamieniała we wspomnienia i utęsknienia.

Powoli oparła się w fotelu. Nie patrzyła już na Ziemię. Teraz przyglądała się im czy nie, którego kolana znajdowały się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od jej kolan. Wpatrywał się w Ziemię, na której widział chaos i przemoc. Sam zresztą odebrał gruntowne przeszkolenie w dziedzinie przemocy. Możliwa była, że strawił na tym większą część życia.

Nie był zimnym maszynem, mechanicznym mordercą. Dowodziły tego jego inteligencja i przenikliwa spostrzegawczość. A także potrafił zdobyć się na czułość. Ta kombinacja delikatności, błyskotliwości i siły zaskakiwała i podobała się Laurel.

Znalazłam się w tym samolocie głównie z jego powodu, pomylona. Nie wiadomo czy to o mnie najlepiej, ale takie są fakty.

Cruz podniósł wzrok, jakby wyczuł barwę, która szalała pod czaszką Laurel.

- Nie martw się. Dokonała słusznego wyboru. Mo esz postawi na to wszystko, co masz.

- Ju to zrobiłam.

Postawiła własne życie.

16

Było ju po północy, ale sale Muzeum Sztuki Hudsona t niły życiem. W wietle reflektorów i jupiterów, kustosze i robotnicy uwijali się jak mrówki. Montowali gabloty i rozwieszali obrazy na nie nobiałych cianach galerii. Jedyнным statycznym elementem był Damon Hudson.

- Zastanawiam się, czy nie odwoła wystawy - powiedział ostrym tonem.

Aleksy Nowikow nawet na niego nie spojrział.

- Troch bardziej w prawo - powiedział. - Nie. Nie a tyle. Przesu to jeszcze wy ej. Tak ju lepiej.

Lekko pochylony Nowikow pracował nad aran acją połączanego, srebrnego serwisu Fabergé w gablocie na wysokiej nodze, który jego zast pca próbował ustawi jak nale y.

- W yciu nie zd życie na czas - rzucił Hudson.

Nowikow nie zwracał uwagi na Hudsona. Zmru ył oczy i lekko przechylił swój kształtn głow . Chciał oceni efekt, jaki udało im się uzyskać . Wielokrotnie miał do czynienia z Hudsonem w poprzednich latach, zarówno w Rosji, jak i w Stanach. Pogardzał tym aroganckim przemysłowcem, ale był na tyle przezorny, e tego nie okazywał.

- Czarny aksamit - powiedział Nowikow do zast pcy. - Chyba mo na dosta gdzie w Los Angeles kawałek naprawd czarnego aksamitu. Ten chłam ma ółty odcie . Potrzebujemy czego w kolorze moskiewskiej nocy.

- Jest ju wtorek... - oznajmił Hudson.

- Prawie - przerwał mu chłodno Nowikow.

- ...co oznacza, e nawet je li uda wam się sko czy na przedpremierowe otwarcie w czwartek rano, to nie sprostacie moim wymaganiom. Chc , eby wszystko odbyło się na wiatowym poziomie. Nie ycz sobie trzeciorz dneją chałtury z Trzeciego wiata.

Tym razem Nowikow podniósł wzrok. Jego jasne brwi uniosły się z udawanym zdziwieniem.

- Prosz się nie denerwowa , panie Hudson. Wystawa b dzie wspaniała. Mamy mnóstwo czasu.

Hudson patrzył na opanowan do perfekcji teatraln mimik Nowikowa i jego jedwabiste, płowe włosy. ywił szczer , gł bok niech do homoseksualistów, ale nie ze zwykłych powodów. Patrzył na nich jak na rywali. W ten sam sposób postrzegał heteroseksualnych m czyzn. Gł boko w duszy Hudson wierzył, e jego penis powinien by jedynym tego typu narz dem dopuszczonym do u ytku na wiecie.

- Mam ochot wywali ciebie i ten cały objazdowy show na zbity pysk - warknął Hudson. - Zaczynam podejrzewa , e wszyscy Rosjanie to kłamcy i oszu ci.

- Czy jest jaka konkretna przyczyna pa skiego nagłego, szowinistycznego ataku zło ci?

Hudson rzucił piorunuj ce spojrzenie na draperi z czerwonego aksamitu, która niegdy zdołała cian małej kapliczki w Petersburgu. Teraz zabezpieczono ją płacht z grubego plastiku i starannie rozwieszono na cianie galerii zwróconej ku południowej stronie.

- Twoi ziomkowie stracili resztki poczucia lojalno ci - powiedział Hudson, cedz c ka de słowo.

- Dlaczego pan tak twierdzi? Czy by dlatego, e Rosja nie chciała zadowoli się pa sk propozycją zwrotu kosztów wystawy w zamian za wielki zaszczyt udost pnienia jej pa skiej galerii?

Oczy Hudsona pałały gniewem.

- Doskonale pan wie, ile kosztuje zorganizowanie mi dzynarodowej wystawy. Sponsorował pan bardzo wiele wstaw, kiedy walczył pan o tytuł pierwszego patrona sztuki w Los Angeles.

Na bładych policzkach Hudsona pojawiły si purpurowe plamy.

- Nie naigrawaj si ze mnie - powiedział Hudson. - Je li o chodzi o sztuk i artystów jestem bardzo hojny, ale z takimi jak ty radz sobie inaczej. Du o mocniejsi od ciebie próbowali!

Nowikow z trudem pohamował gniew. Znosił arogancj i humory Hudsona od godziny w nadziei, e popełni bñ d i zdradzi jakie informacje o Rubinowej Niespodziance.

Nowikow wiedział, e Hudson działał na rzecz interesów Rosji, pomagaj c w ten sposób własnym interesom. Teoretycznie Hudson mógł zorientowa si , jak warto ma Rubinowa Niespodzianka i ukra j dla siebie.

Ale Hudson nie powiedział nic, co wskazywałoby na jego udział w kradzie y.

- Nie miałbym naigrawa si z nikogo - powiedział spokojnie Nowikow. - Ale jestem patriot . Nie zamierzam wysłuchiwa ataków na Matk Rosj od nikogo, nawet od bardzo zamo nego kapitalisty, Damona Hudsona.

Rumie ce na policzkach Hudsona pociemniały jeszcze bardziej.

- Od lat jestem przyjacielem Rosjan - powiedział Hudson. - Zdarzało si , e ta przyja drogo mnie kosztowała. Wydałem mnóstwo pieni dzy na popieranie rosyjskich spraw, wñ czaj c trzy miliony, które do tej pory władowałem w t wystaw !

Nowikow mierzył Hudsona wzrokiem. Biznesmen był rozsierdzony. Jego oczy miały błyskawice, policzki oblały si szkarłatem, a g ste brwi stykały ze sob , tworz c złowró bn srebrn lin .

Nowikow czekał. Zastanawiał si , czy dalej podpuszcza Hudsona, w nadziei, e powie co o jaju.

- Co za przykładny obywatel - mrukn ł. - Domy lam si , e pa skie poparcie dla Rosjan zostało sownie wynagrodzone.

- To poparcie kosztowało mnie dro ej od pieni dzy - powiedział gorzko Hudson. - I co dostaj za wieloletni przyja i po wi cenie?

Zanim Nowikow zdecydował si na jak odpowied , Hudson obrócił si w miejscu, rzucaj c dookoła piorunuj ce spojrzenia i rozkładaj c r ce z pogard .

- Byle jaki zbiorek ikon i wi tobliwych obrazków, pudełka po machorce i cygarniczki, kilka nie liczy ch si sorealistycznych obrazeczków oraz par propagandowych plakatów nabazgranych przez trzeciorz dnego stalinowskiego sługusa.

Hudson odwrócił si i podszedł do Nowikowa. Wygl dał naprawd gro nie.

- Gdzie jest Fabergé? - za dał odpowiedzi.

Nowikow przyjrzał si Hudsonowi dokładnie. Ka dy normalny człowiek zamieszany w kradzie unikałby tego tematu. Ale Hudson nie był normalny. Jego pytanie nie wiadczyło o niczym, ani o winie, ani o niewinno ci.

- Rozpakowano go i ustawiono w gablocie podczas naszej rozmowy. Prosz si rozejrze - poinformował go Nowikow.

- Nie chodzi mi o ten szajs. Gdzie s wielkanocne jaja? Chc , eby rozpakowali je teraz i pokazali. Chc zobaczy je tu, gdzie b dzie ogl dała je prasa!

- Dlaczego akurat jaja s takie wa ne? - spytał Nowikow z nonszalancj . - Japo ska prasa kulturalna nie po wi ciła im zbyt wiele uwagi. Uznali, e s krzykliwe, a ich warto artystyczna dr

Hudson zbył pytanie pogardliwym ruchem ręki.

- Japończykom się wydaje, że eksponat musi mieć tysiąc lat i ostry tynacowy brzeg, żeby przedstawiać sobie jak warto - wyjął Hudson. - Ale Amerykanie są bardziej wyrobionymi odbiorcami sztuki. Mamy wiele uznania dla sztuki i piękna, niezależnie od wieku dzieła.

- To nadzwyczajne - powiedział Nowikow.

- Posłuchaj no, ty zarozumiałe skurwielu, obiecałem specjalne spotkanie w rodzimym kraju dla czołowych krytyków z „New York Timesa”, „Los Angeles Times” i innych wspaniałych ośrodków medialnych.

- Amerykańscy dziennikarze z rozkoszą stawiają się na wyścigi - powiedział Nowikow ironicznie. - Nie musi ich pan przyjmować jak lordów.

Hudson wyprostował się i gromił wzrokiem drobnego kustosza, jak patriarcha ze Starego Testamentu.

- Ta wystawa ma zasadnicze znaczenie dla mojej reputacji - powiedział. - Zwłaszcza teraz, kiedy ta sukca Toth wchodzi mi koło tyłka i próbuje szantażować odgrzewanymi historiami.

Nowikow z wielkim trudem ukrył swoją reakcję na nazwisko Claire Toth.

- To dzięki Fabergé wszystkie nagłówki gazet skupiły się na wystawie - rzucił Hudson. - Dzięki wielkanocnym jajom ta wystawa i moje muzeum znajdą się na pierwszych stronach! Wiem, że nie biegam, synu. I to już!

- Niestety, w tej chwili jaja są sprawdzane przez specjalistów, czy w czasie transportu nie uległy uszkodzeniu - powiedział Nowikow spokojnym tonem.

Hudson nie dał się udobruchać.

- Gdzie one są? - spytał niecierpliwie.

- Znajdą się na swoim miejscu dopiero, gdy reszta wystawy będzie gotowa. Do tej pory będzie - jak wy mówicie - zamknięte na trzy spusty.

- Pokaż mi te pieprzone jaja!

Nowikow odgrywał zadowolonego kustosza, ale w duchu klął jak szewc. Przygotował sobie wprowadzić odpowiednią historię na wszelki wypadek, ale nie sądził, że będzie potrzebna.

- Jaja ustawimy w gablocie dopiero po południu - zdradził Nowikow konfidencjonalnie.

Hudson odchrząknął.

- Wszystkie?

- Z wyjątkiem jednego - powiedział Nowikow i lekceważąco machnął ręką. - W czasie transportu lekko się uszkodziło.

- Które?

- Jeden z młodszych kustoszy poleciał z nim do Moskwy. Naprawi je i wróci tu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Prasa ma tu być za trzydzieści godzin! Którego jaja brakuje?

Nowikow westchnął ciężko.

- Rubinowej Niespodzianki.

- W Moskwie?! - wrzasnął Hudson. - Chcesz mi powiedzieć, że to cholerne jajo jest w Moskwie?!

Kilku Rosjan odwróciło się i popatrzyło na Hudsona. Jego ludzie nie zareagowali. Przyzwyczaili się do wybuchów szefa. Na tym miejscu innymi polegała ich praca. Zależało im na jednym: żeby zło Hudsona nie była skierowana na nich.

- Chryste! Czemu nikt mi nie powiedział?! - warknął Hudson. - Obiecałem tym szmaciarzom z prasy, że dam im sensacyjną informację - pierwszy amerykański pokaz zaginionych przed laty carskich klejnotów!

- Rzecz jasna, chodziło o to, by jajo znalazło się w idealnym stanie na pańskiej wystawie - tłumaczył Nowikow łagodnie.

- Wić naprawcie to gówno w Los Angeles! - darł się Hudson. - Bóg jeden wie, ilu jest Hindoli na Hill Street, którzy potrafiliby zrobić nowe, lepsze jajo, a co dopiero zreperować stare!

Nagle jak spod ziemi wyrósł koło nich Gapan, widmo niechlujnego proletariusza z dekadentkiej fety artystycznej.

Hudson spojrzał wilkiem na Gapan. Jego pokancerowana, brzydka twarz zrobiła na nim odpychające wrażenie. Słyszał, jak jego pracownicy plotkowali, że Nowikow i ten paskudny Rosjanin są kochankami. Na pewno Gapan był ochroniarzem eterycznego, eleganckiego kustosa.

Nowikow spojrzał na Gapaną i z powrotem na Hudsona.

- Moskwa jest jedynym miejscem na świecie, gdzie nadal funkcjonują pracownie *Fabergé*, i gdzie pozostały jego prawie kompletne narzędzia - wyjął cierpliwie Nowikow. - Je-li na jaju ma pozostać jakikolwiek ład, nie może się różnić od tych, które pozostawił sam mistrz.

- To oburzające - stwierdził Hudson. - Dzwoni do ministra kultury. Ukręć ci te jaja! Je-li w ogóle je masz.

- Jaja? - spytał Nowikow, ale przypomniał sobie, co oznacza w slangu to słowo i uśmiechnął się.

- Ach, tak. Zapewniam pana, że mam jaja i używam ich tak samo, jak pan.

Gapan rzucił Nowikowowi posępne spojrzenie.

- Proszę nie trudzić się i nie telefonować do ministra - dodał Nowikow spokojnie. - Jest zbyt zajęty, żeby zwracać sobie głowę nad drobnymi naprawami złotego filigranu.

Hudson otworzył usta, ale Nowikow mówił dalej:

- Na tej wystawie znajduje się ponad sto pięćdziesiąt eksponatów *Fabergé*. Jednego z nich nigdy nie pokazano na Zachodzie. Chyba nie zamierza pan zrezygnować z gratulacji napływających z całego kraju, tylko dlatego, że przez parę godzin gdzieś brakowało jednej rzeczy?

Hudson chciał się dalej kłócić, ale alkohol i adrenalina zniknęły z jego organizmu, pozostawiając pustkę. Na sekundę zamknął oczy. Odkładając rozpoczęcie leczenia w Rumunii, nigdy nie czuł się taki wyczerpany.

- Proszę wykorzystać ten czas. Niech pan odpocznie, jeszcze raz zajrzy do tekstu przemówienia - namawiał go Nowikow. - Wszystkie gabloty będą gotowe przed rodzimym spotkaniem z prasą.

Hudson spojrzał w przedziwne, jasne oczy Nowikowa i poczuł, że wiat wyrywa mu się spod kontroli. Miękki, niski głos przypominał pieszczotę. Przez moment zastanawiał się, jak byłoby mu w łóżku z mężczyzną.

O ile Nowikow to mężczyzna. Hudson wątpił w to, że mężczyzna nie mógłby być taki piękny, taki... ponętny. Mężczyzna nigdy nie działał na Hudsona.

Uśmiechnął się jak Madonna, Nowikow położył rękę na ramię Hudsona.

- Je-li pan chce - powiedział - mogę towarzyszyć panu przy oprowadzaniu dziennikarzy. Mogę ujawnić niezwykle fakty dotyczące niektórych eksponatów, dużo atrakcyjniejszych pod względem artystycznym od rubinowego jaja.

Hudson wziął głęboki oddech i poczuł słaby, egzotyczny zapach Aleksego Nowikowa. Potrzebował głębiej jak odurzony. W duchu obiecał sobie, że nigdy nie będzie pił wódki, nawet je-li bardzo

tracił poczucie rzeczywistości ci. Jego organizm już jej nie tolerował.

Ale Claire Toth też piła.

Kłoniąc pod nosem, próbował pozbierać do kupy rozproszoną zdolność koncentracji.

- Mnóstwo zainwestowałem w tę wystawę - powiedział.

- Podobnie jak Rosja, przyjacielu - zapewnił go Nowikow. - Wystawa ma zasadnicze znaczenie dla odbudowania dobrych stosunków między dwoma narodami, które przez wiele lat dzieliła głupia ideologia. Czy nie mam racji, Gapan?

Gapan spojrział na Hudsona i Nowikowa, a potem powiedział coś po rosyjsku. Hudson nie rozumiał słów, ale szczerze wątpił, czy były pochlebne.

Gapan wyglądał Hudsonowi na typa, który nie powiedziałby nic pochlebnego ani o Bogu, ani o Leninie, ani tym bardziej o takim kapitaliście jak Hudson.

- Och, Gapan - rzekł Nowikow, kręcąc głową. - Nowa Rosja potrzebuje przyjaciół, by przetrwać. Dlatego pozwolili my ci towarzyszyć wystawie. To gest dobrej woli z naszej strony. Przyjaciół się nie kupuje. Trzeba ich zdobywać.

Gapan wyglądał na znudzonego.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - powiedział Nowikow do Hudsona. - On jest - jak to się mówi, rekinem? - przeszło ci.

- Reliktem - poprawił go Hudson.

- No właśnie. Tak mi się wydawało.

Nowikow delikatnie uciszył biceps Hudsona z aprobatą.

- Powinien pan odpocząć, przyjacielu - mruknął Nowikow. - Potrzebujemy pana w pełni sił witalnych. Ta wystawa to prezent od Rosji dla reszty świata. Symbol naszej gotowości do pojednania się ze wszystkimi narodami.

- I niezłe źródło dochodu - podsumował cierpko Hudson.

- Ale naturalnie - uśmiechnął się Nowikow. - Pan najlepiej powinien rozumieć, co znaczą kłopoty finansowe. Chyba kilkaset tysięcy dolarów to nie jakaś straszna ofiara dla tak zamożnego człowieka.

- Twój rząd skasował mnie na trzy miliony dolarów za przywilej pokazania u mnie tej wystawy i doskonale o tym wiesz.

- Mimo wszystko - Nowikow z wdziękiem wzruszył ramionami - to nie taka straszna suma jak dla pana, prawda? Jest pan przecież bardzo, bardzo bogaty.

- Czy teraz, kiedy już wyrzekliście się idei socjalistycznych, wasza chciwość nie ma żadnych granic? - spytał Hudson.

Nowikow lekko przechylił głowę i bacznie przyglądał się Hudsonowi.

- Jeśli opłata wydała się panu zbyt wysoka, postaram się wstawić za panem u ministra - oświadczył Nowikow. - Bardzo cenimy sobie pańską przyjaźń.

- Czy by? - Hudson złowieszczo zmierzył spojrzeniem Nowikowa. - Wiem dlaczego jestem szantażowany?

- Proszę? Szantażowany?

Zapadła cisza i trwała tak długo, że szept robotników przerodziły się w hałas.

- Nie wiem, czy maczałem w tym palce - odezwał się w końcu Hudson. - Ale jak

tym usłyszysz. Tymczasem ci gnij mi to jajo.

Po tych słowach wyszedł.

Nowikow patrzył, jak schodzi po wypolerowanych marmurowych schodach, przechodzi przez łukowate, hebanowe drzwi, wysokie na dziesięć metrów, za którymi kończyła się budowla wystawiona przez Hudsona ku czci Hudsona.

- Gapan - powiedział mi kko Nowikow.

- Jestem tu.

- Znajdź tego dziwka Toth. Chcę z nim pomówić.

17

Kiedy Laurel obudziła się, w pokoju było ciemno. Zdezorientowana, na wpół śpiąca, usiłowała przypomnieć sobie, gdzie jest.

Powietrze w małej sypialni było chłodne i nieruchome. Miała na sobie cienką nocną koszulę. Okryta była gładkim prześcieradłem. Nie miała pojęcia, jak długo spała. W pokoju nie znalazła żadnego zegarka. Jedyne cienka linia białego, jaskrawego światła przedzierającego się przez szczelnie zasłonięte okna zdradzała poranek.

Przez moment Laurel wpatrywała się w smugi światła. Były tak jaskrawe, jakby ktoś przepuszczał je przez kryształowy pryzmat.

Pustynne światło.

Powoli zaczęła sobie przypominać, co zaszło ostatniej nocy. Zimne światło księżyca na tle surowego krajobrazu pustynnych gór i ruchomych wydm. Widziała je, kiedy samolot zaczął kołować nad prywatnym lotniskiem u podnóża gór Santa Rosa należącym do Risk Limited.

Risk Limited.

Cruz Rowan.

Ojciec i Rubinowa Niespodzianka.

Wspomnienia zaczęły wracać, a wraz z nimi niepokój. Laurel usiadła na łóżku. Jej serce załomotało, gdy echo wczorajszych strzałów zabrzmiało jej w pamięci. Znowu poczuła chłód cementowej podłogi, do której przycisnął ją Cruz, chcąc uchronić od pewnej śmierci. Przypomniła sobie ciepły, delikatny dotyk jego kciuka na swoich ustach i gorący, gwałtowny pocałunek.

Po piesznie odrzuciła prześcieradło i wstała z łóżka. Pod bosymi stopami glazura wydała jej się chłodna, gładka i czysta.

- Lepsza niż podłoga w mojej pracowni - mruknęła.

Serce Laurel waliło zbyt mocno i zbyt szybko. Strach nie był jedynym powodem tego stanu.

- Ciekawe, czy Risk Limited potrafi chronić głupie kobiety przed zakochiwaniem się w takich mężczyznach jak Cruz Rowan? - mruknęła do siebie. - Pewnie nie. Niewiele jest takich facetów jak Rowan. Interes słabo by się kręcił. - Szkoda, bo bardzo przydałaby mi się pomoc. Rozbiór państwa oznacza jego szybki upadek, rozebrana kobieta też szybko upada... na łóżko. Albo się zakochuje.

Laurel przestraszyła się własnych słów.

- Nie - powiedziała natychmiast. - Tylko nie to. Nie ma mowy. Przecież nie jestem taka jak mama.

Energicznie podeszła do okna i rozsunęła ciężkie, drapowane zasłony. Słonce buchnęło do pokoju niczym białe światło, o lepijcy ar. Laurel musiała bardzo szybko mrugać, zanim oczy oswoiły się z jasnością.

Po chwili ujrzała spalony słońcem skalisty krajobraz.

Niewiele było do oglądania. Kilka rozproszonych budynków i tłuczniowa nawierzchnia pasa startowego, który wyglądał jak czarny nieruchomy wulkan, miertelnie porośnięty palącym słońcem. Poza tym pustynia sprawiała wrażenie kompletnie bezludnej. Laurel poczuła się wyizolowana, samotna, obca w obcym miejscu.

Jej palce zacisnęły się na zasłonach. Starła się zrozumieć, dlaczego zaufała Cruzowi Rowanowi i przyjechała z nim na to pustkowie.

- Znalazłam się w niebezpiecznym miejscu - szepnęła do siebie. - Ale czy na pewno? - poprawiła się.

Znowu usłyszała wczorajsze strzały. Poczuła, jak ciało Cruza drgnęło, gdy dosięgła go przeznaczona dla niej kula.

W porządku. Rzeczywiście znalazłam się w niebezpiecznym miejscu. Za to teraz jestem bezpieczna. Muszę jakoś powiadomić tatę, ale tak, żeby nie zdradzić Cruzowi miejsca jego pobytu. Jak to zrobić?

To pytanie nękało ją przed zaśnięciem. Kiedyś rozmowy przez telefon komórkowy nie da się podsłuchać. Ale po ostatniej nocy miała poważne wątpliwości. W dodatku musiała brać pod uwagę, że tutaj każdy telefon należał do Risk Limited i mógł mieć zaprogramowane nagrywanie rozmów, może nawet z podglądem.

Popatrzyła rozgoryczona na telefon stojący na nocnym stoliku.

- Tak blisko i jednocześnie nie tak daleko - szepnęła.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Co jeśli to zdarzało się problem, którym martwiła się przed zaśnięciem, rozwiązywała po przebudzeniu.

Odczytała litery nad cyframi na klawiaturze telefonu i wybrała to, czego potrzebowała. Trzy, dwa, sześć, cztery, sześć, siedem. Następnie podniosła słuchawkę, wybrała numer do ojca, poczekała na sygnał i wprowadziła sześć cyfr jako numer zwrotny, i szybko odłożyła słuchawkę. Cała operacja trwała około trzydziestu sekund.

W duchu modliła się, żeby to co zrobiła, nie okazało się grubym błędem. Rozejrzała się, szukając ubrania. Nigdzie go nie było. Nie miała nic prócz zielonej nocnej koszuli, którą znalazła wczoraj wieczorem na rozłożonym łóżku.

Podeszła do szafy i otworzyła ją. Poza cienkim zielonym szlafrocikiem dopasowanym do koszuli, szafa wiewiała pustkami. Zdjęła go z wieszaka i zarzuciła na ramiona. Cichutko zamknęła za sobą drzwi i wyszła do chłodnego holu. Rozejrzała się i ruszyła w kierunku jasnego pokoju, który widziała na końcu korytarza.

Dobrze zbudowana kobieta, o lśniących czarnych włosach i skórze w kolorze głębokiej ceglanej czerwieni nakrywała do stołu. Podłoga tego pokoju pokrywała terakota. Urządzono go wygodnie, w południowo-zachodnim stylu, ale ze smakiem. Meble pochodziły z krótkich, oryginalnych serii. Indiańskie dywaniki miały co najmniej po dziesięć lat i nie raziły ani mdłym, pastelowym różem, ani jaskrawym turkusem.

- Dzień dobry, panno Swann - powiedziała radośnie kobieta. - Nazywam się Grace Mendoza. Pracuję dla pani ambasador. Czy dobrze pani spała?

- Tak, dziękuję. Gdzie moje ubranie?

- W suszarce. Powinno być gotowe po niadaniu albo lunchu, jeśli pani woli.

Laurel zatrzepotała powiekami ze zdziwienia.

- Która godzina?

- Dochodzi jedenasta. Cruz powiedział, że mamy pozwolić pani spać do oporu. Podobno ma pani za sobą całą noc.

- Tylko kilka chwil zgrozy - odparła zwi le. - Gdzie jest pan Rowan? Musz z nim natychmiast porozmawia .
Mendoza spojrzała lekko rozbawiona na koszul i szlafrok, ale nic nie powiedziała.

- Kilka minut temu widziałam, jak szedł do siłowni z sier antem-majorem Gillespiem - poinformowała j .
Laurel przypomniała sobie, jakiego argumentu u ył Cruz, eby przekona j do wyjazdu. Powiedział, e kontuzja jest zbyt powa na, by mógł prowadzi .

- Do sali gimnastycznej? - spytała z niedowierzaniem.

- wiczy przynajmniej raz dziennie.

- Nawet ze złamanym ebrem?

- Wszystko si na nim goi jak na psie.

Rozbawienie w oczach Mendoza nie znalazło odpowiednika w oczach Laurel.

- Jak na psie? - powtórzyła Laurel ironicznie. - Ten człowiek to chodz cy cud medycyny. Gdzie jest sala gimnastyczna? Chc natychmiast zobaczyć ten ywy cud na własne oczy.

- W budynku pod starymi drzewami pieprzowymi - powiedziała Mendoza, wskazuj c palcem. - Ale mo e napiłaby si pani soku pomara czowego albo kawy? Cruz zaraz wróci.

Laurel nie odpowiedziała. Zamykała wła nie oszklone drzwi, kieruj c si do siłowni.

Mendoza podniosła słuchawk i zadzwoniła do Cassidy Redpath. Drog do sali gimnastycznej skrywał cie , ale ar lej cy si z nieba doskwierał Laurel. Jej zło podobna była do upału, wypalała zaufanie, którym obdarzyła Cruza.

Po danie te , wmawiała sobie. Dała si nabra jak ostatnia idiotka.

Siłownia była sze cianem bez okien. Zaprojektowano j tak, eby chroni wn trze przed sło cem. Laurel otworzyła ci kie drzwi i weszła do rodka. Stan ła i pozwoliła oczom przyzwyczai si do sztucznego wiatła. W porównaniu z jaskrawo ci pustyni w budynku było mroczno.

Pocz tkowo nic nie słyszała. Potem dotarły do niej sfumione pomruki i ci kie oddechy.

- No chod , ty wielki draniu, zobaczymy, z czego jeste zrobiony.

Laurel rozpoznała głos Cruza. Je li co go bolało, jego głos na pewno tego nie zdradzał.

Zbiegła korytarzem po schodach w kierunku jednej z sal, nie mog c doczeka si konfrontacji.

- Ty lamazarny białasie. Ruszasz si jak mucha w smole. Co to miało by , chciałe si ze mn zmierzy , czy tylko drapałe si po dupie? - Drwi cy głos miał oksfordzki akcent, lekko zmi kczony szkockim z naleciało ci zachodnio-ameryka skiego.

Laurel poszła za głosem i dotarła do szklanego przepierzenia, przez które mogła zajrze do sali gimnastycznej.

Cruz miał gołe stopy. Ubrany był w czarne spodnie od kimona. Laurel patrzyła, jak obraca si zgodnie z ruchem wskazówek zegara na grubej, białej macie. R ce lu no opuszczone, ale gotowe do ataku. Oczy utkwione w wysokim, muskularnym, mocno opalonym m czy nie, który obracał si razem z nim. Obaj obserwowali si nawzajem w oczekiwaniu na pierwszy ruch, tak jak mangusta obserwuje kobr .

Po chwili Laurel zrozumiała, e sier ant-major zawdzi czał sw opalenizn nie tylko pustynnemu sło cu. Jego oczy, nos i usta, podobnie jak kolor skóry, były efektem przemieszania dwóch ras.

Gillespie przewy szał Cruza o kilka centymetrów. Jego wygolona głowa błyszczła od potu. Poruszał si ze sprawnoci i sił zawodowego atlety w szczytowej formie. On tak e był boso. Przykucn ł w niewygodnej pozycji; dzi ki niej mógł si szybko odwróci . Obaj m czy ni tak skoncentrowali si na

sprawy z obecnością ci Laurel. Patrzyła na nich ze złości i fascynacją. Jeszcze nigdy nie widziała takich silnych, a zarazem pełnych wdzięku mężczyzn. Stali twarzą w twarz, gotowi do walki wręcz.

- Pochylasz się - drwił Gillespie. - Ograniczasz szansę uniknięcia.

Bez ostrzeżenia sierżant-major zrobił zwrot i zaczął odwracać się w przeciwnym kierunku.

- Niech to diabli! - krzyknął z pogardą. - Ruszaj się, człowieku!

Zrobił jeden szybki krok do przodu, obrócił się wokół własnej osi na wyprostowanej nodze i wymierzył błyskawiczny cios w lewą stronę klatki piersiowej Cruza.

Cruz przewidział atak. Chwycił stop Gillespiego oburczyście i dźwignął go do góry. Sierżant-major wykonał doskonale skoordynowane salto w powietrzu i wrócił do pozycji stojącej.

Ale Laurel patrzyła na Cruza. Podrzucił sto kilo więcej wagi, jakby nigdy nic. Patrzyła na mężczyznę, który uratował jej życie, który pocałował ją tak, jakby była najwspanialszą kobietą na świecie i który od wczoraj bez przerwy ją okłamywał. Odwiozła go na lotnisko, ponieważ wmówił jej, że nie może go prowadzić. Nawet grzecznie obiecał, że nie wniesie jej się na pokład samolotu.

Laurel skrzywiła się na tymyś. Siedem lat treningu sztuki samoobrony nie pomogłoby jej utrzymać się na ringu z Cruzem nawet przez siedem sekund. Była zła, że Cruz rozszyfrował ją tak dokładnie. Wiedział, że jeśli zaciągnie ją się do samolotu, będzie musiał zakłużyć w kajdany i zamknąć w lochu.

Mężczyźni znów zaczęli kręcić wokół siebie. Kolejna próba siły i zmylenia przeciwnika. Wzajemne testowanie się w pocie czoła - przyjemność, jak mogłoby dać sobie tylko dwaj mężczyźni.

Laurel otworzyła szklane drzwi. Jeden z nich niczego nie zauważył.

- Co teraz powiesz, staruszkule? - zapytał Cruz, parodiując brytyjski akcent Gillespiego. - Jestem dużo słabszy?

- Szybko nadrabiasz straty - odparł Gillespie. - Zobaczmy, jak długo będziesz za mną nadążał, synku.

- Tak długo, jak będzie musiał.

- Wierzę - powiedziała Laurel. - Od tej chwili nie musisz już czuć się winną, że oberwałam za mnie.

Cruz obrócił się i popatrzył na Laurel. Pod jego czaszkami li biegły z prędkością światła. Jedno spojrzenie wystarczyło, by wiedział, że cokolwiek wymyśli, nie załagodzi furii Laurel.

- Uspokój się - powiedział szybko. - Nie masz pojęcia jak...

- Wypchaj się - przerwała mu Laurel. - Wiem, kiedy robi się ze mnie idiotką; szkoda, że...

- Kochanie, gdyby tylko...

- ...nie ubawiłam się przy tym tak wierzę jak ty. Jest taka gra, „samotnik” - polega na tym samym: zabawa dla jednego.

- Laurel, Janie...

Nie dawała mu dojść do słowa.

- Wyjeżdżam stąd: Natalia, Adam, Tomasz, Yett, Cecylia, Hubert, Maria, Iwona, Anna, Stanisław, Tadeusz - powiedziała lodowatym tonem.

Cruz nie zrozumiał.

- Masz rację - zwróciła się Gillespiego. - Cruz jest dziś bardzo powolny. Natychmiast. Czy to takie trudne słowo? Zamierzam natychmiast wyjechać.

- Nie wyjedziesz - powiedział Cruz stanowczo.

Gillespie przeniósł spojrzenie z Laurel na Cruza.

- Owszem - o wiadczyła, nie odwracaj c si w jego stron .
 - Powiedziała ... - zacz ł Cruz, ale natychmiast mu przerwała.
 - Siedz , e ułatwiłabym ci zadanie, gdybym była idiotk i robiła wszystko, co zechcesz. Ale zdarzaj si pomyłki
- powiedziała.

Gillespie z trudem hamował u miech.

- I tu wła nie zaszła pomyłka, czy tak? - spytał.
- Jak cholera - zgodziła si z nim. - Wi c dzwo do pilota, kierowcy czy kogo tam. Spadam st d.
- Nie - powiedział Cruz.
- Nie byłoby to zbyt rozs dne, panno Swann - powiedział cicho Gillespie.
- Ach tak, wi c w tej kwestii te kłamałe . Teraz jestem wi niem.
- Raczej mile widzianym go ciem - poprawił j Gillespie.
- Bzdura. Nikt nie przepada za idiotkami. Mówi o sobie. - Odwróciła si do Cruza: - S dziłe , e pomog ci odnale tat .

- Laurel, kochanie, ja...

- Zamknij si . Kiedy wkładasz czarny gorset? To przecie twój ulubiony kolor!

Laurel odwróciła si i wyszła z sali.

Obaj poczuliby si lepiej, gdyby trzasn ła drzwiami.

Ale nie trzasn ła.

Gillespie i Cruz rzucili si do telefonu. Cruz był pierwszy.

Laurel ledwie zauwa ała upał, kiedy długimi, szybkimi krokami wracała do głównego budynku.

Mendoza robiła co przy stole. Zło i upokorzenie rozpały policzki Laurel, jakby sp dziła zbyt wiele czasu w pal cym sło cu.

- Pani ambasador chciałaby porozmawia z pani - powiedziała Mendoza. - Jest w swoim gabinecie.
- W naj mielszych marzeniach nie my lałam o tym, by zawraca jej głow - powiedziała chłodno Laurel i odwróciła si .

- Ale to adne zawracanie głowy. Najbli sze miasto le y na wschód od tego miejsca - dodała Mendoza, jakby Laurel spytała j o to.

- Daleko?

- Ponad siedemdziesi t kilometrów.

Laurel zatrzymała si gwałtownie. Siedemdziesi t kilometrów.

- Je li chce pani i na piechot , radz zaczeka do wieczora.

Laurel otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Jestem Indiank z plemienia Soboba - ci gn ła Mendoza spokojnie. - Mój lud w druje po tej krainie od pi ciuset lat. adne z nas nie wybrałoby si w tak drog w pełnym sło cu.

Laurel zrobiła gł boki wdech. Próbowwała zapanowa nad histeri , która w niej wzbierała. Była w pułapce.

- Prosz porozmawia z pani ambasador. Jest wietnym doradc w takich sprawach.

- Gdzie jest pralnia? - spytała Laurel pos pnie.

- W ko cu korytarza. Trzecie drzwi na lewo.

Laurel ruszyła w stron pralni.

- Naprawdę powinna się pani z nią spotkać! - zawołała za nią Mendoza.

Laurel szła dalej.

Szybkie ruchy sprawiły, że szlafrok powiewał i trzepotał jak połamane skrzydła.

18

Przez tanie głośniki dźwięki bałałajki nabierał właściwego sobie, byle jakiego brzmienia. Letni smog kojarzył się Hudsonowi z moskiewskimi mgłami. Na chodnikach tłoczyły się przysadziste kobiety w tanich domowych sukienkach. Ławki w parku pełne były wysuszonych starców, którzy palili papierosy i błąkali co do tego ust, jakby obawiali się, że ktoś może podsłuchać ich codzienną pogawiedź. Highland Park w zachodniej części Los Angeles bardzo przypominał Park Gorkiego w letni, gorący dzień.

Hudson nienawidził tego. Choć w przeszłości pałał sympatią do Związku Radzieckiego i jego obywateli, prawda była bardziej skomplikowana. Kochał ten ustrój i nienawidził go z powodu opryskliwych ludzi.

Po siedemdziesięciu latach sowieckich rządów, Rosjanie nadal wydawali się Hudsonowi zgorzkniali, zaniedbani i uprzedzeni do reszty świata. Miliony Rosjan zginęły podczas wojny przeciw Hitlerowi. Na ich ciałach piętrzyły się miliony ciał tych, którzy zginęli w gułagach i obozach śmierci od Białorusi po Syberię.

Pomimo tylu ofiar i radykalnych przemian w polityce w ostatnich latach sami Rosjanie nie zmienili się zbyt wiele. Ta smutna prawda zawsze nasuwała się Hudsonowi na myśl, kiedy przyjeżdżał do zachodniego Los Angeles, gdzie była rosyjska emigracja. Dlatego starał się unikać tego miejsca.

Dziś zrobił wyjątek. Davinian był gdzieś do swobodniejszy w tym otoczeniu niż gdzie indziej. Na staro zrobił się sentymentalny. Uwielbiał wchłaniać atmosferę rosyjską, tak jak inni starzy ludzie promienie letniego słońca.

Hudson chciał, by podczas ich ostatniego spotkania Davinian czuł się trochę komfortowo.

Jubiler siedział cicho w cieniu kwitnącego drzewa. Z łysych włosów i kościstymi kośćmi wyglądał jak posępny ptak. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne w okrągłych, metalowych oprawkach, ale nie zapobiegały one starczemu odruchowi mrugnięcia oczu. Patrzył na Hudsona, ale go nie poznawał.

- Davinian - powiedział Hudson cicho.

- A, Damon - mruknął stary jubiler, odwracając się za głosem. - Nie spodziewałem się, że nadejdiesz z tej strony. Nie zauważyłem twojej limuzyny.

- Przyszedłem pieszo.

- Pieszko? - Davinian pokręcił głową. - Następny razem przybiegniesz truchtem, żeby wyglądać na młodzieniaszka.

- Proszę, przyniosłem trochę herbaty z restauracji „Crimean”.

Mówiąc to szperał w papierowej torbie, z której przyszedł na spotkanie. Jego ręka wynurzyła się z plastikowym kubkiem. Kiedy dał go Davinianowi, sięgnął raz jeszcze do torby i wyjął drugi dla siebie.

- Z cytryną? - spytał Davinian, odchylając głowę w bok.

- Z podwójną, jak zwykle - powiedział Hudson.

Zjął przykrywkę ze swojego kubka i spróbował. Potem usiadł na ławce.

- Dzięki - powiedział Davinian, podnosząc kubek do góry. - Już zdążyło zrobić się gorąco.

Davinian w ciszy syczył mocniej, kładąc herbatę i przyglądał się innym starcom, którzy tak jak on siedzieli na ławkach, rozkoszując się blaskiem słońca filtrowanym przez koronkowe liście i cichym zawrozczeniem bałałajki.

- Kocham to miejsce - powiedział w końcu. - Przypomina mi okolice, w których się

wróć do Moskwy, żeby zobaczyć, ile się tam zmieniło.

- Byłem tam w zeszłym miesiącu - powiedział Hudson i zachichotał. - Zmieniło się dużo o mniej, niż byś sobie myślał.

- Może w środowisku, w którym ty się obracasz. Przy korycie zostali ci sami ludzie i oni nadal zgarniają najwięcej. - Davinian popił trochę herbaty i westchnął. - Ale na dole, gdzie żyje większość z nas, zaszło wiele zmian. Bardzo wiele.

- Czy by? - spytał obojgu Hudson.

- Generałowie pozostali na swoich stołkach, ale moi kumple, pułkownicy, majorzy, kapitanowie już nie pracują. Żadnych z nich.

- Czy to znaczy, że niczego się nie dowiedzieliście?

Davinian wzruszył chudymi, obwisłymi ramionami.

- Trochę się dowiedziałem. Ale niewiele - oznajmił. - Jest całe pokolenie ludzi, porządnych, zdolnych ludzi, którzy byli moimi towarzyszami... powiedzmy. Wszystkich odsunęli od władzy, jakby nagle z dnia na dzień stali się bezużyteczni.

- Oszczędź mi tych głupich historyjek - powiedział Hudson. - W przeciwieństwie do nich, ja nadal gram w pierwszej lidze. Potrzebuję wszelkich dostępnych informacji.

Davinian pohamował niecierpliwą Hudsona ręką szczerząc się. Popił trochę herbaty, przeciągnął rozmowę, jakby nie miał żadnych innych planów.

- Udało mi się czegoś dowiedzieć o tej kobiecie - rzekł Davinian. - Tak jak podejrzewałem, pracowała parokrotnie dla Moskwy. Głównie upowszechniała historyjki, które Moskwa chciała włączyć do obiegu.

- Jakie historyjki?

- Nie było żadnego schematu. Pierwsze znaczące zadanie wykonała, kiedy była bardzo młoda - jeszcze studiowała - podczas olimpiady w Los Angeles.

- Rosjanie ją zbojkotowali.

Davinian przytaknął.

- Nasze władze wysłały listy z pogroźkami do niektórych afrykańskich zespołów - powiedział Davinian. - Zorganizowano to tak, żeby wyglądało na robotę Ku Klux Klanu. Niewielkim wysiłkiem skompromitowano organizatorów olimpiady.

- Do prymitywne.

- Takie bezporadne metody czy stożek egzamin. Jednak władze olimpijskie przechwyciły listy i zatuszowały całą sprawę. Cały wysiłek spaliłby na panewce, gdyby ktoś nie przemycił kopii listów i nie przekazał ich tej twojej Toth. Nagłośniła sprawę w studenckiej gazecie i nadała jej wymiar międzynarodowy.

Davinian wyczekując co popatrzył na Hudsona.

- Mnie to nie pomoże - uznał Hudson szorstko. - To przedpotopowe historie.

- Jeśli chodzi o wieś sprawę cięgnął Davinian - Toth okazała się bardzo pomocna w nadawaniu rozgłosu pewnej sprawie dotyczącej agenta FBI. Ta historia zdominowała wszystkie serwisy informacyjne w mediach. Dzięki niej Toth ostatecznie umocniła swoją pozycję niekwestionowanej gwiazdy międzynarodowego dziennikarstwa.

- Nie przypominam sobie tej sprawy.

- Pamiętasz chyba to zdarzenie? Brygada specjalna FBI zastrzeliła dwóch terrorystów, którzy wzięli na zakładnika konsula generalnego, tu w Beverly Hills. Terroryci zostali zabici po całym dniu negocjacji i grob. Kamery telewizyjne umieszczono dosłownie wszędzie.

Teraz sobie przypomniał, ale tylko dlatego, że utrzymywał serdeczne stosunki z dyplomatą, który przyjechał w zastępstwie konsula generalnego. Ten dyplomata bardzo pomógł Hudsonowi w zdobyciu technologii nasycającej węgla gazem, pochodzącej z jego rodzimego kraju.

- Pamiętam - przyznał Hudson. - Co to ma wspólnego z Toth?

- To ona stała się kanałem, przez który nasi ludzie mogli zdyskredytować tego agenta FBI. Media kreowały go na bohatera narodowego, dopóki nie padła sugestia, że młodzi terroryci zamierzali się poddać po egzekucji na konsulu generalnym.

Hudson zachowywał pełen spokój.

- I co dalej?

- Pojawiła się niewinna aluzja, nic ponadto, że ten Rowan przekroczył swoje kompetencje i wymierzył sprawiedliwość. że postąpił z terrorystami w sposób niezgodny z prawem. Sugestie te przybrały na sile, gdy „Los Angeles Times” opublikował zdjęcie Rowana uczestniczącego w wiecu neonazistów.

Bacznie obserwując Daviniana, Hudson napił się herbaty. Stary jubiler poruszył się niespokojnie, jakby nagle deski ławki zaczęły go uwierać. Łyknął odrobinę herbaty i spojrzął na plastikowy kubek, jakby zastanawiał się, czy ma jeszcze na niego ochotę.

- Czy coś nie tak z twoją herbatą? - spytał Hudson. - Proszę, może wolisz moją?

- Nie, dziękuję.

Davinian wypił jeszcze odrobinę wyłownie z grzecznością.

- Czy to zdjęcie sfalszowano? - spytał Hudson.

- Oczywiście. My daliśmy jej to zdjęcie.

- Agresywnych dziennikarzy rzadko obchodzi źródło informacji - stwierdził Hudson.

Davinian rozwiął jego w tępą cię.

- Wiedziała, skąd pochodzi zdjęcie. Wiedziała, że to fałszerstwo. Zrobiono je sześć miesięcy wcześniej, kiedy agent pracował po cywilnemu. Prowadził dochodzenie w sprawie neonazistów, a nie uczestniczył w wiecu.

- Przecież FBI też o tym wiedziało.

- Dochodzenie było jeszcze w toku. Gdyby ujawnili prawdę, ryzykowaliby, że cała dotychczasowa robota pójdzie na marne. No i zdemaskowaliby kilku informatorów. Agenta publicznie potępiono i w końcu zabrał się do dymisji.

- A zatem?

- Zatem Toth wygrała kilka znaczących nagród dziennikarskich za materiały dotyczące tej sprawy. Dzięki temu zdjęcie cię zyskało reputację narodowego pogromcy smoków. Nigdy nie ogłosiła się za siebie. A my nigdy nie przestaliśmy korzystać z jej usług.

- A więc miałem rację - powiedział ostro Hudson. - Za tym szantażem stoją twoi dawni koledzy.

Davinian pokręcił głową.

- Nie jestem w stanie cię tego powiedzieć - rzekł stary jubiler. - Wszyscy, z którymi rozmawiałem, dawno potracili pozycję. Nawet gdyby Toth brała udział w jakiejś operacji, oni dowiedzieliby się ostatecznie.

- Musz mie pewno , stary - sykn ł Hudson przez z by. - Nie poskromi tej bestii Toth jedwabn tasiemk . Musz mie na ni prawdziwy bat. Czy to wszystko, czego si dowiedziałe ?

- Miałem szcz cie, e w ogóle czego si dowiedziałem. Nowy rz d przeję ł cały aparat. Moje dawne wtyczki s przestraszone i chyba miertelnie si nudz . Jeden z nich pewnie do teraz rozmawiałby ze mn , gdybym w ko cu nie odło ył słuchawki.

- Mo esz tak po prostu wykr ci numer i porozmawia z tymi lud mi w Moskwie? - spytał Hudson szczerze zdumiony.

- No jasne - powiedział Davinian. - Ł cza satelitarne AT&T działaj tak samo sprawnie jak radzieckie.

- To bardzo niebezpieczne. Ka dy mógł ci podsłucha .

- Współpracuj z tymi lud mi od dziesi cioleci. Nie musimy wiele mówi , eby si zrozumie . A poza tym moi towarzysze maj ju tak niewiele do czynienia z władz , e inwigilowanie ich przez tajne słu by nie miałyby wi kszego sensu.

- A wi c to wszystko, hmm? - spytał Hudson. - Toth mo e dostawa informacje z Moskwy albo nie.

- Tak.

- Nie masz nic do dodania?

- Przykro mi, przyjacielu. Zrobiłem, co mogłem. Jestem ju znu ony t gr .

- W takim razie egnaj. Nie b d ci wi cej zawracał głowy.

Hudson u miechn ł si smutno i podniósł kubek z herbat jak do toastu. Nast pnie tr cił nim kubek Daviniana, po czym wypił spory łyk. Davinian zrobił to samo.

Sponad plastikowego brzegu kubka Hudson uwa nie przygl dał si Davinianowi. Był stary i zniszczony jak jego koledzy z placu Dzier y skiego. Lecz w przeciwie stwie do nich nie zale ało mu ju na zabawie we władz . I wła nie dlatego stanowił dla Hudsona niemal takie samo zagro enie jak Claire Toth. Davinian nie pojmował konsekwencji swoich słów. Uniósł ciemne okulary i przetarł oczy. Były czerwone i podpuchni te. Wygl dał jak skacowana sowa.

- Wygl dasz okropnie - powiedział Hudson. - Nie dbasz o siebie.

- Nie czuj si dobrze. Jestem ju na to za stary. Drzemałem tu sobie w sło cu, bo nie wyspałem si przez te rozmowy z Rosj .

Znowu zacz ł si wierci na ławce. Było mu niewygodnie, ale nie wiedział dlaczego.

- Nie wygl dasz na przeję tego tym, co Toth mo e zrobi - powiedział Hudson. - A przecie masz do stracenia tyle samo, co ja.

Davinian pokr cił głow .

- Przemy lałem sobie t spraw , Damon. To nie koniec wiata. Zostało mi najwy ej kilka lat, jak dobrze pójdzie. Nie obchodzi mnie ju , czy kto odkryje, co robiłem przez ostatnie czterdzie ci czy pi dziesi t lat. Nawet je li mnie zaaresztuj , to i tak nie prze yj procesu, i nie trafi do wi zienia.

Davinian odwrócił si do Hudsona z dziwnym u miechem na twarzy.

- Widzisz - powiedział jubiler suchym, papierowym głosem - staro przyniosła mi wolno . Z tob jest inaczej. Zdecydowałe , e prze yjesz jeszcze bardzo wiele lat i to jako młody człowiek. Udało ci si nawet odkry ródło młodo ci. Gratuluj .

Hudson nic nie powiedział.

- Chyba rozumiesz, że na nas, zwykłych miertelnikach nie robi wrażenia problemy nie miertelnych, albo prawie nie miertelnych, którzy żyją po ród nas - dodał Davinian.

Hudson zaś miał się bez cienia rozbawienia.

- A więc twoi kumple powiedzieli ci o mojej kuracji - wywnioskował Hudson.

- Wiem o niej od lat - przyznał jubiler. - Przecież nie była to tajemnica państwowa, tylko coś, co ludzi ciekawi i o czym uwielbiają plotkować.

Spojrzał na Hudsona, żeby przekonać się, czy go nie uraził. Hudson wpatrywał się w swój kubek.

- Może powinno się dać tej kobiecie to, czego chce - zasugerował Davinian. - Masz do pieniędzy, żeby uciszyć nawet najbardziej chciwych „poszukiwaczy złota”.

- Nie mam pojęcia, czego ona chce - powiedział Hudson, jakby nieobecny. - Nie jestem pewien, czy sama wie. Na początku myślałem, że chodzi o pieniądze, potem zmieniłem zdanie. Chyba że wymyśla zasady w trakcie gry.

- To mi nie wygląda na robotę Moskwy - uznał Davinian. - Nawet tej nowej. Nowi chłopcy doskonale wiedzą, czego chcą. Skoro Toth jest niezdecydowana, pewnie gra na własny rachunek. Zrobi jej jakieś ochłapy na pokaz. To ją usatysfakcjonuje na jakiś czas.

Hudson milczał przez moment. Myślał. W końcu wyprostował się, jakby zbierał się do odejścia.

- A co z tobą, Davinian - zapytał. - Co robisz z tobą?

Coś w tonie Hudsona przstraszyło starego jubilera. Opuścił brodzik o kilka centymetrów i popatrzył na Hudsona znad ciemnych okularów.

Hudson też na niego patrzył. W skupieniu, jakby szukał czegoś nowego w jego twarzy.

Davinian poczuł dreszcz przenikający go bokiem do kości bioder i wrzcionowatych nóg.

- Co masz na myśli? - szepnął.

- Zestarzałeś się. Za bardzo. Straciłeś zapach do walki o władzę. To nas jakoś trzymało przez te wszystkie lata. Przyjemność z gry o wpływy. Prawie zmysłowa rozkosz z dostępu do tajemnic i z ich umiejętnego wykorzystywania.

Hudson pociągnął łyk herbaty i zajął do kubka Daviniana, który opróżniony do połowy stał na ławce pomiędzy nimi.

- Jeszcze herbaty? - spytał uprzejmie.

Jego uśmiech wzmógł chłód w ciele Daviniana. Ogarniało go osłabienie, przeczucie wiecznego spoczynku.

- Co ty zrobił? - wyszeptał Davinian. - Jestem chory. Czy ty...

Urwał, bo dopadł go nagły atak dreszczy. Rozdygotany, objął się ramionami, żeby zatrzymać trochę ciepła umykającego z ciała.

- Ja? - spytał Hudson - Nic nie zrobiłem.

Davinian tak gwałtownie rzucił głowę, że ciemne okulary przekrzywiły mu się na nosie.

- To ty - ciągnął Hudson. - Jesteś już za stary na stres. Naprawdę powinno się bardziej o siebie zadbać. Mogę załatwić ci jakieś leczenie, bo jesteś moim starym przyjacielem.

Davinian zadygotał gwałtownie w upalnym słońcu. Opadł ciężko na metalową poręcz z boku ławki. Na skutek rozprzestrzeniania się lodowatego zimna, które wypierało życie z jego ciała, skulił się z całych sił.

- Jesteś p-potworem - wyszeptał przez szczękającą zębami. - Czego u ciebie? Powiedz mi! Mam prawo wiedzieć, od czego umrę!

Hudson smutno pokrcił głową.

- Je eli nadal będziesz zachowywał się tak irracjonalnie, pójdź stąd. Nie mogą pozwolić, żeby ktoś mógł dać mnie w towarzystwie zniedołężniałych, starych Ormian albo chorych z tym sknoty za domem rosyjskich żydów.

Davinian chciał mu odpowiedzieć na kpiny, ale nie był w stanie. Fala zimna przypominająca tego rosyjskie mrozy, gwałtownie wzbierała. Jego w tym, umierającym ciałem rzucały serie spazmatycznych drgawek, które wyniszczały organizm. Przynajmniej nie czuł bólu.

Hudson dyskretnie i uważnie rozejrzał się po parku. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch siedzących na ławce pod drzewem mężczyzn. Siedzących pośród ich niemodnych od dawna strojów, mogli uchodzić za parę przyjaciół wspomnianych stare, dobre czasy w blasku letniego słońca.

Hudson spojrzął na Daviniana. Przez moment niemal zrobiło mu się goło.

- Czy to boli, przyjacielu? - spytał łagodnie. - Powiedzieli mi, że nie będzie bolało. Potraktuj to jako prezent po równy ode mnie. Bezbolesna śmierć. Wiąkszość starych ludzi nie może na to liczyć.

Davinian skurczył się na brzegu ławki. Z powodu drgawek nie mógł nic powiedzieć. Mógł tylko zacisnąć kciuki z bystrych i patrząc złowrogo gasnącymi oczami na swojego mordercę.

Hudson wyciągnął rękę i poklepał jubilera po ramieniu, jak stary przyjaciel na do widzenia.

Potem wstał i ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

Nie obejrzał się. Nie miał po co. Davinian był czuły nic nie znaczącej, martwej przeszłości. Hudson miał przed sobą długą, wspaniałą przyszłość.

Ale pewno odzyska dopiero, kiedy wymyśli, jak zabrać się do tej Toth.

19

Ubrana wreszcie w swoje rzeczy, Laurel podeszła do masywnych drzwi, za którymi znajdował się gabinet pani ambasador. Znalazła klamkę, ale przekonała się, że drzwi są otwarte. Nadal się wahała. Może powinna była zjeździć. Czowała ssanie w ołdki.

- Przestań grać na zwłok - powiedziała do siebie. - Co masz do stracenia? Przynajmniej jesteś ubrana.

Wspomnienie o tym, jak wdarła się do sali gimnastycznej w dwóch warstwach cienkiej, przezroczystej bawełny, wywołało rumieniec na jej twarzy. Naciśnięta klamkę bez pukania i pchnęła drzwi.

W ogromnym, doskonale oświetlonym pokoju bez okien panował chłód. Dookoła stały piękne gabloty. W większości z nich znajdowały się starożytny manuskrypty, które mogły być oryginałami lub znakomitymi kopiami. Rzadko wolno stojących półek z książkami zajmowały mnóstwo miejsca. Laurel rozpoznała publikacje w języku angielskim, francuskim, łacinie, niemieckim i rosyjskim. Nie wiedziała, czy ideogramy pochodzą z chińskiego, japońskiego, wietnamskiego, koreańskiego czy może ze wszystkich tych języków. W gabinecie Cassandra Redpath znajdowało się tyle interesujących pozycji, że niejedna biblioteka uniwersytecka mogłaby jej pozazdrościć.

Na jednej ze ścian wisiała podświetlana mapa świata, która jednocześnie nie pełniła funkcji skomplikowanego cyfrowego zegara, pokazującego rzeczywisty czas we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Jasno podświetlone czarne mapy oznaczały miejsca, gdzie aktualnie był dzień. Ciemne oznaczały noc.

Na przeciwległej ścianie, nad kominkiem z suszonej na słońcu cegły, wisiał stary portret naturalnych rozmiarów. Przedstawiał szkockiego wodza ubranego w strój z czarno-zielonej szkockiej kraty. Szkot przyglądał się światu najbardziej przenikliwymi zielonymi oczami, jakie w życiu widziała.

Pani ambasador Cassandra Redpath wstała zza ogromnego czereśniowego biurka:

gabinetu. Biurko błyszczało od grubej warstwy lakieru. Na blacie stały trzy telefony. Oprócz nich leżała tam jeszcze ogromna księga oprawiona w skórę, którą Cassandra czytała przed przyjściem Laurel.

- Dzień dobry, panno Swann. Jak się pani ma? - spytała Cassandra. - Z tego, co mówił Cruz, zrozumiałam, że miała pani cięknoc.

Kiedy Laurel podeszła bliżej, odkryła, że oczy Cassandry Redpath mają ten sam intensywny odcień zieleni, co oczy szkockiego wodza, ale są chyba jeszcze bardziej przenikliwe.

- Staram się jakoś radzić sobie z sytuacją - powiedziała spokojnie Laurel. - Ale czuję się jak Alicja w Krainie Czarów, kiedy wpadła do króliczej nory.

- To by znaczyło, że ja jestem Królową Kier - powiedziała Cassandra i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mam nadzieję, że pani nie jest - odparła Laurel. - Alicja nie spotkała nic dobrego z jej strony.

Redpath rozejrzała się.

- Myślę, że wietnie się dogadamy - powiedziała starsza kobieta, siadając z powrotem na krześle. - Chodź tu i usiądź, a ja postaram się wyjawić, jaka jest ta nora, do której wleciała.

Laurel wyczuwała w niej tę samą błyskotliwą inteligencję i dobre woli, przez które wczepnie zaufała Cruzowi. To nie pomogło jej się uspokoić. Przecież Cruz okłamał ją z premedytacją.

Rozejrzała się jeszcze raz po pokoju i podeszła do jednego ze skórzanych krzeseł, które stały naprzeciwko Cassandry, po drugiej stronie olbrzymiego biurka. Kiedy usiadła, spojrzała na oprawioną w skórę księgę, która leżała otwarta. Pisana była cyrylicą. Kolorowe fotografie różnych przedmiotów przedstawiały, jak Laurel szybko się zorientowała, dzieła Fabergé.

- Ma tu pani wspaniałą kolekcję manuskryptów - powiedziała Laurel. - Oryginały, jak sądzę?

- Tam, gdzie to może być. W kopiach znajduje się mnóstwo błędów, niezależnie od skrupulatności mnichów i skrybów. Tam, gdzie było to jedyne wyjście, mam cały nieosiągalny rękopis na zdjęciach. Ale brakuje mu wtedy tej nieuchwytności, którą zachowuje wyłącznie oryginał.

- Widziałam już stare księgi i rękopisy o muzealnej wartości, ale nigdy w rękach prywatnego kolekcjonera.

- Nie jestem kolekcjonerem - powiedziała Redpath; - Jestem naukowcem.

- Co to zmienia?

- Bardzo wiele.

- Cruz zdradził mi, że jest pani szefem Risk Limited - powiedziała Laurel. - Kiedy ma pani czas na prace naukowe?

Redpath splótła dłonie, oparła na nich brodę i popatrzyła na Laurel. Laurel miała wrażenie, że kobieta próbuje odczytać ją jak manuskrypt, którego język jest nie do końca zrozumiały.

- Prowadzę Risk Limited, ale robię to w głównej mierze z powodu tego biurka - wyjaśniła. - Cruz i inni moi ludzie sami wykonują pracę w terenie. Od czasu do czasu telefonuję do mnie, aby nie martwiła się bez potrzeby. Wybrałam ich, bo są samodzielni, zdolni, niezależni i mają inwencję. Nie potrzebuję mnie.

Laurel przypomniała sobie, co kiedyś powiedział ojciec i uśmiechnęła się lekko.

- Przekonanie tego typu człowieka, by dla kogoś pracował, to jak zmuszenie kota, aby zaczął prowadzić stadną owieczkę.

miech Cassandry był pełen życia, tak jak jej oczy.

- Właśnie - powiedziała. - Dlatego nie staram się zaganiać ich w stado. Zamiast tego

- Idee - mrukn ła Laurel i znów rozejrzała si ę po pokoju. - Czy si ę zmieniasz, czy pozostajesz niezmiennie, nigdy nie satysfakcjonuj ę nas w pełni.

W inteligentnych, zielonych oczach Redpath pojawił si ę błysk uznania. Zaczynała rozumieć, dlaczego Cruz przywiózł tu ze sobą tę dziewczynę, zamiast umieścić ją w jakimś anonimowym motelu pod ochroną. Albo tym bardziej wykorzystał ją jako przynętę na Swanna.

- Gdyby wszyscy moi ludzie byli tacy jak Cruz - stwierdziła Redpath - prawdopodobnie nikt nigdy by mi nie przeszkadzał. Jest typowym samotnikiem. To jego największa słabość. Ale w tym tak się tkwi jego siła.

- Brawa dla Cruza Rowana - mrukn ła Laurel. - Jest najlepszym prezentem od Pana Boga dla Ameryki. Rude brwi Redpath uniosły się.

- Czy Cruz może cię potraktował? - spytała.

- Jeśli pyta pani o to, czy mi przyłożył, nazwał łaską albo uszczypał w tyłek, muszę zaprzeczyć.

- To wielka ulga - powiedziała Redpath z ironią. - Przez moment obawiałam się, że trzeba będzie zagonić kocurę do stada.

Wbrew własnej woli Laurel się uśmiechnęła.

- Co w takim razie zrobił? - spytała Redpath.

- Wmówił mi, że zostałam cięko ranna, ratujcie mnie, i że nie może prowadzić samochodu. Musiałam odwieźć go na lotnisko, a potem zagrozić...

Głos uwił jej w gardle. Cruz jej nie groził. Nie dosłownie.

- Powiedział - poprawiła się - że jeśli z nim nie polecę, to znaczy, że jestem zbyt głupia, abym sama mogła się chronić i że będzie musiał przedsięwziąć odpowiednie kroki. Ale wybór, naturalnie, należał do mnie.

Laurel spłonęła się, kiedy przypominała sobie, jak mocno wierzyła, że dla rannego Cruza jest nie tylko równym przeciwnikiem, ale mogłaby go pokonać. Jeszcze bardziej upokarzała ją myśl, że Cruz okazał się na tyle bystry, by dać jej poczucie kontroli nad sytuacją.

To taki żart, pomyślała. Oczywiście ze mnie. Ani przez moment nie kontrolowałam niczego od chwili, gdy Cruz Rowan przekroczył próg mojego domu. Celowałam do niego z pistoletu, a on patrzył na mnie tak, jakby nigdy przedtem nie pragnął bardziej żadnej kobiety.

Zastanawiała się, czy ostatniej nocy Cruz też miał takie niespokojne sny jak ona. Wciąż powracał obraz Cruza bez kamizelki kuloodpornej, z odsłoniętym ciepłym ciałem i ładami po kulach. No i to, co widziała dzisiaj na sali gimnastycznej. Połyskujący pot podkreślał jego siłę. Nieustannie myślała, jak by to było, gdyby te przenikliwe oczy skoncentrowały się wyłącznie na niej. Gdyby te duże ręce pieściły jej ciało, gdyby mogła ujrzeć grymas rozkoszy, a nie bólu na jego twarzy...

Jesteś idiotką, pomyślała gorzko. On nie jest dla ciebie. Właściwie nie jest dla żadnej kobiety.

Mimo to, obraz Cruza rozświetlał jej umysł jak płomień świecy.

- Kiedy powiedziałam Cruzowi, że przez siedem lat trenowałam taekwondo, i że musiałby się nam czyścić, aby wnieść mnie do samolotu, nie zaprzeczył. Ale z tego, co dzisiaj widziałam, Cruz poradziłby sobie ze mną o wiele łatwiej, niż Grant poradził sobie z Richmondem.

Chociaż Cassandra nie uśmiechnęła się, zmarszczki w kącikach oczu zdradzały, że śmieje się w duchu.

- Krótko mówiąc, Cruz mnie okłamał - powiedziała Laurel. - Nie znosz, gdy ktoś nabiera mnie jak dziecko. To upokarzające.

- Cruz nie kłamał.

- Ale na pewno nie mówił prawdy. Zwłaszcza o swoich doświadczeniach.

- Dziś rano wyglądał na obolałego - powiedziała Cassandra.

- Jasne. I dlatego barszkwował w sali gimnastycznej z zabójczo przystojnym Murzynem, który robił, co w jego mocy, by wybić Cruzowi wszystkie zęby. Proszę zgadnąć, komu kibicuj?

Serdeczny uśmiech Cassandry zaskoczył Laurel.

- Naprawdę uważasz, że sierżant-major jest przystojny? - spytała Redpath. - Muszę mu powtórzyć. Był kiedyś zachwycony.

- Chyba oglądał się czasem w lustrze - powiedziała Laurel z ironią w głosie.

- Gillie wyglądał zbyt - jakby to powiedzieć - groźnie dla większości kobiet.

- Niektóre kobiety wolą lalusiów.

- Ale nie ty. Dlatego przyjechała z Cruzem.

Ponieważ to nie było pytanie, Laurel nie odpowiedziała.

- Pozwól, że opowiem ci coś nieco o naszej króliczej norce - zaproponowała pani ambasador. - Wtedy sama zdecydujesz, czy chcesz z nami zostać. Nie kieruj się wyłącznie emocjami.

Redpath odsunęła ławeczkę przed nią i wygodnie usadowiła się na krześle.

- Zbudowałam Risk Limited, korzystając z moich doświadczeń do wiadomości - zaczęła. - Uważam, że ludzkość wkroczyła w nowy etap. Wiat stał się globalnym wiatem.

Laurel rzuciła okiem na skomplikowaną mapę, na której pomarańczowa granica między dniami i nocami powoli pełzała po powierzchni ziemi.

- Właśnie - powiedziała Cassandra, podając za wzrokiem Laurel. - Nie ruszaj się z tego krzesła, mogę rozmawiać z Nowym Jorkiem, Londynem, Moskwą albo w swoim siednim pokoju odebrać faks z Hongkongu.

- Pani rachunki telefoniczne muszą wynosić tyle, co dług narodowy.

- Pewnie by wynosiły, gdyby nasi specjaliści ci z działaniem ci nie stworzyli systemu satelitarnych transponderów. Dzięki nim mogę rozmawiać bezpośrednio ze swoimi pracownikami, nawet w najodleglejszych zakątkach świata.

- Wczoraj po drodze miałam próbkę waszych możliwości - skomentowała Laurel. - To bardzo efektowne. Cruz oszczędnie operował słowem.

- A, tak. „Włóć cię czarne gorsety. Spodziewa się go ci”.

Powieki Laurel drgnęły. Bardzo denerwowało ją, kiedy mówiło się o jej ojcu jak o przestępcy.

- W ciągu kilku ostatnich dekad technologia zmieniła się radykalnie - ciągnęła Cassandra. - Za to ludzie, niestety, wciąż. Ci, którzy chcą stworzyć, a nie tylko burzyć, stykają się na co dzień z takim samym złem, bezwładem i ignorancją jak w średniowieczu.

- Marnie nad marnie ciami, wszystko to marnie - podsumowała Laurel.

- Eklezja ci - mruknęła Redpath, przytakując ruchem głowy. - Wadliwe inne traktaty filozoficzne, które czytałam, nie zawierały więcej mądrego i mniej optymizmu.

Przez moment Cassandra patrzyła na swoje dłonie. Potem westchnęła i znowu zwróciła się do Laurel:

- Cywilizacji potrzebni są tacy ludzie jak Cruz Rowan: zdolni do brutalności, lecz powściągliwi, potrafiący jednocześnie działać i myśleć. Cruz to najbardziej spostrzegawczy, wnikliwy i konsekwentny detektyw, jakiego znam. Jest także doskonałym ochroniarzem. Oprócz wrodzonej inteligencji, Cruz

niezwykły sprawnie fizycznie i nadludzko wytrzymało.

Obraz Cruza atakował myśli Laurel. Fakty mieszały się z fantazją. Poruszyła się nerwowo. Nigdy aden nie czyna tak jej nie pocięła. Ale nie była przekonana, czy jej się to podoba.

- Krótko mówiąc - podsumowała Cassandra - oczekuj doskonałej formy fizycznej od swoich ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Gdybym kiedy zaczęła kierować się sercem, a nie rozsądkiem, sierant-major natychmiast by mi to wytknął.

Przypominając sobie postać Gillespiego, Laurel one wzięła w to. Ten człowiek nie wyglądał na potulnego.

- Gillespie to jeden z najskuteczniejszych pracowników w historii Specjalnych Sił Powietrznych brytyjskiej armii - powiedziała Cassandra. - Wyszkolił najlepsze kadry antyterrorystów. W Risk Limited jest niekwestionowanym ekspertem do spraw personalnych. Jeśli odmówi jakiemuś pracownikowi operacyjnemu udziału w sprawie, ten zostaje wyłaczony, bez względu na to, co czujemy o tym.

Pomału Laurel zaczynała pojmować, że Cassandra bardzo subtelnie wiedzie ją prosto do pułapki. Laurel chciała opuścić to miejsce, bo czuła się przez Cruza oszukana. Tymczasem pani ambasador starała się udowodnić jej, że zareagowała zbyt emocjonalnie.

- Obrażenia Cruza były i są prawdziwe - powiedziała. - Ma zamiar donieść mi dziś dwoma cęrami. W tej chwili jest wciąż w gorset, który wygląda jak bielizna mojej babci. Przy każdym oddechu czuje w boku przeszywający ból.

- Nie wyglądało na to - powiedziała Laurel.

- Kilka lat temu Cruz przeszedł błyskawiczny kurs ukrywania emocji. Chyba był zbyt pilnym uczniem.

- Czy to stało się po tym, jak zabił tych dwóch terrorystów?

- Tak.

- Mówił mi.

- Naprawdę? To niezwykle.

Redpath popatrzyła uważnie na Laurel i ciągnęła dalej:

- Z pogruchoćami chrząstki, Cruz mógłby zająć się na razie łucznościami lub przejść do łatwiejszych zadań. Ale uparł się, że zostanie przy tej sprawie. Co więcej, chce być szefem operacyjnym. Sądzi, że czuje się odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo... w bardzo osobisty sposób.

Laurel nie była taka głupia, żeby się teraz odzywać. Gdyby zaczęła zaprzeczać, że między nią a Cruzem faktycznie zaiskrzyło, tylko by to potwierdziła.

- To tyle, jeśli chodzi o stan Cruza - powiedziała Cassandra. - W tej chwili on i Gillie rozstrzygają sprawę.

Laurel wzdygnęła się na myśl o tym, przez co przechodzi teraz Cruz. Pomyliła się w jego ocenie i to nie pierwszy raz. Nie okłamał jej. Dał jej szansę wyciągnięcia własnych wniosków. A za to, że wnioski były nie najlepsze, mogła winić wyłącznie siebie.

Laurel ze zgrozą wiadomością sobie, że Cruz przejrzał ją na wylot. Trudno będzie jej opuścić Risk Limited. Wszystkie argumenty, które przemawiały za wyjazdem, systematycznie obalano. Pozostały tylko powody, o których nie chciała mówić.

Jamie Swann.

- Powinna traktować zainteresowanie Cruza jak najwskazywany komplement - powiedziała Redpath. - Rzadko zwraca uwagę na kobiety. Naturalnie, jeśli czułaby się bezpieczniej z innymi osobami, w

- Wolałabym radzi sobie sama. To wszystko.

- Jeste zbyt inteligentna, eby wierzy , e tak b dzie lepiej.

Laurel nie sprzeczała si . Zamkn ła oczy i w wyobra ni zobaczyła bruzdy na ciele Cruza. Poczua spazm jego ciała od uderzenia kuli. Gdyby jej nie zasłonił, ju by nie yła. Nie chciała tylko tego gło no przyzna .

- Zgadzam si z Cruzem, e przez nas znalazła si w bardzo niebezpiecznym poło eniu - kontynuowała Cassandra. - Dlatego nasze usługi nie b d ci nic kosztowa .

Zanim Laurel zd yła si sprzeciwi , kto zapukał do drzwi.

- Prosz - powiedziała Redpath,

W drzwiach ukazała si wygolona głowa Gillespiego.

Redpath skin ła na niego. Dała mu znak, e mog wej . Obaj m czy ni weszli do gabinetu na bosaka.

Wygl dali jak pantera i kuguar. Bardzo zabawny widok, dopóki bestie miały pełne oł dki.

Cruz popatrzył na Laurel w taki sposób, e wszyscy to zauwa yli. Potem odwrócił si , jakby jej tam w ogóle nie było.

Jego spojrzenie było tak intensywne, e Laurel poczuła je na skórze. Ale nie odwzajemniła go. Bała si , e zdradzi swoje uczucia.

Zamiast tego patrzyła na Gillespiego, jakby rzeczywi cie był ciemn panter .

- Panno Swann - powiedziała Redpath - to sier ant-major Ranulph Argyle Gillespie, Dwudziesty Drugi Pułk Specjalnych Sił Powietrznych, obecnie emerytowany. Jest u nas szefem do spraw szkolenia i dyscypliny.

Laurel pokiwała głow .

- Gillie jest równie specjalist od wszelkich okropnych da , w skład których wchodz papryczki habanero, serrano i poblano - dodała Cassandra. - Poza tym jest bezu yteczny.

Gillie spojrział na ni spode łba.

- No - powiedziała Cassandra z wesołymi iskierkami w oczach - mo e niezupełnie.

Sier ant-major wyprostował si i zasalutował, odsłaniaj c ja niejszy spód dłoni. Zabrakło tylko charakterystycznego stukni cia obcasami, którego nie mógł wymusi na gołych pi tach.

- Jestem zaszczycony, e mog pani pozna - powiedział. - Tym razem oficjalnie - dodał.

Laurel pochylała głow o jakie dwa, trzy centymetry jak udzielna ksi na. Gillespie wygl dałby wietnie nawet w czapie z nied wiedziego futra i mundurze stra nika Jej Wysoko ci.

- Jak trening? - spokojnie spytała Redpath.

- Skopałem mu tyłek - powiedział Cruz.

Spojrzał na Gillespiego w taki sposób, jakby prowokował go do dyskusji na ten temat.

- Tak, kiedy poruszałem si dwa razy wolniej ni zwykle - powiedział Gillespie. - To i tak du o lepiej ni dziewi dziesi t dziewi procent twoich ludzi. Ale jego lewy bok jest cholernie czuły. Zawodowiec natychmiast si zorientuje.

- To moja słabsza strona od urodzenia - wypalił Cruz. - Nie mo esz wymaga ode mnie nadludzkiej sprawno ci.

Redpath przerwała mu ruchem r ki.

- Sier ancie-majorze - powiedziała rzeczowo - czy Cruz jest ewidentnie niesprawny?

Przez moment du a twarz nic nie wyra ała, jakby Gillespie jeszcze si zastanawiał. Po długim namy le pokr cił przecz co głow .

- Jest do sprawny... fizycznie - o wiadczył Gillespie.

Nie było to gorące poparcie. Zanim Cruz zdążył powiedzieć coś na swój obron, Redpath już mówiła.

- Jeśli zmienisz zdanie - powiedziała - odwołam Cruza. Na razie pozostawiam mu tę sprawę.

Gillespie wyraził zgodę ruchem głowy.

- Wspaniale - powiedziała Cassandra.

Laurel nie mogła wyjść z podziwu. Cassandra świetnie sobie z nimi radziła, chociażka dy z nich mógłby bez trudu złamać ją na pół. Laurel rozumiała, że kluczem do jej sukcesu był szacunek, jaki darzyli ją obaj mężczyźni.

I głębsze uczucie, przynajmniej ze strony Gillespiego. Sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy się z nim drażniła, zdradzał, że jest w pełni świadomy własnego uroku i pewny jej uczucia.

Redpath z powrotem rozłożyła przed sobą opasyłki tom.

- Udało mi się poprosić to od mego przyjaciela, profesora wykładającego historię Rosji na Uniwersytecie Kalifornijskim. To katalog z carskiej epoki zawierający wszystko, co wyszło z pracowni *Fabergé* w Petersburgu i Moskwie. Profesor zapewnił mnie, że to najbardziej kompletny katalog, jaki istnieje.

Redpath zamilkła, delektując się chwilą, jak badacz, który właśnie nie ma zamiaru ujawnić swoje najnowsze odkrycie.

- I co pisać na temat Rubinowej Niespodzianki? - spytał Cruz.

- Że nigdy jej nie zrobiono.

- Co? - zapytali jednocześnie Cruz i Laurel.

- Nie ma żadnego ładunku po carskim jaju rzekomo wykonanym w pracowni *Fabergé*, w którym niespodzianką jest ogromny rubin - powiedziała Cassandra. - Mówi się tylko o jakichś wstępnych szkicach. Plany odłożono na półkę, bo nie udało się znaleźć odpowiedniego kamienia.

Zapadła absolutna cisza.

- Czy zapisy się gaj czasów samej rewolucji?

- Tak - powiedziała Cassandra.

- Jasny gwint - powiedział Cruz.

- Bardzo dziwne, prawda? - stwierdziła radośnie Cassandra. - Słuchaj, jest wiele możliwości rozwiania tej zagadki. Proponuję, żebyśmy spotkali się przy lunchu i omówili je.

To nie było ani pytanie, ani rozkaz. Niezupełnie.

Cruz odwrócił się i wyszedł, nie patrząc na Laurel. Obserwowała, jak przechodzi przez pokój i rejestrowała w pamięci wszystkie szczegóły.

Naraz uświadomiła sobie, że nie może oderwać od niego oczu. Po piesznie podniosła się z miejsca i wyszła tuż za nim.

Gdy drzwi za Laurel się zamknęły, Redpath popatrzyła na Gillespiego, który stał w swobodnej pozycji, z rękami splecionymi z tyłu. Pomału podniosła się, obeszła biurko i oparła się o nie. Stała tak blisko Gillespiego, że mogła wyczytać wszystko z jego oczu.

- Powiedz mi całą resztę - zachęcała go.

Gillespie wyciągnął ręce nad głowę. Potem posłał jej uśmiech, wraz z którym znikł oficjalny ton. Redpath uśmiechnęła się w duchu, przypominając sobie, co Laurel powiedziała o Gillespiem: „zabójczo przystojny”.

- Cruz stracił głowę dla tej dziewczyny - powiedział Gillespie. - Omal nie zemdleł, kiedy weszła do sali gimnastycznej. Mózg zmienił mu się w sieć, To niezbyt pozytywny objaw

wszystkim cholernie niebezpieczny.

- A do tego działa w obie strony - dodała Cassandra.

- Fakt. Kiedy weszli my, Laurel tak bardzo unikała jego spojrzenia, że zachciało mi się śmiać.

- Za to kiedy wychodził, pośmiała go wzrokiem.

- Masz cholerną rację. Wielu mężczyzn czyżby się zabiło za takie spojrzenie.

- Nie wydaje mi się, żeby Grażowi pomieszało się w głowie - powiedziała.

- Będzie martwił się o nią, zamiast o siebie i naszego klienta. To nie wypali, szefowo.

- Zazwyczaj zmieniam ludzi w takich sytuacjach - przyznała.

- Ale tym razem tego nie zrobisz. Dlaczego?

Redpath popatrzyła w zamyśleniu na czubki swoich palców. Potem spojrzała na Gillespiego, jakby przypomniawszy sobie coś bardzo miłego.

- Och, odrobinę zmieniałam układ - powiedziała cicho. - Teraz Laurel jest naszą klientką.

- Cholernie fantastycznie. Ja będę ją chronić?

- Nie.

- Cruz? - spytał nerwowo.

- Tak. Przez całe życie walczy o cudze sprawy. Może jeśli zajmie się czymś bardziej osobistym to... - Redpath wzruszyła ramionami.

- ...trochę się otworzy? - podpowiedział Gillespie.

Cassandra przytaknęła.

- Rany boskie! Ale z ciebie skryta romantyczka - oskarżycielsko rzucił Gillespie i wskazał na surowego Szkota z obrazu. - Twój dziadek byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział.

- Tak dzisiaj? A ty jesteś rozczarowany?

Gillespie uśmiechnął się.

- Według mnie każdy moment jest dobry na wspaniałe romansy.

Uśmiech Cassandry iskrzył się jak jej oczy.

- Och, Gillie, najwspanialszy Szkoci są romantykami. A czarni Szkoci są najwspanialszy ze wszystkich.

Gillespie delikatnie uniósł Cassandrę, tak że znalazła się na poziomie jego oczu.

- Co zrobisz, jeśli Laurel każe Cruzowi iść do diabła? - spytał Gillespie.

- A każe?

- Żeby ją skutecznie chronić, Cruz będzie musiał się nim poświęcić, by dotrzeć do Swanna. Wiesz o tym. Ja o tym wiem. Swann wie. I Cruz też.

Redpath pokiwała głową.

- Kiedy Laurel zorientuje się, że Cruz ją wykorzystał - stwierdził Gillespie - wyrwie mu serce z gardła i rzuci je psom na podwórku.

- Przynajmniej Cruz dowie się, że jednak miał serce.

- Niech to szlag. Mam nadzieję, że zanim do tego dojdzie, odnajdziemy Rubinow. Niespodzianka czy cokolwiek to jest.

- Ja też mam taką nadzieję. Czy dowiedziałyście się czegoś o tym numerze, pod który dzwoniła Laurel?

- Najpierw wykręciła numer komórkowy kogoś z Manhattanu, ale nie ma go w naszym

- To ciekawe. A ten drugi numer?

- To nie numer. To szyfr.

Brwi Cassandry uniosły się ,

- Jesteś pewny?

- Tak. - Umiechnął się . - Cruz nadzieją się na bystrą dziewczynę . Wybrała cyfry, nad którymi mieściły się litery potrzebne do ułożenia słowa UWA. AJ i odłożyła słuchawkę .

- Jak się dzisiaj, kogo chciała ostrzec?

- Jamiego Swanna.

- Nie ma do nas za grosz zaufania, prawda?

Gillespie za nią ponuro.

- Jak już mówiłem, Cruz trafił na bystrą dziewczynę . To cholernie utrudni nam zadanie.

20

Myślisz, że pójdzie na piechotę ? - spytał Gillespie, patrząc przez okno.

- Bez czapki i bez jedzenia? - powiedział Cruz. - Przecież nie jest idiotką .

- Ona chyba uważa inaczej.

- Cholera. - Tylko tyle powiedział.

Przez kilka chwil obaj obserwowali brnąc w pustynnym piasku Laurel. Nie szła żadnym wytyczonym ścieżką . Nie oglądała się za siebie. Było jej wszystko jedno, czy ktoś zauważył jej ucieczkę . Lu na tunika powiewała na wietrze, zniekształcając zarys postaci.

- Idzie w stronę wzgórza - stwierdził Gillespie.

- Może potrzebuje trochę spokoju i więcej przestrzeni. Ty i Cassandra nie le daliście jej popalić podczas lunchu.

- Staraliśmy się nie mówić o ojcu.

- Laurel nie ufa nam - powiedział Cruz. - Ojcu też do końca nie ufa. Dlatego jest tutaj.

- Bzdury. Jest tutaj, bo ty tu jesteś .

Cruz patrzył na Gillespiego przez dłuższą chwilę .

- No pewnie. A jakże - powiedział Cruz. Według niego Gillespie bardzo się mylił.

- Obudź się , synku. Ona patrzy na ciebie, jakby chciała rozsmarować ci na herbatniku i schrupać do ostatniego okruszka.

- Cholernie fantastyczny pomysł - powiedział Cruz i uśmiechnął się mimowolnie.

- Wiadco zrobisz z tym co .

- Na przykład?

- Rusz tyłek i biegnij za nią z koszykiem jedzenia i butelką wina. Zdobądź jej zaufanie tak, jak robili to nasi dziadkowie.

- A kiedy zamkniesz oczy, mam nadzieję o Bogu i ojczyźnie, tak?

- Bez względu na to, co zaprzęta ci teraz głowę , rób co do ciebie należy. Mamy bardzo mało czasu.

- Czy Cassandra wie?

- To ona wyznaczyła ci do ochrony panny Swann.

Cruz popatrzył na niego sceptycznie.

- Posłuchaj - Gillespie zwrócił się do niego - albo uda nam się zdobyć zaufanie L

b dziemy tak sta i kłapa bez sensu, a konkurencja narobi nam koło tyłka. Zanim si połapiemy, o co naprawd toczy si gra, b dzie ju za pó no. Pozostanie nam pomodli si za dusze zmarłych.

Cruz bez słowa wyjrzał przez okno. Posta Laurel odbijała si na tle płon cego nieba. Z ka dym jego oddechem Laurel stawała si coraz mniejsza i bardziej odległa. Wkrótce brutalne sło ce całkiem zama e jej sylwetk .

- Jasna cholera - warkn ł Gillespie. - Zrobiła ci sieczk z mózgu. Je eli Fabergé nigdy nie zrobił Rubinowej Niespodzianki, to kto j zrobił? Po co? Kto mo e umrze , zanim uda nam si to ustali ?

- Nie wiem. Trzy razy pudło.

- Wi c id za ni i si dowiedz.

Cruz stan ł twarz w twarz z Gillespiem.

- Je li teraz za ni pójd - powiedział Cruz - to na dobre. Nie b d ju ani twoim człowiekiem, ani Cassandry. B d dbał przede wszystkim o jej dobro i pieprzy Rubinow Niespodziank . Nadal chcesz, ebym poszedł?

Sier ant-major wzi ł gł boki oddech i pu cił wi zank przekle stw.

- Tak czy nie? - spytał Cruz chłodno.

- Grace pakuje koszyk. We go, a potem zabieraj swój tyłek z moich oczu, zanim go porz dne skopi .

Cruz dłu sz chwil patrzył Gillespiemu prosto w ciemne oczy, potem skin ł głow i odwrócił si .

- Gdzie z ni pojedziesz? - spytał Gillespie.

- Tam gdzie zawsze.

- Kiedy wrócisz?

- Nie martw si . Dam wam du o czasu. Nie musicie si martwi , e Laurel podsłucha wasze rozmowy z drugiego aparatu albo e stoi za niewła ciwymi drzwiami. Mnie te nie b dziecie musieli si obawia .

Gillespie odchrz kn ł. To znaczy, e jednak niecały mózg przerobiła mu na sieczk .

- We pager - powiedział Gillespie, odwracaj c si .

- A niech to - mrukn ł Cruz. - Powinienem przyszy sobie to gówno do gaci.

- Wydaje roi si to do niewygodne, ale to twoje jaja.

- Gillie.

Wysoki, czarny m czyzna zatrzymał si i spojrzał na Cruza.

- Powiedz Cassandrze, e je eli zastawi jakie pułapki na Laurel, to przejd przez nie pierwszy - powiedział Cruz.

- Nie b d si patyczkował.

- S dz , e ona to wie - powiedział sier ant-major.

- Mimo wszystko powiedz jej.

Wychodz c z domu, Cruz chwycił kosz piknikowy, dodatkow koszul , dwie czapki z daszkiem oraz kilka litrów wody. Umocował to wszystko za siedzeniem trójkołowego motocykla i ruszył w drog . Kiedy wyjechał ju poza zabudowany teren, skierował si w linii prostej w stron Laurel.

Gor co promieniowało od ziemi jak opary w czasie upalnej wiosny. Cruz to uwielbiał. S dz c po lekkim, rozkołysanym kroku Laurel ona te czerpała z tego przyjemno . Kiedy j dopadł, znajdowała si ju prawie kilometr od Karoo.

Laurel stan ła i zwróciła si w kierunku, z którego dobiegał d wi k silnika. Nie zdradzaj c adnych uczu , czekała, co powie Cruz.

- Podwie ci ? - spytał.

Zdziwiła się. Nie tego się spodziewała.

- Bardzo przyjemnie mi się szło - powiedziała.

- Daleko idziesz?

Laurel popatrzyła na spłaskane, kamienne koryta rzeki, którego się trzymała. Potem spojrzała na budynki w tle. Ciemne korony drzew odbijały się na tle setek odcieni pustynnego brzoza.

- Karroo - powiedział Cruz.

- *Gesundheit* - mruknęła Laurel.

Cruz za nią się cicho.

- Cassandra nazywa nasz kompleks Karroo.

- Karroo?

- To chyba z Kiplinga.

Bez słowa odwróciła się w stronę pustyni i popatrzyła na góry.

Rozedrgany upał i migotliwy blask słońca odzierały góry Santa Rosa z kolorów. Dominowały szarości i brzozy. Ich kamienne twarze pokrywały płaskizny i szczeliny. W wyższych partiach gór widać było ciemniejsze miejsca, które mogły być pasami zieleni.

- W górze jest zimno - powiedział Cruz, podając za wzrokiem Laurel. - Rosną tam sosny karłowate i płynące ukryte strumyczki, z których piją kozice.

- Trudno uwierzyć, że na tej pustyni jest jakaś woda.

- To dzięki trzosiom Ziemi. Pod wpływem fal uderzeniowych Ziemia rozstępuje się, a przez powstałe szczeliny wypływają wody gruntowe.

- Postrzegamy Ziemię w różny sposób - powiedziała Laurel, odwracając się w jego stronę.

- Jak to? - spytał.

Jego jasnoniebieskie oczy nabrały niesamowitej wyrazistości w cieniu daszki czapki. Laurel zaparło dech w piersi. Starła się oddychać miarowo.

- Kiedy ja myślę o Ziemi, widzę przede wszystkim szlachetne kamienie i kryształy, rzadkie lub pospolite - wyjaśniła Laurel. - O tych wszystkich okruskach piasku, które czekają na odkrycie.

Cruz czekał na definicję jego postrzegania Ziemi.

- Ciebie... - powiedziała Laurel, czując, że ciska ją w gardle. Zawahała się w obliczu jego skupienia - ...ciebie fascynują trzosi, pierwotne siły, które kształtują powierzchnię Ziemi.

Cruz pokiwał głową.

- Piękno i siła. Dwie strony tego samego medalu.

- Niezupełnie. To dwa różne światy.

Mimo to Laurel zaprzeczała, wiedziała, że w słowach Cruza kryje się ziarno prawdy.

- Czy by? - spytał. - Kamienie i kryształy, które tak kochasz, powstają w efekcie brutalnych procesów. Kiedy ogromne skalne bryły nachodzą na siebie, mamy do czynienia z ruchami tektonicznymi.

- Tak powstają góry, a nie szlachetne kamienie.

- Góry stanowią zaledwie połowę równania. Druga połowa dopełnia się wówczas, gdy jeden blok skalny zachodzi na drugi. Ten, który przegrywa, zapada się, roztopia i pojawia ponownie w postaci ról magmy albo czynnych wulkanów. Kiedy płynna skała się schładza, powstają kryształy. Nieprawdopodobnie

nie dorównuje swym pi knem tobie.

Po ciele Laurel przebiegł dreszcz. Fale gor ca i zimna zalewały j na przemian. Chciała odwróci wzrok, ale nie mogła.

- Przepraszam. Nie powinienem tego mówi .

Przejechał palcami swoje krótkie, ciemne włosy i odchrz kn ł z zakłopotaniem.

- Mam ci chroni - powiedział, odwracaj c wzrok - a nie budzi w tobie l k. Teraz pewnie si boisz i nie b dziesz chciała obejrze mojego kanionu.

Na jaki czas zapadła kompletna cisza. Po chwili Laurel zdołała odblokowa struny głosowe. Ale kiedy zaczę ła mówi , jej głos był nienaturalnie zachrypni ty. Zanim Cruz odwrócił wzrok, spojrzał na ni tak, e jej serce waliło jak op tane.

- Twój kanion? - spytała.

Cruz przytakn ł.

- Przynajmniej nie proponujesz mi wspólnego słuchania płyt.

- Mógłbym to zrobi - powiedział. - Ale wył cznie je li sama by tego chciała.

Kolejny dreszcz przebiegł po jej ciele.

- Szkoda zachodu - powiedziała cicho. - Nie jestem specjalistk w dziedzinie seksu.

Oczy Cruza rozszerzyły si , a potem zw ziły.

- Nie owijasz niczego w bawełn , co?

- Za to unikam nieporozumie .

Cruz si gn ł za siebie i wyci gn ł zza paska wygniecion bejsbolówk . Nim Laurel zorientowała si , co si dzieje, Cruz wło ył jej czapk na głow . Była o wiele za lu na.

- Pochyl si i opu głow - powiedział Cruz. - Musz poprawi pasek.

Laurel pochyliła si posłusznie. Cruz zapi ł pasek czapki na ostatni dziurk , upchn ł włosy pod spód i umocował j . Jego kciuki pow drowały wzdłu ko ci policzkowych i zsun ły si na szyj , gdzie pozostały przez chwil . Nagły skok jej pulsu powiedział mu wszystko.

- Teraz jeste przygotowana do wycieczki krajoznawczej - zawyrokował.

Laurel wzi ła gł boki wdech, staraj c si zapanowa nad swoim ciałem. Zapach mydła przemieszanego z aromatem m czyzny wdarł si do jej nozdrzy, przepełnił j t sknot . Zamkn ła oczy.

- Dlaczego ty? - szepn ła przez bole nie zaci ni te gardło.

- Co?

- Jeste pierwszym m czyzn , którego tak bardzo pragn .

Cruz wci gn ł powietrze ze wistem. Jego dłonie zacisn ły si delikatnie, delektuj c si mi kk , l ni c skór jej szyi.

- Taka szczerostwo jest piekielnie ryzykowna - powiedział. - Po dam ci bardziej, ni powinienem. Bardziej ni ... to bezpieczne.

- Mówi , co czuj - odpowiedziała.

Cruz uwolnił j powoli z u cisku. Potem wypu cił cały zapas powietrza z płuc i potrz sn ł głow , jakby chciał usun z pami ci to, co zaszło.

- Upał musiał mi zaszkodzi - powiedział i poklepał siedzenie za sob . - Znam ws

ochłon .

Laurel popatrzyła podejrzliwie na w sokie siedzenie motocykla. Razem b dzie im tam potwornie ciasno.

- To najlepszy sposób, eby ochłon - mrukn ła pod nosem.

Cruz u miechn ł si , mimo trawi cego go po dania.

- Zawsze mówisz to, co my lisz, zgadza si ? - zapytał.

- Inni ludzie nie wpływaj tak na mój j zyk.

Cruz natychmiast przypomniał sobie pocałunek. Jej j zyk i smak, który był lepszy od wybornej szkockiej.

- Podoba mi si mój wpływ na twój j zyk - powiedział ciszonym głosem. - Do diabła, zaraz znów to zrobi .

Wskakuj, kochanie. Tylko nie bokiem, bo trudno b dzie mi prowadzi

Laurel wspi ła si na siedzenie, staraj c si nie dotyka Cruza. Kilka centymetrów przed jej oczami jasnoniebieska koszula, wyblakła od cz stego prania, oblepiła jego ciało, uwydatniaj c ka dy mi sie i ci gno na plecach. Poszukała podpórek pod stopy, staraj c si nie my le o szerokich m skich ramionach, które widniały przed jej oczami.

- Gotowa? - spytał Cruz.

- W yciu nie byłam taka gotowa - burkn ła.

- Trzymaj si - powiedział.

- Ale twoje ebra...

- Złap si ni ej.

- Nie mog wy ej?

- Za wysoko - powiedział. - Stracisz równowag .

- Sk d wiesz?

- Chcesz si przekona , spadaj c na tyłek?

- B d si podciera nogami - powiedziała. - Tylko nie szalej.

Cruz zapalił silnik i ruszył w t sam stron , w któr wcze niej szła Laurel. Prowadził bardzo ostro nie.

Pomimo niedu ej pr dko ci, Laurel latała z jednej strony na drug . Starła si wygl da zza pleców Cruza, by przewidywa podskoki maszyny. W niektórych wypadkach pomagało. W innych prawie wylatywała z pojazdu.

- Cholera jasna - warkn ł Cruz.

Zatrzymał motocykl i spojrzał na ni gniewnie przez rami . Twarz Laurel była mocno zarumieniona. Oczy błyszczały jak u kota.

- Dalej b dzie jeszcze gorzej - uprzedził j Cruz. - Je eli nie potrafisz mocno si mnie chwyci , musimy zawróci .

Niech tnie oparła dłonie na jego ramionach. Mrucz c co pod nosem, uruchomił silnik. Jechał w gór jednej z wielu wy łobionych przez ulewy kamienistych rynien, które rozci gały si u podnó a gór Santa Rosa.

Pierwszy mały wybój omal ich nie rozdzielił. Motocykl gwałtownie skr cił i przechylił si na bok. Kiedy znale li si na szczycie wzniesienia, Cruz wrzucił luz i poło ył dłonie Laurel nieco poni ej swojej talii. Jej r ce mocno otuliły jego biodra.

- Skoro ja mog wytrzyma , to ty te - powiedział przez z by.

Pomruk zdziwienia był jedyn odpowiedzi Laurel, kiedy natkn ła si na bardzo twardy fragment jego ciała.

- Tylko nie zemdlej - mrukn ł. - Chyba nie dziwi ci , e mnie podniecasz.

Zanim zdążyła wymyśli sensowną odpowiedź, już jechali. Instynktownie wzmocniła ucisk. Poczuli napięcie w plecach Cruza. Słyszała, jak oddychał, wisząc przez chwilę, i zaczęła powoli rozluźniać ucisk. Dłonie Cruza natychmiast ją przytrzymała.

- Przestań się wiercić - powiedział, nie odwracając się. - Przeszkadzasz.

- Nie musimy... - zaczęła Laurel.

- Trzymaj się mocno - przerwał jej Cruz i dodał trochę gazu. - Mocniej, bo inaczej na pierwszym wyboju poszybujesz w powietrze. Dobrze. A teraz spróbuj zgrać swoje ruchy z moimi.

Laurel słuchała go, bo nie miała wyboru. W przeciwnym razie wyleciałaby jak wystrzelona z katapulty. Zamknęła oczy i powiedziała sobie, że Cruz ma rację. Skoro on wytrzyma, ona też.

Kiedy ich ciała znalazły się w bliskim kontakcie, rzeczywiście jechało się dużo łatwiej. Laurel szybko zrozumiała, na czym polega zgrywanie ruchów. Razem przesuwali się, wznosili i przechylali, widząc przed sobą wyboje.

Po jakimś czasie zaczęła odczuwać satysfakcję z takiego stylu jazdy: dwa ciała, które razem się pochylały, przesuwały, utrzymywały między sobą równowagę. Na wyjątkowo trudnym odcinku, kiedy ona i Cruz podskakiwali, kołysali się i zgodnie opadali, Laurel miała się na całe gardło, rado nie podniecona.

Słyszając to, Cruz się uśmiechnął. Mimo opatrunku bardzo wyraźnie czuł jej piersi na plecach. Jeszcze silniej uwiadamił sobie dotyk jej splecionych dłoni na kroczu. Podniecenie graniczyło z bólem.

Dodał jeszcze trochę gazu. Wynagrodziła go perlistym śmiechem. Ich ruchy nabierały coraz większej płynności.

Kiedy droga stała się mniej wyboista, Laurel zorientowała się, że jej policzek mocno przywiera do wnętrza jego łopatkami, a piersi z całej siły napierają na plecy. Kiedyś ruch kierownicy powodował napięcie i ruch między plecami pod koszulą. Kiedyś ruch był dla niej pieszczotą.

Laurel zesztywniała pod wpływem nieznośnego gorąca, od którego boleśnie stwardniały jej brodawki. W końcu zaczęła się wiercić.

- Uspokój się - powiedział Cruz. - Jeszcze tylko kawałek.

Laurel zacisnęła zęby i przywarła do Cruza. Zastanawiała się, co Cruz ma zamiar jej pokazać.

21

Thum, który przyszedł na lunch, opuszczał już knajpę „U Jimmiego” przy Santa Monica Boulevard. Maklerzy i prawnicy wracali do Century City. Łowcy talentów i producenci spieszyli na spotkania w studiach, turyści próbowali odszukać Rodeo Drive.

Prawie kiedy przechodził między nimi, stał jak wryty na widok posągowej kobiety stojącej na rogu ulicy. Było w niej coś z ulicznicy; może skąpy strój, może trochę arogancka poza z mocno wypiętym biodrem. Ale już przy drugim i trzecim spojrzeniu kiedyś z tych między nich wiedział, że nie stał go na to, co może zaoferować ta kobieta.

Miała na sobie strój od Neimana-Marcusa z kremowego jedwabiu, skrojony przez doskonałego krawcowca. Jeszcze kilka godzin temu jej czerwone skórzane czółenka i taka sama torebka leżały na wystawie włoskiego butiku przy La Brea. Naszyjnik tak i miała czerwony; miała postmodernistyczną mieszaninę ozdób i roze mianych twarzy bohaterów kreskówek, które lubie nie zaglądały w jej głęboką dekolt.

Toth wygładziła rękobcisłe spodnie i zacisnęła wargi, poprawiając karminowy pomadkę.

- Podnieca cię, i ci wszyscy faceci po erają ci wzrokiem, prawda? - spytał Swann, patrząc na nią z ukosa.

Toth się uśmiechnęła.

- Tak, wiadomo, że ma się wiesz władz nad ciałem mężczyzny nie on sam, to rzeczywiście dla satysfakcji.

Swann uśmiechnął się cierpko.

- Ale najlepsza ze wszystkiego jest gra, która toczy się przy okazji. To tak jakbym pieprzyła się z facetem na oczach jego żony, a ona niczego by nie zauważyła.

- To zbyt skomplikowane jak dla mnie.

Kiedy to mówił, w myślach po raz kolejny analizował tajemniczą wiadomość od Laurel. „Uważaj”.

Swann zakładał, że wiadomość wysłała Laurel. Wszystkie pozostałe osoby, które miały numer jego pagera, znały bardziej wyrafinowane sposoby szyfrowania wiadomości. Nikt, oprócz Laurel nie posłużyłby się odpowiednikami literowymi cyfr, które można znaleźć na klawiaturze kasetowego telefonu.

„Uważaj”.

Mam nadzieję, że Risk Limited nie depcze mi po piętach, pomyślał. Ale dlaczego Laurel nie odbiera telefonów? A może ktoś podsłuchuje jej rozmowy?

Ryzyko było tak duże, że Swann nie nagrał żadnej wiadomości na sekretarce.

- Chryste. Czy zdołam uruchomić bez niej to jajo?

Swanna przeładowało więcej pytań, na które nie znał odpowiedzi. Miał wrażenie, że cały plan bierze w łeb.

Czas zabrać zabawki i przenieść się do innej piaskownicy. Ale najpierw Claire musi wycisnąć coś się da od tego starego drania.

Ucieczka i ukrywanie się kosztowały. Swann był splukany. Bardzo się tym denerwował. Starał się nie dać po sobie poznać, że sytuacja go stresuje. Oparł się niedbale o aluminiowe lampy uliczne.

Ciemne okulary przeciwsłoneczne zasłaniały mu oczy. Pod luzon bawełnianych koszul krył się pistolet wciśnięty za pasek dżinsów w okolicy krzyża. Wyglądał jak goryle do wynajęcia. Czasami rzeczywiście sprzedawał swoje umiejętności.

Toth patrzyła na Swanna zza okularów przeciwsłonecznych z nieufnością, którą nieudolnie ukrywała. Od mordercy, któremu zleciła zabójstwo, dowiedziała się, że pierwsza próba się nie powiodła. Jeśli Swann coś wiedział, nie wspomniał jej o tym ani słowem. Toth stała po grzeskim gruncie, który mógł ją wessać w każdej chwili. Jeśli wiedział... Jeśli nie, grunt pod jej stopami był tak twardy jak chodnik.

Ale nie mogła mieć pewności.

Nigdy w życiu nie balansowała po cieśnej krawędzi i zdawała sobie z tego sprawę. Niewykluczone, że Swann czekał na odpowiedni moment, aby skonfrontować swoje informacje z informacjami Toth.

Jeśli do tej pory nie miał wieści od Laurel, to wkrótce będzie miał. Wtedy może będzie ją zabił. Chyba że ona zrobi to pierwsza.

„Jeśli ktoś miałby mnie zabić, mam nadzieję, że to będzieś ty. Sprawisz, że w trakcie będzie szczytowała”.

Poczuła mroźny dreszcz. Kiedy strach miesza się z podnieceniem, jedno wzmagają drugie. Wiedziała, że któregoś dnia zabierze za daleko w tym makabrycznym labiryncie.

Ale ta wiadomość podniecała ją jeszcze bardziej.

Niecierpliwie przeciągnęła dłońmi po bokach i udach, jakby chciała się upewnić, że wszystkie jej atuty są na swoim miejscu. Swann patrzył na wyglądające ubranie Toth, tak jak snajper patrzy na broń przed pojawieniem się celu.

- Masz zamiar się pieprzyć z tym starcem czy go szantażować? - spytał Swann.

- Co za różnica - powiedziała Toth. - Zaufaj mi, wiem co robię.

Swann parsknął.

- Odgrywasz bandytę w spódnicy od kilku lat. Kochanie, ja miałem do czynienia z prawdziwymi draniami, kiedy ty jeszcze nosiła pieluchy. Informatorzy, agenci, frajerzy i opływający kasą dupki są tacy sami. Trzeba zdobyć nad nimi przewagę, zdominować ich, a nie cackać się z nimi.

- A czy ty w ogóle kiedykolwiek cackałaś się z kim? - spytała Toth. Pamiętała, jak Swann złożył jej propozycję zrobienia wspólnego interesu. Twardo, bezwarunkowo, ostro.

- Raz byłem miły dla pewnego palanta - powiedział Swann. - Potem omal go nie zabiłem, bo nie chciałem skupić się na tym, co do niego mówiłem.

Toth zaczęła coś opowiadać, ale Swann jej przerwał.

- Oto i on. Pozwól, żeby ja się tym zajmę.

Długa, szara limuzyna z przyciemnianymi szybami toczyła się leniwie w popołudniowym korku. Zatrzymała się naprzeciwko nich przy krawężniku i drzwiczki się otworzyły. Damon Hudson siedział spokojnie na tylnym siedzeniu samochodu.

- O, panno Toth, widzisz, że przyprowadziła pani przyjaciela - powiedział Hudson. - Co za... pech. Będzie rozmawiać na osobno ci albo wcale.

Swann pochylił się z taką energią, której kuracja hormonalna nie mogła zapewnić Hudsonowi.

- Mylisz się, stary - powiedział lodowatym tonem. - Jadę z wami albo wszystkie informacje trafią do mediów, zanim dotelepiejesz się tym gratem do autostrady.

Bill Cahill wysiadł z wozu i spojrzał na Swanna nad maskę samochodu. Jego oczy kryły się za ciemnymi okularami, które wcale nie były jaśniejsze od tych, które nosił Swann.

- Samochód pana Hudsona, kole - powiedział Cahill - i zasady pana Hudsona.

- Nie tym razem - odparł Swann, nie spuszczając wzroku z Hudsona.

Swann i Hudson patrzyli na siebie nieruchomym wzrokiem.

- Siadaj z przodu, koło kierowcy - zdecydowała Toth. - To wyrówna szanse.

Nachylał się pod ręką Swanna, Toth usiłowała wcisnąć się na siedzenie obok Hudsona. Swann złapał ją w elastyczny pasek i przytrzymał, jakby była małą dziewczynką, a nie dużą, silną kobietą.

Hudson mruknął coś o tym ust. Cahill wsunął się z powrotem za kierownicę. Zamek elektryczny od strony pasa gwałtownie odskoczył jak dobrze wyszkolony wartownik.

Po chwili napięcia Swann puścił Toth. Sam usiadł z przodu i zatrzasnął drzwi, zanim ona zdążyła wsiąść do roweru. Cahill i Swann siedzieli ze wzrokiem utkwionym przed siebie, kiedy włączyli się do ruchu. Hudson wcisnął przycisk ukryty w podłokietniku. Gruba tafla przyciemnianego szkła wysunęła się z ukrycia. Toth patrzyła z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na twarzy, jak szyba oddzielała pasażerów od kierowcy, jakby byli w jakiejś kosmicznej kapsule.

Hudson pochylił się do przodu i otworzył drzwiczki małej lodówki. Ktoś wcześniej zdarł ją z folii aluminiowej i usunął druciane zabezpieczenie z butelki kryształowej. Teraz Hudson wyciągnął mocno osadzony korek.

- Mam nadzieję, że lubi pani ten gatunek - powiedział, posyłając jej uśmiech nienagannego gospodarza. - Może pani... przyjaciel napiłby się trochę?

- On jest w pracy, podobnie jak pański przyjaciel, który siedzi za kierownicą.

- Pracuje dla pani?

- Oczywiście - odpowiedziała Toth.

Jej uśmiech nie zdradzał w sposób ci, które nie targają. Cały ten szwindel to pomysł Swanna. Złożył jej propozycję zaraz po Rosjanach. Doszedł do wniosku, że może zrobić to samo, co oni - posłużyć się nią jako przykrywką. Ale tym razem przykrywka miała własne plany. Musiała jedynie uwolnić się ze szponów tego mężczyzny o dwóch oczach.

Toth wzięła kryształowy kieliszek w kształcie tulipana, który Hudson napełnił szampanem. Zanim pociągnęła łyk, wstrzymała się i poczekała na niego. Hudson chwycił drugi kieliszek, uniósł go w zachęcającym geście i przyłożył do ust. Toth podniosła kieliszek i pozwoliła, aby zimny, pełen białek płyn obmył jej górny warg. Czubkiem języka posmakowała ciecz, która osiadła na szmince.

- Zakładam, że ta szyba jest dla ciebie kosztowna i kłopotliwa - powiedziała.

Słaby uśmiech zmienił układ warg Hudsona. Oparł się wygodnie i utkwiał wzrok w kieliszku.

- Mam paru nieprzyjaciół - poinformował ją. - Każdy potny człowiek ma wrogów. Podejmuj więc wszelkie możliwe środki ostrożności.

- Podobnie jak ja.

Hudson spojrzał na tył głowy Swanna.

- Proszę mi powiedzieć, ma pani więcej takich środków ostrożności jak ten?

Toth usadowiła się wygodnie i wyciągnęła przed siebie piżmę nogi. Czerwone buty nie były jak rubiny w zestawieniu z ciemną skórą jej stóp. Nie nosiła rajstop. Nie musiała nadawać swojej skórze gładkiego i miłego wyglądu. Po prostu ją miała.

- Jeden mi wystarczy do załatwienia sprawy - powiedziała.

Odwróciła się w jego stronę i oparła rękę na podłokietniku między nimi. Spokojnie syczała szampana. Zanim połknęła, zatrzymywała go przez chwilę na języku.

Oczy Hudsona spoczywały na ponurym, gładkim bokiem rowku między jej piersiami. Dziś miała tylko cieniutki stanik, prawie zupełnie przezroczysty bluzk i naszyjnik z lubieżnie uśmiechniętymi, karmazynowymi twarzami, które wyglądały, jakby nie mogły się doczekać, aby wyciągnąć swoje plastikowe języki i zagłębić je w dekolt.

- Eliminujcie Jamiego, nie rozwijajcie problemu ze mną - powiedziała od niechcienia. - A eliminujcie mnie, wypowiecie wojnę Rosji. Ma pan więcej pieniędzy niż sam Pan Bóg, może zechciałby pan przelewać miliony amerykańskich dolarów na to konto i połączyć się z nami?

Toth wręczyła Hudsonowi kartkę z numerem konta. Hudson rzucił okiem.

- Sześć? - spytał Hudson. - Myślałem, że mowa była o trzech.

Ku swemu zaskoczeniu usłyszała w jego głosie rozbawienie.

- Inflacja - powiedziała. - Jutro będzie dziewięć.

- Zgromadzenie takiej gotówki wymaga czasu.

- Gotówki? - zapytała się Toth. - Czy wyglądam na idiotkę? Przelew, kochanie. Z jednej z twoich firm w Stanach do jednej z twoich firm w Brazylii, a stamtąd do panamskiego banku. To rutynowa sprawa. Robisz to bez przerwy.

Hudson pokręcił głowę ze smutkiem i mlasnął ustami.

- Twoi komunistyczni przyjaciele byłiby bardzo rozczarowani, gdyby wiedzieli, co

- Mo liwe. A mo e podnie liby stawk .

- Nie obchodzi ci , czy si dowiedz ?

- Słonko, mo esz nawet zapisa to na czerwonych flagach i rozwiesi w całym bloku wschodnim. Mam takie haki na moich komunistycznych przyjaciół, e mogłabym zamkn im usta na zawsze.

Hudson odwrócił si i znów popatrzył na tył głowy Swanna. Ogorzała, napi ta skóra jego szyi, swobodnie naci gni te ci gna i wzniesienia mi ni trójgłowych krzyczały Hudsonowi w twarz, e oto siedzi przed nim m czyzna, który nie musi zaprzeda wa duszy diabłu, eby zachowa dobr form .

Hudson wypadał kiepsko w porównaniu z nim i zdawał sobie z tego spraw . Z drugiej strony miał co , czego brakowało Swannowi. Władz . W ci gu ostatnich dwudziestu czterech godzin dowiedział si wystarczaj co du o o Toth, eby domy li si , co najbardziej lubi.

Bez słowa Hudson odwrócił si do kobiety, której wrodzona zmysłowo zaskakiwała go za ka dym razem, gdy j widział. Toth wyj ła kilka kartek papieru z zewn trznej kieszeni czerwonej, skórzanej torebki. Trzymała je w wyci gni tej dłoni, zach caj c go, by rzucił na nie okiem.

Hudson spojrział na kartki papieru i na ni .

- Nie potrzebuj ju dowodów - powiedział. - Wierz pani.

- Tak po prostu?

Za miał si . Suchy, szeleszcz cy miech przypominał odgłos, jaki wydaje w pełzaj cy po ród suchych li ci.

- Bynajmniej - powiedział. - Sprawdziłem pani do dokładnie. Zastanawiam si , czy pani wydawcy korzystaliby tak ch tnie z pani usług, gdyby wiedzieli, e bazuje pani na aktach wrogiego wywiadu?

Toth wzruszyła ramionami. Koniec dziennikarskiej kariery to drobiazg, gdyby udało jej si zmusi Hudsona do przelania forsy

- Ju widz te krzycz ce nagłówki: „Dziennikarka zrujnowała ycie agenta FBI i zdobyła Pulitzera dzi ki dokumentom sfabrykowanym przez KGB”. Toth roze miała si , czym zaskoczyła Hudsona.

- Dziennikarze nie pisz o sobie nawzajem. Oskar aj c jednego, oskar aj całe rodowisko.

- Dla pani zrobiliby wyj tek.

- Wszystko co pan na mnie ma, to plotki od swoich rosyjskich przyjaciół. Nie ma pan dowodów, jakich za dałby ka dy dziennikarz, nim zdecydowałby si nadszarpn moją reputację . Za to ja mam takie dowody przeciw panu.

Przekartkowała papiery, które trzymała w dłoni.

Hudson niech tnie oderwał wzrok od jej dekoltu i przeniósł go na dokumenty.

- To chyba koniecznie - powiedział. - Skoro tak jest, musz przynajmniej pobie nie zapozna si tymi papierami.

Włó ył kieliszek do wył onego aksamitem uchwyty, wzi ł dwie kartki papieru i znów spojrział na Toth.

- Zakładam, e jest ich wi cej.

Trafił w dziesi tk . Na doskonałej twarzy Toth dostrzegł chwilowy niepokój. Zadowolony, e i ona ma czułe punkty, rozsiadł si wygodnie i rozło ył kartki.

To co miał w r ku, to tylko kopie. Ale szybko zorientował si , e oryginał, bez wzgl du na to, gdzie si teraz znajduje, był w stu procentach autentyczny. wiadczyły o tym pa stwowe piecz cie na marginesach, nagłówki pełne nie ko cz cych si tytułów i inicjałów, które zajmowały tyle samo miejsca, co tekst, oraz o miocyfrowy numer dokumentu.

Najbardziej przekonujcy był nudny, urzędowy styl. Co prawda sowieccy agenci wywiadu osi gnęli swego czasu mistrzostwo w podrabianiu wszelkiego rodzaju dokumentów. Pisanie sprawozdań należało do bardzo istotnych elementów szkolenia w KGB. Ale dokument, który Hudson miał przed oczami, nie zawierał żadnej analizy, żadnych wniosków końcowych, wyłącznie suche fakty. Przedstawiał chronologicznie szereg przelewów zagranicznych, które zaczynały się w drówek w szwajcarskim banku, a kończyły na panamskim koncie.

Hudson wiedział, że szwajcarskie konto należało do szefa wywiadu małego, ale za to szalenie agresywnego państwa w Europie środkowo-wschodniej. Właścicielem konta był młodszym bratem prezydenta kraju. Oprócz tego pełnił również funkcję naczelnego oprawcy.

Starszego brata wszystkie cywilizowane kraje traktowały jak politycznego wyrzutka. Poza różnymi wymuszeniami natury dyplomatycznej i defraudacją, człowiek ten przeznaczył miliony dolarów na chemiczny i biologiczny arsenał militarny. Żaden inny w świecie nie mógł się z nim równać.

Jego największą inwestycją było supernowoczesne laboratorium hodujące bakterie i zarazki w samym środku pustyni. Dokładnie w miesiąc po jego uruchomieniu izraelski bombowiec F-16 zrównał laboratorium z ziemią, zamieniając je w kup supernowoczesnego gruzu. Ten atak szalenie skomplikował życie pana prezydenta. Co prawda fabrykę w Wisconsinie sfinansował z pieniędzy przekazanych z ręk do rąk, po których nie było śladu. Ale elementy zakupił za gotówkę ze szwajcarskiego konta, z którego wyciąg Hudson trzymał teraz przed sobą.

Rozpoznał również numer panamskiego konta, na które napływały pieniądze na inwestycję. Konto należało do Hudson International, które dostarczało sprzęt do tajnego laboratorium za pośrednictwem licznych zagranicznych filii.

Ani Amerykanie, ani ich izraelscy klienci nigdy nie wnikali w niejasne listy kont bankowych ani fikcyjnych przedsiębiorstw, które zacierały to samo zachodnich firm uwikłanych w budowę fabryki.

Dokument ujawniał wszystko od początku do końca.

- W Szwajcarii i w Panamie jest mnóstwo kont numerycznych - powiedział Hudson. - Polecenia przelewów również są całkowicie anonimowe. Dlatego sama chcesz zainkasować pieniądze w ten sposób.

Hudson niedbale złożył papiery i podał je Toth.

Umiechnęła się z leniwym wdziękiem i machnęła mu dokumentami przed nosem.

- Jest jeszcze druga kartka. Lepiej jej się przyjrzyj, słonko - powiedziała.

Hudson przełożył pierwszą kartkę pod spód i spojrzął. Na drugiej kartce znajdował się wzór podpisu ze szwajcarskiego konta. Podpis młodszego brata prezydenta wyglądał autentycznie.

- Teraz, kiedy rząd Stanów Zjednoczonych dostanie panamskie wyciągi, nietrudno będzie sprawdzić, do kogo należy konto, na które wpływały pieniądze. - Mówiąc to obserwowała minę Hudsona, doszukując się objawów zdenerwowania. Zamiast tego dostrzegła coś, co bardziej przypominało poczucie satysfakcji.

- Zakładam, że jest więcej takich dokumentów? - spytał Hudson.

- Mam to, co mają na pana Rosjanie.

- To ciekawe. Podejrzewam, że nie ja jeden padłem ofiarą tego szantażu?

Toth zawahała się. Jej ciemne oczy spoczęły na Swannie. Nie ustalili, co zrobi, jeśli zapyta o innych.

- To nie pański problem - powiedziała, zwracając się twarzą do Hudsona. - Niezależnie od tego, tkwi pan po uszy w gównie.

- Zrozumiałbym, gdyby to on rozmawiał ze mną w ten sposób - napomniał ją Hudson.

na Swanna. - S dziłem, e pani jest na tyle bystra, by podej do sprawy nieco inaczej.

Przez kilka chwil Toth przygl dała si Hudsonowi, próbuj c wyczyta co w jego zimnych, wiecznie młodych oczu.

- Co pan ma na my li? - spytała niskim głosem.

Hudson zdj ł kieliszek z uchwytu.

- Wiele razy przekonałem si , e mo na unieszkodliwi wroga, udowadniaj c mu, e nasze interesy s zbie ne.

- On? Jemu? - spytała Toth ironicznie. - Powinien pan od wie y słownictwo. Czas pogodzi si z faktem, e w dzisiejszych czasach niektórzy z pa skich wrogów s kobietami.

- Prosz si nie uwa a za, mojego wroga, a zatem ile jest jeszcze tych wistków?

- Nie wiem.

Hudson nie potrafił odgadn , czy mówiła prawd . Nie, eby miało to jakie znaczenie.

Ale...

- Czy pozostałe dokumenty, te s takie mocne jak te? - spytał.

- Owszem.

- Prosz mi je przynie , a uczyni z pani najbardziej wpływow kobiet na wiecie.

- B d miała wi cej pieni dzy ni ...

- Wi cej władzy - poprawił j Hudson. - Nie pieni dzy. Chyba wiesz, na czym polega ró nica. Przecie uwielbiasz władz , jak masz nad m czyznanami.

Toth opu ciła powieki, ukrywaj c czarne oczy przed Hudsonem.

- Prosz mówi dalej. Zdaje si , e ma pan co ciekawego do powiedzenia - stwierdziła.

Hudson ju si cieszył. Poczł dreszczyk emocji, który graniczył z podnieceniem seksualnym. Doskonale rozumiał Toth. Kiedy na ni patrzył, miał wra enie, e przegl da si w lustrze, które dla kawału zmienia płę przegl daj cego si .

- Mog sprawi , e b dziesz pot na - powiedział i machn ł r k na Swanna. - Twój muskularny przyjaciel nie da ci tego.

Toth spojrzła przez szyb na Swanna. Jego wargi poruszały si w taki sposób, jakby k tem ust rozmawiał z Cahillem. Obaj obserwowali we wstecznych lusterkach samochodu jad ce za limuzyn .

- Nie daj si nabra na te mi nie - rzekła Toth. - Ten facet jest niebezpieczny.

- To oczywiste - powiedział Hudson. - W przeciwnym razie nie zawracałaby sobie nim głowy. Zostaw go mnie.

Toth nie zawahała si . Sama rozwa ała, jak pozby si Swanna. Teraz ju wiedziała.

- W porz dku - zgodziła si .

- wietnie. Czy wiesz, gdzie przetrzymywane s te akta?

Toth niemal si roze miała.

- Wiem. Ale mog potrzebowa pomocy w ich rozszyfrowaniu.

- Czy to bardzo skomplikowane?

- A czy on wygl da na geniusza? - spytała Toth, spogl daj c przez szyb na Swanna. - Je li on na to wpadł, ty te sobie poradzisz.

Hudson u miechn ł si zadowolony.

- Zdob d dokumenty - powiedział Hudson. - Potem b dziemy si martwi o reszt .

Hudson uniósł kryształowy kieliszek. Male kie b belki ulatywały z ró owego szampana.

- Zgoda? - spytał.

Toth wzniosła kieliszek, brz kn ła nim o kieliszek Hudsona i pokiwała głowa.

- Zgoda - odparła.

Tym razem Hudson opró nił swój kieliszek do połowy. Wła nie przetykał ostatnie krople, kiedy zadzwonił wewn trzny telefon w limuzynie. Wcisn ł przycisk na podłokietniku i poł czył si z Cahillem.

- Tak? - powiedział.

- Kto za nami jedzie. - Głos Cahilla przez gło nik miał cienk , metaliczn barw .

Swann mówił szybko:

- Wypo yczony samochód. Du y facet z brod .

- Musiał usi nam na ogonie, kiedy zabierali my naszych pasa erów - wywnioskował Cahill.

Hudson spojrział na Toth. Pokr ciła przez co głow , Cahill musiał zobaczyć to w lusterku.

- Jej współnik go zauwa ył, wi c chyba mamy do czynienia z osobami trzecimi.

- Zgub go - powiedział Hudson.

- T limuzyn ? - spytał Cahill. - Musiałbym wykona niezł sztuczk .

- Za to ci płac . - Hudson wył czył telefon.

Limuzyna zacz ła przyspiesza w zaskakuj cym tempie.

22

Cruz zatrzymał motocykl. Niedaleko stał szpadel wbity w stos kamiennego gruzu. Uj cie kanionu znajdowało si tu za nim. Kiedy Laurel zsiadła, ziemia pod stopami wydawała jej si dziwnie niepewna. To dlatego, e jej ciało tak bardzo dostroiło si do ruchów motocykla. I do Cruza.

Cruz ostro nie zbli ył si do kupy gruzu i zajrzał do dołu. Był gł boki na metr i ze dwa razy szerszy. Na tle skały wyra nie rysowała si szczelina, która biegła w gł b i znikwała w miejscu, którego Cruz jeszcze nie odkopał.

Podszedł i stan ł obok Laurel. Jak na ochroniarza o wiele za blisko, ale i tak za daleko jak dla niego.

- To tutaj? - spytała Laurel.

- Tak.

- Nie robi wra enia.

- Teraz jeszcze nie. I dzi ki Bogu.

Mówi c to, Cruz wskoczył do dołu i ukucn ł koło p kni cia.

- Czy to znaczy, e spodziewasz si trz sienia ziemi? - spytała Laurel.

- Za naszego ycia raczej nie, ale nigdy nie wiadomo. Równie dobrze ta szpara mo e rozst pi si pode mn za dwie sekundy.

- Mówisz, jakby ci było wszystko jedno.

- Gdybym prze ył, sporo bym si dowiedział. Spójrz tam.

Cruz wskazał palcem w południowo-zachodnim kierunku. Bardzo daleko Laurel zobaczyła bladoniebiesk lini , która mogła by jakim zbiornikiem wodnym albo tylko fatamorgan .

- Na razie zgaduj , ale wydaje mi si , e ta niezbyt efektowna szczelina poł czy si kiedy z t du , która biegnie tam, daleko, wzdłu wybrze a morza Salton.

- Takie małe p kni cie?

Cruz odwrócił się i spojrzał na zbocze kanionu.

- Nie tylko to - powiedział. - Tamte te .

Laurel odwróciła się i spojrzała. Skalne ciany we wszystkie strony poprzecinane były szczelinami o postrzępionych brzegach. W kilku miejscach spostrzegła efekt wzajemnego wypierania się warstw skalnych. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się jednolita skała, teraz widać było jej fragmenty, przemieszczone pod naporem ogromnej siły, nawet po kilkadziesiąt centymetrów.

- Ta mała szpara znajduje się w ogromnej odległości od morza Salton - stwierdziła.

Cruz milczał.

- A je li masz rację ? - zapytała Laurel po chwili.

- Jeśli powstanie tu cały nowy układ, to oczywiście nienią, które gromadzi się w San Andreas, może znaleźć ujście w tej odnodze.

- Czy to znaczy, że jest jakaś nadzieja dla Los Angeles?

- Być może - odparł Cruz. - Z drugiej strony mogłoby to oznaczać katastrofę dla Las Vegas, Laughlin czy Nevady. Wiesz, jak poukładany jest ten świat. To co dla jednych jest zbawieniem, okazuje się zgubą dla innych.

- Niezbyt optymistyczna wizja świata.

- Czasami człowiek zjada niewiedzę, innym razem niewiedza zjada człowieka. Takie pocieszenie mi wystarcza. Jeszcze do niedawna było ze mną znacznie gorzej.

Laurel odwróciła się do Cruza i skupiła na nim wzrok jak na jakimś niezwykle cennym kamieniu.

- Co chcesz przez to powiedzieć ? - zapytała.

Długa cisza była jedyną odpowiedzią. Gdy Laurel już się poddała i podeszła do szczeliny, żeby dokładnie jej się przyjrzeć, Cruz zaczął mówić :

- Kiedyś - zaczął powoli - patrzyłem na świat jak typowy gliniarz. W pojęciu gliniarza kałdy jest dupkiem. A to dlatego, że policjanci rzeczywiście cię ciągle mają do czynienia z dupkami. Ale dzięki znajomości z Cassandrą, zacząłem patrzeć na świat z innej perspektywy. Teraz kałdy jest w połowie dupkiem, a w połowie wiemy tym.

- Co za niewłaściwe zestawienie słów - mruknęła Laurel, oglądając szczelinę. - A ja się dziwię, że jesteś takim rzadkim, kruchym okazem na tle gatunku młodego.

Cruz roześmiał się, lecz zaraz potem złapał za bok, a grymas bólu wykrzywił mu twarz. Pomimo gorsetu, nadal był obolały.

- Przepraszam - powiedziała Laurel. - Zapomniałam.

- To moja wina. Ale cię ciągle mnie czymś zaskakujesz.

- A ty się dzisiaj, że wpadłem na samo dno króliczej nory - powiedziała ironicznie. - Jedną przekleństwo niespodzianka za drugą .

Laurel przeszła na drugą stronę szczeliny i zaczęła oglądać z nowej perspektywy.

Oczy Cruza ledziły jej kałdy ruch. Poruszała się swobodnie, z wdziakiem, w bardzo kobiecy sposób. Rozkołysane piersi pod luźnym tunikiem dodawały jej uroku. Promienie słoneczne rzucały na jej ramiona tak ostre światło, że materiał stał się niemal przezroczysty i wszystko było widać. Cruz wziął głęboki oddech i bardzo powoli wypuścił powietrze. Chciał pohamować narastającą w nim napiętość. Nie reagował tak na adn kobiet od chwili, kiedy skończył szesnacie lat i osobiście przekonał się, w którym miejscu dziewczyna jest najbardziej miękka. Wtedy był po prostu podniecony, teraz tak się cholernie zdenerwował.

Jego reakcja miała w dużym stopniu związek z fizjologią. Potrafił to sobie wytłumaczyć. Ale nie mógł zignorować przecucia, a z Laurel balansowałby na krańcu ekstatycznego podniecenia i nudy, ciemno ci i wiatła, chaosu i porzdku. Nigdy nie doznał niczego podobnego.

A do teraz.

Zauważył, że Laurel przygląda mu się z takim samym skupieniem, jak on Jej.

Zapadło niezręczne milczenie. Pustynny upał wciąż się wzmacniał. Gorący wiatr wykradł kosmyk włosów Laurel spod czapki. Chwyła go i odgarnęła, lecz ani na chwilę nie spuściła oczu z Cruza.

Cruz podparł się dłońmi i wyskoczył z dołu. Wzburzenie natychmiast przypominały mu o sobie. Wiedział, że poza odludnym kanionem istnieje wiat, w którym Laurel nie jest bezpieczna. Wiat, w którym zdrada jest na porzdku dziennym, a miarki za chwilę nieuwagi.

Gillespie miał rację, pomyślał ponuro Cruz. Jej obecność odbiera mi rozum.

- Masz ochotę na krótki spacer? - spytał.

Laurel przytaknęła, wzdychała Cruzowi, a przerywał milczenie, które zawisło nad nimi i powstrzymał eksplozję bóle nie tłumionego podania.

- Chodź - powiedział Cruz, kierując się do wskiego kanionu.

Przez pierwsze pół kilometra kanion był suchy, a jego popękane, kamienne ściany odbijały morderczy słońce. Przypominało to spacer w rozgrzanym piekarniku. Pot wyparowywał, zanim zdążył zwilżyć skórę.

- Czy nie powinniśmy wrócić po wodę? - zapytała Laurel.

- Rozluźnij się trochę. Pozwól, że dla odmiany ktoś zatroszczy się o ciebie.

- Nie chcę. To tylko pogarsza sprawę, kiedy ten ktoś odchodzi.

Komentarz Laurel zdradził Cruzowi dużo więcej o niej, o Swannie i o tym, co myślała o zaufaniu, niż chciałby wiedzieć. Nic nie powiedział. Jeszcze za wcześnie, by mówić o Swannie. Laurel nadal wierzyła, że ma obowiązek kryć ojca, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa.

Cruz musiał znaleźć sposób, żeby zmienić zdanie. I to szybko.

Kanion zwężał się z każdym krokiem. Przed nimi wyłoniło się małe drzewko. Dwa ciemne ptaki nawoływały się nawzajem. A do tej chwili Laurel nie wiedziała o pustynnej ciszy.

- Przed nami jest woda - oznajmił Cruz, jakby odpowiadał na pytanie, którego Laurel nie zadała. - Stąd te ptaki.

Po raz kolejny przekonała się, że Cruz zna ją przeraźliwie dobrze. Nie tylko wiedział, że zwróciła uwagę na ptaki, ale także domyślił się, że jest ciekawa, skąd wzięły się akurat tutaj, a nie w locie do kanionu. Spojrzała w jego stronę, ale on szedł dalej, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Tuż za drzewkiem dalszą drogę blokował stos kamieni. Cruz wdrapał się na niego i wyciągnął rękę do Laurel. Nie skorzystała z pomocy. Wskoczyła z rozbiegu na stertę i trochę się zachwiała. Ręka Cruza zacisnęła się na jej łokciu, podtrzymując ją.

- Nie jestem przecież rzadkim, kruchym okazem, zapomniała? - powiedział Cruz, a jego słowa zabrzmiały niemal szorstko.

- Nie chcę sprawiać ci bólu, jeśli nie jest to konieczne.

Usta Cruza zacisnęły się na myśli o Laurel, Swannie i o tym, co miał zrobić. Najpierw buduje się zaufanie, a potem się rujnuje.

Na koniec zostaje cierpienie.

- Czasem nie można uniknąć bólu - stwierdził Cruz.

Laurel domyślała się, że skrzywdzono go w przeszłości i to nie tylko fizycznie. Zdumiewało ją tylko, że ten ból wci był zwywy, wyraźnie widoczny w jego oczach, jakby nie było końca tej agonii.

Po chwili Laurel odwróciła wzrok od jego posępnych oczu, nie mogąc dłużej znieść tego, co w nich widziała. Miała ochotę przytulić go i pocieszyć.

Krzyknęła zaskoczona, kiedy zobaczyła, co kryło się za stertą kamieni. Piekarnik przemienił się teraz w cudowną oazę. Sadzawka wielkością cię małego basenu połyskiwała malowniczo u podnóża zacienionej, kamiennej skały. Koronkowe krzewy rzucały delikatne cienie. Ta odrobina zieleni wydawała się tak jaskrawa na tle skał, że na chwilę rozboleły jej oczy.

- Tego miejsca nie ma jeszcze na mapach - odpowiedział Cruz, jakby Laurel wypowiedziała pytanie na głos. - Źródło, które zasila sadzawkę, wybiło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Woda bijąca ze skały - powiedziała mi ktoś. - To cud.

- To efekt trzęsienia ziemi.

Cruz zszedł po kamienistym zboczu i ukucnął przy sadzawce. Złoty dłoń i napił się wody. Laurel zsunęła się ostrożnie na dół i stanęła obok niego.

- Boże, jaka ta woda jest czysta - powiedziała zachwycona.

- Różnice jeszcze się tutaj nie wyisały. Kanion jest zbyt wąski i nad sadzawkę nie dolatuje pył niesiony przez pustynne wiatry. Nigdy nie widziałem tu śladów życia poza krukami.

Jeden brzeg sadzawki znajdował się w słońcu. Zmarszczki na wodzie, które wyczarował Cruz, migotały w blasku. Jeszcze raz nabrał wody w dłoń i rozprowadził ją po twarzy. Kilka wielkich kropli spadło na koszulę i teraz wsiąkały w nią. Mniejsze kropelki mieniały się na ciemnych włosach, które widać było w rozciśniętej koszuli tu pod szyją.

- Czy smakuje, tak jak wygląda?

- Lepiej.

Laurel nabrała wody w rękę i podniosła ją do ust. Piła łapczywie. Woda spływała jej po szyi i ramionach.

- Ooooch! - westchnęła.

Rozkosz, jak czerpała Laurel, wzbudziła podziwienie w Cruzie. Patrzył z nieukrywanym zachwytem, jak strugi srebrnej wody zwilżyły jej usta, skórę i bluzkę. Laurel nie miała na sobie stanika. Mokra bawełna przykleiła się do piersi. Brodawki odznaczyły się bardzo wyraźnie.

- Napij się do syta - powiedział Cruz niskim głosem. - Potem możemy wejść i się ochłodzić.

Laurel spojrzała na niego z ukosa.

- Pływaj w ubraniu - powiedział, uśmiechając się. - Tak jak ja. Wyjdziemy z wody i za pięć minut nasze ciuchy będą suche jak pieprz, a nam znów będzie gorąco.

Mówiąc to, zdejmował buty, skarpetki i koszulę. Potem Laurel usłyszała odgłos odpinanych rzepów, na których trzymał się usztywniający opatrunek. Cruz niepewnie wciągnął powietrze; następny wdech nie był już tak ostro ny. Bolało, ale przecie bolało go jeszcze tyle innych rzeczy. Laurel przyglądała mu się. Jej mina zdradzała, że akceptuje to, co widziała. Spojrzała na siebie i jęknęła.

- Napiła się już? - spytał, chcąc odwrócić jej uwagę.

- Tak.

Cruz brodził w samym rodku sadzawki. Woda była zaledwie odrobin chłodniejsza od skóry i si gała mu niewiele powy ej pasa. Usadowił si na płasko ci tym głazie i zamkn ł oczy, rozkoszuj c si dotykiem wody, która teraz si gała po same barki.

Delikatne plu ni cie powiedziało mu, e Laurel te wchodzi do sadzawki. Spojrzał przez rz sy. Zrzuciła d insy. Tunika si gała jej do połowy uda. Sykn ła, kiedy woda si gn ła bioder.

- Nie jest przecie zimna, prawda? - spytał.

- Nie. Tylko zaskakuj ca. Zupełnie jak ciepłe mleko.

Przez zmrone oczy Cruz obserwował, jak Laurel zanurzała si a po piersi. Potem przykucn ła i nad powierzchni wody pozostała tylko głowa. Jednym ruchem r ki zdj ła czapk i rzuciła j na skały. Jej włosy opadły swobodnie. Ko ce dotkn ły wody i po chwili skr ciły si w loki. Nie było drugiego kamienia, na którym Laurel mogłaby usi . Przykucaj c, utrzymywała równowag delikatnymi ruchami r k. Potem przechyliła si do tym i pozwoliła jedwabistej wodzie pie ci skór głowy. J k rozkoszy wyrwał jej si z ust. Podskoczyła i poło yła si na powierzchni wody, lekko pracuj c r kami, eby pozosta w miejscu.

- Kiedy zm czysz si pływaniem, mo esz tu usi - powiedział Cruz.

Jego niski głos pie cił j jak dotyk. U miechn ła si mimowolnie.

- Nie słyszałam tego tonu od chwili, kiedy przekonywałe mnie, ebym ci zaufała.

- Wtedy nie pracowałem.

- Jeste pewien?

Laurel stan ła i wolno zacz ła i w stron Cruza. Tunika otulała jej ciało jak cie . Patrzył na ni srebrnoniebieskimi oczami, które ogl dały wszystkie zakamarki jej ciała.

- Po namy le stwierdzam, e lepiej b dzie, je li jeszcze sobie popływasz - oznajmił Cruz.

Jego głos był ci ki od po dania.

- Chyba masz racj - szepn ła. - Ale to takie... przyjemne.

R ka Cruza wysun ła si automatycznie i posadziła Laurel na kolanach, zanim oboje zd yli to rozwa y .

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał Cruz. - Powiedz mi teraz, kiedy jeszcze ci słysz .

- Wszystkiego, co mo esz mi da - odparła krótko.

Cruz badał złote oczy, które patrzyły na niego z ufno ci i po daniem.

- Jeste pewna? - zapytał.

- Jestem pewna, e nigdy przedtem nie czułam si podobnie. Mam wra enie, e mogłabym zaryzykowa ...

Dreszcz, który był czym wi cej ni zwykłym objawem po dania, przeszył ciało Cruza. Zacz ł rozpina jej tunik . Nagle zatrzymał si i spojrzął na Laurel rozpalonymi niebieskimi oczami, jeszcze raz niemo pytaj c.

- Nie obawiaj si - powiedziała, czubkiem palca dotykaj c szorstkiej skóry nad górn warg Cruza. - Nie zmieni zdania. Nie prowokuj ci dla zabawy.

Cruz schylił si wolno i pocałował Laurel w usta. Czubkiem j zyka obrysował jej u miech, delikatnie badaj c i prosz c o wi cej.

Smak Cruza rozplłyn ł si po całym ciełe Laurel. Gor co i doznania. Jakie towarzyszyły pocałunkowi, zapierały jej dech w piersi. Brał j tak delikatnie, tak subtelnie. To podniecało j i budziło apetyt na wi cej.

Dłonie Laurel w drowały po napi tych, mocnych mi niach na plecach i ramionach Cruza, testuj c ich sił . Cruz j kn ł i przyci gn ł j bli ej.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że odpiął już wszystkie guziki. Brodawki stwardniały jej gwałtownie, kiedy przycisnęła je do włosów na torsie. Ocierała się o niego powolnymi ruchami, wzmagając zmysłowe napięcie.

W okamgnieniu pocałunek Cruza zmienił się radykalnie. Stał się niecierpliwy, pospieszny, gwałtowny. Ich wargi przywierały do siebie niemalże brutalnie. Laurel wychodziła mu naprzeciw. Dawała i domagała się tego samego, wzmagając podniecenie.

W końcu Cruz zmusił się, by przerwać pocałunek.

- Cześć? - spytała Laurel z troską.

Pokręcił przecząco głową, nie odrywając wzroku od jej złotych, zamglonych oczu.

- Nie, to ty - powiedział spragnionym głosem. - Chciałem spędzić z tobą cały dzień. Marzyłem, że zdejmę z ciebie ubranie i będę na ciebie patrzył, zanim zacznę smakować.

Laurel zadrżała.

- Nie walczyłam z tobą szczególnie zaciekłe - stwierdziła.

- Może powinna - powiedział ze smutnym uśmiechem, gładząc jej policzki opuszkami palców. - Ale jesteś taka ciepła i gorąca, że cholernie trudno mi się powstrzymać.

- Ciepła i gorąca? - Laurel roześmiała się głono.

- Co w tym mieszane? - spytał.

- Może nie zawsze oskarżali mnie o coś wręcz odwrotnego. Tym razem Cruz się zdziwił. Laurel obróciła głowę i pocałowała wewnętrzną stronę jego dłoni, ocierając się o nią policzkiem.

- Chociaż cięgnęła - aden z nich nie sprawił, że miałam ochotę eksplodować na sam jego widok.

Czubkiem języka przecięgnęła w górę wskazujący palec. Cruz czekał, kiedy przestanie. Kiedy powął go brak palca. Laurel pocałowała go delikatnie i wróciła do nasady dłoni, smakując delikatną skórę między dwoma palcami.

- Przy tamtych momentach - wyszeptała Laurel - nie traciłam oddechu za każdym razem, kiedy na mnie patrzyli. Nie mieli oczu, które roztopiłyby góry lodowe.

- Laurel - powiedział Cruz ciszonym głosem.

To wszystko, co zdołał powiedzieć. Palce prawej ręki wplotł delikatnie w mokre kołce jej włosów i przesunął je na szyję. Musnął obojczyki i dotarł do zagłębienia między piersiami.

- Przy tamtych momentach... - Tu głos Laurel urwał się. Szybko wciągnęła powietrze, kiedy Cruz obrysowywał palcami ciemne obwódki brodawek - ...nie czułam się tak, jak przy tobie.

- A jak czujesz się przy mnie? - spytał Cruz.

- Kobieco. Niewiarygodnie... kobieco.

Cruz uśmiechnął się.

- Jesteś niewiarygodnie kobieco.

Laurel pokręciła głową. Cruz ujął jej brodawki palcami i delikatnie ugniatał. Dźwięc, wygięła się w łuk. Z gardła wydobył się pomruk przyzwolenia i rozkoszy, który rozbudził w Cruzie gwałtowne pragnienie, aby zedrzeć z niej kawałek materiału i wchodzić w nią mocnymi pchnięciami.

- Przy tobie czuję się niebezpiecznie blisko - powiedział.

- Jesteś niebezpiecznie blisko.

Uśmiechnął się.

- Zaczynałem si ba , e ju tego nie potrafi .

Bardzo niech tnie wypu cił z r ki kremow pier o twardej brodawce i podniósł Laurel ze swych kolan.

- Wsta , kochanie - powiedział. - Je eli teraz nie dostan si do kieszeni, to koniec.

Zaintrygowana Laurel zrobiła, o co prosił.

Wstał i wcisn ł r ce do kieszeni szortów. Mokry materiał bardziej zacisn ł si wokół jego twardego członka. Laurel patrzyła, a jej oczy robiły si coraz szersze.

- Nie bój si - powiedział koj co. - Nie sprawi ci bólu. przygotuj ci .

- Chyba nigdy nie byłam bardziej gotowa - powiedziała Laurel tonem, który zdradzał l k i po danie.

Cruz roze miał si pomimo bólu w ebrach. Bolały gonie tylko ebra. Zbyt długo był podniecony. Wyci gn ł r k z kieszeni.

- We to - powiedział.

Małe foliowe opakowanie wyl dowało na dłoni Laurel.

- Jeste lepszym skautem ni ja - stwierdziła Laurel. - Nie pomy lałam o adnym zabezpieczeniu.

- To ja jestem ochroniarzem, pami tasz? - przypomniał jej Cruz, odpinaj c rozporek szortów. - Moim zadaniem jest chroni ci na ró ne sposoby.

- Czy seks z klientk jest cz ci umowy?

R ce Cruza drgn ły niepewnie, kiedy przypomniał sobie polecenie Gillespiego.

- A jak my lisz? - spytał bezbarwnym głosem.

- My l , e pragn łem nie od chwili, kiedy mnie ujrzałe . Tak jak ja ciebie. Jeszcze nigdy mnie to nie spotkało. Nadal... jestem zaskoczona.

Na krótk chwil Cruz zamkn ł oczy i walczył ze sob . Jej szczer o podniecała tak jak pocałunki, które składała na jego wargach.

- Ja te nigdy nie czułem si tak, jak teraz - powiedział, cedz c słowa. - Nawet Gillespie to zauwa ył i chciał zabra mi t spraw .

- Ale nie zabrał.

- Nie. Postanowił zrobi z tego u ytek.

- A co ty postanowiłe ?

Spojrzał na ni zamglonymi niebieskimi oczami.

- Postanowiłem ci strzec jak niczego i nikogo w yciu. Nic mnie od tego nie odwiedzie, nawet sier ant-major Gillespie.

Napi cie w jego głosie zdenerwowało j .

- Dlaczego? - spytała wprost.

- Przy tobie znów czuj , e yj - powiedział chropowatym głosem. - Nie mog ci gle ucieka . Jestem twój, kochanie. Je eli nadal mnie chcesz.

Dłonie Laurel zacisn ły si na małej foliowej paczuszcze. Cruz pomy lał o wszystkim, a ona wykazała si kompletn beztrosk . Zamkn ła oczy. Cruz sprawiał , e cała dygotała; sprawiał to zachowaniem, u miechem, po daniem. Co przyci gało j do niego tak, jak płomie przyci ga m .

- Nadal ci chc - szepn ła. - Bardziej ni kiedykolwiek.

Woda zawirowała i plusn ła. Kiedy Laurel otworzyła oczy, Cruz był zupełnie nagi.

Laurel zaczęła nieznacznie zdejmować tunik z ramion. Zanim skończyła, Cruz już całował nowo odsłonięte miejsca. Długie palce ześlizgnęły się po piersiach do wody, w dół brzucha i wcisnęły do skłopotanych fig, które były ostatnim fragmentem ubrania na ciele Laurel. Jego wargi podjęły szlakiem wyznaczonym przez dłonie. Całował, delikatnie gryzł cały czas coraz niżej, a wreszcie Laurel nie miała na sobie już ani skrawka materiału, a on klęknął przed nią.

- Oprzyj się na moich ramionach.

Laurel uśmiechnęła się, rozpoznając niski, aksamitny barwę głosu.

Woda zawirowała i Cruz zniknął. Laurel poczuła słodkie ukłucie na brzuchu, a potem jego rozgorczakowane usta międy swoimi udami. Jęknęła ochryple, a jej kolana się uginały. Trzymał ją cały czas w napięciu, pomagając sobie rękami i wygłodniałymi ustami. Laurel płonęła, mimo że woda chłodziła ciało.

Po chwili woda zabulgotała i wiat wokół Laurel zaczął wirować z zawrotną szybkością. Kiedy znowu się uspokoiło, Cruz siedział na głazie, a ona obejmowała udami jego biodra. Chciała wypowiedzieć jego imię, ale z gardła wydobył się tylko nieartykułowany dźwięk. Jego usta odszukały jej wargi i język zdecydowanym ruchem wtargnął głęboko do gardła. W oszalałym milczeniu smakowali się nawzajem, wyginali ciała, żeby być jak najbliżej siebie.

Lewa ręka Cruza owinięła się wokół bioder Laurel. Prawa powdrowała w dół, a wewnętrzne strony dłoni odnalazły owo magiczne miejsce. Zaczęła pocierać powoli, delektując się jego jedwabistością. Chwilę później wsunął palec.

Laurel znieruchomiała na ułamek sekundy, a potem zaczęła dręczyć i napierać na niego rozkołysanymi ruchami bioder. Paznokcie mocno wbiły się w silne mięśnie ramion. Całował ją gwałtownie, a ona odwzajemniała pocałunek z jeszcze większą gwałtownością. Ich pragnienie rosło z taką siłą, że sięgało zenitu.

Cruz pieścił ją, rozchylał, przygotowywał na nadchodzące zjednoczenie. Laurel jęczała i dręła, jakby woda nagle zrobiła się lodowata. Ustami ssła wargi Cruza w rytm jego pieszczot. Resztkami silnej woli oderwał od niej usta. Patrzyła na niego złotymi, oszołomionymi oczami. Jego dłoń znów poruszyła się głęboko i jeszcze raz poczuł, jak go pragnie.

- Przy tobie - powiedział Cruz, z trudem chwytając powietrze - płonę.

Laurel chciała coś powiedzieć, ale jego ręka znowu ją pieściła. Poczuła rozkosz, dręła i przywierła do niego z całych sił.

- Teraz albo nigdy - powiedział. - Załóż mi to, kochanie.

- Będziesz musiał przestać ...

Słowa uwiły jej w gardło, gdy Cruz powtórzył rozkoszne ruchy dłoni.

- Nie chcę przestawać - powiedział. - Uwielbiam dotykać twoje ciało. Uwielbiam brzmienie twojego głosu, kiedy to robi. Bo e, jaka ty mi koka. Sam jedwab i mietanka.

Laurel walczyła z małymi foliowymi paczuszkami. Roztrząsione ręce utrudniały zadanie. Wreszcie się udało. Teraz mogła mu się zrewanżować. Pieściła go i droczyła się z nim.

- Wyraźnie sprawiło ci to przyjemność, mam rację? - spytał, uśmiechając się.

- Tak - odparła i zuchwale ukusiła go w dolną wargę.

- A co powiesz na to?

Próbowała odpowiedzieć, ale nie była w stanie. Wszedł w nią, wypełniając po brzegi

nikt ju nie wiedział, czyje usta całuj , czyje dłonie pieszcz , czyje ramiona obejmuj ani czyj głos wyrывa si z gardła? Teraz byli jednym ciałem, jednym rytmem, jednym krzykiem.

Rozkosz nadeszła szybko i gwałtownie. Potem przyszła ekstaza, od której ich ciała płon ły jak na stosie.

23

Hol główny hotelu „Beverly Wilshire” był istnym kosmopolitycznym tygłem. Trzech japo skich biznesmenów, którzy przyjechali do miasta, by obejrze studio, które wła nie nabyli, witało si z kilkoma dyrektorami studia. Ci po piesznie bełkotali co w j zyku wyuczonym na kursach w Berlitz i kłaniali si co drugie słowo. Dwie osobne i najwyra niej wrogo usposobione do siebie grupy z krajów Europy rodkowej wymieniały złowrogie spojrzenia z s siaduj cych kolejek do recepcji. wita emerytowanego premiera Wielkiej Brytanii: rzecznicy prasowi, osobi ci sekretarze oraz policjanci z Londynu, Waszyngtonu i Los Angeles w cywilnych strojach, kr cili si tam i z powrotem, sprawdzaj c swoje baga e i w sz c wokół cudzych, by upewni si , czy nie zawieraj ładunków wybuchowych.

Nowikow był zachwycony. Ró norodny tłum stanowił idealn przykrywk dla szpiega w drogim, dwurz dowym garniturze. Georgi Gapan czekał na niego w ciemnym k cie baru, turlaj c w dłoniach pust szklank . Na szkle znajdowały si wyra ne smugi, jakby Rosjanin bawił si szklank od dłu szego czasu.

- Gdzie byłe ? - spytał Gapan po rosyjsku, kiedy Nowikow podszedł do niego. - Dzwoniłem godzin temu.

- Je li s czyłe tego drinka przez godzin , lepiej zamów nast pnego. Barman na pewno ci zapami ta.

- Ale... uh, sko czyły mi si ameryka skie pieni dze - przyznał si Gapan. - W Los Angeles jest bardzo drogo.

Wydałem pi dziesi t dolarów na sam taksówk do wypo yczalni samochodów i z powrotem.

Nowikow zacz ł wywraca oczami i spojrzał w sufit

- Biedna, zagubiona owieczka - powiedział, si gaj c do kieszeni. - Powiniene był zosta w kraju z reszt tych wie niaków.

Ciemne oczy Gapana zw ziły si , ale nie zareagował na zniewag .

Nowikow wydobył rolk banknotów studolarowych i kiwn ł na kelnera. Zamówił dwa razy to samo, cho nie miał poj cia, co Gapan pił poprzednio. Jednym banknotem zapłacił za drinki, a trzy kolejne dał Gapanowi.

- Gdzie ona jest? - spytał Nowikow, gdy barman podał im drinki i zaj ł si innym klientem.

- Na górze. Pokój sze set dwana cie. Wydaje mi si , e jest sama. Widziałem faceta, który z ni był, jak zjechał wind i wyszedł na zewn trz jakie dziesi minut temu.

Nowikow napił si słabej, kwa nej, ameryka skiej wódki. Napój wie niaka, pozbawiony finezji.

- Czy ustaliłe , kim jest ten facet? - zapytał Nowikow.

- W hotelu zameldował si jako J. C. Johnson - poinformował go Gapan. - Poza tym nie wiem nic. Ma około czterdziestki, zwyczajnie ubrany. Podejrzewam, e pod koszul nosi bro .

- A co z t tajemnicz limuzyn ? Udało ci si zobaczy pasa erów?

- Gapan pokr cił głow .

- To był cadillac, ale nic nie mogłem zobaczy . Miał bardzo ciemne szyby.

- To normalne - stwierdził z sarkazmem Nowikow.

- Albo kierowca, albo osoba towarzyszc Toth musieli zauwa y mnie w lusterku. Pojechali do podziemnego gara u jednego z tych piekielnych centrów handlowych.

- Zgubili ci - domy lił si Nowikow.

- Przykro mi. - Gapan potarł swój postrz piony zarost na policzku z zakłopotaniem. - Robiłem co mogłem. Niezbyt dobrze prowadz . A ten ruch tutaj... jest jak zły sen.

Nowikow zakł ął pod nosem, wychylił drinka do ko ca i zamówił kolejnego.

Gapan wlał wódk do gardła, skrzywił si i przełkn ął.

- Ale przynajmniej, mój mały policjancie, zlokalizowałe obiekt: pon tn ameryka sk dziennikark - mrukn ął Nowikow. - Bardzo dobrze. Zgubiłe j . To ju troch gorzej. Nie udało ci si odkry , kim była tajemnicza osoba albo osoby, z którymi si spotkała. Jeszcze gorzej. Ale znowu j odnalazłe . Jak ci si to udało?

- Pomy lałem, e zechc zmieni hotel, kiedy okazało si , e kto ich ledzi. Wróciłem do „Center Plaza”. Tam zaczekałem, a portier wyniesie ich бага e.

- Sprytnie - powiedział Nowikow, przygl daj c si Gapanowi ze zdumieniem. - Jak na to wpadłe ?

- To ja zawsze nosz бага e, kiedy podró ujemy - powiedział Gapan prosto z mostu.

- No oczywi cie - potwierdził Nowikow. Logika wie niaka, pomy lał.

- A jak zdobyłe numer pokoju?

Gapan wypił swój wódk . Gdyby Nowikow rozmawiał z kim innym, pomy lałby, e to zwykła gra na zwłok , ale Gapan miał zbyt ci ki umysł, eby w ten sposób unika odpowiedzi.

Gapan bekn ął, wytarł usta r k i u miechn ął si , widz c obrzydzenie Nowikowa.

- Portier niedawno wyemigrował z Rosji - wyja nił Gapan. - Powiedziałem mu, e je li nie poda mi tego numeru, dobierzemy si do tyłka jego braciom i siostrom.

- Niestety, nie mo emy ju robi takich rzeczy - stwierdził Nowikow. - Ta pieprzona nowa władza robi w gacie na my l o tym, e mogłaby urazi „, wiatow opini ”.

- Ale portier o tym nie wiedział, wi c podał mi numer pokoju.

- Wie ci wolno docieraj do naszych rodaków na emigracji.

- Docieraj - Gapan wzruszył ramionami. - Ale oni nie wierz , e co si zmieniło.

Nowikow s czył wódk przez kilka minut, obserwuj c tłum gromadz cy si przy barze. Błyskotliwi, kolorowi ludzie, pewni siebie, zamo ni i wpływowi. Tak kra cowo ró nili si od mieszka ców Moskwy o ponurem twarzach.

Prostacy, pomy lał Nowikow z rozgoryczeniem. Prostacy, którzy nie potrafili doceni wspaniałego ycie, wi c je zrujnowali.

Nowikow odstawił wódk i odwrócił si do Gapana.

- Musz troch skróci smycz naszej przyjaciółce z góry - oznajmił. - Czy wiesz, gdzie jest wewn trzny telefon?

- Tak. Przy holu.

- Udawaj, e z niego korzystasz i obserwuj wej cie do hotelu. Je eli wróci facet, który podaje si za J. C. Johnsona, zadzwo do pokoju. Odłó słuchawk po pierwszym dzwonku.

Gapan przytakn ął.

- Zabijesz j ?

- S dz , e nie, ale... zawsze istnieje taka mo liwo , czy nie tak?

Nowikow opu cił bar. Przebył pewnym krokiem hol i dotarł do windy. Wygl dał jak jeden z bogatych go ci hotelowych. Kiedy wysiadł na pi tym pi trze, zachodz ce sło ce zalewało hol, przedzieraj c si przez drogie przeczyste zasłony. Na podłodze le ął dywan w kolorze urawiny.

Co to za kraj, w którym dobry, ale przecie nie luksusowy hotel stał na taki przepych?

Klatka schodowa wystrojem przypominała biuro; urządzono ją znacznie oszczędniej niż resztę w budynku. Wieszko ci nigdy jej nie oglądała, bo windy zawsze działały.

Nowikow wszedł po schodach i ostro nie otworzył drzwi prowadzących do holu szóstego piętra. Korytarz wiecił pustkami. Szybko odnalazł pokój sześćdziesiąty i delikatnie zapukał do drzwi. Dziwił się, że taki hotel nie zatroszczył się o podstawowe zabezpieczenie, jakim był zwykły wizjer w drzwiach.

- Kto tam?

Cudowna Clair. Clair de Noir.

- Obsługa - odpowiedział Nowikow, zmieniając głos, by brzmiał młodziej.

Drzwi uchyliły się na długość ława cucha.

Nowikow wymierzył szybkiego, celnego kopniaka. Z drzwi poleciały drzazgi, kiedy ława cucha została oderwana z jednego końca. Po sekundzie był już w środku. Jeden kłapał Toth za gardło, żeby nie narobiła krzyku. Drugi wykręcił jej nadgarstek. Pistolet wyleciał z jej sparaliżowanych palców.

Drzwi popchnięte przez Nowikowa nogą, zamknęły się za nim cicho.

- Witaj, skarbie - powiedział, imitując manier Bogarta. - Dawno się nie widzieliśmy.

Oczy Toth były czarne i zimne jak pistolet leżący na podłodze.

- Nie zabij mnie, jeśli mnie do tego nie zmusisz - powiedział spokojnie po angielsku. - Gdzie jest jajo?

Chociaż Nowikow zaciskał ręce na jej gardle, Toth dokładnie zastanowiła się nad odpowiedzią. Chciała mieć pewność, że nie powie Nowikowowi nic ponad to, co już wiedział.

- Nie mogę ... oddychać - powiedziała ochryple.

- Nie słońce, mój piękny czarny aniele.

Ale rozluźnij nieco ucisk. Toth oddychała szybko, jakby na zapas.

- Mów natychmiast - rozkazał Nowikow.

- Nie wiem, gdzie jest jajo - odpowiedziała po piesznie matowym głosem. - Robiłam tylko za przykrywkę. Nie chciałam pomagać mu w tej kradzieży. Zmusił mnie. Teraz muszę pomóc mu się upłynnić. Jakim cudem zdobył dokumenty o mojej współpracy ze Związkiem Radzieckim. Jeśli to się wyda, nikt mnie nie zatrudni.

- Zamknij się - burknął Nowikow, zaciskając mocniej palce.

Z konieczności czy też z własnej woli Toth umilkła.

Nowikow myślał gorzko, patrząc w jej ciemne oczy, nie wzruszony ani jej strachem, ani urodą.

- Próbujesz je sprzedać?

Toth pokiwała głową.

- Kto jest szlachliwym nabywcą?

- Damon Hudson - szepnęła mimo elastycznego ucisku.

- Za ile?

- Sześć.

- Milionów?

Znowu pokiwała.

Palce Nowikowa nieznacznie się rozluźniły. Miał ochotę rozemnieć ją w głos. Toth chyba nie miała pojęcia o rzeczywistej wartości jaj, bo za dałaby sześćdziesiąt milionów, a nie marnych sześć.

Jednak Nowikow szczerze w tpił, eby jej współnik był taki głupi.

Nowikow uwolnił Toth, podniósł z podłogi pistolet i zabezpieczył go. Potem odwrócił się do niej. Jedną ręką trzymała się za szyję. Cała drżała.

Nowikow celowo przesuwając wzrokiem po ciele Claire. Jej brodawki stwardniały, jakby ich dotknął.

- Jesteś jedną z dwóch kobiet, które są dla mnie atrakcyjne seksualnie - powiedział, przeciągając sylaby.

- Wiem - powiedziała ochryple. - A kim jest ta druga?

- Kobieta dwa razy starsza od ciebie, pod względem urody dorównuje ci może w jednej czwartej. Za to jest najgenialniejszym politycznym umysłem dwudziestego wieku.

- Ale jej umysłu nie da się pieprzyć.

Nowikow uśmiechnął się słabo. Wyglądała ulegle, ale zwdniczo, jak wie o upadłym anioł, który miał jeszcze szansę na odkupienie.

Toth oblizwała wargi i dłońmi wygładziła spodnie. Mogła zrobić to nie wiadomie, ale Nowikow w to w tpił.

- Biedna, skundlona suka - powiedział łagodnie. - Masz chorobliwą potrzebę zmysłowego działania na mężczyzn. Czujesz się bezpiecznie tylko wówczas, kiedy w pełni panujesz nad fiutem. To dlatego mnie wybrano do kontrolowania twojej agenturalnej działalności. Wiedzieli, że wolę chłopców.

- I małe dziewczynki - powiedziała Toth, uśmiechając się złośliwie. - Nie zapominaj o nich.

- Czasami - przyznał. - Ale ty nie jesteś już małą dziewczynką. Czy nie była przerażona, kiedy urosły ci piersi i twój ojciec zaczął spędzać noce z młodszymi siostrami?

Na ułamek sekundy w oczach Toth pojawiła się furia, ale miała do niego rozum, by jej nie ulec. Nowikow był wyjątkowo okrutnym człowiekiem.

- Kto teraz zajmuje miejsce twojego ojca? - zapytał Nowikow.

Toth spodziewała się tego pytania.

- Jamie Swann - odparła bez wahania.

Nowikow zmarszczył brwi.

- Nie kojarzę nazwiska.

- Nie jest jednym z naszych.

- Jak trafił do ciebie?

- Nie wiem. Zjawił się po prostu z plikiem papierów dokumentujących moją współpracę z wami.

Nowikow czekał, milcząc.

Toth nic więcej nie powiedziała.

- Czego chciał od ciebie? - zapytał.

- Tak jak ci mówiłam, chciał się mną posłużyć. Wiedział, że mam do ciebie i mogę szepnąć słówko o Fabergé do bardzo bogatych uszu. Oferty wciąż napływają.

- Ten koleś, Swann... zna się na komputerach?

Toth roześmiała się w głos.

- Jamie? Słonko, on by nawet nie wiedział, jak uruchomić komputer. To tylko kupa miśni do wynajęcia.

- Bardzo cwana kupa miśni, skoro sprzedała mi jajo sprzed samego nosa.

- Założę się, że kto w starej, dobrej Rosji bardzo mu pomógł - powiedziała złośliwie. - Nie wszyscy w Rosji są pewni, że nowy rząd się utrzyma. Ludzie mają się na baczno ci.

- A może napiszesz jakiś opiniotwórczy artykuł o niepewności Rosjan dla „Los Angeles Timesa” - powiedział Nowikow spokojnie. - „Tysiąc słów prawdy od zdrajczyny podszywanej się pod dziennikarkę”.

- To propozycja czy rozkaz? - spytała Toth.

Nowikow uśmiechnął się.

Na pozór spokojna, Toth odwróciła się i usiadła na brzegu łóżka. Dłonie umieściła z tyłu i podparła się na nich, jednocześnie rozchylając nogi. W takiej pozycji jej piersi unosiły się, a jedwabna bluzka lekko je opinała.

Kobiece piersi nie budziły w Nowikowie żadnych emocji. Lecz w dużych brodawkach Toth niezaprzeczalnie kryło się coś stymulującego. Te brodawki, podobnie jak męski penis, były swoim własnym życiem. Nowikow widział, jak marszczą się i zaczynają twardnieć. To taka drobna, lecz efektowna sztuczka, podobna do tych, które stosują także te nago dziewczyny w lokalach na całym świecie.

Nowikow zbliżył się do łóżka i stanął między udami Toth. Zaciśnięła kolana i zaczęła gładzić nimi zewnętrzne strony nóg Nowikowa.

- Rozczarowała mnie - powiedział miłko, obserwując jej brodawki. - Powinna była przyjść do mnie natychmiast, jak tylko Swann zaczął ci szantażować.

- Moja lojalność jest mniej wiążąca tak silna jak twoja.

- Nie ubolewam nad twoją lojalnością, tylko nad nieumiejętnością przewidywania. Gdyby przyszła do mnie, mogłaby uzyskać pomoc od potęg, która kiedyś zabiła połowę świata.

- Kiedy? - powiedziała Toth. Jej kolana poruszały się rytmicznie, delikatnie głaszcząc Nowikowa. - To nie wystarczy, kochanie. Musimy funkcjonować w istniejącym świecie, a nie w świecie z przeszłości.

- To co było kiedyś, wkrótce powróci.

- Dla mnie i tak za późno - uznała. - Nigdy już mi nie zaufacie. A wszystko przez to, że ktoś w Rosji dał Swannowi moje akta.

- Mylisz się, mój czarny aniele. Ja ci zaufam. Tylko musisz przynieść mi Jajo.

- Nie mam go!

Złość i frustracja w głosie Toth nie były udawane. Nowikow prawie się roześmiał.

- To je zdobądź - oznajmił ze stoickim spokojem. Potem mi je przynieś i wszystko będzie dobrze. Ja bardzo się troszczę o przyjaciół.

Jakby na dowód swoich słów, wyciągnął rękę i jednym ze swoich palców obrysował brodawki Toth. Z trudem złapała oddech. Albo się podnieciła, albo udawała.

Nowikowowi było wszystko jedno. Musiał przekonać Toth, że potrafi uwieść nawet jego. Jeśli w to uwierzy, będzie pewna, że ma nad nim władzę. Toth wierzyła wycześnie we władzę.

- Nie obawiaj się o moją lojalność - powiedział Nowikow. - Ja się o twoją nie boję. Zaufanie, podobnie jak miłość, jest mocno przeceniane. Tylko wzajemne korzyści mogą utrzymać ludzi przy sobie. Kiedy człowiek już to sobie uwiadomi, życie staje się prostsze. Możesz wtedy do woli czerpać przyjemność z życia, nie tracąc kontroli nad sytuacją.

Nowikow przesunął rękę wzdłuż uda Toth o dwa, trzy centymetry przy każdym kolejnym ruchu.

- Na przykład - powiedział miłko - moglibyśmy w tej chwili dać sobie nawzajem trochę przyjemności, zupełnie nie tracąc kontroli. Przynajmniej jedno z nas nie straciłoby jej na pewno. Jak myślisz, czarny aniele, które?

Z uśmiechem na twarzy Toth obliznęła dolną wargę i chwyciła ją zębami.

rozkoszowała się idącymi w parze, przyjemnościami i bólem.

- A gdybym tak miała pistolet i jego lufa znalazłaby się w twoich ustach? - spytała chrapliwie.

Nowikow uśmiechnął się leniwie.

- Odessałbym ją .

Toth miała w półprzymknięte oczy. Odchyliła głowę do tyłu i wolno kręciła się w jedną i w drugą stronę. Jej piersi zaczęły kusić co falowa .

- Biedna, mała dziewczynka - powiedział Nowikow - ma tylu wrogów. Tyle trudnych wyborów przed sobą. Wybierz mnie, czarna aniele, a nauczę cię latać .

- Ja już umiem latać .

- Tak właśnie uważaj wszystkie małe, nieopierzone ptaszki. Ich podrygi i trzepotanie skrzydełkami mylą im się z prawdziwym lataniem. Ale pewnego dnia wyrwyj się z gniazda i dopiero wtedy naprawdę zrozumiesz , po co przyszły na świat.

Toth patrzyła na przymiony błysk w oczach Nowikowa i zastanawiała się , jaki jest w końcu . Ta myśl podniecała ją i przerażała w równej mierze.

- Po mnie chłopcy już ci nie zadowolą - stwierdziła.

- Nie jesteś pierwszą kobietą , która to sugeruje - powiedział uwodzicielsko, ale z pogardą .

Clair gwałtownie wciągnęła powietrze, co zabrzmiało prawie jak westchnięcie i znowu przygryzła wargę . Tym razem trochę mocniej.

- Ale bądź ostatni , Aleksy. Moim żalem są twoje jaja.

- Umowa stoi, jak mawiają Amerykanie. Przekonamy się , kto jest słuchym, a kto panem... ale dopiero jak dostarczysz mi jajo.

Jego dłonie zacisnęły się , a paznokcie kciuków drapały mi kark , obiecując dalsze „represje”.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Nowikow zamarł i czekał chwilę .

Telefon nie zadzwonił ponownie.

24

Przevitując zasłony w sypialni w Karroo łagodziły intensywny blask pustynnego słońca, wpuszczając jedynie po wiat . Jednak to nie przytłumiony blask obudził Laurel. Ze snu wyrwał ją ciepły oddech pieszczących szyję i usta lekko drażniące kark.

Wczorajsze wydarzenia powróciły do niej kaskadą obrazów i namacalnych wspomnień . Głęboko rozeszło się po jej ciele, zanim jeszcze odwróciła się na drugi bok i otworzyła oczy. Palce drażniły jej piersi, a za chwilę język dotknął jednej z twardych brodawek.

- Mmm - zamruczał niski głos. - Kuszisz mnie, kochanie. A chciałem być takim kochanym, malutkim, młodym kwiatkiem i dać ci pospać do południa.

- Dwa trafienia na cztery, to całkiem niezły wynik jak na początek - powiedziała Laurel głosem lekko ochryplym od snu i rodzajem sił po daniu.

- Które dwa?

- Jeden z ciebie kwiatulek, a już na pewno nie mały. Za to jesteś stu procentowo kochany i młody.

Cruz rozejmiał się , pocałował ciemny czubek piersi, który pieścił, i resztę silnie

obj .

- Nie przestawaj - zamruczała. - Ju przechodził do interesującej ci przedstawienia.

- My lałem, e po wczorajszym zechcesz przez jakiś czas zachowywać się przyzwoicie.

Laurel spojrzała na Cruza. Uśmiechał się, ale mówił poważnie.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie jesteś obolała?

Pokręciła przecząco głową.

- Na pewno? - zapytał. - Nie byłem taki delikatny, jak chciałem, zwłaszcza ostatnim razem. Właściwie nie powinienem był już ci dotykać.

- Dlaczego?

- Nie jesteś przyzwyczajona do kochanka.

Laurel zarumieniła się.

- Czy mój brak finezji był aż tak widoczny?

Przez sekund Cruz nie rozumiał. Po chwili jednak rozemniał się i pozwolił swoim palcom zanurzyć się w jej kobiece ciepło. Czubkiem palca odnalazł gorąco, które nawiedzało go w snach.

- Nie mówiłem o technice - powiedział, wlizując się w Laurel tylko troszeczkę, odkrywając poszczególne warstwy jej miękkoci. - Mówiłem o tym. Jesteś spięta, kochanie.

Plomie rozproszył się we wnętrzu Laurel rozedrganą falą. Chwilę później ogarnął oboje. Cruz zakłamał cicho, bardziej z uwielbienia niż z chęci przeklinania.

- Jedyną wadą seksu w wodzie było to, że nie mogłem tak wyrazić twoich reakcji. - Jego głos był pełen podniecenia.

- A ja twoje czułam doskonale i podobały mi się nawet do milimetra.

Laurel drgnęła trawiona ogniem i wspomnieniami. Jej nogi ocierały się o siebie niespokojnie.

- Cruz. Nie jestem obolała. Naprawdę.

Zawahał się, a po krótkim namyśle sięgnął do szuflady za Laurel. Kilka chwil później uwił sobie gniazdko między jej nogami.

- Zrobimy to powoli i spokojnie.

- Możliwe następnym razem?

Pomimo kusicielskich ruchów ciała Laurel, wzięła go tak wolno, że chciała zwariować z pustoty tego ciała podniecenia. Ale kiedy się połączyli, zdawało jej się, że umrze z rozkoszy.

To samo działo się z Cruzem. Uniesienie olepiało go, oszalało, oddawało w posiadanie Laurel, a nadszedł moment, w którym wyczerpanie nie pozwalało mu nawet unieść głowy. Cruz ją knął i zsunął się z Laurel. Przyciągnął ją do siebie i trzymał do czasu, kiedy oboje mogli znowu spokojnie oddychać.

Laurel pocałowała szorstką, nieogoloną skórę na twarzy Cruza, westchnęła i potarła policzkiem o ciemny, spryśnięty gęstwiną włosów na jego klatce piersiowej. Wolno błądziła opuszkami palców po jego twarzy, wargach, ramionach i torsie. Prawie wszędzie odnajdywała szramy albo drobne wypukłości na kciukach, zaleczone po ranach czy złamaniach.

Odszukała te dwa wieki lady po kulach. Pocałowała go i bardzo delikatnie umieściła palce tuż pod siemami na rękach.

- Masz tyle blizn - szepnęła.

- Powinna zobaczyć ciało Gillespiego. Cofam to, co powiedziałem: nie powinna. Ju nigdy nie spójrzałyby na mnie. „Zabójczo przystojny”. Czy to nie ty tak go określiła? Bo e, teraz ju nigdy nie przestanie się puszyć.

Umiechając się, Laurel przymilnie otarła się o jego tors.

- W niczym mu nie ustpujesz.

Cruz parsknął.

- Przejrzyj na oczy, kochanie. Wyglądam jak południowy koniec zdąjącego na północ mrówkojada.

- To wszystko tłumaczy.

- Co?

- Dlaczego samice mrówkojadów chodzą dwa kroki za swoimi partnerami.

Cruz miał się szczerze, patrząc w bursztynowe oczy Laurel, które przyglądały mu się z nieukrywaną przyjemnością.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się miałem - powiedział.

- W twoim zawodzie to nic dziwnego. Za bardzo się spalasz.

- Gdybym nie robił tego, zajęłbym się czymś, co te wymagałoby dużego wysiłku fizycznego - tłumaczył Cruz, głaszcząc jej potargane włosy. - Taki ju jestem. Do diabła, kariera zawodowa sportowców trwa krócej niż moja.

- Co oni robią, kiedy minie ich czas?

- Czy to przytrafiło się twojemu ojcu?

Laurel zeszywniała. Odkąd znalazła się w Risk Limited, po raz pierwszy wspomniał jej ojca.

Cruz ani na chwilę nie przestał jej głaskać, przypominając bez słów, jak bardzo stali się sobie bliscy. Wypuściła powietrze z płuc, które nie wiadomo przetrzymała przez moment, i rozluźniła się znowu.

Ale nie do końca. Wiedziała, że skończyła się beztrzęsła. Brutalna rzeczywistość bezlito nie dała o sobie znać. Tym razem wybór, przed jakim stała, był jeszcze bardziej dramatyczny: ojciec albo kochanek.

- Tak się dzieje - powiedziała. - Starzeje się i to go przeraża. Przeprasza nawet, że musi zakładać okulary do czytania.

- To spotyka każdego, kto nie umrze przedwcześnie.

Laurel skrzywiła się.

- Do cynicznego pocieszenia.

- Jest dorosły. Czego się spodziewa? Że całe życie nic tylko wino, kobiety i piew? I tak bez końca?

- Co ma robić? - spytała Laurel ostro. - Poczłapała do domu starców z uśmiechem na twarzy i przeprasza, że urodził się tak dawno?

- Mógłby spróbować jogi, kręgli, pływania, obserwacji ptaków, wędrowania, uprawiania orchidei, pieszych wycieczek, hodowli psów, triathlonu, brydża albo gry w bilard - stwierdził Cruz niecierpliwie. - Cholera, mógłby nawet wrócić do szkoły, zakochać się...

- Mógłby prowadzić normalne życie, do tego zmierzasz?

- Jeśli tego nie zrobi, to tak, jakby ju nie żył.

- Ty naprawdę nie lubisz mojego ojca, prawda? Dlaczego? Bo wydaje ci się, że on robi coś dla siebie, zamiast dla ojczyzny?

- Ten sukinyś cię wykorzystał - powiedział Cruz miękko, aczkolwiek nieugięty tym tonem. - Uwikłał cię w tę historię z jajem, a potem się zmył, zostawiając cię samą na pastwę dwóch morderców

- Nie wiedział, e...
- Gówno prawda, kochanie - przerwał jej Cruz niecierpliwie. - On jest zawodowcem. Musiał wiedzieć, co może się nie udać i gdzie, wiedział też, kto poniesie konsekwencje - ty!
- Nie wierz w to.
- Nie chcesz w to wierzyć.
- Czy wiesz, o co prosisz?
- Proszę, żeby mi zaufała - powiedział Cruz.
- Nie - rzuciła, wyrывая się z jego silnych ramion. - Proszę, żeby nie zdradziła własnego ojca!
- Pomyśl głową, a nie sercem. Jesteś w niebezpieczeństwie.
- Nie ze strony ojca.
- Ze strony parszywych koleśków tatusia - odparł Cruz.
- Już nie. Jestem wyuczona z gry. Zabrał ją i po wszystkim.
- Mylisz się, kochanie. To dopiero początek.
- Co to ma znaczyć? - spytała Laurel. - Czy wiesz coś, czego mi nie mówisz?
- Nie chciałabyś wiedzieć tego, co ja wiem.
- Nie jestem dzieckiem.
- W moich ramionach jesteś kobietą absolutnie, ale we własnej głowie nadal jesteś małą córeczką tatusia. A zatem, córeczko, pozwól, żeby powiem ci coś o drogim staruszku.

Jego słowa poraziły Laurel. Chciała wyjść z łóżka. Cruz zatrzymał ją bez większego wysiłku, co przypominało jej, jaki jest silny.

- W archiwach FBI i CIA istnieją opasłe teczki z aktami dotyczącymi Jamiego Swanna - zaczął Cruz.
 - Wiem.
 - Widziała je?
- Laurel zaprzeczyła ruchem głowy.
- A ja tak - powiedział stanowczo. - Twój ojciec to żywa legenda w środowisku agentów CIA. Brał udział w najniebezpieczniejszych tajnych akcjach w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Trzykrotnie odznaczano go za odwagę i dwukrotnie za godną ładowania postawę.
 - Brzmi to raczej jak powód do dumy - skomentowała Laurel.
 - Żeby stać się tak dobrym - ciągnął Cruz - twój ojciec musiał zdobyć umiejętność ci zawodowego mordercy, opanować zręczność szermistrza i zostawić sobie tyle skrupułów, ile ma przeciwna norka. W rezultacie Jamie Swann stał się nieugiętym, twardym, bystrym człowiekiem, który ma w pogardzie jakkolwiek władzę, prócz swojej własnej.

- To cię martwi?
 - Nie. Martwi mnie fakt, że kilka lat temu twój ojciec poszedł swoją drogą.
- Laurel zrobiła się bardzo spokojna na zewnątrz, i tylko serce, które pracowało w zdwojonym tempie zdradzało, co dzieje się w rodoku. Tego się obawiała. Właśnie tego nie chciała usłyszeć.
- Może po prostu świat się zmienił, a on nie potrafił - powiedział Cruz. - Może dorósł na swój sposób. A może to było nieuniknione, że człowiek o takim temperamentem musi kiedyś przekroczyć te granice i z utalentowanego agenta zmienić się w utalentowanego przestępcę.

- Nie!

- Tak - odparował Cruz stanowczo. - Znam wielu takich jak twój ojciec. Nawet sterylne FBI współpracuje z różnymi „kowbojami”: łobuzami, oprychami, mordercami. Niekiedy, gdy przychodzi pora na jakiegoś brudnego robotnika, ich pomoc jest cholernie cenna. Ale na co dzieł ich zalety są zasadniczymi wadami.

- Tata nie zrobiłby...

- Zrobił - przerwał jej Cruz brutalnie - W ciągu paru ostatnich lat uczestniczył w kilku nielegalnych przerzutach broni i samolotów wojskowych do krajów Trzeciego Świata. Współpracuje z wrogami, Laurel. Jednemu z nich wypowiedzieliśmy wojnę i omal nie puściliśmy z dymem Zatoki Perskiej.

- Ale...

- Nie - znów jej przerwał. - Pytałaś o ojca, więc ci opowiadam i mam dokumenty na potwierdzenie każdego słowa.

Kiedy Laurel spojrzała na Cruza, przeszedł jej zimny dreszcz.

Jego słowa były niepodważalne i bezlitosne jak krystaliczne, bładoniebieskie oczy, którymi na nią patrzył.

- Swanna podejrzewa się o dostarczanie bardzo niebezpiecznych ładunków wybuchowych dla ugrupowań terrorystycznych w Ameryce Południowej - informował ją dalej Cruz. - Wiadomo też, że dostarczał również składników do produkcji gazu paraliżującego dla rządu pewnego małego państwa w Azji.

Laurel jęknęła.

Cruz spuścił powieki, chcąc w ten sposób okazać jej swoje współczucie. Laurel nie wiedziała o tym, bo zamknęła oczy.

- W sprawie z gazem nie doszło bezpośrednio do złamania prawa - powiedział Cruz. - Swann poniekąd odkupił swój winny, niszczyjąc tajny skład gazu.

- Dlaczego? - szepnęła Laurel.

Cruz nie wiedział, czy pyta go o motyw zniszczenia składu gazu, czy o to dlaczego jej ojciec stał się przestępcą?

- Zniszczył go, gdy dowiedział się, że mają go użyć do wymordowania najstarszych plemion na tych terenach, które sprzeciwiały się wyrębowi tamtejszych lasów. Kiedy to odkrył, dla jednego szczepu było już za późno. Najmłodsza ofiara miała cztery dni. Swann zabił człowieka, który zrzucił gaz, ale nie przywrócił życia zmarłemu.

Laurel próbowała oddychać, siłą przepuszczając strumień powietrza przez zaciśnięte gardło.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział Cruz, widząc, że Laurel jest blada jak ściana. - Twój ojciec nie chciał, by ginęli niewinni ludzie. Nie sprawdził dokładnie swoich odbiorców. Tak dzieje się zawsze, kiedy człowiek przechodzi na drugą stronę i staje się przestępcą. Wtedy ociera się o najgorsze szumowiny płynące w globalnym szambie. Masz już dość, czy mam mówić dalej?

Laurel pokręciła głowę w odrętwieniu. Usłyszała wystarczająco dużo.

Cruz ze wstaniem wypuścił powietrze przez zęby i oswobodził ją z uścisku. Pragnął trzymać ją w ramionach, ale bał się, że będzie musiał się z nią szamotać.

- Co poszło nie tak z szumowinami i twój ojciec się ukrywa, ale w ciekłe psy go czepeczemu po piętach.

Laurel wolno otworzyła pełne bólu i przerażenia oczy, w których zebrały się łzy.

Cruz czuł w ciemności i rozgoryczenie. Wiedział, że nie ucieknie od tego, co miał do zrobienia, a czego unikał aż do teraz. Zaczęła brać Laurel pod włos.

- Twój ojciec potrzebuje naszej pomocy, podobnie jak ty - powiedział ostro nie

po egna z yciem.

- Ja... - Jej głos si załamał. - Ostrzegłam go.

- Wiem. Trzy, dwa, sze , cztery, trzy, siedem. UWA AJ.

- Wiedzieli cie? - spytała zdumiona.

- Do diabła, pewnie, e wiedzieli my. Ale on ju wcze niej zdawał sobie spraw , e jego tyłek znalazł si na linii ognia. Dlatego podrzucił ci to jajo.

- Jestem jego córka . Ma prawo szuka u mnie pomocy.

Cruzowi wyrwało si przekle stwo. Opanował go gniew, a wła nie teraz powinien nad nim panowa .

- Nie wci ga si niewinnych osób w gr , w któr graj tylko zabójcy - powiedział łagodnie.

- wietnie - stwierdziła Laurel nerwowo. - Za to teraz wypadłam z gry. Nie ma ofiar, nie ma winnych. Czy nie tak?

- Ale ty wcale nie wypadła z gry. Ojciec zostawił ci wiadomo na sekretarce.

- Jak j ... - zacz ła.

- Chryste - warkn ł Cruz - mamy hackerów, którzy potrafi dosta si do komputerów w Departamencie Obrony. Twoja automatyczna sekretarka wypaplała wszystko w cztery sekundy. Potem skasowali my wiadomo , eby kto nie poszedł w nasze lady.

- Co to była za wiadomo ? - spytała z udawanym spokojem.

- „Cze , kochanie. Spotkajmy si jak najszybciej w naszym miejscu. Aha, zabierz ze sob skórzan walizk , wiesz t z cennymi rzeczami. Mo e pojedziemy na mały wycieczk ”.

Słowa raniły j jak ostrza lodowych sztyletów, mroziły jej krew w yłach. Ojciec nigdy nie zaproponował jej, eby mu gdziekolwiek i w czymkolwiek towarzyszyła.

Nigdy w ci gu całego ycia.

- Nie rozumiesz jeszcze? - zapytał Cruz. - Twój ojciec ci wykorzystuje!

- Mam rozumie , e ty nie? - spytała piskliwie.

Nawet gdyby zacz ł zaprzecza i tak nie pozbyłby si echa cynicznego rozkazu Gillespiego.

„Zdob d jej zaufanie tak, jak to robili nasi dziadkowie”.

Resztki panowania, którymi pow ci gał gniew, wyparowały.

- Dzi ki mnie przynajmniej krzyczała z rozkoszy - powiedział ostro. - Przez niego krzyczała ze strachu.

Powiedziawszy to, Cruz gwałtownie odrzucił przykrycie i wyskoczył z łó ka. Wzburzony pognał w stron łazienki przeklinaj c si , nazywaj c sko czonym głupcem. Trzasn ł za sob drzwiami. To samo zrobił z nast pnymi, które prowadziły do jego łazienki. Z furi przekr cił kran i z prysznicą poleciała woda.

Laurel le ała w łó ku i wsłuchiwała si w b bnienie wody o kafelki do czasu, kiedy znów mogła oddycha bez poczucia, e wraz z powietrzem wdycha ywe płomienie.

Nie mog wybiera mi dzy nimi, mówiła sobie w duchu. Nie mog . Je eli wybor Cruza, to tak jakbym uwierzyła, e mój ojciec jest samolubny albo zdesperowany do tego stopnia, e nie zawaha si ryzykowa moim yciem. Je eli postawi na ojca, b dzie oznaczało, e wierz , i Cruz uwiódł mnie z zimn krwi po to, by dotrze do Jamiego.

Tata mo e by bardzo zdesperowany, niech tnie przyznała przed sob . Ale Cruz nie potrafiłby by tak wyrachowany.

„Nie byłem taki delikatny jak chciałem. Zwłaszcza ostatnim razem”.

Czy takie słowa mógłby powiedzieć mężczyzna, który wykorzystuje kobiety, by dotrzeć do kogoś innego? - spytała sama siebie.

„Postanowiłem cię strzec jak nikogo i niczego w życiu”.

Laurel przeszył lodowaty dreszcz, kiedy uwiadomiła sobie, że Cruz chce ją chronić równie przed jej ojcem.

Nie, zaprzeczyła w myślach. Tata nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. Właśnie dlatego zabrał ją. A z drugiej strony, po co kazał jej wziąć ze sobą walizkę z „cennymi rzeczami”... i sprawdza wiadomości na sekretarce?

- Martwił się o mnie - powiedziała cicho, jakby słowa wypowiedziane na głos w magiczny sposób stawały się prawdą. - Chciał pozostać ze mną w kontakcie.

W momencie wyciągnięcia wody z kufelki ustało. Laurel z napięciem oczekiwała Cruza. Kiedy nie pokazywał się przez dłuższą chwilę, zrozumiała, że poszedł się ubrać do swojego pokoju.

Wolno podeszła do szafy i wydobyla swoją skórzaną walizkę, przypominającą tornister. Otworzyła ją i wyciągnęła pudełko z „cennymi rzeczami”. Szybko przejrzała wszystkie paczuski. W drugim rzędzie, przy samym końcu, znalazła to, czego najbardziej się obawiała, choć gorzej się modliła, żeby było inaczej. Przez dłuższą chwilę Laurel stała i patrzyła na dowód winy ojca. To obciążało go bardziej niż wszystkie rzekome akta razem wzięte.

Wreszcie pozbierała się i zmusiła do umycia i ubrania. Usiłowała nie myśleć, jak bardzo jest zdesperowany, skoro tak bezdusznie wykorzystał własną córkę. Nadal wykorzystywał.

Chwytała walizkę i na bosaka wyszła z pokoju.

Tak jak podejrzewała, znalazła Cruza w pokoju dziennym, który stanowił odcinek w Karroo. Jasna, bawełniana koszula, rozpięta do pasa, odsłaniała usztywnione ubrania. Lekkie płócienne spodnie leżały na nim, jak ulał.

Przez otwarte okno wpadał do środka pusty wiatr, wypełniając ciszą, upiornym, boleśnym zawrotem. Laurel obawiała się, że jeśli zbyt długo będzie się wsłuchiwała, zacznie zawodzić z wiatrem w gorzkim duecie.

Nawet jeśli Cruz zorientował się, że przyszła, nie dał tego po sobie poznać. Leżał bez ruchu na skórzanej kanapie, nasłuchiwał lamentów wiatru i obserwował rozproszone po całej pustyni światło. Jego twarz zdradzała surowość i chłód. Tuż obok, na stoliku, leżał pistolet i zestaw do czyszczenia broni. Pistolet był czysty, ciemny i zabójczy jak jego własne cielisce.

Cruz odwrócił głowę. Z jego oczu, w których czaił się gniew, nie dało się nic wyczytać. Przebiegł nimi po Laurel, jakby były dłońmi. Kiedy spostrzegł walizkę, oczy mu się zwiły.

- Wyjeżdżasz bez pościgu? - spytał łagodnie.

Laurel poznała go na tyle dobrze, by nie nabierać się na spokojny ton. Wiedziała, że jest wściekły.

Spojrzała na pustynię za oknem. Wołała jej surowe, niezmiernie krajobrazy od bólu, złości i chłodu, które znalazła w jego oczach. Za bardzo przypominały jej własne.

- Jesteś mi do ręki - powiedziała. - Nie róbmy z igły widelca.

- Naprawdę tak czujesz? - zapytał nerwowo.

- W tej chwili są ważniejsze rzeczy od mojego samopoczucia.

Spojrzała na pistolet leżący w zasięgu jego ręki.

- Ty masz zadanie do wykonania, a ja życie do przeżycia - powiedziała z goryczą. - Zróbmy, co do nas należy.
Cruz zerwał się z kanapy szybkim, sprawnym ruchem i zaczął iść w jej stronę. Laurel nie ruszyła się z miejsca, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Kiedy był już tak blisko, ona czuła ciepło jego ciała, zatrzymał się. Wolno wyciągnął rękę, żeby pogłodził jej policzek.

W ostatniej chwili Laurel zmusiła się, by odwrócić się od niego.

- Laurel - powiedział chropowatym głosem. - Kochanie, tak mi przykro.

Laurel pokręciła głową, bo nie mogła zaufać swojemu głosowi.

- Nie przeszkadzam? - zapytała Cassandra Redpath.

Pani ambasador stała w drzwiach. Wyglądała na delikatną i stanowczo zbyt inteligentną kobietę.

- Owszem - szybko i szorstko odpowiedział Cruz.

- Nie - odparła równie szybko Laurel, głosem zduszonym od tłumionych emocji.

- Cholera - burknął pod nosem Cruz.

Nadal nie patrzyła mu w oczy.

- Właśnie nie porównywali my, kto co chowa w zanadrze - powiedziała Laurel, zmuszając się do posępnego uśmiechu. - Cruz ma niezłą kolekcję różnych sztuczek. Ja nie okazałam się aż tak pomysłowa. Wszystko co mam, to garstka ładnych kamyczków.

Mówiąc to, Laurel usiadła na krześle. Bała się, że jeżeli zajmie miejsce na kanapie, Cruz usiedzie obok niej. Wolała się trzymać od niego z daleka. Nie może jej zmuszać do wybierania między sobą a ojcem. To niemożliwe.

Nie ufałaby żadnemu z nich. Nie kochałaby żadnego. Nie mogłaby wybrać jednego z nich.

- Wejść, Cassandro - powiedział chłodno Cruz. - Przyłóż się do nas. I nie zapomnij o strychninie.

Po tych słowach odwrócił się i po raz pierwszy spojrzął na Cassandrę. Poczł nagły przypływ adrenaliny.

- Co się stało? - zapytał.

- Walker ma jakieś towarzystwo w Cambrii.

Słyszysz nazwę rodzinnego miasteczka, Laurel zsunęła się na brzeg krzesła.

- Kto to jest Walker? - spytała.

- Jeden z naszych najlepszych ludzi - powiedziała Redpath. - Cruz zadzwonił do niego z San Francisco po waszym wyjściu i kazał mu pilnować twojego domu.

Laurel była wzburzona.

- Dlaczego?

- Pomyślałem, że mógł wrócić - powiedział Cruz. - Ilu?

- Co najmniej trzech - odparła Cassandra.

Skórzana walizka grzmotnęła o blat stołu, jakby Laurel nie miała siły dłużej trzymać jej w rękach.

- Fachowcy - powiedziała Cassandra. - Walker potrzebował dwóch godzin, żeby ich wymacać.

- Co... - Laurel odblokowała struny głosowe - ...oni tam robili?

- Leżeli ukryci w krzakach i czekali na twój powrót.

Laurel rozchyliła wargi, lecz z poblądłych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

- Dzisiaj wczoraj rano, kiedy stało się jasne, że nie wrócisz, włamali się i przeszukali dom.

Palce Cruza napięły się, jakby miały ochotę zacisnąć się na czymś, na przykład na s

- Narobili bałaganu, ale nie znaleźli tego, czego szukali - powiedziała Cassandra.

- Skąd wiesz? - spytał Cruz.

- Przewrócili do góry nogami całą pokój, całą szafkę i szufladę. Gdyby coś znaleźli, jakie rzeczy pozostałyby nie tknęły.

Laurel jej knęła zrozpaczona. Miała złowieszcze poczucie pewności, że wie, czego szukali.

- Co zrobił Walker? - spytał Cruz, wbiegł na sam mój łóżko w domu Laurel.

- Nic.

- Dlaczego, do cholery?!

- To był mój rozkaz. Teraz dyskretnie ledzi tych facetów. Chce się przekonać, czy można na ich zidentyfikować albo ustalić, z kim mają powiązania.

- No i? - spytał Cruz.

Redpath wzruszyła ramionami.

- Jak na razie wie tyle, co ty. To może być niemiłe bezwzględnie. Sierant-major rozgląda się teraz po Karroo, żeby sprawdzić, czy nie mamy go ci.

- Powiedz tylko słowo, już ja ich unieszkodliwię - powiedział Cruz głosem, w którym pobrzmiwała obietnica brutalnej przemocy.

Paznokcie Laurel wbijały się w skórzaną walizkę, a zrobiły się zupełnie białe.

- Zapamiętam to - powiedziała z przekąsem Cassandra.

- Kim oni są, czy Walker wie? - spytał Cruz.

- Możliwe, że policjantami.

Cruz odchrząknął.

- Ranulph tego nie zgodził się z tą teorią - powiedziała Cassandra. - Mogłoby być z prywatnej firmy, takiej jak nasza. Ale ja myślę, że Walker się ze mną zgadza, że ci ludzie są wspólnikami Swanna.

- Wiąca oni naprawdę nie zrezygnowali - powiedziała Laurel.

- A czego się spodziewała? - zapytał Cruz z niedowierzaniem. - Przecież parę dni temu byli zdecydowani ci zamordować!

- Jak to możliwe, że to jajo warte jest takiego ryzyka? - zapytała Laurel - Przecież z tego, co powiedziała pani ambasador, wynika, że może być fałszywe!

- Laurel - powiedział Cruz przez zaciśnięte zęby. - Są ludzie, którzy zabiją za worek gówna albo dla samej przyjemności zabijania. Pieniądze to tylko pretekst.

Laurel zaczęła otwierać na olep swój walizeczkę.

- Bardzo możliwe, że faktyczna wartość jaja jest dużo większa, niż się wydaje.

- Czy tak twierdzi Nowikow? - spytał nerwowo Cruz.

- Aleksy nie powiedział nic, co ułatwiłoby nam zadanie. Teraz wydzwaniamy co dwie godziny z zegarkiem w rękę, ale cały czas odgrywa niewinną ofiarę.

- Chciałbym mu wskubać wszystkie włosy z jaj, pod warunkiem, że się tam nie goli.

- Ty i sierant-major macie identyczne odruchy w pewnych sytuacjach - skomentowała Cassandra. - Obaj za bardzo lubicie przemoc.

- Nie lubimy jej - bronił się Cruz. - Ale posługujemy się nią, ponieważ jest znaczną

„poprosz”.

Laurel syknęła gwałtownie, kiedy zadrapała się o jedną ze sprzączek przy walizeczce.

Cruz odwrócił się w stronę, skąd dobiegł dźwięk. Kobieta, która jeszcze ostatniej nocy okazała się kochanką jego marzeń, teraz czuje do niego i do tego czym się zajmuje tak wielki niechłystek, a nawet nie patrzy mu już w oczy.

- Czy przemoc jest tak strasznie ci mierna, nawet gdy jest jedynym sposobem na uratowanie cię? - zapytał impulsywnie. - Szczerze mówiąc, kobieta, która szybko prowadzi i mierzy z broni, która mogłaby odstrzelić całą głowę, docenia zalety odpowiednio użytej siły.

- To nie...

- Musisz się z tym pogodzić. Inaczej zginiesz. Nie żyjemy w słodkim, miłym świecie - cięgnął Cruz, nie dopuszczając jej do głosu - a ja jestem już cholernie zmęczony wkurzaniem się przez idealistki, które nie mają odwagi ponieść konsekwencji błędnej oceny sytuacji.

Zapadła cisza. Laurel patrzyła na walizki i na swoje zaczerwienione dłonie. Jej twarz najpierw pobladła, potem gwałtownie poczerwieniała.

- Cruz - powiedziała Cassandra - posiadasz typowy dla niektórych mężczyzn niezwykły i rzadki talent mówienia niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym momencie.

- Nie - powiedziała Laurel. - Niech powie, co ma do powiedzenia. Przez cię robił rzeczy, których większość ludzi by się nie podjęła, bo albo się za wrażliwi, albo zbyt nieśmiało. I tylko Bóg wie, jak cenę za to płaci. Podobnie jak mój ojciec.

Przez długi czas w pokoju panowało milczenie, tylko pustynny wiatr cienko zawodził pośród kamiennych murów Karroo.

W końcu Laurel spojrzała Cruzowi w oczy. Mrok jej oczu przypominał mu, jak wyglądało jego życie, zanim ona się zjawiała i od nowa nauczyła go miłości.

On uczył ją tylko cierpienia.

- Laurel - szepnął Cruz, podchodząc do niej. - Kochana, nie chciałem cię zranić.

Laurel stała zjedną ręką opartą na biodrze i patrzyła na Cruza.

- Najwyższa pora, abym uzbroiła się w grubszy pancerz.

Stanął, podniósł rękę i dotknął jej policzka.

- Nie - wzdrygnęła się Laurel. - Nie teraz, kiedy zamierzam go zdradzić.

Zanim Cruz zdążył coś powiedzieć, Laurel zwróciła się do Cassandry.

- Wiem, gdzie ojciec chce się ze mną spotkać - powiedziała. - Zabiorę was tam.

- Nie - powiedział Cruz. - To zbyt niebezpieczne. Powiedz mi gdzie, a sama zaczekaj tutaj.

- Wykluczone - odparła spokojnie i zdecydowanie.

Patrzcie mu w oczy, nie dodała już ani słowa. Nie musiała. Kiedy patrzcie na nią, wiedziałby, że nie zmieni zdania.

- Cassandro - rzekł nerwowo Cruz - powiedz jej, jakie to niebezpieczne.

- Nie wysyłaj się. Nie zmieni zdania - oświadczyła Laurel, nie odrywając oczu od Cruza. - Byłam już z tobą w Cambrii, pamiętasz?

- A to, że omal nie zginęła, pamiętasz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Pamiętam. Ale ty uratowałaś mi życie.

- I znowu masz zamiar się narażać?

- Tak.

- Dlaczego? - spytał Cruz.

- żeby go zobaczyć. Musz wiedzieć, czy jest zrozpaczony, czy po prostu... zły.

- Nawet nie masz pewno ci, że on się tam pojawi. Do diabła, to może być pułapka!

- On tam będzie.

- Dlaczego jesteś taka pewna? - zapytał ze złości Cruz. - Swann też wie, że to może być pułapka na niego.

Dlaczegoś dzisz, żeby się z tobą spotkać, narazi się na niebezpieczeństwo.

- Mam coś, co on chciałby mieć... i to bardzo.

Laurel wyciągnęła rękę. Na jej dłoni leżał ogromny, czerwony kamień. Iskrzył się, jakby zasilano go jakieś kosmiczne źródło energii.

- Co to jest? - spytała Redpath.

- Kamień z Rubinowej Niespodzianki - powiedziała Laurel zwyczajnie. - Właśnie nie znalazłam go w walizce w ród moich kamieni.

25

Popołudniowe światło słoneczne miało barwę nasyconego pomarańcza, zagłuszonego smogiem i słonym powietrzem. Kiedy Claire Toth wysiadła tylnymi drzwiami z limuzyny Hudsona, przywitał ją huk pioruna. Przeciagała się leniwie, by ukryć niepokój, skierowała wzrok na zimny, niebieski Pacyfik.

Potężne bałwany wywołane przez sztorm tysiące mil stąd, przewracały się i rozbijały o brzeg wyludnionej plaży. Grzywiaste fale poruszały się z nieokiełznaną siłą, która fascynowała Claire i jednocześnie ją przerażała. W przeciwieństwie do mężczyzn, ocean nie uległby żadnej, nawet najbardziej godnej podania kobiecie.

- Ładna plaża - powiedziała do kierowcy. - A gdzie podzieli się turyści?

- Pan Hudson nie chce tu żadnych turystów - powiedział Bill Cahill. Mówi, że zapaskudzi mu piasek.

Cahill nie był zadowolony z obecnego zajęcia. Jako zawodowy ochroniarz i specjalista do spraw bezpieczeństwa, pełnił rolę szofera i chłopca na posyłki. A przez ostatnie dwa dni Hudson ganiał go jak skożonego frajera, który najął się do pracy za minimum socjalne.

- Ile piasku do niego należy? - spytała Toth.

- Pół kilometra w każdą stronę.

- Kilometr frontonu Malibu Beach - powiedziała miłośnikowi Toth. - Ziemia tak droga, że sprzedaje się ją na centymetry. Tysiące dolarów za każdy centymetr. Jak czuje się Hudson tu przyjeżdżając?

- Do czuj się. Go ci tu swoje kobiety - powiedział Cahill, drażniąc Toth. - To jedno z wielu jego miłosnych gniazdek.

Toth roześmiała się i oblizwała wargi.

- On naprawdę jest starym, napalonym draniem, czy nie?

- Prawdziwy satyr. Utrzymuje stadko tresowanych kurewek, tak jak inni trzymają stadko koni szkolonych do gry w polo.

Czarne oczy spojrzały z ukosa na Cahilla. Na oko miał około pięćdziesiątki, trzymał się całkiem nieźle, choć czuł już na karku zimny oddech starości.

- Zazdro cisz mu? - spytała gardłowym głosem.

Cahill obrzucił j chłodnym spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem.

- Przestałem od momentu, kiedy zobaczyłem przez co musi przechodzi , eby zachowa sprawno - odparł Cahill. - T dy, panno Toth.

Dom na pla y był zimny i urz dzony z prostot . Od frontu znajdował si tradycyjny japo ski ogród. Masywne drewniane drzwi z mosi nymi okuciami otworzyły si .

Drewno, glazura, kamienie, przytłumione wiatło... Toth czuła si , jakby wchodziła do wi tyni. Pot ne drzwi zamkn ły si za ni cicho, tłumi c huk oceanu. Powietrze w rodku było chłodne i nieruchome.

- Prosz i na dół - powiedział Cahill, pokazuj c palcem kierunek. - Tam sk d dochodzi hałas. Hudson spodziewa si pani.

Owym hałasem okazała si jaka muzyka nurtu new age, dobiegaj ca z odległego ko ca wykafelkowanego korytarza. Nie patrz c na Cahilla, Toth ruszyła w stron ródła muzyki.

W ko cu dotarła do solarium, gdzie rozebrany Hudson le ał na brzuchu na wykonanym z chromu i mi ciutkiej jak masło skóry łożu do masażu. Silna kobieta o prostych czarnych włosach spi tych w kok pracowała fachowo nad napi tymi mi niami karku Hudsona.

Chromowany stojak na kółkach, który byłby na miejscu raczej w szpitalu, stał koło łoża niczym wartownik. Worek krystalicznego, ótego płynu zwiisał z ramienia stojaka. Plastikowa przezroczysta rurka biegła prosto do cewnika w prawej nodze Hudsona.

- Wejd - powiedział Hudson, nie podnosz c głowy. - Wybacz mi, e ci tak przyjmuj , ale ostatnie dni były raczej m cz ce. Kolejne zapowiadaj si podobnie. Drobną odnową biologiczną wydaje si wskazana.

Toth weszła do pokoju nieco spi ta. Pod wpływem popołudniowego słońca wilgotne nadmorskie powietrze w solarium stawało si nieprzyjemnie gor ce. Patrzyła z obrzydzeniem na woreczek ótego płynu i rurk prowadz c do igły w nodze Hudsona. Igły przywoływały zbyt du o wspomnie o ubóstwie, gwałtach i narkotykach.

- Czy...e cz sto to robisz? - spytała, patrz c na fachowo wprowadzony cewnik.

- Raz w miesi cu - powiedział przytłumionym głosem spowodowanym pozycją , w której si znajdował. - Mo na poddawa si kuracji cz cieją, nie ponosz c ryzyka, ale wtedy jest mniej skuteczna. Staram si gospodarowa lekiem do oszcz dnie.

- Co jest w tym worku? - zapytała. - Wygl da jak szczyny.

Hudson podniósł głow i popatrzył na ni wzrokiem, w którym kryła si niemal ojcowska tolerancja.

- To jaka długa, rumu ska nazwa, której nie da si wymówi - poinformował j . - Nie ma odpowiednika w angielskim, bo nikt jeszcze nie syntetyzował specyfiku tutaj.

- Co to jest, małpie gruczoły?

- Drogie dziecko - powiedział Hudson, miej c si . - Czy ty bezkrytycznie wierzysz w słowo pisane?

Toth tak e si roze miała, czuj c si swobodnie w towarzystwie Hudsona. Kiedy na ni patrzył, mogła wyczyta w jego oczach mieszanie po dania i uznania.

- Wierz tylko w ciekawe historie - powiedziała.

- Jak na przykład te o wiecznej młodo ci?

- Na to jestem jeszcze za młoda.

To było kłamstwo, ale Toth z yła si z kłamstwem. Radziła z nim sobie równie dob

- Pewnego dnia spojrzysz w lustro i przekonasz się, że twoje cycki znajdują się już w pół drogi do pępka, a wspaniale poładki nieuchronnie cięgną w stronę kolan.

Toth uśmiechnęła się i pogładziła po ładki ze znakiem zapytania w oczach.

- Wtedy pójdziesz pod noż jakiegoś uśmiechniętego chirurga - cięgnął Hudson. - Zrobi ci kilka zakładów, wygładzi zmarszczki, podetnie tu i tam, potem pozszywa. Tobie zostaną blizny. Po pewnym czasie twoje cycki i tyłek znów przywidną.

Hudson z powrotem opuścił głowę, ale nie spuszczał oczu z Toth i opowiadał, jak będzie później jej życie.

- Po kilku latach wrócisz pod noż - powiedział spokojnie - a potem znowu, i jeszcze raz, a w końcu sama zaczniesz się w tym gubić. Do tego czasu będziesz miała plamy na skórze, która stanie się cienka jak papier i tyle zabiegów naciągających za sobą, że kozia bródka przesunie ci się pod sam pępek. Nie znajdziesz wiecznej młodości dzięki skalpelowi przekonanego o swoim talencie chirurga. To tylko przysporzy ci blizn, które skryją się w ród zmarszczek.

Toth przeszył dreszcz. Podobnie jak ocean, starość była jedną z niewielu rzeczy, które przerażały ją, nie budząc seksualnego podniecenia. W walce ze starością nie ma zwycięzców. Człowiek po prostu staje się zniechęcony, brzydki, a potem umiera.

- Czy właśnie to cię spotkało, staruszkę? - spytała bezlitośnie. - Blizny i zmarszczki?

Hudson uśmiechnął się.

- Podejdź bliżej i sama zobacz - zachęcił ją.

Niepewnie stawiane kroki Toth upewniły Hudsona, że prawidłowo przewidział jej reakcję na widok jego nagiego ciała, zdanego na łaski rurek i igieł. To typowa reakcja zdrowego, młodego zwierzęcia.

Ale nikt nie był zdrowy i młody w nieskończoność.

Toth podeszła tak blisko, że znalazła się w zasięgu ręki Hudsona.

- Nie krępuj się - zachęcił ją, patrząc w jej bystre oczy. - Dotknij mnie. Jestem prawdziwy.

Toth wolno pogładziła ciało Hudsona od ramion po kolana. Było wspaniałe. Mocne, elastyczne, z muskulaturą godną czterdziestoletniego mężczyzny i wytrzymało ci seksualnie nastolatka. Sama się o tym przekonała w samolocie, kiedy głaskała jego krocze i szantażowała go szeptem.

- To co teraz podziwiasz, to efekt zmieszania sterydów, anaboliików i czegoś, co nazywa się prednisteran - powiedział Hudson.

- Jak to działa? - spytała zafascynowana, chociaż wszystko, co wiła się z medycyną, zawsze ją przerażało.

Tym razem wiedziała, że Hudson ma rację. Któregoś dnia straci jedyną broń, która teraz otwiera przed nią wszystkie serca, umysły i drzwi. Pewnego dnia może nie patrzeć na nią, będą widzieli starość kobiet, a nie kawałki gorzej dupeczki.

- To rodek, który hamuje hormon wzrostu, odpowiedzialny również za proces starzenia się - wyjaśnił Hudson. Rumuni odkryli go przypadkiem, prowadząc badania nad cudownym rodnikiem na potrzeby medycyny sportowej. Szukali leku, który opóźniłby proces dojrzewania u młodych gimnastyczek. Tymczasem natknęli się na ród Młodości.

- Tylko nie wyszło im z siwymi włosami, co? - powiedziała Toth, mierzwiąc palcami jego czuprynę.

- Moje włosy są siwe z wyboru. Rozjaśniam je. Dzięki temu mam przewagę nad ludźmi, którym się zdaje, że siwe włosy noszą tylko trzęsące się, zgrzybiali głupcy.

- Ile to trwało? - zapytała Toth.

- eby pierwsze efekty kuracji stały się widoczne?

- Tak.

- Bardzo szybko. To nieprawdopodobne doznanie, kiedy obserwujesz, jak twoje ciało staje się coraz młodsze. Najzabawniejsze były niekontrolowane wytryski w czasie snu.

Toth roze miała się i puściła jego włosy.

Z uśmiechem na twarzy Hudson położył głowę na łóżku. Masażystka zanurzała palce w tkance mięsniowej jego ramion. Kiedy rozmawiali, jej twarz nie wyrażała niczego.

- Kim jest ta kobieta? - spytała Toth. - Jedną z twoich brzydszych kurewek?

Toth wydawało się, że zarejestrowała cię emocjami w nieruchomych, przeciwnych oczach kobiety. Jednak błysk znikł w ułamku sekundy.

- Jest członkiem rumuńskich służb specjalnych. Jej zadaniem jest dawkowanie leku i obserwacja rezultatów. Maczuwa nad tym, bym nie stymulował nadmiernie organizmu. Nie martw się, nie zna angielskiego.

- Jak ci się wydaje, ile poci gniesz na tej mazi? Jeszcze ze dwadzieścia lat? - zapytała Toth.

- Spokojnie - oznajmił Hudson. - Bądź najbardziej zdumiewaj cym stulatkiem, jakiego ujrzy ten świat. Spodziewam się, że zachowam sprawną i wigor tak długo, że osobi cie pochowam mojego pierwородnego i jedyne go syna.

- Zabrzmiało to tak, jakby nie mógł się doczekać - stwierdziła Toth.

- To nic nie warty sukinkot. Cierpi na obsesję samobójczą, którą podsyca narkotykami i alkoholem.

Rumunka zorientowała się, że woreczek z płynem jest pusty. Zręcznie wyjął rurkę i cewnik i zdezynfekowała je kóówki spirytusem. Potem zaczęła delikatnie masować mięśnie nóg i ud.

Przez jakiś czas Hudson milczał. Po chwili jednak odchrząknął nerwowo i wsparł się na łokciach. Pielgniarka pokiwała głowę na dowód, że rozumiała skargę. Tym razem masowała z większą siłą.

- Prednisteran może być bardzo piekący, jeżeli nie rozejdziesz się dobrze po układzie kręgowym. To jedyna wada kuracji - uwiadomił Hudson Toth.

- Tylko tyle. Trochę pieczenia?

- To niezbyt wygórowana cena za fizyczną, seksualną i umysłową długowieczność, nie uważasz?

- Tak, słonko. Amen.

Toth znów przejechała dłonią po ciele Hudsona, jakby kupowała jakieś zwierzę i chciała upewnić się, czy jest zdrowe.

- Chciałaby spróbować? - spytał Hudson, odwracając głowę w jej stronę. - Pierwszy zabieg jest najprzyjemniejszym i najradośniejszym doznaniem, jakie może na sobie wyobrazić.

Toth zabrała rękę.

- To uzależnienie.

- Tak jak i sama młodość.

Toth odwróciła się bez słowa i zaczęła krążyć po gorącym, parnym solarium, oglądając sprzęt i medyczne akcesoria, które leżały na wierzchu.

Hudson patrzył na nią ze skrywanym rozbawieniem. Już wcześniej nie przewidział jej początkowej reakcji. Trudno osobie w kwiecie wieku, cieszącej się doskonałym zdrowiem, zrozumieć, na czym

młodo ci.

Trzeba da jej par lat. Kiedy po raz pierwszy odkryje czar si w ciele podatno na starzenie i brzydot , wróci do niego na kolanach i b dzie błagała, eby podzielił si z ni cho odrobin cudownego specyfiku.

- Po co dzwoniła ? - spytał łagodnie Hudson? - Masz jajo?

- Ci gle nad tym pracuj . A co z pieni dzmi?

- Ci gle nad tym pracuj - odpowiedział ironicznie.

Toth uniosła butelk z lekarstwem i zmarszczyła brwi na widok napisów w obcym j zyku na etykietce.

- Lepiej si pospiesz - powiedziała wyra nie. - Nie jeste ju jedynym oferentem. Poprzedni wła ciciel skontaktował si ze mn .

Hudson przeci gn ł si i usiadł na łó ku. Zwolnił masa ystk jednym spojrzeniem. Zawahała si , jakby nie zrozumiała. Wtedy Hudson kiwn ł głow w stron drzwi.

Kobieta wyszła. Jej wyprostowane, kwadratowe ramiona sprawiały, e wygl dała jak ołnierz podczas parady.

- My lałam, e ona nie rozumie angielskiego - powiedziała zło liwie Toth.

- Jestem bardzo ostro nym człowiekiem.

Hudson opu cił nogi z łó ka, wstał i si gn ł po biały szlafrok przewieszony przez oparcie krzesła. Nago nie kr powała go w najmniejszym stopniu. Jego penis był zaskakuj co du y i dumny, nawet w zwisie.

Ten widok stanowił dla Toth najbardziej przekonuj cy dowód na skuteczno kuracji, ni wszystko co do tej pory widziała czy usłyszała.

- Nowikow ci ciga? - spytał Hudson, zawi zuj c szlafrok na szczupłych biodrach. - On nie jest gro ny.

- To dzi ki niemu udało mi si zgromadzi materiały do szanta owania ci . Nie wiedziały o tym?

- Domy lałem si . Teraz wiem na pewno - powiedział Hudson z chłodn satysfakcj .

Wzi ł kryształow szklank z tacy na stole. W kryształowej karafce od kompletu znajdowała si woda mineralna. Napełnił szklank i napił si .

- Jedynym widocznym skutkiem ubocznym leku jest pragnienie - powiedział z roztargnieniem. - Na dzie lub dwa wysusza człowieka na wiór.

Kiedy wypił do dna, odstawił ci k szklank i odwrócił si do Toth. Nadał trzymała w dłoni butelk z medykamentem, jakby nie mogła si z ni rozsta .

- To nadzwyczajna rzecz - stwierdził. - Działa na ka dego, w ka dym wieku. Pozostałaby taka młoda i pon tna jak teraz, nie nara aj c si na upokorzenia podeszłego wieku i kłopoty ze zdrowiem.

Jeszcze raz Toth usiłowała odczyta co z etykiety na butelce. Wychodził z tego kompletny bełkot.

- To wszystko za spraw jednego eliksiru? - powiedziała cynicznie. - Kogo ty chcesz nabra , słoneczko? Gdyby lekarzom udało si dokona takiego odkrycia, dawno słyszałabym co o tym. Tak jak ka da osoba po trzydziestce.

Hudson nalał sobie kolejn szklank wody i spojrzał na ni pod sło ce, zachwycaj c si klarowno ci płynu.

- Ludzi, którzy stworzyli t mikstur , nie interesowały pieni dze ani sława - poinformował j Hudson. - Mieli szlachetniejsze plany, bardziej dalekosi ne pomysły, wy sze idee. Smutne, e przeszli do historii, zanim zd yli wcieli w ycie swoje wizje.

- Co si stało?

- To co zwykle w takich przypadkach. Zgin li z r k współpracowników.

- Szkoda - powiedziała Toth bez współczucia. - Czy to nie oznacza, e twoje zapasy

- Jedno z laboratoriów Hudson International pracuje nad syntetyzowaniem leku - powiedział Hudson.

- Ile to potrwa, zanim co uzyskasz?

- Nie znalazłem jeszcze właściwej osoby do obsługi programu. Kiedy mi się uda, wszystko pójdzie jak z płatka. Na razie mam więcej, niż mi potrzeba.

- Szczepiarz z ciebie.

- Szczepie nie ma nic do tego.

Hudson opróżnił drugą szklankę wody, zanim znowu zwrócił się do Toth.

- Mam do specyfiku, by sprezentować dar młodo ci jeszcze jednej osobie - powiedział. - Uważasz, że powinienem to rozważyć?

Toth chciała odwrócić wzrok od oczu Hudsona, ale nie mogła. Co dziwnie nieodpartego kryło się w widoku starczych oczu osadzonych w twarzy człowieka, który miał fiuta jak nastoletni atleta.

- Kiedy po raz ostatni ktoś kochał się z tobą przez całą noc? - zapytał Hudson.

- Wtedy, kiedy ten ktoś wtarł sobie kokainę w kutasa.

- Ja nie potrzebuję kokainy. A ty nie musisz obawiać się żadnego z tych chorób, które roznoszą narkomani i przypadkowi koledzy poznani na ulicy.

Toth za nią się cierpko.

- Oni wszyscy mówią to samo, kochanie.

- Wszystkie dziewczyny, z którymi utrzymuję kontakty, poddawane są szczegółowym badaniom krwi. Moje nasienie uzyskało wysokie noty, wspinała się ruchliwie i żywotnie.

- Genialny staruszek. Następnym razem, kiedy będziesz miała ochotę na całonocny seks, zadzwoni do ciebie.

- Miałem nadzieję, że czegoś nie można dokonać w ciągu jednej nocy - odparł spokojnie Hudson. - To zabrałoby ci znacznie więcej czasu.

Toth chciała powiedzieć coś nonszalanckiego, ale gdy spojrzała Hudsonowi w oczy, słowa uwiły jej w gardle.

- Uważam cię za podniecającą kobietę - powiedział. - Ale to można powiedzieć o wielu. Możesz zaoferować mi coś więcej niż tylko swój niewdzięcznie utalentowany tyłek.

Znowu próbowała odwrócić wzrok, ale i tym razem jej nie wyszło. Strach i podniecenie kotłowały się w jej głowie, pchając ją w stronę Hudsona.

- Wykorzystała swoją pozycję oraz koneksje w Rosji do stworzenia solidnych podstaw - ciągnął rzeczowo. - Biorąc pod uwagę twoje pochodzenie, to niezwykle osiągnęła.

- Harowałam na to jak wół.

- Większość ludzi haruje jak woły. Ale udaje im się zaledwie zapłacić podatki i upić się od czasu do czasu. Tylko nieliczni osiągnęli więcej.

Dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach. Wiele razy sama powtarzała te słowa, ale nigdy przy Hudsonie. Musiał przeprowadzić bardzo dokładny wywiad na jej temat.

- Większość twoich dokonań sugeruje raczej zachowania instynktowne, nie intelektualne - powiedział. - Mimo to wyczuwam w tobie wielki wrodzony talent do manipulowania ludźmi. Jesteś całkowicie pozbawiona uczuć.

- Nie są to rzeczy, jakie chciałaby usłyszeć dziewczyna - powiedziała Toth z wymuszonym uśmiechem. - Ani zmysłowe, ani kobiece.

- Nie pieprz bzdur - powiedział zwiłkle Hudson. - Najpotężniejszymi kobietami w

robi u ytek ze wszystkich swoich talentów, a nie tylko tych, na które społecze stwo pozwalało dobrze wycho-
wanym panienom.

Hudson w milczeniu podszedł do Toth płynnym, pełnym wdzi ku krokiem, który sprawił, e zastanowiła si , jak
by to było uprawia seks z w em. Kiedy chwycił j za ramiona, ar i siła jego dłoni zaskoczyły Clair.

- Potrzebujesz mentora - stwierdził Hudson. - Kogo , kto poka e ci, jak wspi si na kolejne szczeble na
drabinie władzy. Takiej władzy, która wpływa na globalne wydarzenia. Kiedy ju osi gniesz ten poziom, w ko cu
poczujesz si bezpieczna, ale nie wcze niej.

Przez długi moment uwa nie si obserwowali.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytała.

- Chc , eby za mnie wyszła, oczywi cie na pewnych okre lonych, aczkolwiek hojnych warunkach. A potem
chc , eby mi dała dziecko, mówi c dokładniej, syna.

Toth otworzyła usta, ale nie wydobyło si z nich ani jedno słowo.

- Je eli wyniki bada twojej krwi oka si złe, zapłodnienie odb dzie si sztucz n drog . Je eli płód byłby
genetycznie uszkodzony albo miał niewła ciw płe , zostanie usuni ty i zaczniemy od pocz tku.

- Bo e, ty mówisz zupełnie powa nie - powiedziała Toth, wreszcie łapi c oddech.

- Naturalnie. Od pierwszego momentu, w którym stanie si to mo liwe, nasz syn przejdzie na kuracj , która
uczyniła ze mn takie cuda - kontynuował Hudson. - Stanie si najinteligentniejszym i najbardziej ywotnym
przedstawicielem swojego pokolenia. Pod moj opiek i z moim zapleczem finansowym, a z twoim wrodzonym
powabem i sprytem, nasz syn b dzie wspaniałym kandydatem na najpot niejszego człowieka w dziejach wiata.

- Kompletnie ci odbiło.

Hudson za miał si .

- Idziesz na łatwizn . Sta ci na co bardziej błyskotliwego, kochanie.

- A jak masz zamiar rozwi za problem rasy? Przecie jestem kolorowa.

- To fantastycznie. Masz w sobie krew Azjatów i kaukaskich górali. Z przewag tej ostatniej, o ile mo na wierzy
moim wywiadowcom.

- Na samym szczycie niech tnie patrzy si na mieszan krew - powiedziała bez ogródek. - Mo esz mi wierzy .

- Wierz . Ale teraz ty uwierz w to, co powiem. W nadchodz cych dekadach nast pi przemieszanie ras, kultur i
narodowo ci, na skal , jakiej wiat jeszcze nie widział. To dzieje si ju teraz, kiedy tu rozmawiamy. To niepoaha-
mowany i nieodwracalny proces natury politycznej, seksualnej i społecznej. - Hudson u miechn ł si . - Wkrótce
oka e si , e jest to nieuniknione i zacznie by postrzegane jako bardzo pozytywne zjawisko.

- Nie za mojego ycia.

- Nie za twojego obecnego ycia - przyznał Hudson. - Ale je eli wyjdiesz za mnie, otrzymasz w prezencie
lubnym długowieczno , o jakiej na razie nikt nie mo e marzy . Nasz syn b dzie ył jeszcze dłu ej. B dzie mógł
czerpa korzy ci z posiadania mieszanych rodziców, jakie nawet nie przychodz nam do głowy.

Toth skrzy owała ramiona na piersiach, dygocz c na całym ciele. Oblizła wargi, ale nie miało to nic wspólnego
z jej zwykłym zmysłowym gestem. Usta jej wyschły z przera enia i z niejasnego przecucia, jakiego nigdy
przedtem nie doznała.

Wydawało jej si , e wie ju wszystko, e wszystkiego spróbowała, e nie mo e ju oczekiwa niczego prócz
coraz wi ksze go ryzyka w zamian za coraz wi ksze korzy ci, a do dnia, w którym

zgin .

Propozycja Hudsona wszystko zmieniała.

- Jeste cholernie dobrym negocjatorem - powiedziała w końcu. - Masz do rozumu, żeby mnie nie obmacywa i nie pieprzyć kliwych dyrdymałów o miłość ci.

miech Hudsona był taki sam jak jego oczy: starczy i lodowaty.

- Ci spośród nas, którzy są inteligentni, pozbywają się bagaży emocjonalnego, jak tylko wyrosną z pieluch. Zostawmy miłość głupcom. My będziemy ich kontrolować, podobnie jak resztę świata.

Toth czuła, że jej reakcja na wulgarny szczerość Hudsona, nie może być równa się z niczym, czego doznawała do tej pory z innymi mężczyznami. Był przez to prawie piękny, cudownie pozbawiony skrupułów. Wykorzystałby ją bez zastanowienia. Wiedziała o tym.

Ale nie zniszczyłby jej. Zamiast tego nauczyłby ją wielu rzeczy: byłby dla niej ojcem, mentorem i kochankiem w jednej osobie. Gdyby z nim została, zawsze balansowałaby na linie, nigdy nie miałaby pewności, czy nie jest pod jego kontrolą. Jej życie byłoby na przemian przerażające i ekscytujące. Jednym słowem, mogłaby wypełnić życie w jedyny sposób, jaki miał dla niej znaczenie.

- Podejrzewam, że Rubinowa Niespodzianka nie ma nic wspólnego z tą nagłą ciążą zapłodnioną mną.

- Oczywiście, że ma. Bez jaja interesowałaby mnie znacznie mniej.

- O ile mniej?

- To cacko ma zasadnicze znaczenie dla przyszłości ci, którą możemy wspólnie zbudować. Jest ostatecznym i niezbędnym elementem potrzebnym do stworzenia międzynarodowej siatki agentów i użytecznych głupców, którzy będą na naszych usługach.

Patrzcie Toth w oczy, Hudson wbił jej palce w mięśnie ramion. Bardzo precyzyjnie ocenił próg jej wytrzymałości, zwalniając uścisk tuż przed zadaniem bólu. Potem małym palcem pogładził delikatnie wewnętrzne ramienia.

Claire z trudem złapała oddech, kiedy ogarnęła jego postać. Hudson rozumiał jej ciało tak dobrze, jak ona sama. Może nawet lepiej. Ból i rozkosz, co za wspaniałe połączenie, w którym każdy element wzmacnia drugi.

- Potraktuj ją jako posag, który wniesiesz - powiedział.

- Mogę potrzebować pomocy.

- Fizycznej czy intelektualnej?

- Fizycznej - powiedziała. - Bardzo fizycznej.

- Skorzystaj z pomocy Cahilla.

- Czy on jest dyskretny?

- Oczywiście - zapewnił Hudson.

- Na tyle, żeby powierzyć mu zakopanie ciała?

- Nie byłby to dla niego pierwszy raz. Kogo masz zamiar zamordować? Nowikowa?

- Nie. Pewnego przygodnego znajomego, którego niedawno poderwałam. To nikt ważny.

26

W oddali za szybą samochodu rozpościerało się Los Angeles jak słoneczne jezioro na tle nadchodzącej nocy. Wieczorem Laurel prowadziła równie dobrze, jak w dzień. Cruz pochwaliby ją, gdyby nie był taki wściekły.

- Daleko jeszcze? - spytał.

Z trudem tłumiał ledwie powstrzymywany gniew. W tym niezwykłym świetle zmi

chłodem.

Laurel wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, żeby zorientowała się, że nadal był na nią zły. Skoncentrowała uwagę na drodze.

- Jeszcze kilka minut - odpowiedziała.

- Wić powiedz mi, dokąd jedziemy.

Laurel zawahała się.

- I tak nie ma już czasu na zastawienie pułapki - warknął Cruz. - Cholernie żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o drugiej stronie. Ale tego wcale nie chciała, prawda? Twój ojciec ma być bezpieczny i do diabła z całą resztą.

Laurel nie odpowiedziała. Miała już dość tłumaczenia rzeczy, których sama do końca nie rozumiała. Wiedziała tylko, że nie potrafiłaby się ze wiadomością, że pozwoliła zastawić pułapkę na własnego ojca. Gdzieś głęboko w sercu wierzyła, że wszystkie złe rzeczy, które popełnił ojciec, wynikały z desperacji i rozpacz, a nie z chciwości i chłodnej kalkulacji.

Kolejna awantura z Cruzem nie poprawiłaby stosunków między nimi. Od wyjazdu z Karroo kłócili się bez przerwy. Nie zanosilo się, że cokolwiek ulegnie zmianie, zanim dotrą na miejsce. Potem tego nie wiadomo.

Cruz w ciekawość, bo Laura nie pomogła im zastawić pułapki na ojca. W tej sprawie Gillespie był nieugięty jak skała. Tylko Cassandra ją rozumiała. Nie pochwałała tego, ale przynajmniej rozumiała.

Kiedy Cruz poruszył się zniecierpliwiony, światło odbiło się od telefonu komórkowego i błysnęło jej w oczy. Cały czas trwało połączenie z Risk Limited, i tak miało pozostać, dopóki Cruz nie poda im docelowego miejsca.

Laurel właśnie czyła migacz. Kiedy skręcili, Cruz odezwał się do słuchawki:

- Jedziemy w stronę Dohney, drogę prowadzącą do Hollywood Hills.

- Czy już ci powiedziała, dokąd jedziecie? - spytał szorstko Gillespie.

- Słyszałaś to samo, co ja.

- Pieprzysz, synku, z tym zdobywaniem zaufania równo schrząniłeś.

- Nie powiedziałyście nic odkrywczego.

- Chcę z nią pogadać - powiedział Gillespie.

Cruz podał Laurel telefon.

- Sierant-major chciałby szepnąć ci kilka czułych słówek - powiedział ironicznie.

- Może pójdź, dziękuję.

Cruz chciał przekazać mu jej słowa.

- Może e...

- Słyszałem - przerwał mu ostro.

W samochodzie panowała cisza, przerywana zdawkowymi informacjami Cruza, które rzucał do telefonu. Samochód skręcił w Benedict Canyon Road. W końcu Laurel skierowała się w stronę małej, przybrzeżnej doliny.

Po obu stronach ulicy stały wille w nowoczesnym stylu. Wszystkie otynkowane na biało, z przyciemnianymi szybami w oknach. Dominowała bardzo prosta architektura. Do niedawna był tu plac budowy. Ziemia w tej okolicy była bardzo droga.

Przy końcu ulicy znajdował się dom, który wyglądał, jakby pochodził z innej epoki i reprezentował inny styl życia. LAMPY zainstalowane na zewnątrz, które zapalały się po zmroku, pełniły rolę

miał niejednorodny, za to wyróżniał go styl. Był doskonale wkomponowany w otoczenie. W porównaniu z nim pozostałe domy wyglądały tandetnie.

Laurel skręciła na podjazd starego domu.

- Zaparkuj na ulicy - rozkazał Cruz.

- Ale...

- Zrób to!

Zaciśnięta zębami wykonała polecenie. Kiedy sięgnęła po kluczyki, Cruz złapał ją za rękę i uniemożliwił zgaszenie silnika.

- Zostaw go na chodzie - powiedział.

Szybko odczytał adres i podał go sierżantowi-majorowi Gillespiemu.

- Zrozumiałem - powiedział Gillespie.

- Nie zapominaj, że w okolicy może być tylko Cruz, w przeciwnym razie nie zadzwoni do ojca - powiedziała Laurel, wyraźnie artykułując każde słowo.

W odpowiedzi Gillespie odłożył słuchawkę.

- Dlaczego siedzisz, że nie ma go tutaj. Może jest w drodze i czeka, a zadzwonisz na pager? - spytał Cruz.

- Zawsze parkuje pod tym platanem - powiedziała Laurel, wskazując palcem miejsce.

- Zawsze? A jak często tu bywał?

- Ten dom należał do mamy, zanim stał się moim własnym.

- Sądziłem, że twoi rodzice się rozwiedli.

- Owszem. Ale to niewiele zmieniło. Tata zawsze miał komplet kluczy do tego domu, chociaż mama wykupiła go dopiero po rozwodzie.

Cruz obrzucił wzrokiem najbliższe okolice, aby sprawdzić, czy nic się nie porusza. Niczego nie zauważył. Dom usytuowany był na skalnym podłożu nad niewielkim kanionem. Platany o ogromnych, aksamitnych liściach i niszczących się korze zacięniały bok porośla.

- „Wasze miejsce”? - spytał Cruz, przypominając sobie wiadomość, którą Swann zostawił córce.

- Tak - wyszeptała Laurel. - Wyjątkowo ulubione. W moich wspomnieniach... Nie mogła tu mieszkać. Za blisko miasta.

Cruz czuł to samo, ale powiedział tylko:

- Wykręć tak, aby stała przodem do drogi i zostaw włączony silnik.

Podczas gdy Laurel manewrowała wozem, Cruz sięgnął na tylne siedzenie po aluminiową walizeczkę. Otworzył ją, wyjął pistolet, kilkoma sprawnymi ruchami sprawdził magazynek i włożył broń do kabury, umocowanej w okolicach krzyża. Dodatkowy magazynek przytwierdził do paska.

Czarne buty, czarne spodnie, czarna jak węgiel koszula, grafitowa wiatrówka, czarny pistolet, czarna kamizelka kuloodporna pod spodem.

Cruz wyglądał jak postać naszkicowana w gładkim. Niebezpiecznym mężczyzną polującym na niebezpiecznych ofiarach.

„Załóż czarny gorset. Spodziewa się kogoś”.

Laurel stłumiła mimowolny dreszcz. Robiła co mogła, aby uniknąć tej chwili, ale nie zdołała; jej ojciec i kochanek polują na siebie nawzajem.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział szorstko Cruz. - Nie strzel do tego su

zagwarantowane dla ciebie szanse na przeżycie niej. Ale nie martwisz się tym specjalnie, prawda? Uważasz, że wykorzystałem cię tylko po to, żeby mi go wystawiła. Pewnie sama nacisnęłaby spust, celując do mnie?

Ciało Laurel przeszło ból.

- Nie mów tak - powiedziała łamiącym się głosem. - O Boże, nie mów tak! Mylisz, że łatwo mi czekać tu i patrzeć, który z was oberwie, wiedząc, że to moja wina?

- Twoja wina jak cholera! To nie ty pomagałaś tatusiowi, kiedy dokonywał pewnych wyborów. Ani ja.

- To jeszcze nie powód, abym go zdradziła - powiedziała ostro.

- Nie zdradzasz nikogo oprócz nas. Spotkało nas coś cholernie wyjątkowego, a ty przekreślasz wszystko dla faceta, którego nigdy nie obchodziłaś nawet na tyle, żeby spędzić z tobą trochę czasu!

- Nie! To wcale nie tak!

Cruz milczał.

- Mój Boże, Cruz. Czy ty nic nie rozumiesz? Jesteś niesamowicie szybki, silny, piekielnie niebezpieczny. Widziałam cię w akcji w Cambrii. Mój ojciec nie ma z tobą żadnych szans!

- Gówno prawda, on...

- W Cambrii nikogo nie zabiłaś, choć łatwo ci mogło to zrobić - powiedziała Laurel, nie dopuszczając do głosu. - Ufam, że nie zastrzelisz dzielnego ojca. To, co zrobił, jest złe, ale nie zasługuje na śmierć!

Nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy, spojrzał na Laurel. Utwierdził się w przekonaniu, że dziewczyna mu nie wierzy w każde słowo, które właśnie wypowiedziała.

- To ty nic nie rozumiesz. Jesteś kompletnie załepiona - powiedział stanowczym tonem. Twój ojciec nie jest jak niezdarna fajtłapa, która nie potrafiłaby znaleźć własnego tyłka, żeby się podrapać. To doskonale wyszkolony snajper, łowca głów, morderca, drapieżnik, jakim ja nigdy nie byłem i nie będę. Nie potrafiłbym. On nie strzela, żeby zranić. Strzela, żeby zabić.

- Ale to ty jesteś szybki jak błyskawica - szepnęła Laurel - Widziałam cię!

- Wielka szkoda, że nie widziałaś tatusia w akcji. Wielu zginęło, zastanawiasz się, co się stało, bo nie zdążyli się zorientować.

Nerwowym ruchem ręki odpiął pas i złapał za klamkę.

- Cruz! - szepnęła Laurel. Gardło ciskało się jej do bólu, ręce szukały miejsca, żeby się oprzeć. - To nie tak. Jeśli coś ci się nie uda, nie będziesz mogła z tym żyć. Kocham cię.

Cruz odwrócił się i zobaczył łzy połyskujące na dręczonych ustach Laurel.

- Nie musisz kłamać, kochanie. Powiedziałem ci, że nie zabij twojego ojca. Mówiłem poważnie.

Niespodziewanie Cruz zrobił to, czego surowo sobie zabraniał. Nachylił się i pocałował Laurel. Całował tak długo, a oprócz smaku łez, poczuł również smak potu. Potem pocałował ją tak delikatnie, jakby była ulotnym snem, który zaraz może się skończyć.

- Obojcie coś się wydarzy - powiedział, obsypując jej twarz pocałunkami - pamiętaj, że to nie twoja wina. - Wierz mi, kochanie, że jesteś jedyną niewinną wśród nas.

Otworzył drzwi i wymknął się z samochodu, zanim Laurel odzyskała głos i mogła coś odpowiedzieć. Telefon komórkowy leżał na siedzeniu. Czarny plastik połyskiwał cieplej niż oczo Cruza.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedział cichym głosem.

- Ale...

- adnego „ale” - przerwał jej tonem nie znoś cym sprzeciwu. - Daj mi słowo.

Laurel patrzyła na niego wstrząsnięta. Zastanawiała się, gdzie znikł ten czuły kochanek sprzed kilku sekund.

- Posłuchaj mnie - powiedział tym samym cichym, dobitnym tonem. - To co czujesz, jest wbrew wszelkim zasadom dotyczącym klientów i zawodowej obowiąźności. Ale teraz znaleźliśmy się tu razem, bo nie zgodziła się, żeby zamiast mnie towarzyszył ci Gillespie. A ja w końcu machnąłem na to ręką.

Laurel czekała. Wszystkie nerwy miała tak napięte, że cała zeszytywniała.

- Nie jest jeszcze za późno, abym zmienił zdanie - powiedział Cruz. - Wiacie, jeśli coś zrobisz, nie traktuj tego jak jakiejś gry. Nie kłó się ze mną, nie daj wyjechać. Po prostu zrób to. Jeśli nie możesz mi tego obiecać, natychmiast wycofam się ze sprawy.

Nie mogła uwolnić się od impulsu, który kazał jej sprzeciwić się, zadawać pytania, żeby uzyskać jak najwięcej informacji. Kiedy jednak spojrzała na Cruza, zrozumiała, że pierwsze pytanie, będzie jednocześnie nie ostatnim. Odszedłby, wezwał Gillespiego i nawet nie obejrzałby się za siebie.

Wzięła głębioki oddech i pokiwała głową.

- Co mam robić? - spytała zbolonym głosem.

- Jeśli zobaczysz, że ktoś się tu zbliża - poinstruował ją Cruz - wcisnij „send” na telefonie i odjedź tak szybko, jak potrafisz. Gillespie powie ci, co masz dalej robić.

- A ty?

- Dwie opony samochodu będzie dla mnie dostatecznym ostrzeżeniem. Zrozumiała?

Laurel pokiwała głową. Wiedziała, że jeśli coś powie, głos jej się załamie.

Cruz bardzo delikatnie zamknął drzwi samochodu i rozejrzał się dookoła. W żadnym z otwartych domów nie drgnęła ani jedna zasłonka. Nie otworzyły się żadne drzwi i nie zaszczekał żaden pies.

Ze swobodą człowieka, który doskonale zżył się z ciemnością, Cruz przemykał miejscami na podjeździe, do których nie docierało światło latarni. Kiedy wyciągnął pistolet, zarepetował go i odbezpieczył, dało się słyszeć najcichsze z pszyknień. Miękkie buty nie wydawały żadnego dźwięku.

Kiedy Cruz dotarł do miejsca, w którym Swann podobno zwykle parkował swój wóz, dotknął palcem czarnej smugi na betonie. Potarł palcem o kciuk i poczuł, że to coś ma leśną konsystencję.

Olej silnikowy, na tyle wiejący, że jeszcze nie zaszchł. Plama może mieć najwyżej jeden dzień. Piekielnie kalifornijskie słońce bardzo szybko zmieniłoby parę kropli oleju w lepką smołę.

Z błyskawiczną sprawnością Cruz obszedł parking dookoła, szukając ładów, które wiadczyłyby, że ktoś przed nim robił tu rekonesans. Przy jednym z klombów w okolicy patio znalazł kilka ładów, które mogłyby odciskami stóp. W każdym razie niczego nie dowodziły. Najwyraźniej pracował tu jakiś ogrodnik.

Przez moment Cruz stał ukryty w krzakach hibiskusa i wsłuchiwał się w naturalne odgłosy. Leniwy wiaterek szeleścił imi platanów. Gdzieś w krzakach piewał przedrzeźniacz. Jakby w odpowiedzi na jego zaczepki, w ciemności rozległo się smutne, płaczliwe nawoływanie samotnej gołębicy.

Bezgło nie Cruz zrobił duży krok nad klombem i przedostał się na betonowe patio. W lewej ręce trzymał klucze, które Laurel bardzo niechętnie oddała mu jeszcze w Karroo. Drugi klucz był od tylnych drzwi.

Ruszył cicho małym wskim chodniczkiem z patio w stronę tylnego wejścia. Klucz przekręcił się bez oporu. Stojąc z boku, Cruz otworzył drzwi, pchnął je jednym palcem do otwarcia i odczekał chwilę.

adnego dźwięku czy ruchu.

Odczekał jeszcze minut i w liź si do rodka. Przy ka dych drzwiach, w korytarzu zachowywał si identycznie: nieruchomiał, nasłuchiwał i szedł dalej. Obszedł w ten sposób cały dom i przekonał si , e nikogo w nim nie ma. Dopiero wtedy zabezpieczył bro , zapalił wiatła i wyszedł do Laurel, by powiedzie , e teren jest czysty.

Kiedy go zobaczyła, zgasila silnik, wybiegła z samochodu i przera ona przywarła do niego na dług chwil . U cisa j mocno jedn r k , ale ani na moment nie przestał przeczesywa wzrokiem okolicy. Druga r ka cały czas spoczywała na pistolecie za plecami.

Delikatnie odsun ł od siebie Laurel. Si gn ł na tylne siedzenie, wyj ł jej skórzana walizeczka oraz swojej aluminiowej skrzyni z broni .

- Chod . B d ci osłaniał. Zabierz to wszystko. Wiem, e to nie po d entelme sku, ale musz mie wolne r ce.

- S dziłam, e jest bezpiecznie - powiedziała ochryplym głosem.

- Nie ma go tu teraz, ale był wcz e niej.

- Sk d wiesz?

- Znalazłem wie y olej z silnika pod platanem;

- Mo e to był kto inny - powiedziała Laurel.

- Na prywatnym podje dzie przy ko cu lepej ulicy? Mało prawdopodobne.

Laurel w milczeniu szła do domu przed Cruzem. Wszedł za ni do rodka, zamkn ł drzwi na klucz i wzi ł od niej swój бага .

- Czy oprócz twojego ojca kto jeszcze ma klucze? - zapytał. - Sprz taczka, ochrona, czy kto tam jeszcze?

- Nie.

Laurel poszła za nim do salonu.

- To rozstrzyga spraw , twój ojciec tu był.

- Znalazłe plamy z oleju silnikowego na podłodze w kuchni? - spytała uszczypliwie, ale jej złote oczy wyra nie zmatowiały.

- Powietrze w domu jest wie e, jakby kto tu wietrzył. Na stole le y dzisiejsza gazeta. Nie masz tu adnego alarmu, prawda?

- Nie. - Laurel odwróciła si od Cruza, nie mog c znie obco ci w jego oczach, głosie i gestach. - Nie sp dzam tu zbyt wiele czasu. Miasto mnie dra ni.

- Laurel.

Odwróciła si do niego i zobaczyła, e czeka z telefonem w r ku.

Modl c si w duchu, by okazało si , e robi słuszn rzec, wybrała numer pagera Swanna i podała numer domowy jako zwrotny.

- Ile to zwykle trwa? - spytał Cruz, kiedy si rozł czyła.

- Zazwyczaj oddzwania w ci gu godziny.

- Je eli tym razem nie oddzwoni w ci gu godziny, ile to mo e potrwa ?

- Wiadomo zachowuje si przez dziesi dni. Mama była ju pochowana, kiedy si odezwał.

Cruz odchrz kn ł.

- Nic dziwnego, e nie ufasz m czyznom.

- Tobie ufam.

- Uważasz, że jestem lepszym zabójcą od twojego starego - odrzekł Cruz. - Dzięki za takie zaufanie

- Nie powiedziałam tego!

- Jasne. Oczywiście.

- O co ci naprawdę chodzi? - zapytała przez ciemne gardło.

- O to, że pod wieloma względami przypominam Jamiego Swanna.

- Ale skąd.

- Posłuchaj. On i ja przestaliśmy być przykładowymi gliniarzami. Obaj zaliczyliśmy już najtrudniejsze lekcje, jakiegoś dostaje policjant.

- O czym ty mówisz?

- O tym jak łatwo złamać prawo i przełiznąć się na drugą stronę - powiedział gorzko Cruz. - Dowiadujesz się o tym, tylko w bagnie, gdzie kłamstwa stają się jedyną prawdą, gdzie przemoc stanowi najszybszą drogę do pokoju, gdzie moralność jest tak mętna i płynna jak Missisipi.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś taki sam jak mój ojciec?

- Chcę powiedzieć, że mógłbym taki być.

- Nie.

- Tak szybko i z taką pewnością? Czy zastanowiła się co by było, gdyby się pomyliła?

- Dlaczego się ze mną drańsz? - zapytała.

- Ja?

- Tak - odrzekła. - Podobnie jak ja, doskonale wiesz, na czym polega różnica między paradoksem a brakiem moralności. Wiesz, czym różni się kłamstwo, którym tuszuje się tragiczną prawdę, od wyrachowanego łgarstwa stosowanego dla zysku. To różnica między uczciwością a zbrodnią.

Przez dłuższą chwilę Cruz wpatrywał się w nieruchome, bursztynowe oczy Laurel.

- Masz więcej wiary we mnie niż ja sam - stwierdził.

- Jak kiedyś słusznie zauważyła, przejrzałam cię na wylot.

Cruz zamknął oczy, ale nadal widział tylko Laurel. Próbował coś powiedzieć, lecz nie potrafił wydobyć z siebie żadnych słów poza tymi, które nie powinny paść.

- Cruz?

Jego imię wypowiedziane przez Laurel wywołało dreszcz emocji.

- Rozejrzyj się wokół domu - powiedział szorstko.

Chociaż nic nie odpowiedziała, wiedział, że jego obcesowo ją zraniła.

- Jesteś bliżej teraz do mnie - powiedział - bardziej cię całował tak długo, a oboje zapomnimy gdzie jesteście, kim jesteście i po co tu jesteście. W tych okolicznościach byłaby to najgłupsza rzecz, jaką zrobiłbym w całym swoim życiu.

- Cruz - szepnęła Laurel, wychyliła się do niego ręką.

- Nie - powiedział i zrobił krok do tyłu. - To nie może się powtórzyć, kochanie. Jestem niewłaściwym facetem, na niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Aby cię chronić, bardziej musiałbym robić rzeczy, przez które mnie znienawidzisz. Nie utrudniaj mi zadań, które i tak jest ci ciężko do udźwignięcia.

Przez długą chwilę Laurel przypatrywała się Cruzowi. Nieznajomy, kochanek, ochroniarz... a teraz jeszcze wywiadowca.

Laurel poczuła, że włosy zjeły jej się na karku. Dokonała wyboru i oto oglądała jego konsekwencje. Cruz wymykał jej się z ręk. Fragmenty otaczających ją cieni zlewały się we wszechogarniającą ciemność. Nie dał się odwieść od tego, co musi zrobić, by ją ochronić, ani grobami, ani pieszczotami, ani niczym innym.

Laurel zamknęła oczy i zadrżała. Objęła się rękami.

- Nigdy ci nie znienawidzę - powiedziała dobitnie.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Otworzyła oczy i przekonała się, że jest sama.

Cruz wymknął się w ciemną noc, nie wydając najdrobniejszego dźwięku, który by zdradził jego odejście.

27

Laurel, znużona, podeszła do skórzanej walizki, którą przywiozła z Cambrii. Wyjęła z niej cyrkiel kalibrowy, małe kłopoty elektroniczne, rubin oraz laptopa. Przysiadła na krześle, ustawiła wagę na pobliskim stoliku i dokładnie zważyła kamień.

Słabe światło z górnej lampy utrudniało jej odczytanie cyferek z małego wyświetlacza. Zapaliła nocną lampkę na stoliku. Przez pryzmat szklanego klosza przeszło światło arówki. W tej samej chwili fragmenty tarczy rozbiegły się kaskadą po stole, rękach Laurel i krześle. Wszędzie skrzył się kolor.

Laurel początkowo nie zauważyła niemego piękna, które światło lampy powołało do życia. Nie spostrzegła też Cruza stojącego w drzwiach i przyglądającego jej z taką uwagą, że prawie można było ją poczuć. Nigdy jeszcze nie widział nic równie pięknego jak pochłonięta pracą Laurel pośród setek roztańczonych tęcz.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, aby do niej nie podejść, nie przytulić jej i nie pocałować. Tak bardzo pragnął poczuć to, co jakś dziwnie wymyka mu się z ręk.

„Kocham cię”.

Słowa Laurel cały czas go przeładowały. Cruz nigdy nie był naprawdę zakochany. Nie bardzo nawet wiedział, co to jest miłość, jak się ją czuje, ile trwa. Zawsze był tak bardzo pochłonięty pracą, że nie starczało mu czasu na wiadczenie innym silnych uczuć. Za bardzo uzależnił się od adrenaliny, narkotyku, któremu wieszko gliniarzy oddawała się w posiadanie na własne życzenie.

A jednak Laurel zdołała jakimś cudem wdrzeć się w ciemne zakamarki jego duszy. Potrafiła patrzeć na niego bez żadnych wewnętrznych oporów, poruszyła go i rozbudziła w nim całą gamę uczuć, których intensywność wprawiała go w osłupienie, a zarazem szalenie pocięgała. Odczuwał chęć zaopiekowania się nią, czuł, że namiętność, a nawet swego rodzaju lęk. Laurel była wrażliwsza i czulsza, a jednocześnie nie silniejsza od wszystkich kobiet, które spotkał w swoim życiu.

Jak ten skurwiol mógł narazić ją na takie niebezpieczeństwo - myślał. Wściekał się w duchu. Choćby szukał całej nocy, nie znajdzie drugiej takiej dziewczyny. I teraz przez Swannę ją straci. Jeśli by tylko miał szczęście, to tylko po jej ukochanego tatusia na resztę życia do więzienia. Jeśli szczęście mi nie dopisze, bydlę musiał zabić ojca, aby chronić córkę. Wówczas Laurel nawet nie byłaby chciała pamiętać, co mi dziś powiedziała.

Przekonanie, że ją traci, przeładowało go w myślach. Zanim ją spotkał, był sam, ale nie samotny. Ale jeżeli teraz zniknie z jego życia...

Cruz wyparł tę myśl z głowy. Myślenie o tym byłoby mu przeszkadzało w tym, co niezależnie od wszystkiego musi być zrobione. Lepiej, aby Laurel przeżyła, choćby miała go potem nienawidzić, niż miałaby zginąć tylko dlatego, że on zawahał się w chwili, kiedy powinien strzelić.

Tak samo cicho jak przyszedł, wycofał się, zostawiając ją samą, pogrobną w feerii tęczowych barw. Przeszedł wokół domu, jeszcze raz wszystko sprawdzając wprawnym okiem ochroniarza.

Sam dom był stosunkowo łatwy do obrony. Miał proste kształty, niezbyt wymyślony rozkład wnętrza, co oznaczało, że z pokoju do pokoju można łatwo otworzyć drzwi. Otwarty podjazd nie zachęcał do ataku w tym miejscu. Jaskrawe oświetlenie drzwi frontowych wykluczało prawdopodobieństwo, że ktoś bydzie próbował zakraść się z tej strony. Tyle z dobrych wieści.

Za to krzaczasty stok za domem nie gwarantował bezpieczeństwa. Roślinność stanowiła łatwe kryjówki dla zbliżających się napastników. Nie zauważeni mogli podejść pod tylne wejście. Cruz wielokrotnie obszedł granice posesji, potem stał w milczeniu, nasłuchiwał i zastanawiał się, jak on próbowałby przedostać się niepostrzeżenie do domu.

To cholernie proste, za proste. Nic łatwiejszego. Przeprowadziłbym dziesięciu ludzi i tańczył na patio, zanim ktokolwiek by się zorientował. Chociaż nieśmiało, Swann zjawił się w towarzystwie. Nawet jeśli nikogo nie podejrzewa, to wiadomo, że Laurel powinna zachwiać jego zaufanie do kumpli.

Cruz wrócił do domu. Nabierał coraz większej pewności, że niewyrządzone siady przy klombie musiały zostać zrobione przez Swanna. Musiał obejść te same miejsca, zastanawiając się nad tymi samymi rzeczami, do podobnych wniosków: należało podejść od tyłu, bez ostrzeżenia, samemu, bo wtedy nie trzeba się odwracać do nikogo plecami.

Swann, nie zmuszaj mnie, abym cię zabił, myślał ponuro. Co prawda zasługujesz na śmierć, choć by dlatego, że naraziłeś życie Laurel dla kawałka kamienia, ale nie chcę stać się twoim katem.

Cruz nie miał zamiaru wrócić w to samo miejsce przy drzwiach i znów wpatrywał się w Laurel, a jednak tam się znalazł.

Tym razem Laurel wyczuła jego obecność. Ekran laptopa był ciemny. Rubin spoczywał na jej otwartej dłoni, zbierając wokół siebie wszystkie tęczowe, tak jak magnez zbiera opiółki elaza. Laurel wyjęła z walizki papier i starannie zawinęła w niego rubin, podobnie jak wczepiała pozostające kamienie. Wsunęła papierową paczuszkę między pozostałe i odsunęła walizkę na bok.

Cruz patrzył na nią ze smutnym wyrazem twarzy i płonącymi oczyma. Przeszedł przez pokój do francuskich drzwi prowadzących na patio. Były zamknięte. Odblokował mały zamek i otworzył drzwi. Orzebiające powietrze pachnące różami i listowiem wpadło do pokoju.

Słaby powiew wieczornej bryzy skradł eukaliptusowi kilka liści, które teraz ganiały się po patio, wydając suche, szeleszczące dźwięki, jakby ktoś delikatnie szurał stopami po płytach chodnikowych.

Kiedy Cruz się odwrócił, Laurel stała tuż za nim. Patrzyła na niego swoimi złotymi oczami. Jej usta i ręce trochę drżały. Tylko tyle, by mógł dostrzec to człowiek o sokolim wzroku.

Cruz miał doskonały wzrok.

- Czy mógłbyś złamać swoje zasady do tego stopnia, aby mnie przytulił? - spytała niepewnie. - Tylko tyle. Przez moment. Czujesz się... taka samotna.

Cruz nie pamiętał momentu zbliżenia do Laurel. Pamiętał, że poczuł ciepło jej ciała przywierającego do jego klatki piersiowej, które kontrastowało z zimną bronią w kaburze koło krzyża. Objął ją lewą ręką, mocno przytulając do siebie.

Jego prawa ręka zacisnęła się na rękojeści pistoletu, kiedy nastąpiła chwila ciszy.

na patio. Niedaleko stąd rosły zdradzieckie krzaki.

- Powinna być tyle rzeczy rozwiązanych inaczej. Wybór, jakiego dokonałam, odebrał mi dużo więcej, niż się spodziewałam. Odebrał mi ciebie.

Cruz nic nie powiedział. Po prostu wypuścił ją z objęcia.

- Czas skontaktować się z Karroo - powiedział bezbarwnie, nie zdradzając żadnych emocji. - Nie stój w samym świetle, dobrze?

Z tyłu domu doleciał jakiś szałwiutki dźwięk. Mógł to być szwendający się kot.

Jednak równie dobrze mógł to być człowiek, który potrafił poruszać się jak kot.

- Cruz? - spytała Laurel niespokojnie.

Spojrzał na nią i czekał, co ma do powiedzenia.

- Kiedy ojciec zadzwoni - powiedziała - nie naciskaj go zbyt mocno. Groźby tylko wzmacniają jego upór.

Cruz nachylił się, pocałował ją gorąco i szybko. Potem szeptem wymówił jej imię, w którym zabrzmiała nuta miłości i miękkości. Laurel trzymała się go tak, jakby miała umrzeć w chwili, w której by go puściła.

- Wiem, jakim człowiekiem jest twój ojciec - powiedział. - Lepiej od ciebie.

Przez długie chwile Laurel wnikliwie przyglądała się jego twarzy, szukając śladów uczucia, które ich łączyło. Choć szukała bardzo głęboko, nie znalazła nic, prócz smutku i bólu.

Cruz odwrócił się i poszedł do kuchni. Laurel słyszała, jak rozmawiał z Karroo.

- Tak, będzie na nią czekał - powiedział Cruz - ale nie bez końca.

Laurel już szła do kuchni, żeby popatrzeć na niego. Nagle odwróciła się i zamiast do kuchni poszła na patio.

Dla nas jest już za późno, pomyślała. Jak sobie pocieliłam, tak się teraz wypię: samotnie.

Zgasiła nocną lampkę. Temperatura znikła, jakby jej tu nigdy nie było. W pokoju znów wieciało bardzo słabe wiatło, wzmacnione nieco przez oświetlenie wokół patio.

Wiatr wzdychał na dworze. Z trudem powstrzymując łzy, Laurel łowiąca, nie mogła rozplątać się w ciemności tak jak temperatura z lampy.

Czyja dłoń zacisnęła się na ustach Laurel. Czyja silna ręka chwyciła ją w płucho, przyciskając do ciała.

- Nie krzycz, Laurie. To tylko ja.

Poczuła tak wielką ulgę, że przez moment ogarnął ją kompletny bezwład.

Swann odwrócił córkę do siebie i lewą ręką uniósł jej brodę.

Laurel patrzyła na ojca. Jego twarz o surowych, zimnych rysach częściowo zakrywał cień. W rękawku, na wysokości pasa, trzymał pistolet. Lufa celowała za Laurel w kierunku domu.

- Tata? - szepnęła niepewna, prawie przestraszona.

- A kogo się, u diabła, spodziewała? Wiem tego Mikołaja?

Laurel pokręciła głową.

Jego głos brzmiał nisko i łagodnie jak głos ojca. Jednak mimo bliskości głosu czuła się, że ten człowiek może być miertelnie niebezpieczny. Nigdy dotąd nie miała wrażenia, że jest okrutny, brutalny, wręcz drapieżny.

Po raz pierwszy pojawiła się wątpliwość, dlaczego Cruz nie miał do niego za grosz zaufania. I po raz pierwszy naprawdę zaczęła się bać o życie Cruza. Zimny strach ogarnął jej duszę, kiedy dotarło do niej, co zrobiła, narzucając Cruzowi ograniczenia, które nie obowiązywały jej ojca.

W milczeniu Swann patrzył córce w oczy. Czegokolwiek w nich szukał, nie znalazł

- Ten dra naprawdę ci przekabacił, co? - spytał tym samym niskim głosem.

- Co?

- Mówi o tym gorylu, który przed chwilą ciskał się z tobą. O mało nie wlała mu do rozporoka. Laurel była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć.

Swann powoli podszedł do wiatła, nie spuszczał oka z drzwi, jakby spodziewał się, że zaraz cały oddział gliniarzy wyskoczy na patio.

- Kto to jest? - spytał Swann, idąc w stronę domu. - Ma broń?

Nie przestajcie myśleć, Laurel zagroziła mu drogą, ustawiając się na wprost lufy.

- Cruz Rowan nie jest twoim wrogiem - powiedziała ciszonym głosem. - Tato, proszę cię. Zaczekaj chwilę i wysłuchaj mnie. To nie to, co myślisz.

Swann spojrzał na Laurel, jakby patrzył na obcego człowieka, który próbuje go zastraszyć. Przez jedną upiorną chwilę Laurel myślała, że nadal będzie do niej mierzył z odbezpieczonej broni.

W końcu, bardzo powoli opuścił pistolet.

- Jezus! - powiedział, patrząc na córkę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. - Myślałem, że jestem drzejsza.

- W jakim sensie? Na tyle mądra, żeby nie wchodzić ci w drogę?

Jej słowa zaszokowały Swanna.

- Ty naprawdę kupiła te kłiwie historyjkę o miłości, prawda? - powiedział ochrypłym, pełnym pogardy głosem.

- Rowan to cwaniak. Wykorzystał cię, żeby się do mnie dostać. To najstarsza sztuczka, którą znajdziesz w każdej księce. Sam robiłem to setki razy. Wydoroślej, kochanie!

Laurel czuła, że wzbiera w niej złość, a wraz z nią ból.

- Jestem już dorosła - powiedziała cicho. - Jestem starsza, niż ci się wydaje. Ale skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy cię tu nie było.

Laurel drugi raz zaskoczyła ojca. Tym razem dostrzegła ból, gdy Swann ochłonął. Miał tak minę, jakby uderzyła go w twarz.

Natychmiast poślówowała swoich słów. Podjęła następne próby. Wiedziała tylko, że musi dotrzeć jakoś do tego brutalnego człowieka i odnaleźć w nim swojego ojca, który na pewno ją kocha.

- Cruz ciebie nie ciga, tato.

- Tak? To dlaczego przyczepił się do ciebie?

- Żeby uchronić mnie przed śmiercią - powiedziała krótko.

- Co?

- Zaraz po tym, jak dzwoniłam do ciebie z Cambrii, dwóch uzbrojonych mężczyzn włamało się do domu i próbowało mnie zastrzelić.

Swann otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Paraliżująca przerażenie na jego twarzy nie wymagało komentarza, mówiło więcej niż tysiąc słów.

- Cruz miał na sobie kamizelkę kuloodporną - powiedziała Laurel. - Dlatego oboje jeszcze żyjemy. Przewrócił mnie na podłogę, zasłonił własnym ciałem i dostał kule przeznaczone dla mnie. Potem przepędził zabójców, zanim zdążyli narobić więcej szkód.

Najróżniejsze emocje przetaczały się przez twarz Swanna: najpierw niedowierzanie

koniec furia, która się przerosła wszystkie poprzednie uczucia.

- To ta kłamliwa suka - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Kto?

Zamiast odpowiedzi, Swann zrobił głęboki wdech, próbując się jakoś pozbierać. Wyciągnął rękę i dotknął policzka córki. Jego dłoń wydawała się do niego opanowana.

- Nie miałem o tym pojęcia, Laurie - wyszeptał. - Bóg mi świadkiem, ale nic nie wiedziałem.

- Nigdy nie pomyślałam, ale wiedziałeś. Ale kim oni byli? Co się dzieje, tato?

- Nie wiem. Zajm się tym.

- Jak?

Na jego twarzy widziała smutek i zdecydowanie. Złość przydawała oczom dzikiego blasku.

- To pytanie, którego nie powinnaś zadawać, a ja nie powinienem na nie odpowiadać.

- Musz o to pytać - powiedziała Laurel. - Tylko oddajcie ją Cruzowi, może esz uporządkować ten bałagan. To jedyny sposób. On dopilnuje, żeby wróciło do Rosji.

Powoli jego twarz stawała się łagodniejsza, lecz smutek pozostał ten sam. Pokręcił przeczołgał głowę.

- To nie takie proste - powiedział. - Ją to tylko część całej sprawy. Nawet gdybym ją zwrócił, trzeba byłoby gdzieś przebrnąć przez to samo piekło.

- Z powodu policji? Cruz powiedział, że Rosjanie nie chcą oficjalnie zgłaszać kradzieży. Chcą tylko odzyskać Rubinów. Niespodzianka.

- Tak, chcę, i to jak cholera.

Uśmiech na twarzy Swanna wcale nie uspokoił Laurel. Nadal nie wiedziała, co zaraz zrobi.

- Ale Rowan ma rację - powiedział Swann. - Gliny nie stanowi problemu. Jeśli Rosjanie są bystrzy - a są - to federalnym też nie będzie zwracał tym głowy.

Swann utkwił oczy w córce. Miały ten sam kolor, co jego własne, lecz bardzo się od nich różniły. Wyglądały jak ciemne zwierciadła reprezentujące zupełnie inny świat.

- Przywiozła ze sobą walizkę? - spytał.

- Tak.

- Przynieś ją i wróć do domu. Za pięć minut mnie tu nie będzie.

- Czy nie prościej byłoby przynieść sam rubin? - spytała chłodno.

Jego spojrzenie znieruchomiało.

- Do diabła, Laurel. Nie miała go znaleźć.

- Wiele rzeczy nie miało się wydarzyć, a mimo to stało się inaczej.

- Kto jeszcze wie o kamieniu? - zapytał,

- Cruz i jego szefowa, Cassandra Redpath.

- Czy domyśliła się, co to jest?

Laurel wpatrywała się w ojca.

- To ten rubin, prawda? - spytała Laurel. - Ale co z nim jest nie tak.

Niezadowolony Swann patrzył na córkę, próbując odgadnąć, ile wie. Nie chciał zadawać zbyt wielu pytań. Bardzo często zdradzały tylko samo, co odpowiedzi.

- Nie tak? - powiedział Swann. - Niby co?

- Nie mogę powiedzieć nic pewnego bez przeprowadzenia szczegółowych testów, ale wygląda na fałszywy.
- To niemożliwe - stwierdził bez namysłu. - Przed rewolucją nie robili jeszcze syntetycznych kamieni.
- Mogą się mylić. Charakterystyczna masa własna odrobinę się nie zgadza. Z tym, że moja waga może być niedokładna.

- Na pewno - powiedział szybko i z przekonaniem.
- Z drugiej strony, kamień jest nienaturalnie czysty, zbyt doskonały, zbyt jednolity. Nigdy nie widziałam takiej perfekcji w żadnym naturalnym kamieniu.

- Daj temu spokój, maleńka.
Jego słowa brzmiały łagodnie, ale wyczuwało się w nich ciężkość.
- Na tym polega problem, tato. Nie jestem już twoją maleńką.
- Teraz Cruz mówi do ciebie „maleńka”, prawda? Teraz jemu jesteś wierna i niech piekło pochłonie starego?
- Gdyby nie Cruz, już bym nie żyła - powiedziała stanowczo. - Gdyby nie ty, nigdy bym się nie urodziła. Jeśli chodzi o moją lojalność, zasługujecie na nią po równo. Kocham was obu i obaj łamiecie mi serce!

Przez pewien czas panowała kompletna cisza. Potem Swann wolno wypuścił powietrze.
- Matko Boska - mruknął. - Wszystko się pochrzało.
- Co się stało, tato? Co się pochrzało? Mam prawo wiedzieć. Omal przez to nie zginęłam.
- Im więcej wiesz, tym bardziej jesteś zagrożona. Daj sobie z tym spokój. Nigdy nie powinienem być ci w to wciagał. A ten sukinyś Rowan nie powinien pogrozić ci jeszcze bardziej. Gdzie masz kamień?

Odruchowo Laurel spojrzała w stronę domu. Cruza nadal nie było w zasięgu wzroku. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Rzadko rozmawiał z Karroo dłużej niż pięć, sześć minut.

- Czy możesz przynieść kamień tak, żeby Rowan się nie dowiedział? - spytał Swann.
- Nie próbuj mnie o to.
- Przynieś go, Laurel. To jedyny sposób, żeby ci z tego wypadła.
- Nie - szepnęła.
- Nie możesz go przynieść, czy nie chcesz?
- Nie chcę - powiedziała wprost. - Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale jak na razie wypadam z gry. Jeśli nie zdecydujesz się na współpracę z Cruzem i Risk Limited, nie pomogę ci.

Swann długo patrzył na córkę. Powoli niedowierzenie zamieniało się w złość.
- Niech mnie diabli! - powiedział. - Tobie naprawdę się wydaje, że się w nim zakochała. Musi być niezłym ogierem.

Swann przemknął obok Laurel i skierował się do domu. Pistolet w jego dłoni był gotowy do strzału, a w oczach błysnęła lodowata koncentracja.

Laurel chwyciła go za ramię. Miał mięknie twarde jak elazo, napięte przez gniew i adrenalinę.
- Nie! - powiedziała ochryple. - Jeśli zrobisz jeszcze jeden krok, zacznę krzyczeć. Możesz dopadnąć Cruza z nienacka, ale jeśli zorientuje się, że nadchodzisz, nie masz żadnych szans. Jest dobry. Bardzo dobry. I nie mam na myśli wyłknięcia.
Powoli wojowniczo wyparowała z układu nerwowego Swanna. Laurel poskromiła ją tak skutecznie, jakby mierzyła do niego z broni. Kiedy uwiadomił to sobie, spojrzął na córkę innymi oczami.

- Naprawdę by to zrobiła. - Bardziej stwierdzał, niż pytał.

- Tak.

Swann znał odpowiedź, zanim ją usłyszał. Była wpisana w mowę jej ciała, zdradzało jej nerwowe zacięcie, bardzo przypominające jego własne. W końcu pokręcił głową w niechętnym uznaniu dla swej latorki.

- Prawdziwa z ciebieyleta, jak się uprzesz - skomentował. - Szkoda, że twoja matka nie miała takiej elastycznej woli.

- Naprawdę chciałby?

- Nie wtedy, kiedy się poznaliśmy. Byłem za młody, żeby docenić kobietę. Mam nadzieję, że ten drań, którego wybrała, jest wart zgrzyzoty, której ci przysporzy. Bo ja na pewno nie byłem.

- Jest pierwszym, dla którego mam ochotę zaryzykować.

Smutno się uśmiechnął, Swann pogładził jej włosy.

- Dobrze. Skoro tak ma być, to będzie. Uporządkuj ten bałagan, na ile będziesz mógł.

- Niech Cruz...

- Nie - przerwał jej. - Za pół godziny, dziecinko. Za wiele długów do spłacenia. Obiecuję, że już nigdy nie wrócisz do tego bagna, w którym się obracam, bez względu na to, jak bardzo będziesz zdesperowany.

Laurel stanęła na palcach i pocałowała go w policzek, tuż nad linią brody. On też musnął jej ustami w policzek i cofnął się. Potem odwrócił się i bezgłośnie i zniknął w ciemnościach.

- Kocham cię, choć nie wiem co! - zawołała za nim przyciszonym głosem. - Tak samo jak mama. Twoje imię było ostatnim słowem, które wypowiedziała przed śmiercią.

Z ciemności dobiegł głos Swanna.

- Kochałem ją jak nikogo, oprócz ciebie, Laurie. Zrobię dla ciebie, to samo co dla niej. Zniknę z twojego życia.

Ciemność czynny zamajaczył w ciemności, złał się z krzakami i zdematerializował ostatecznie.

Nie było już Swanna.

Dwadzieścia sekund później z cienia przy bocznej ścianie domu wyłonił się Cruz.

Laurel patrzyła na niego w osłupieniu.

- Była tutaj - powiedziała, nie wierząc własnym oczom.

- Od jakiego czasu.

- Mogła go zatrzymać.

- Nie miał jaja. Ani przy sobie, ani w samochodzie, który zaparkował przy końcu ulicy. Cholerna szkoda, że nie ma tu nikogo z Risk Limited, żeby mógł za nim pojechać.

- Nikt cię tu nie trzyma.

- Jestem twoim ochroniarzem. Nie pamiętasz już? - spytał spokojnie.

Spojrzał w stronę krzaczastego zbocza, jakby podał wzrokiem za Swannem.

- Kiedy wpadła na to, że kamień jest sztuczny? - zapytał rzeczowo Cruz.

Patrzyła na niego, próbując odzyskać opanowanie. Jednocześnie nie usiłowała zrozumieć implikacje, jakie niesło ze sobą pytanie Cruza.

- Nie wpadłam - powiedziała - a do dzisiaj. Pomyślałam, że tata mógł zostać oszukany przez fałszerzy i że to wszystko wydarzyło się bez sensu.

Wcisnął wzrok na krzaki, Cruz czekał i słuchał, upewniając się, że nie ma tam gdzieś

kamie , który musi zdobyć .

Poza odgłosami nocy, nic nie było słychać .

Cruz wsadził rękę do kieszeni i wydobyl z niej krwistoczerwony kamień , o który tak zaciekle walczył Swann.

- Twój ojciec nie dał się nabrać oszustom. Wiedział, że kamień jest sztuczny.

- Zostawiłam go w walizce - powiedziała zduszonym głosem. - Nie zaufałam mi. Bałam się , że mu go oddam, prawda?

- Nie mogłam mieć pewno ci, że nie ugniesz się pod metodami, do jakich się uciekniesz, żeby ci przekonać .

- Nigdy nie zrobiłby mi krzywdy. Nie w ten sposób.

- Teraz wiem.

Cruz nie powiedział jej, że stał w ciemności z pistoletem wycelowanym prosto w głowę Jamiego Swanna do momentu, kiedy stało się jasne, że nic jej nie grozi. Potem zrobił szybki rekonesans i znalazł samochód Swanna.

- Bo że, co za bagno - powiedziała.

Objęła rękoma ramiona, trzęsąc się z powodu szoku nadrenalinowego.

- Wszystko w tej sprawie jest bez sensu - powiedział. - Dlaczego ktoś zadałby sobie tyle trudu i pakował się w takie kłopoty dla fałszywego kamienia?

Cruz patrzył na lewą dłoń na jego dłoni kamień . Noc pozbawiła go koloru. Tylko niektóre fasety połyskiwały zimnym blaskiem w słabym świetle.

- Jeżeli to sztuczny kamień i Nowikow o tym wie - powiedział Cruz - może okazać się najbardziej wartościowym kryształem na świecie. Jeżeli tylko potrafilibyśmy zmusić ten kamień do mówienia. I o ile twój ojciec mówił prawdę . Same znaki zapytania.

- A co ty o tym sądzisz?

- Wejść do domu. Kolejny ruch należy do nich.

28

Swann starał się zapanować nad gniewem, od którego wprost kipiał, ale nie zdołał. Tylko jedna osoba wiedziała, że pojechał z jajem do domu córki. Tylko ta sama osoba wiedziała, że Risk Limited skontaktowało się z Laurel. I ta była nie osoba mogła mieć powód, żeby wysłać zamachowców, którzy mieli zlikwidować jego córkę .

Długie palce Swanna zaciskały się na kierownicy, jakby była piwnicą Clair Toth.

To kłamliwa, przebiegła dziwka! - przeklinał ją gwałtownie w duchu. Pieprzyła się ze mną w momencie, kiedy była przekonana, że moje dziecko już nie żyje. I cholernie jej się to podobało. Bo że! Podniecało ją , jak nic nigdy przedtem.

Swann wyrzucił powietrze z płuc z dużym siłą , chcąc się w ten sposób uspokoić . Na próżno, W ciągu tylu lat pracy oglądał różnych psychopatów, ale nawet na tym tle wyczyn Toth był obrzydliwie perfidny.

Stanowiła osobną , odchyłkę od normy kategorii .

Ale już niedługo. Wkrótce przydarzy jej się to samo, co spotkało wiele osób, które przewiniły się przez życie Swanna.

Zostanie z niej zimny trup.

Do dziś Swann nie czerpał przyjemności z zabijania. Było po prostu ciężką pracą, jak kłamstwa, oszustwa i całe to o liźle bagno uchodzące za cywilizację .

Dziś czuł coś nowego. Nie mógł się doczekać , kiedy zabije Claire Toth.

Zaparkował samochód jedną ulicą za hotelem „Beverly Wilshire”. Wszedł do budynku bocznym wejściem. W hotelu odbywały się różne imprezy. W miejscach ogólnie dostępnych przechadzały się wytworne kobiety w kosztownej biuterii i wieczorowych sukniach oraz panowie w smokingach z bujnymi tupecikami. Na pierwszy rzut oka Swann nie dostrzegł nic niepokojącego. Niemniej jednak spędził dziesięć minut, obserwując tłum dryfujący w okolicach głównego holu. Nikt nie wyglądał, jakby mógł stanowić dla niego zagrożenie. Coś było nie tak, nikt nie wyglądał, jakby próbował maskować fakt, że mógłby okazać się niebezpieczny.

Zadowolony Swann upewnił się, że mimo od niechcenia, że pod jego łuną marynarką nadal kryje się rękoczyn pistoletu. Potem ruszył w kierunku windy jak człowiek, który doskonale wie, dokąd idzie. Winda stała na kładkach, wypuszczając i wpuuszczając kolejnych pasażerów. Na kładkach w korytarzu kręcili się ludzie.

Postanowił od razu wyjść na własnym piętrowym, zamiast piętroń i korzystać ze schodów. Przy takim przepływie ludzi przez windę nikt go nie zapamięta.

Pokój Toth znajdował się w końcu długiego, cichego korytarza, ostatnie drzwi przed drogą ewakuacyjną. Swann stanął przed nimi na chwilę. Drzwi były dość grube, ale udało mu się wyłowić dwa głosy. Jeden kobiecy, drugi męski.

Co prawda, Swann usłyszał zaledwie kilka słów wypowiedzianych przez Damona Hudsona, kiedy spotkali się w limuzynie, to pogłos, który docierał do niego przez zamknięte drzwi, odpowiadał jego wiekowi i głosowi.

Podobnie jak okoliczności.

Wygląda na to, że Toth uknuła jakiś spisek z Hudsonem w limuzynie. To taka sztuczka: zdrada współnika, zdrada Hudsona, uwiedzenie Hudsona przez szantażystkę, co oznaczałoby, że Hudson zdradził sam siebie.

Uważaj na swoje jaja, stary przyku, bo ona ci je utnie i każe wsuwać jak orzeszki pistacjowe.

Swann cicho wsunął klucz do zamka. Zanim zdjął go przekręcił, poczuł zimną stalową kłódkę lufy, przyciśniętą do ciepłej skóry tuż za uchem.

Instynktownie znieruchomiał i zapomniał o gniewie. Po raz pierwszy, odkąd rozstał się z Laurel, zaczął przeżywać coś, czego ona nigdy nie pocieszała. Stracił panowanie nad grą na etapie, kiedy przegrana oznaczała koniec. Miał nadzieję, że Cruz Rowan potrafi lepiej od niego chronić Laurel.

- Dokończ to, co zacząłeś. Otwórz drzwi i wejdź do rodzka - powiedział za nim męski głos.

Kiedy to usłyszał Cruz spostrzegł biały koszul, bordowy krawat i ciemną marynarkę.

- Wspaniale, Bill - powiedział słodko Swann - stęknęłam ci za tobie.

- Daruj sobie, dupku. Właź do rodzka.

- Przecież nie chcesz narobić sobie kłopotów, zabijając mnie tutaj.

- Nie martw się. To nie jest kłopot.

Lufa wwiercała mu się w czaszkę. Grał na zwłok, szacując swoje szanse. Nie było tak źle. Napastnik stał bardzo blisko. Za chwilę razem, kiedy szturchał go pistoletem, broń znajdowała się w zasięgu ręki Swanna. W którym momencie Cahill będzie nieostrożny. Wtedy odbierze broń i da mu taką naukę, że do końca życia go popamięta. Ale najpierw musiał załatwić sprawę z Claire Toth.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi do hotelowego pokoju. Toth i Hudson siedzieli razem na kanapie, twarzami zwrócenymi do drzwi. Rubinowa Niespodzianka stała przed nimi na stole.

Kiedy Swann i Cahill weszli do pokoju, przypominali syjamskie bliźnięta. Toth i H

twarzach rysowało się niewielkie zainteresowanie nową sytuacją.

- Poszło jak z płatka - powiedział Cahill. - Tak się zajęłam podsłuchiowaniem, ale nie słyszałam, jak się do niego zbliżam od strony schodów.

Cahill znowu szturchnął Swanną łufą.

- Oprzyj się obiema rękami o ścianę - rozkazał. - Rozstaw nogi i nie ruszaj się.

Swann oparł dłonie o brokatowy tapet i pozwolił Cahillowi przeszukać ubranie. Cahill bez słowa zabrał Swannowi pistolet.

- Kamery w holu głównym, prawda? - zwrócił się Swann do Cahilla. - Masz kumpla w ochronie hotelowej?

Cahill zachichotał. Kiedy odebrał Swannowi broń, był bardziej odprężony.

- Dwadzieścia dwa lata temu w Dallas wspólnie uczestniczyliśmy w rozpracowaniu napadu na bank - powiedział Cahill. - Pomagamy sobie od czasu do czasu. Już myślałem, że nigdy ci się nie znudzi gapienie na kobiety w holu.

- Proszę usiąść, panie Swann - powiedział Hudson swoim dziwnym, papierowym głosem. - Miałem nadzieję, że zjawi się pan jak najszybciej. Panna

Swann spojrzał na Toth i uśmiechnął się.

Dreszcz podniecenia i strachu przebiegł jej po plecach. Zawsze zastanawiała się, jak wyglądałby teraz. Teraz wiedziała. Toth czekała na nią w dzikim spojrzeniu Jamiego Swanna.

Toth oddałaby resztki własnej duszy w zamian za szansę na seks ze Swannem po raz ostatni.

Jego uśmiech zdradzał, że dokładnie wie, o czym myślała Clair.

Cahill popchnął Swanną łufą w kierunku krzesła. Swann reagował opornie, obserwując niecierpliwie, jak Hudson i Toth oczekiwali na otwarcie jaja. Cahill zachowywał się tak, jakby zapomniał wszystko, czego uczyli go w FBI o broni i przeciwnikach.

Swann z niecierpliwości czekał na odpowiedni moment, kiedy będzie okazja, żeby wytrącić Cahillowi broń. Ale najpierw musiał przekonać Toth, że chce tylko wypisać się z gry. Musi się do tego przyłożyć. Inaczej Toth mu nie uwierzy.

- Zabawa się skończyła - powiedział Cahill. - Siadaj i zachowuj się jak cywilizowany człowiek.

Swann usiadł na krześle z oparciem, jednak pochylił się do przodu i ugiął nogi, gotowy do skoku w każdej chwili.

- Oprzyj się i odpręż - powiedział Cahill. - Radziłem sobie z takimi jak ty, nawet kiedy było ich z tuzin naraz.

Swann oparł się lekko, ale pozostawił nogi ugięte. Potem znów zaczął się powoli pochylić do przodu. Cahill albo tego nie zauważył, albo go to nie obchodziło. Schował broń do kabury i wyciągnął skórzany pałąk.

- Nie chciało mi się zaplanować, kochanie - powiedział Swann. - Wszystko albo nic, co?

- Nic takiego nie ma. Po prostu pan Hudson złożył nam bardzo hojną ofertę.

- Nie w tym.

Toth uśmiechnęła się, obliżała usta i przygryzła dolną wargę, nie spuszczając Swanną z oka.

- Ale najpierw musimy udowodnić, że jajo jest autentyczne. Trzeba je otworzyć - powiedziała ochryple Toth. - Potrafisz to zrobić, prawda?

- Jasne, skarbie - powiedział Swann - potrafi.

- Wietnie - stwierdził Hudson. - Proszę nam zademonstrować.

- Pieprz się, staruchu. Jesteś skończonym głupcem.

Hudson spojrzał na Cahilla. Ochroniarz zdzielił Swanną skórzany pałąk. Uderzył

rozci skór , ale głowa Swanna odskoczyła do tyłu.

- Tylko na tyle ci sta ? - zapytał Swann.

Cahill bujał pałk w r ku, jakby j wa ył, i patrzył na Swanna oboj tnym wzrokiem.

- Nie chciałby przekona si , na co mnie sta - powiedział rzeczowo Cahill. - Zrób tak, eby jajo pokazało nam swój sztuczk , bo inaczej b dziesz przez tydzie wypluwał z by.

Swann roze miał si w głos.

- Zało si , e byłe postrachem przedszkola.

Cahill spojrział na Hudsona.

- Mo esz wybi mi wszystkie z by - powiedział szyderczo Swann - i tak nie dostaniesz tego, co chcesz.

- Twardziel, co? - kpił Cahill. - My lisz, e ból nie zmusi ci do gadania?

- Cho by nawet podł czył mi fiuta do kabli telefonicznych i wydzwaniał cały dzie , i tak nie zrobi tego, co chcecie.

Toth zacz ła co mówi , ale Hudson przerwał jej gwałtownym ruchem r ki.

- Na czym polega problem? - spytał, patrz c na niego.

- eby si dowiedzie , b dzie ci to kosztowało sto tysi cy - odparł Swann.

- Nie b d głupi. W twoim poło eniu nie powiniene liczy , e uda ci si co wynegocjowa .

- Pomy l dobrze, staruchu. To prawda, e wła nie zostałem wyeliminowany z gry. To prawda, e nie mog w tej chwili nic na to poradzi .

Hudson pokiwał głow .

- Wi c wezm sto tysi cy papierów i spadam - powiedział Swann. - W tych okoliczno ciach to niewiele. Znacznie mniej ni łąpówka, jak musiałby zapłaci za zatuszowanie zabójstwa w hotelu „Beverly Wilshire”.

Hudson popatrzył na Toth. ale ona tylko wzruszyła ramionami.

- Zgoda - powiedział Hudson. - Panna Toth mo e wypłaci panu t sum z pieni dzy, które dzi przyniosłem. A teraz niech pan mi powie, czemu nie mo e pan zademonstrowa , jak otworzy jajo?

- Brakuje kilku elementów - odparł zwi le Swann. - Macie przed sob pi kny szkielecik.

To była prawda i dlatego mówił o tym z przekonaniem.

- Co? - Hudson rzucił piorunuj ce spojrzenie w stron Toth. - Clair powiedziała, e przyniesie pan wszystko, co jest niezb dne.

- Kłamała. - Swann u miechn ł si blade. - Przyzwyczaj si do tego. Ta dziwka kłamie nawet przez sen.

Toth obserwowała Swanna. Jej wygłodniałe czarne oczy zdradzały zarówno fakt, e w przeszło ci była jego kochank , jak i to, e w przyszło ci pragnie sta si jego katem.

- Czy kłamała z tym komputerem? - spytał Hudson.

- Za choler nie wiem - odparł Swann. - A co mówiła?

- e b dzie nam potrzebny.

- Tak.

Potrzebny był im tak e oryginalny rubin, lecz Swann nie miał zamiaru O tym wspomina . Skoro Toth nie zorientowała si , e jest podmieniony, nie chciał o tym mówi , dopóki nie widział adnej korzy ci.

- Czy mo na jako obej si bez tego komputera? - zapytał Hudson.

- Maj c odpowiednie ł cza i dobrego hackera, mo na by to zrobi . - Swann v

Nowikowa. To jego zabawka.

- W tych okolicznościach nie podejrzewam, żeby mógł być pomocny - stwierdził Hudson.

- Cóż, niektórzy ludzie nie mają za grosz poczucia humoru, prawda?

Hudson taksował swojego wina wzrokiem, jakby przeczuwał, że nie wie jeszcze wielu rzeczy.

- Czy brak komputera to jedyna przeszkoda? - spytał.

Swann tylko na niego patrzył.

Cahill nieznacznie się obrócił, jakby przygotowywał się do kolejnego uderzenia. Ruch przyciągnął wzrok Swanna. Spojrzał na ochroniarza.

- Spokojnie - powiedział Swann. Kiedy kłamał, był tak samo przekonujący, jak wtedy, gdy mówił prawdę. - Twój szef gdzieś miał całość, jak tylko uda się podłączyć do komputera.

Przez moment słychać było wyłącznie ciszę.

- Teraz rozumiesz - zakpił Swann. - Ona może udzieli odpowiedzi na wszystkie palące ci pytania. Siedzi w tym z Nowikowem po same uszy.

Hudson spojrzał na Clair, szukając potwierdzenia.

Toth długo wpatrywała się w twarz Swanna, nie wiedząc czemu czuje niepokój.

- Och, na lito boska - powiedział ostro Swann, kierując się do Claire. - Daj mi te sto kawałków i wynios się z waszego życia. Rzyga mi się chęć od tej gry.

Toth wolno obeszła stół. Z kocim wdziękiem kucnęła koło Swanna.

- Biedne małżeństwo - mruknęła. - Nie jesteś taki silny, jak myślałam.

- Kiedy byłem. Teraz się starzej.

Czule dotknęła się ręką, który zaczynał puchnąć na jego kości policzkowej.

- Byłeś najlepszy - powiedziała tak, że tylko on mógł ją usłyszeć. - Tylko ty nie musiały mnie bić, abym mogła skończyć.

- Tu popełniłem błąd. Daj mi tę forsę na odchodne i już mnie nie ma.

Badała jego oczy, żeby się przekonała, czy mówi prawdę. Znalazła jedynie zwierzęcą nienawiść. Nie miała powodu, by nie wierzyć w szczerą jego nienawiść.

Podniosła się powoli. Spojrzała na Hudsona i nieznacznie pokiwała głową.

- Teraz, Bill - rzucił wyrazie Hudson.

Cahill uderzył jeden raz. Cios trafił w tył czaszki. Cahill zamachnął się jeszcze raz, gotowy uderzyć ponownie, ale jego ofiara leciała włącznie w dół, twarzą wprost na dywan.

- Wystarczy - powiedział Hudson. - Nie chcemy go zmasakrować.

- Dlaczego nie? - spytał Cahill. - Popracuj nad nim jeszcze trochę, a potem się go pozbydź. Na pewno już nie wróci, proszę mi wierzyć.

- Nie ma takiej konieczności - uznał Hudson. - Przyprawdaj limuzynę przed wyjściem z głównego holu. Zaraz tam będziemy.

Zawiedziony Cahill odłożył pałkę i ruszył w stronę drzwi. Toth poszła za nim. Kiedy Cahill zniknął za drzwiami, przekręciła klucz.

Za jej plecami Swann zaczął odzyskiwać przytomność. Jęczał i turlał głowę z jednej strony na drugą, jakby unikał widocznych tylko dla siebie ciosów.

Toth popatrzyła na niego z fascynacją przemieszanych ze strachem. Próbował się przekręcić i dźwignąć do góry za pomoc krzesła.

- Jezu, ale z niego silny drań - mruknęła pod nosem. - Pospiesz się! - zwróciła się do Hudsona.

- Pomóć mi posadzić go na krzesło - powiedział Hudson.

Wspólnie posadzili z powrotem półprzytomnego Swanna. Bełkotał coś nieskładnie i na odepdyk dotykał boku głowy.

- Szybko, podaj szklankę - powiedział Hudson.

Toth przebiegła przez pokój do małej lodówki. Najpierw zdjęła szklankę z półki nad lodówką.

- Nalej whisky - polecił Hudson.

- On pije wódkę.

- Wszystko jedno. Daj szybko.

Toth poszperała na wieszak w lodówce i wyjęła dwie małe butelki z wódką. Szybko zdarła banderolki z akcyzów i odkręciła zakrętki, a następnie przelała zawartość butelek do szklanki. Dwie butelki wypełniły ją do połowy. Szybko wróciła do Hudsona.

Bez słowa wzięła od niej szklankę. Odwracając się plecami do Swanna, wrzucił dwie małe tabletki do przezroczystego płynu. Rozpuściły się niemal natychmiast.

Zamieszał kilka razy, nim oddał jej Toth.

- Daj mi to - powiedział.

Ciemne oczy Toth rozszerzyły się, kiedy zrozumiała, że to ona ma zamordować Swanna w obecności świadka, którego słowo w sprawie będzie znacznie bardziej wiarygodne od jej słowa.

- Nie trać teraz zimnej krwi, moja czarna gołębico - powiedział łagodnie Hudson. - Będzie wyglądało zupełnie niewinnie. Facet wypija mocnego drinka. Dostaje ataku serca i pada, raniąc się w tył głowy oraz w policzek. Umiera. Jakie to przykre i zwyczajne.

Toth przez moment patrzyła na szklankę, potem na oszołomionego, bezradnego mężczyznę, bezwładnie siedzącego na krzesle.

- Och, kochanie - mruknęła. - Moje biedne kochanie.

Uklękła koło krzesła i próbowała jedną ręką unieść głowę Swanna, drugą przytrzymała szklankę przy jego ustach.

- Moje kochane biedactwo - powiedziała łagodnym tonem. - Przykro mi, że tak cię urządzili. Nie wiedziałam, że tak się to skończy. Masz, wypij, to ci dobrze zrobi. Potem dam ci pieniądze i będziesz mógł sobie pójść.

Swann usiłował odeprchnąć szklankę, ale był zbyt słaby i dezorientowany. Toth delikatnie odsunęła jego rękę.

- No, kochanie - powiedziała czule - to ci pomoże. To tylko wódka. Trochę ci orzeźwi. Inaczej nie będziesz w stanie wyjść stąd ze swoimi pieniędzmi.

Przechyliła szklankę i trochę płynu dostało się do ust Swanna. Rozpoznał znajomy szczyptawy smak wódki i przełknął odruchowo. Toth nalęła więcej i znów połknęła.

Alkohol rzeczywiście trochę rozjął mu w głowie. Oczy Swanna powoli skoncentrowały się na przeciwległej ścianie. Potrzebował zranionej głowy i odsunął szklankę wolną ręką.

- Słodki Jeeezu! - jęknął, bełkocząc jak pijany.

Obolały, próbował zapanować na własnym ciałem. Wiedział, że coś się stało, ale

spi tej twarzy Toth.

- Dziwka. Powiniennem był ci zabić, kiedy miałem mo liwo .

Jego słowa brzmiały niewyraźnie, lecz sensownie.

- Tak - zgodziła się Toth, uśmiechając się delikatnie i muskając ustami jego śniwy policzek.

- Masz, kochasiu. Napij się jeszcze. Nie czujesz się po tym lepiej?

Jej długie palce przeczesywały włosy Swanna u nasady szyi, badając niewielki obrzęk w miejscu uderzenia.

- Naprawdę mi przykro, że tak ci urzędziła - powiedziała aksamitnym głosem.

Zdezorientowany Swann słyszał tylko czułe słowa i czuł delikatny dotyk na obolałej głowie. Wyprostował się na krześle i wziął szklankę, którą Toth cały czas próbowała mu wcisnąć. Patrzył przez chwilę na szklankę, starając się przypomnieć, skąd ją ma. Niestety, nie mógł.

Odruchowo wypił duży łyk wódki. To sprawiło, że krew uderzyła mu do głowy i znowu ją knął.

- Dziwka.

- Och, kochanie, nie bądź taki - powiedziała. - Zrobiłam to samo, co ty byś zrobił na moim miejscu.

Przymrużonymi oczami Swann spojrzał za Toth i spostrzegł Hudsona. Zmarszczył brwi, chcąc przypomnieć sobie, kto to jest i co tu robi. Strzepy pamięci powróciły.

Hudson, Toth i wielki przekrętnik.

- Nie ufaj jej, staruszkule - powiedział wyraźnie. Chciał, żeby Hudson zrozumiał każde słowo. - Utnie ci ją i każe wsuwać jak orzeszki pistacjowe.

- Nie tak szybko. W jej interesie leży, abym był jak najdłużej. To tajemnica udanego związku. Powinieneś być się tego nauczyć.

Hudson rozejmiał się. Jego suchy miech przypominał odgłos liści tańczących na patio. Swann już go kiedyś słyszał. Niedawno. Wiedział, że wiatał się z czymś bardzo ważnym. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie z czym.

Potem wolno odwrócił głowę i spojrzał Toth prosto w oczy. Z jej twarzy wyczytał mieszany ucisk: współczucia, strachu i niezdrowego podniecenia. Jak przez mgłę Swann czuł, że w głowie rozjaśnia mu się coraz bardziej, za to głębokobrze w brzuchu czuł chłód, który powoli zaczynał promieniować na jego całe, nigdy bardzo silne ciało.

- Co mi zrobiliście? - spytał.

- Nic kochanie. Dokończ drinka i dostaniesz swoje pieniądze.

Swann nie podniósł ręki, w której trzymał alkohol. Toth zerknęła niespokojnie na szklankę. Nie wypił nawet połowy. Próbowała znowu przycisnąć ją do warg Swanna.

Odepchnęła jej rękę i niepewnie popatrzył na szklankę. W głowie zaczął mu witać różnego rodzaju mo liwo ci, kiedy chłód w brzuchu zamienił się w lodowate, dojmujące zimno.

Odrzucił szklankę w bok. Płyn rozprysnął się zimnym łukiem. Próbował złapać Toth. Jego długie ręce wyglądały jak szpony pragnące zacisnąć się na szyi, ale były znacznie za krótkie. Nerwy i mięśnie zaczynały tracić podstawowe funkcje.

Toth upadła i zaczęła odsuwać się jak przerażony krab.

- Jezu! - zaskowyczała - Zrób coś.

- Już jest zrobione - powiedział Hudson spokojnie.

- Nie wypił wszystkiego!

- Najwyraźniej wypił wystarczająco dużo. Spójrz na niego.

Swann poderwał się na rozdygotane nogi i natychmiast z powrotem opadł na krzesło. Jego ciało odmawiało mu posłuszeństwa w takim samym tempie, w jakim mózg odzyskiwał trzeźwość.

- Co mi, u diabła, daliście? - zapytał.

- Radziecką miksturę - wyjął Hudson, siadając na kanapie. - Będzie wyglądało na atak serca. To bardzo prawdopodobne w przypadku takiej wielkiej kupy miśni. Trzeba było wypić do dna. Nie poczułbyś żadnego bólu. Teraz jednak w tym, czy tak będzie.

Swann przechylił się niebezpiecznie na jedną stronę.

- Có, niech mnie szlag! - szepnął, patrząc na Hudsona. - Kiedy cię zobaczyłem, przestałem się bać, że mógłbym zginić tu, na miejscu. Szczęśliwie, że nie będziesz chciał brudzić sobie ręk.

- Jestem pragmatykiem - powiedział Hudson. - Dla takiej sprawy zabiłbym nawet tuzin takich palantów jak ty.

Kiedy mówił, zaciskał rękę na jaju. Kciuk napierał ze sporą siłą. Jajo otworzyło się, ukazując połyskującą złoto-srebrną siateczkę. Ponad nią rubin iskrzył się ognistą czerwienią.

Z gardła Swanna wydobył się zduszony dźwięk, który mógłby być odgłosem nadchodzącej mierci, lecz równie dobrze demonicznym chichotem.

- Kurwa i pragmatyk - wykrztusił. - Jezu, ale z was dwa wielkie zera. Właśnie wypadliście z gry, nawet o tym nie wiecie.

- O czym ty mówisz? - Hudson dał wyjątkowo.

Swann zignorował go i zwrócił się bezpośrednio do Toth.

- Rubin... - z trudem łapał powietrze. Ale bardzo chciał ją poinformować, jak sromotnie poniosła klęskę. - Podmieniłem go. Macie podróbkę. Bubeł. Falszyfikat

Jego ciałem szarpnął ból jednocześnie z makabrycznym miechem.

Hudson uniósł jajo i rozpacz przyglądał się błyszczącemu rubinowi.

Przysunął go do lampy, aby obejrzeć pod światło.

- No i? - zapytała Toth. - Czy to rubin?

- Nie wiem. Ale znam kogoś, kto będzie wiedział.

Hudsonem targająca rosnąca pewność. Czy Swann podmienił rubin? Dla kogoś, kto współpracuje z kimś takim jak Clair Toth, trzymanie w zanadrzu jakiegoś podstępku to sprawa zdrowego rozsądku.

Hudson szybko przeszedł przez pokój i zbliżył się do siedzącego bezwładnie na krześle Swanna, złapał go ręką za włosy i uniósł jego głowę.

- Mam antidotum na truciznę - powiedział. - Powiedz mi, gdzie jest prawdziwy rubin, a będziesz żył.

- Pieprz się, stary durniu. - Ból targnął Swannem. Przechylił się na jedną stronę. Jego wzrok zawisł na Toth. - Do zobaczenia w piekle, kochanie. Jestem pewien, że tam trafisz.

Hudson obrócił się i zbliżył do Toth.

- Gdzie mógł go ukryć? Komu ufał? - spytał.

- Nikomu. Zaufanie do ludzi to głupota. Jedyną osobą, co do której nie zachował się rozsądnie, jest jego córka.

- Co masz na myśli?

- To do niej wysłał jajo.

- Gdzie ona jest? - zapytał Hudson gorczkowo.
- Teraz? Nie mam pojęcia. Ma dom w Cambrii, ale tam jej nie ma.
- A gdzie jest?
- Pracuję nad tym - powiedziała szorstko. - Ona i jej matka miały dom gdzieś w Los Angeles. Jamie czsto się tam ukrywał.
- Nie!
Swann krzyknął mimowolnie zachrypniętym głosem. Słowo, które wymówił, było prawie niezrozumiałe, ale czasami w głosie cierpienia nie dało się ukryć. Zwiesił głowę w dół.
Nogi nie miały siły dłużej go podparć. Zwalił się na podłogę, jakby ktoś jeszcze raz uderzył go pałką.
- Zaczniemy od córki - powiedział Hudson. - Cahill ma dobre układy z miejscowymi policjantami. Odnajdzie ten dom. Chodźmy. Nowikowie mogą być tam przed nami.
- Co z nim? - spytała Toth.
- Będzie martwy, zanim Cahill podstawia limuzynę.

29

W pogrońonym w ciszy domu dzwonek telefonu zabrzmiał jak eksplozja. Cruz zdjął odebrał pierwszy.
- Halo - powiedział szorstko.
Początkowo wydawało się, że ktoś się nie połowił. W słuchawce panowało milczenie. Po chwili Cruz usłyszał bardzo cichy pogłos czyjegoś ciężkiego oddechu.
- Halo - powtórzył.
W odpowiedzi usłyszał jeszcze ciszszy, zdyszany oddech. Zastanawiał się, czy przypadkiem jakiś czubek nie poszukuje taniej podniety.
- Kto to? - spytała Laurel, stojąc za jego plecami.
Pokręcił głowę.
- Halo.
Już miał odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał stłumiony dźwięk z trudem chwytanego powietrza. Wyczuł w nim zdenerwowanie i cierpienie.
- Nic nie rozumiem - powiedział Cruz.
Tym razem dźwięk był prawie zrozumiały. Cruzowi zdawało się, że usłyszał pojedynczą literę „L” wypowiedzianą głębokim, mrocznym głosem.
Rzucił Laurel szybkie spojrzenie. Patrzyła na niego z niepokojem. Wydarzenia ostatnich dni pozostawiły wokół jej pełnych ust ślad w postaci drobniutkich zmarszczek, świadczących o napięciu i bólu. Teraz usta zdawały się lekko zacięte.
- Nadal nic nie rozumiem - powiedział do słuchawki. - Masz jakieś kłopoty? Potrzebujesz pomocy?
W odpowiedzi usłyszał prawie radosny dźwięk, co jakby odchrząknęło lub jęknęło.
Nawiązał kontakt.
I bez szóstego zmysłu Cruz domyślał się, kto tak rozpaczliwie próbował coś mu powiedzieć. Tylko jeden człowiek o głębokim głosie mógł wykręcić ten numer, będąc w poważnych kłopotach. A osoba po drugiej stronie była wyraźnie skrajnie wyczerzona.
- Spokojnie, Jamie - powiedział Cruz.

Imi ojca postawiło Laurel w stan pełnej gotowości. Podeszła bliżej, ale nie próbowała wrywać Cruzowi słuchawki.

- Dodzwoniłeś się do nas - powiedział. - Mówi Cruz Rowan. Laurel jest tu ze mną bezpieczna. Co się stało, Jamie? Jesteś ranny?

- Otrę... Otrę...

Słowa urywały się, jakby Swannowi ktoś zaciskał palce na szyi i co jakiś czas je rozluźniał.

- Spróbuj jeszcze raz. Wolniej - powiedział Cruz, jednocześnie nie wyciągając telefonu komórkowego z kieszeni. - Nie rozłączaj się. Zlokalizujemy cię.

Pewny ton Cruza chyba trochę pomógł Swannowi. Z trudem chwycił głębszy oddech.

Cruz wybrał numer Risk Limited z pamięci telefonu. Odpowiedź w słuchawce była natychmiastowa. Odwrócił się i mówił przyciszonym głosem do telefonu komórkowego, trzymając słuchawkę domowego aparatu przy drugim uchu.

- Mówi John Smith Drugi. Nie koduj. Macie numer, z którego do mnie dzwoni?

- Potwierdzam.

- Zlokalizujcie go.

- Zrozumiałem - odpowiedział ktoś rzeczowo.

- Otruty - wydusił Swann do drugiego ucha Cruza.

Jego głos był wyraźniejszy, jakby próba zlokalizowania nieco go uspokoiła.

- Czy wiesz, co ci dali? - spytał Cruz.

- Nie wiem - wydukał. - Umieram. Pojechali szukać... - Tyle słów wyczerpało go.

Cruz słyszał, jak dyszał, próbując złapać oddech.

- Powoli - powiedział rzeczowo i spokojnie. - Gdzie jesteście?

- ...Laurel.

Imi córki wydarło się z piersi Swanna z ciężkim jękiem.

Nie powiedział nic więcej. Zrobił to, co musiał. Bitwa się skończyła. Laurel była na tyle bezpieczna, na ile mógł jej to zapewnić.

Cruz usłyszał ciężkie uderzenie i wiedział, że Swann upadł. Słuchawka brzęknęła i roztrzaskała się o coś twardego, o podłogę albo jakiś mebel.

Potem nastąpiła głucha cisza, ale połączenie nie zostało przerwane.

- Jamie - powiedział Cruz nerwowo. A potem bardzo głośno: - Jamie Swann. Mów do mnie, człowieku! Gdzie jesteście!

Nic oprócz cichego jęku - głosu człowieka trawionego bólem, bliskiego agonii.

Cruz opuścił słuchawkę i spojrzał w pełne niepokoju złote oczy Laurel. Wąlował, że nie może oszczędzić jej złych wieści.

- Twój ojciec został otruty - powiedział bez ogródek. - Jest w bardzo złym stanie. Jeśli nie otrzyma pomocy, stracimy go. I tak możemy go stracić.

Laurel złapała słuchawkę.

- Tato! Tato! Powiedz coś! To ja, Laurel, tato! Słyszysz mnie?

Cruz patrzył w skupieniu.

Laurel pokr ciła głow bez słowa.

- Spróbuj zmusi go do mówienia - powiedział Cruz. - Próbujemy ustali numer.

- Tato. Tato! Wiem, e mnie słyszysz. Daj mi jaki znak, e tam jeste .

Jamie Swann słyszał swój córka jak przez g st mgł zabarwion krwi , jego własn krwi p dz c przez organizm jak fala z przerwanej zapory.

Słaby, lecz wyra ny, mobilizuj cy głos Laurel był jedynym stałym punktem odniesienia w rozpadaj cym si wszech wiecie Swanna.

- Laurie?

Bardzo niewyra nie, ale jednak z cał pewno ci Laurel usłyszała swoje imi .

Poczuła ukłucie trwogi poł czonej z nadziej . Głos ojca był rozpaczliwie słaby, cienki i wycie czony. Brzmiał, jakby Swann rozmawiał gdzie z drugiego ko ca wiata.

- Tak, tato. Jestem tutaj - powiedziała gło no. - Musisz nam pomóc. Musisz powiedzie , gdzie jeste .

Z przera eniem i ze współczuciem Laurel słuchała bełkotliwych, nieskładnych d wi ków, jakie wydobywały si z ust ojca. Na moment znów znalazła si przy ło u umieraj cej matki. Usłyszała ostatnie tchnienie dumnej kobiety, do ko ca przepełnionej gniewem, e tak szybko musi rozstawa si z yciem.

Ale głos ojca brzmiał jako inaczej. Wydawało jej si , e Swann jest bardziej wiadomy, e zdaje sobie spraw z tego, co si dzieje, i gotów jest walczy . W tych stłumionych d wi kach wyra nie krył si bunt, jakby ojciec zbierał resztki energii i silnej woli.

- Be.... Behh...

Serce Laurel omal nie p kło z bólu. Przyciskała słuchawk do ucha tak mocno, e bolały j obie r ce i głowa.

- Jeszcze raz, tato. Prosz ci , rozmawiaj ze mn . Kocham ci . Pozwól sobie pomóc.

- Behhh...Hiiil....

- Beverly Hills? - zgadywała Laurel.

D wi k, który usłyszała, mógł oznacza wszystko.

- Beverly Hills? - powtórzyła jeszcze gło niej. - Tam jeste ?

Swann wydobył z siebie odgłos, który w ka dych innych okoliczno ciach byłby przera aj cy, ale Laurel rozszyfrowała go jako potwierdzenie. Odwróciła si i nerwowo przekazała informacj Cruzowi.

- Beverly Hills - powiedziała.

- To du e miasto - rzucił Cruz. - Spróbuj sprecyzowa !

- Gdzie w Beverly Hills, tato?! - spytała gło no. - Odpowiedz! Pomó mi!

Cruz rozmawiał przez telefon komórkowy cicho, ale wyra nie.

- Swann jest w Beverly Hills - powiedział.

- Zrozumiałem. Nadal szukamy.

- Tato! Tato!

Cruz zamkn ł oczy i lew r k zacisn ł w pi . Rozdzieraj cy ból w głosie Laurel smagał jego sumienie jak bat. Nie mógł zapomnie wyrazu jej twarzy, kiedy zobaczyła, jak wyłania si z cienia po odej ciu ojca.

Co gorsza, pami tał bardzo dokładnie jej słowa.

„Byłe tutaj. Mogłe go zatrzyma ”.

Jego odpowied była logiczna, ale dla dziewczyny dr cej ze strachu o ojca mogła z

„Nie miał jaja. Ani przy sobie, ani w samochodzie, który zaparkował przy końcu ulicy”.

Cruz wiedział kogo Laurel będzie winiła, jeżeli Swann umrze. Nic dziwnego. Sam będzie się czuł winny.

- Szybciej, szybciej - warknął Cruz do komórki. - Nie płacimy temu sukinsynowi z firmy telefonicznej tysiąc miesięcznie za nic. Powiedz mu, że chodzi o ludzkie życie!

Słowa Laurel kierowane do ojca stanowiły przeciwwagę do słów Cruza. Wykrzykiwała swoją nadzieję, strach i miłość do słuchawki, próbując dotrzeć do ojca w jedynym obecnie możliwym sposobie.

Cruz chciał zamknąć ją w swoich ramionach, trzymając mocno, powiechie, że wszystko będzie dobrze, że się nią zaopiekuje.

Ale wszystko nie mogło być dobrze.

Nie powinien nawet jej obejmować. Opiekowanie się nią w tej chwili oznaczało, że musi być bardziej bezwzględny i krwiożerczy od ludzi, którzy ją tropią.

Cruz dotknął delikatnie ramienia Laurel. Jeżeli zauważyła sygnał niemego współuczestnictwa Cruza w cierpieniu, nie zareagowała w żaden widoczny sposób. Skupiła się całkowicie na kontaktowaniu się z ojcem. Cruz odwrócił się gwałtownie i odszedł od niej. Poszedł do swojej aluminiowej walizki. Co prawda pistolet cały czas miał przy sobie, ale nie był spokojny.

Wewnątrz walizki znajdowało się uzium. Wyjął broń i sprawdził ją błyskawicznie. Usatysfakcjonowany, wyjął z walizki małą, punktowalatkę. Z broni w jednej dłoni i latarkę w drugiej, Cruz przemykał z pokoju do pokoju, wyłączał po kolei wszystkie światła. Dom tonił w ciemnościach. Pozostawił jedynie oświetlenie zewnętrzne.

Po zabezpieczeniu domu rozmawiał przez telefon komórkowy z Risk Limited, szybko i ostro wyrzucając z siebie słowa. Obserwował jednocześnie front domu, aby przekonać się, czy nie mają jakichś gości.

Wykonał energiczny obrót i przeszedł do tylnej części domu.

Słyszał głos Laurel recytując litanię różnych słów. Jedynym ich celem było podtrzymanie ojca przy życiu.

Cruz zastanawiał się, jakie to uczucie być kochanym, bezwarunkowo, bez luku, miłości zło, potęgi i niemożliwość do ugaszenia jak słodko.

Kiedy Swannowi odebrano już wszystko, została mu jeszcze miłość. To miłość sprawiła, że konając, chciał zapewnić córce szansę na przetrwanie. Swann napatrzył się na mierzwię, sam wielokrotnie zabijał. Musiał zdawać sobie sprawę, jak niewiele mu do niej brakuje, jednak nie zadzwonił po pomoc dla siebie. Resztkami sił skontaktował się z Laurel, aby ją ostrzec.

Zwracam ci honor, Jamie Swannie, pomyślał Cruz. Mam nadzieję, że kiedy ją znajdzie w tarapatkach, będzie mnie stała tak odważnie.

Na dworze nic się nie poruszało, nawet wiatr. Wszystkie światła przed domem się paliły, a w środku było ciemno.

- Macie już coś? - warknął Cruz.

- Nadal szukamy.

- Cholera - syknął.

Poszedł do Laurel, aby ją podtrzymał na duchu. W mizernej pościeli z zewnątrz jej skóra wyglądała upiornie, a oczy stały się czarne.

- Tato, musisz mi pomóc - poprosiła. - Gdzie dokładnie jesteście?

Dłonią Laurel zacisnęła się nadgarstku Cruza. Jego gorąca skóra kontrastowała z lodowatym chłodem jej palców. Gorąco bijące od Cruza przeniknęło Laurel, wyostrowiając ją z jej zmysłów. Swann

dwie. Laurel drąc słuchała ich jak najpikniejszej muzyki, intensywnie skupiona.

- Hotel? - spytała niespodziewanie. - Próbujesz powiedzieć „hotel”?

W odpowiedzi usłyszała zgrzytliwy bulgot, ale nauczyła się już odczytywać go jako potwierdzenie.

- Który hotel, tato? - spytała. - Jest ich mnóstwo.

Odpowiedzi był tylko urywany oddech Swanna.

Laurel zaczęła gorączkowo szukać w pamięci nazw hoteli w tej okolicy. Tylko jeden przyszedł jej do głowy.

Usłyszała szorstkie odchrząknięcie. Odpowiedź negatywna.

Cruz nachylił się i głosem powiedział do słuchawki:

- „Beverly Wilshire”?

Potwierdzenie było słabe, ale pewne.

- To „Beverly Wilshire”! - krzyknęła Laurel. - Który pokój, tato?

Zgrzytliwy, zduszony oddech zdawał się słabnąć.

- Hotel „Beverly Wilshire” - przekazał Cruz. - Dzwoni na policję.

Rozłączył się i wybrał numer pogotowia policji.

- Z oficerem dyżurnym, proszę - powiedział, gdy tylko kto odebrał.

Słowa padały szybko, ostro i pewnie. W ciągu dziesięciu sekund rozmawiał z porucznikiem, który dowodził policyjnym pogotowiem.

- Tato, pomoc jest już w drodze - powiedziała Laurel do słuchawki. - Trzymaj się. Niedługo będziemy przy tobie.

Powtarzała tę informację bez końca.

Ale odpowiedzi nie było.

- Szybciej! - powiedziała do Cruza. - Przestał mówić!

- To trucizna. Chyba coś egzotycznego - rzucił Cruz do telefonu. - Wylijcie sanitariuszy. Natychmiast skontaktujcie się z izbą przyjęć w Centrum Medycznym przy Uniwersytecie Kalifornijskim.

Laurel skoncentrowała całą uwagę na wyjątkach Cruza i prosiła o pomoc. Modliła się w duchu, żeby nikt nie domagał się dalszych szczegółów.

- Mam kontakty wśród lekarzy świadomych z FBI, którzy mogą pomóc - powiedział Cruz - ale najpierw będzie potrzebowałam jakichś danych o objawach fizjologicznych, żeby z cokolwiek ruszyć.

Laurel patrzyła na Cruza udręczonym wzrokiem. Łzy płynęły jej po twarzy, ale wcale ich nie czuła.

- Tak. Zajm się tym i zadzwoni ponownie - powiedział. - Za duży o musiałbym tłumaczyć.

Rozłączył się i wybrał następną numer, bezpośrednio do Cassandry Redpath.

- Czy oni... - zaczęła Laurel.

- Już tam jadą - odpowiedział Cruz.

Redpath odebrała po pierwszym sygnale.

- Mówi Cruz. Nie koduj. Laurel jest bezpieczna. Swann mamie, ale jeszcze nie wypadł. Sanitariusze w drodze.

- Czego potrzebujesz? - spytała Cassandra.

- Świadczy - powiedział zwięźle. - Potrzebujemy najlepszej istniejącej bazy danych o truciznach z całego świata. Natychmiast.

- Zrobione. Czy może jakoś zawziąć obszar poszukiwań?

- Biorąc pod uwagę graczy, zacznijcie od egzotycznych syntetyków, co w rosyjski

serca.

- Zosta na linii.

Cruz zwrócił się do Laurel:

- Mów do niego, kochanie. Weź latarkę i czytaj mu książkę telefoniczną, jeśli musisz. Utrzymuj z nim kontakt.

Laurel znów zaczęła mówić, czerpiąc ze wspomnień z dzieciństwa. Dzieliła je teraz z ojcem jak błyszczące agaty zebrane na plaży, pośród szalejących fal.

Słuchając tego Cruz czuł, jak serce rozdziera mu się na kawałki. Nie mógł złapać oddechu.

- Powtórz - powiedział Cruz do Cassandry.

- Trzech chemików. Jeden z nich sporo pracował dla Langley.

- Zadzwoń w naszym imieniu. Mamy tu kłopoty z czasem.

- Zrozumiałam.

Kiedy Laurel podnosiła i zniżała głos, żywo odmalowując wspomnienia, Cruz podał Cassandrze numer do porucznika policji, z którym przed chwilą rozmawiał.

- Jeśli twoi chemicy byś mieli jakiś genialny pomysł - powiedział Cruz - porucznik może ich połączyć bezpiecznie z sanitariuszami w hotelu.

- Co jeszcze? - zapytała Redpath.

- Jak radzisz sobie z modleniem?

- Lepiej, niż podejrzewasz.

- No to klękaj, szefowo. Mamy za dużo do stracenia, żeby pozwalać sobie na dumę.

Cruz zakończył rozmowę, schował telefon do kieszeni i sięgnął do kabury po pistolet. Wyciągnął go i położył na stoliku przy telefonie, z którego rozmawiała Laurel.

- Jest naładowany, gotowy do strzału - powiedział miłośnik. - Trzeba tylko odbezpieczyć. Jeśli zobaczysz kogokolwiek oprócz mnie, strzelaj.

Laurel przełożyła słuchawkę do lewego ucha. Nie wzięła pistoletu do ręki. Położyła na nim dłoń, gotowa podnieść go na widok pierwszych oznak niebezpieczeństwa.

- Idź sprawdź podwórko - mruknął Cruz. - Wróć od strony kuchni. Byłoby źle, gdybyś robiła duży hałas. Zrozumiała?

Nie przerywając potoku słów, pokiwała głową.

- Tato, tato, słuchaj mojego głosu. Trzymaj się go. Zrobiłeś to, co musiało. Ostrzegłem mnie. Teraz pozwól nam sobie pomóc. Zostań ze mną. Tato, pomoc jest już w drodze.

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko słaby, nierówny oddech Swanna.

Laurel recytowała wspomnienia z dzieciństwa, mówiła o nadziei, miłości. Wydawało jej się, że odkąd zaczęła, upłynęła cała wieczność. Między zdaniem próbowała wychwycić odgłosy z drugiego końca linii. Stawały się coraz słabsze, odleglejsze, zanikające.

- Tato! Nie opuszczaj mnie!

Nagle usłyszała stłumione trzańnięcie, po którym dotarły do niej ostre, wyraźne głosy. Potem usłyszała posługujących się fachową terminologią sanitariuszy, którzy natychmiast przystąpili do akcji. Odgłosy szybko zagłuszyły słowa kobiety w słuchawce.

- Jestem z pogotowia. Mamy pacjenta. Z kim rozmawiam?

- Z córki. Czy on jeszcze żyje?

- Tak - powiedziała sanitariuszka - zabieramy go na izb przy do Centrum Medycznego przy uniwersytecie.
Kobieta odło yła słuchawk . Laurel próbowała pohamowa rosn cy strach i panik . Jej oczy wypełniły lzy gorzkie jak piołun.

- Laurel, wchodz .

Mi kki, niski głos nale ał do Cruza. Dotarł tylko do uszu Laurel i ani troch dalej.

- Tata jest...

- Cicho - przerwał jej.

Strach oblał Laurel zimnym potem. Tylko raz słyszała Cruza mówi cego takim tonem. Wtedy gdy zamachowcy uciekli z jej domu, a Cruz w skupieniu nasłuchiwał, czy wracaj .

- W porz dku - rzekł, kiedy dzieliły ich zaledwie centymetry. - Co z twoim ojcem?

- Kiedy przyjechało pogotowie, jeszcze ył - poinformowała go.

Próbowała nada swojemu głosowi mi kko , któr słyszała w głosie Cruza, ale okazało si to prawie niemo liwe. Miała zdarte gardło od napi cia, strachu i mówienia do umieraj cego ojca.

Cruz chciał co powiedzie , ale zawahał si i spojrział na ni tak, jak nigdy przedtem.

- Co si stało? - spytała Laurel.

- Nie nacisn ła spustu wtedy w Cambrii. Czy strzelisz do kogo , eby ratowa własne ycie? - spytał wprost.

- Tata zadał to samo pytanie, kiedy dawał mi bro - powiedziała Laurel.

- I co odpowiedziała ?

- Tak.

- Nadal tak czujesz?

Zadr ała.

- Tak.

- Wi c bierz pistolet i chod ze mn . Cicho.

Cruz zaprowadził Laurel do pokoju we frontowej cz ci domu.

- Zerknij przez okno - powiedział. - Tylko nie ruszaj okiennic.

Laurel ostro nie pochyliła si do przodu i wyjrzała przez szpar . Nie widziała nic prócz własnych łez. Po raz pierwszy u wiadomiła sobie, e płakała. Otarła je niecierpliwie i jeszcze raz spojrziała.

Szkoda było si tak wysila . Zobaczyła tylko jakiego ponurego s siada na ulicy. Miał na sobie koszulk z krótkim r kawem i spodnie. Z jego r ki zwisała bezu yteczna smycz. W zasi gu wzroku nie było adnego psa.

M czyzna obserwował front domu Laurel, jakby si spodziewał, e wła nie tam ukryło si zwierz . Zagl dał pod krzaki i sprawdzał nie o wietlone miejsca. Podobnie kontrolował s siedni posesj . Od czasu do czasu pogwizdywał jak kto , kto nie chce nikomu przeszkadza , ale musi odnale psa.

- No, Charlie. Gdzie jeste . Cho do tatusia, ty mały, czarny draniu. Mam dla ciebie smaczn kosteczk . Masz, Charlie. Je eli zaraz nie wrócisz, mamusia odda nas obu do schroniska. Masz, Charlie. Tutaj, piesku.

- Widz tylko faceta, któremu zgin ł pies - powiedziała Laurel ochryłym głosem. - Czy to jaki problem?

- Widzisz zawodowca w akcji.

- Co?

- Nazywaj to „zmyłk na psa uciekiniera”. To klasyczna technika inwigilacyjna. Ucz tego w Akademii FBI i pewnie we wszystkich tego typu szkołach na wiecie.

- Czy on jest z FBI? - zapytała Laurel.

- Wygląda jakby trochę znajomo - powiedział Cruz. - Mi dźy innymi dlatego odszedłem z FBI. Z czasem wszyscy wyglądają podobnie.

Laurel uśmiechnęła się i złapała szybki oddech, który mógłby równie dobrze być miechem, co szloch.

- Niewykluczone, że to facet z FBI - ciągnął Cruz. - Jednak nie wolno nam popełnić błędów.

- Przyjmij strzeleckie postawy.

Zdumiona Laurel zrobiła, o co prosił. W słabym świetle wpadającym przez szpary z podwórka, Cruz widział, że ruchy Laurel były płynne i pewne. Pistolet nawet nie drgnął w jej ręku.

Cruz odetchnął z ulgą.

- Odziedziczyła cię krew po ojcu - stwierdził.

Nachylił się, otworzył aluminiową walizkę, którą cały czas miał pod ręką, i sięgnął do środka. Wyjął uzi, sprawdził broń kilkoma wprawnymi ruchami zdjęł kurtkę.

Laurel przyglądała się w milczeniu. Cruz wyjął z walizki jakieś dziwaczne szelki i wciągnął je szybko na siebie, a następnie umocował na nich groźnie wyglądające broń. Na to włożył lekką kurtkę, którą zostawił odpiętą.

- Co to jest? - szepnęła.

- Nielegalna broń.

Ponownie zanurzył ręce w walizce i wyciągnął dwa małe pistolety dużego kalibru.

- Umiesz posługiwać się czym takim?

- Co ty tu masz, cały arsenał?

- Powiem Gilliemu, że go pochwaliła.

Laurel patrzyła na broń w ręku Cruza.

- Tata powiedział mi, jak się z tym obchodzi - wycedziła.

- Tak? Co ci mówił?

Laurel westchnęła.

- Wkręć go facetowi w ucho i naciśnij spust.

- To skuteczna metoda - powiedział spokojnie Cruz.

Zabrał jej swoją broń, dając w zamian mały pistolet.

- Jest naładowany i zabezpieczony - powiedział. - Pokaż mi, że potrafisz go odbezpieczyć.

Laurel dość szybko uporała się z zabezpieczeniem pistoletu.

- W porządku. Jesteś przygotowana do wyjścia - powiedział Cruz. - Wsuń pistolet pod bluzkę.

Laurel nieznacznie umocowała go pod paskiem dżinsów i zakryła tuniką.

Cruz odruchowo sprawdził swój pistolet, zanim go odbezpieczył.

Laurel dopiero teraz zauważyła, że jego pistolet miał punktowy, laserowy celownik, jak jej własny. To o takich pistoletach mówił, że urywają całą głowę.

- Chodź - powiedział.

- Co robimy? - spytała cicho.

- Jeśli ten facet jest z FBI, to nie ma problemu.

- A jeśli nie jest?

- Jeśli zaproponuje ci drinka, to po prostu go nie pij - powiedział z ironią Cruz. - Ch

Rzuciła Cruzowi przerażone spojrzenie, ale on już ruszył.

Bez wahania podążyła za nim w ciemność.

30

Ukryty koło furtki, Cruz obserwował dalszy ciąg przedstawienia z psem uciekinierem. Złuchowca zwisając smycz w dłoni, mężczyzna raz jeszcze doszedł do końca lewej ulicy, a za starym domem, nawoływał go w kierunku krzaków, jakby naprawdę się spodziewał, że jego mały przyjaciel wybiegnie stamtąd z wywieszonym na zewnątrz ogonkiem.

Cruz w milczeniu podziwiał ten cyrk. Oczywiście mężczyźni cały czas penetrowali okolicę, nie zatrzymały się ani na chwilę. Badał teren, żeby zlokalizować wejście do domu, opracował taktyczny plan podejścia, oszacował zagrożenia. Wszystko to robił, nie przestając nawoływać nieistniejącego psa.

Przy każdym ruchu, kroku, zwrocie, lufa pistoletu Cruza podążyła za głowami mężczyzn. Palec spoczywający na spuście wykorzystał już cały luz. Najmniejsze naprężenie wystarczyłoby, żeby broń wypaliła.

Laurel ruszyła szybciej w stronę furtki. Tak jak poinstruował ją Cruz, trzymała się lewej strony, pozostawiając wolną przestrzeń dla Cruza na otwarcie ognia.

- Och, jak to dobrze, że jeszcze pan tu jest - powiedziała Laurel do mężczyzny. - Bałam się, że już pana nie złapię. Znalazłam pańskiego psa w moim ogródku za domem.

Mężczyzna opadł na dolną szczękę ze zdziwienia.

- Eee, nie sądzę - powiedział.

- Jest mały?

- Taaa.

- Czarny?

- Mhm.

- Reaguje na imię Charlie?

- Eeee...

- Zginął panu pies, prawda? - spytała Laurel, jakby nabierała jakichś podejrzeń.

- Ale tak, oczywiście.

Otworzyła furkę szybkim szarpnięciem. Mogło wyglądać, że jest zniecierpliwiona.

- W takim razie proszę wejść i zabrać małego bestię - powiedziała szybko. - Wykopuje moje bratki.

Mężczyzna odruchowo zrobił krok w stronę otwartej furki, lekko nachylał głowę w miejscu, gdzie zwisiała porostająca jesionowa lina.

- Trzymaj ręce na widoku - powiedział z boku Cruz.

Mężczyzna skoczył na równe nogi.

Laurel odwróciła się i pobiegła.

Cruz ukrywał się w ródzie zieleni, która w nocy i tak była czarna. Jednak połyskująca broń i laserowy celownik pozwoliły mężczyźnie jednoznacznie zinterpretować położenie, w jakim się znalazł. Nie miał wątpliwości, że to on był celem.

- Laurel? - spytał Cruz.

- Jestem gotowa.

- Przejdź przez furkę - powiedział Cruz do mężczyzny niskim, stanowczym głosem.

to powoli. Nie potykaj się. Nie kulej. Nie wahaj się. Zrób to płynnie i spokojnie, bo inaczej zginiesz na miejscu. Wybór należy do ciebie.

Młoczyzna zaczął iść ciękwo i ostro nie.

- Zawołaj jeszcze raz psa - rozkazał Cruz.

- Co u....

- Zrób to!

- Charlie. To ty piesku?

Jego głos był spięty, ale nie na tyle, żeby zaalarmować współników, czekaj cicho gdzieś w cichej dzielnicy mieszkalnej.

Kiedy stali się niewidoczni od ulicy, Cruz wyszedł z ukrycia. Cały czas pozostawał poza zasięgiem młoczyzny, on natomiast ani na chwilę nie znalazł się poza zasięgiem pistoletu Cruza.

- Ruszaj się - powiedział Cruz. - Twoi koledzy już cię nie widzą. Nie pomogę ci.

- Popelniasz...

- Stul pysk - polecił stanowczo Cruz.

Młoczyzna zamilkł.

- Wchodzimy - uprzedził Cruz niezbyt głośno Laurel.

- Bądź w środku - odpowiedziała spokojnie.

Kiedy weszli na patio, Cruz rozkazał swojemu zakładnikowi:

- Kład się twarzą do ziemi. Nogi szeroko. Ręce na kark.

- Ej, co do diabła...

- Twarz do ziemi - powtórzył Cruz. - Już.

Młoczyzna niechętnie wykonał polecenie.

Cruz przyłożył mu lufę pistoletu do głowy, tuż u nasady czaszki. Przeszukał go zwróconie. Nie pominął żadnej typowej kryjówki, sprawdził te miejsca niezbyt często wykorzystywane na kryjówki dla broni.

- Dziewięć milimetrów - rzekł, wyciągnął mu broń z kabury i wsunął sobie za pasek. - Pałka. Nóż. Pager. Portfel.

Młoczyzna się nie odzywał.

Cruz jednym kliknięciem otworzył portfel. W plastikowym okienku znalazł prawo jazdy.

- Nazwisko? - spytał Cruz.

- Pieprzyć się.

Cruz mocno docisnął lufę.

- Spróbujemy jeszcze raz - powiedział Cruz pojednawczo. - Nazwisko.

- William R. Cahill - wycedził młoczyzna przez zęby.

- W porządku, Bill. Dla kogo pracujesz?

- Dla FBI.

- Gdzie masz odznak?

- Została w domu.

- Twój szef odciłby cię jaja, gdyby nadal dla nich pracował. Ale słońce nie mówi mi prawdy.

Cahill wymamrotał coś pod nosem.

Cruz wyprostował się szybko i stanął w bezpiecznej odległości od niego.

- Podnie się powoli - polecił - i wejdź do domu. Nie próbuj nas przechytrzyć, bo ta pani załatwi cię tak, że wyskoczysz ze swoich eleganckich kapci. Jest naprawdę wkurzona za to, co zrobiła z jej ojcem i nie tylko.

- Uderzyłem go tylko raz czy dwa - burknął Cahill, kiedy już stanął na nogi.

- Ach, w takim razie to żaden problem. Laurel strzeli do ciebie tylko raz czy dwa. Ruszaj.

- Jak wpadliście na to, że jestem podejrzany? - spytał Cahill.

- Ja też się nauczyłem „zmyłki na psa uciekiniera” w Quantico - skwitował Cruz.

Cahill stanął i obejrzał się na Cruza przez ramię.

- Ty? Jesteś z FBI? - spytał Cahill. - Czekaj! Ja ci chyba znam. Ty jesteś Cruz Rowan. Należałeś do AJS.

Cahill zaczął opuszczać ręce, jakby uznał, że wspomniany Antyterrorystyczny Jednostki Specjalnej wypowiedział jakieś magiczne hasło.

- Ręce w górze. Na głowę.

- Ale ja... - zaczął Cahill z oburzeniem.

- Właśnie do rodzaka - przerwał mu Cruz.

Klnąc pod nosem, Cahill wszedł do domu.

- Usiądź na podłodze - rozkazał Cruz. - Skrzyżuj nogi i trzymaj ręce na głowie.

- Słuchaj, to naprawdę nie jest konieczne.

- Znasz te zasady: nigdy nie zakładaj niczego z góry i nie podejmuj ryzyka, jeśli nie musisz - Laurel, moesz wejść.

Weszła do kuchni od strony salonu, obeszła Cahilla dymem łukiem i stanęła koło Cruza. Ani na moment nie przecięła linii strzału.

- Dobra robota, kochanie - pochwalił ją Cruz. - Z tyłu na plecach mam pistolet, kaliber dziewięć milimetrów. Weź go i ubezpieczaj mnie.

- Czy to uzi? - spytał Cahill, zerkając na rozpiętą kurtkę Cruza.

Cruz nie odpowiedział. Kiedy Laurel wzięła pistolet, poczuł się lepiej. Usłyszał, jak odbezpieczyła broń.

- Kiedy strzelasz z niego pierwszy raz, musisz mocno i głęboko pociągnąć za spust. Za drugim razem idzie gładko.

- Tata miał taki sam.

- Nie dziwi mnie to.

Twarz Cahilla zdradzała, że wycelowany w niego pistolet w rękach Laurel znacznie bardziej go denerwuje niż broń w rękach wyszkolonego zawodowca. Nic skuteczniej nie wyprowadzało profesjonalisty z równowagi niż mierzyć do niego amator.

Cruz się uśmiechnął. Właśnie nie takiej reakcji oczekiwał.

- Jeśli się poruszy - powiedział Cruz - nie ostrzegaj go, nie wołaj mnie. Po prostu strzelaj.

Laurel ponuro pokiwała głową. Cruz szybko obszedł wszystkie swoje punkty widokowe. Na ulicy panował spokój. Nikt nie szukał zaginionego psa ani zaginionego właściciela zaginionego psa. Nie kręcił się żaden samochód na zgaszonych wiatłach.

- Niech to szlag - mruknął do siebie. - Gdzie, u diabła, jest Gillie! Miał do czasu, żeby tu dotrzeć i zabezpieczyć teren.

Wyjrzał raz jeszcze.

Bez zmian.

Cokolwiek zatrzymywało Gillespiego, Cruz przekłócił to w duchu i wrócił do kuchni.

- Mogłoby być przez - rzekł do Laurel.

Laurel opuszczyła pistolet i skrycie odetchnęła z ulgą.

Cahill nie drgnął.

- Jesteśmy trochę zdenerwowani - zwrócił się Cruz do Cahilla - więc dla własnego dobra nie próbuj żadnych sztuczek. Dla kogo pracujesz?

- Dwadzieścia lat pracowałem w FBI. Potem odszedłem. Teraz pracuję dla Damona Hudsona z Hudson International.

- Czym się zajmujesz?

- Ochrona.

- Po co robicie rozpoznawanie w tej okolicy?

- Eee... Próbuj wpasować na trop pewnego skradzionego dzieła sztuki.

Twarz Cruza pozostała obojętna.

- Z Muzeum Sztuki Hudsona? - spytał Cruz.

- Niezupełnie - odparł Cahill. - Skradziono je z rosyjskiej wystawy, której otwarcie przewidziano na pojutrze.

- To bardzo ładnie ze strony Hudsona, że zechciał przekazać Rosjanom część swoich zasobów, kiedy tak bardzo potrzebują pomocy - powiedział Cruz obojętnym tonem.

- Tak, pan Hudson to bardzo miły człowiek - stwierdził Cahill.

- Dlaczego szukałeś tutaj? Czy to miejsce wygląda na galerię sztuki?

- Jamie Swann to ukradł - rzekł Cahill bez ogródek. - Panna Toth powiedziała, że w Cambrii tego nie ma, więc pomysł leży mi, że może być tutaj.

- Toth? - spytał Cruz podniesionym tonem. - Clair Toth?

- Tak. Wspólniczka Swanna. Przynajmniej była jego współniczką. Teraz wskoczyła do łóżka Hudsona. To niezłe poletko do obrobienia. W życiu nie widziałem takiej dupy.

Przez moment Cruz się nie odzywał. Właściwie nie powinno go dziwić, że Clair Toth znów pojawiła się w jego życiu, mimo to się dziwił.

- Wspólniczka Swanna, co? - powtórzył Cruz. - Biedny skurwiel. Przespał się z Toth, to jak pójdzie do łóżka ze skrzywowaniem piły elektrycznej z publicznie toalet.

- Jej cipka jest tego warta.

- Żadna cipka nie jest. A już na pewno nie jej.

Słyszysz to Laurel musiała zapanować nad denerwieniem. Wulgarnie słowa w ustach Cruza niemiłosiernie zaskoczyły.

- Co dokładnie zginęło? *Mona Lisa*?

- To wysadzane brylantami jajo wielkanocne z ogromnym rabinem w środku - powiedział Cahill. - Fabergé.

Wyjaśnienie Cahilla nie zaskoczyło ani Cruza, ani Laurel. Pilnowali się, żeby na siebie nie spojrzeć.

- Z kim tu przyjechałeś? - spytał Cruz.

- Z nikim.

- Błędna odpowiedź - stwierdził Cruz. - A tak dobrze szło ci mówienie prawdy do tej pory. Już myślałem, że jest dla ciebie jakaś nadzieja. Z kim przyjechałeś?

Cahill w milczeniu przemycił wszystkie możliwości. Jedyna nie była specjalnie obiecująca. Cruz wiedział to tak samo dobrze jak Cahill.

- Myślałem, że chodzi ci o obstawę - rzekł Cahill po chwili namysłu. - Przyjechałem bez obstawy.

- Niemniej dry Bill. Bardzo niemniej dry. Widziałem samochód na początku ulicy.

Cahill za nią się ochryplą głosem.

- To tylko Hudson. Jemu naprawdę zależy na odzyskaniu jaja. Jeśli coś o nim wiecie, Hudson postara się, żeby wam się to opłaciło.

- No to będzie musiał ustawić się w kolejce. A tobie się opłaciło?

- O co ci chodzi?

- Czy opłaciło ci się popełnić dla niego morderstwo pierwszego stopnia?

Laurel z trudem złapała powietrze.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - zapytał Cahill skrzekliwie.

- O Jamiem Swannie.

- Klęknij na Boga, że tylko przyłożyłem mu pałkę.

- A potem nafaszerowałem trucizną.

Cahill zbladł. Na czole i nad górną wargę wystąpił mu pot.

- Nie! - zaprzeczył nerwowo. - Niczego takiego nie zrobiłem. Zgoda. Raz czy dwa przekroczyłem trochę granice, żeby pomóc Hudsonowi, ale nigdy nic podobnego!

Patrząc na Cahilla, Cruz był skłonny mu uwierzyć, ale nie miał zamiaru tego okazać. Człowiek, który się bał, chętniej współpracował niż taki, który był pewny siebie.

- Jeśli ty tego nie zrobiłeś - spytał od niechcienia Cruz - to kto?

Cahill otworzył usta, lecz zaraz je zamknął.

Cruz czekał.

- Skąd mam, do cholery, wiedzieć, że mówisz prawdę? - spytał Cahill po chwili.

- Zadzwoń do Centrum Medycznego przy Uniwersytecie Kalifornijskim. Dwadzieścia minut temu przewieźli tam Swannę. Już nie żyła.

Laurel jęknęła cicho. Ale nie odezwała się słowem. Obiecała Cruzowi, że będzie cicho i niczemu nie zaprzeczy. Kiedy jednak musiała słuchać, jak przekonująco mówił o śmierci ojca, czuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

- Jezus Maria - szepnął Cahill. - Musieli to zrobić, kiedy poszedłem po limuzynę.

- To twoja wersja. A co według ciebie powie Hudson?

Strach i złość powoli przejmowały kontrolę nad Billem Cahillem. Siedział po uszy w bagnie, które nie miało dna, i szybko zapadał się coraz głębiej. Wiedział o tym.

Co gorsza, Cruz też wiedział.

- Jak myślisz, czyj wersję potwierdzi Toth? - spytał bezlitośnie Cruz. - Kto w tym trio jest miliarderem, kto ma wspaniałe ciało, a kto jest doskonałym pionkiem?

Cahill siedział na zimnej kuchennej podłodze ze skrzywionymi nogami, z rękoma na głowie i szacował swoje szanse w przymierzu z Hudsonem i Toth. Przez cały ten czas milczał.

- Co mam zrobić? - spytał zrezygnowany.

- Czy w limuzynie jest telefon?

Cahill kiwał głową.

- Podnie się powoli - rozkazał Cruz. - Zadzwoń do niego i powiedz, że masz nas tu związanych, ale nie chcemy ci powiedzieć, gdzie jest rubin.

Cahill wyglądał jakby łowiąc, że to nieprawda. Zaczął wolno się podnosić. Starał się nie wykonać żadnego niekontrolowanego ruchu, przez który mógłby zginąć.

Nie miał wątpliwości, że Rowan by go zastrzelił.

- Powiedz Hudsonowi, że na naszej automatycznej sekretarce znalazła wiadomość od Nowikowa - ciągnął Cruz.

- Nowikow gratuluje nam, że zdołaliśmy odnaleźć rubin i przyjedź tu po niego za godzinę. W związku z tym masz niecałą godzinę, żeby wywrócić dom do góry nogami i znaleźć kamień. Chcesz, żeby ci pomogli.

- A jeśli nie przyjadą?

- Wtedy znajdź inny sposób. Tak czy inaczej, sprawa będzie załatwiona.

Cahill w to nie wątpił. Wiele lat temu na oczach milionów ludzi Cruz udowodnił raz na zawsze, że jest bezwzględny człowiekiem.

- W porządku - powiedział. - Gdzie jest telefon?

- Na cianie za tobą. I pamiętaj, nie warto umierać dla Hudsona.

- Cholera - powiedział Cahill ze wstrętem. - Dla niego nawet nie warto pracować.

31

Kiedy Cahill wykręcał numer telefonu komórkowego w limuzynie, Cruz dał Laurel znak, żeby podeszła do niego.

- Pan Hudson? - odezwał się Cahill. - Jestem w domu i przeję kontrolę nad sytuacją.

Zrobił przerwę, żeby wysłuchać Hudsona.

- Nie, nie miałem większego problemu z Rowanem - powiedział Cahill, patrząc na Cruza z ukosa. - Ludzie zazwyczaj zachowują się rozsądnie, kiedy zaglądną w lufę pistoletu.

Przerwa.

- Rubin? Z tym jest mały kłopot. Na sekretarce pani Swann odkryłem wiadomość od Nowikowa. Ma zjawić się po niego za godzinę.

Cahill uśmiechnął się złośliwie, słuchając odpowiedzi Hudsona.

- Spodziewałem się, że tak pan zareaguje. Ale ani panna Swann, ani Rowan nie chcą powiedzieć, gdzie go ukryli. Gdyby pan i panna Toth zechcieli mi pomóc, nasze szanse na przeszukanie domu wzrosłyby trzykrotnie.

Cahill słuchał.

- Przykro mi, panie Hudson, nic na to nie poradzę - powiedział Cahill. - Jeśli uważa pan, że trzeba dać pani Swann parę klapsów, proszę zająć się tym osobiście.

Cahill odłożył słuchawkę i odwrócił się do Cruza.

- Śwój drogę - zameldował.

- Laurel - powiedział Cruz. - Obserwuj chodnik przez frontowe okiennice.

Gdy Laurel wyszła, Cruz spojrzał na Cahilla.

- Chciałbym ci ufać, ale mam obsesję na punkcie bezpieczeństwa - powiedział. - Wić odwróć się, rękę do tyłu, nadgarstki razem.

- Do diabła - powiedział znużony Cahill.

Odwrócił się i założył ręce do tyłu. Chwilę później Cruz mocno skrzyknął mu ramię.

- Usi d tu okrakiem - powiedział, podsuwaj c mu kuchenne krzesło.

Cahill usiadł na krze le.

- A knebel? - spytał sarkastycznie,

- Je eli chcesz ich ostrzec i ci gn na siebie oskar enie o morderstwo pierwszego stopnia, nie zamierzam ci powstrzymywa . Je eli chcesz wsta , wyj z kuchni i oberwa kulk w głow , te nie b d ci zatrzymywał.

Cruz wyszedł tylnym wyj ciem, udał si chodnikiem na podjazd, maj c z ka dym krokiem nadziej , e z krzaków dotrze do niego sygnał od Gillespiego. Zamiast tego usłyszał kroki Toth i Hudsona, id cych chodnikiem od strony ulicy. Podeszli od razu do frontowych drzwi i zapukali.

Cruz stan ł tu za nimi jak ogromna zjawia.

- Otwórz, Laurel - powiedział.

Toth i Hudson krzykn li z przera enia i odwrócili si . Zapowied przemocy emanuj ca z lufy uzi zajrzała im prosto w oczy.

- Pojedynczo - powiedział Cruz. - Hudson, wchodzisz pierwszy.

- Mo e zobaczymy... - zacz ł Hudson.

- Rób, co mówi .

Hudson przez dłu sz chwil patrzył na Cruza, wreszcie wszedł do domu.

- Teraz ty - powiedział do Toth.

- Chryste, Rowan, czy to ty? - spytała.

- Tak. Ruszaj si .

- Do diabła, nikt nie ma takiego głosu jak ty. Podnieca mnie, kiedy go słucham.

- Wchod do domu.

W rodku Cruz dokładnie przeszukał Hudsona. Nie był uzbrojony. Kiedy przeszedł do Toth, u miechn ła si i skrzy owała dłonie na karku. Rozstawiła swoje pi kne, wysmukłe nogi. Jedwabna bluzka obci gn ła si na piersiach.

- Jestem gotowa, je li ty te - powiedziała gł bokim głosem.

Laurel oszołomiona przygl dała si wszystkiemu z ko ca pokoju. Toth wykonywała w owe ruchy, przemieniaj c rutynowe przeszukiwanie w prawdziw gr wst pn .

- Troch ni ej, kochanie - powiedziała z u miechem. - O tak. Teraz mocniej. Jeszcze mocniej.

Cruz nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy wodził r koma po wspaniałym cieie Toth. Nie przestał, dopóki si nie upewnił, e nie ma przy sobie broni, z któr musiała sypia ju chyba w kołysce.

- Całkiem przyjemnie, kochanie - powiedziała ochryple. - Czy mam co dla ciebie zrobi ?

Cruz odwrócił si do Hudsona. Starszy m czyzna stał spokojnie, obserwował bieg wydarze i bardzo intensywnie my lał.

- Macie rubin? - spytał wprost.

- A wy macie jajo? - zapytał Cruz z tak sam bezceremonialno ci .

- Tak.

- My mamy rubin.

- Zamierzałem zapłaci pannie Toth trzy miliony za rabin. Dam wam cztery.

- Dlaczego?

- Chcę, żeby moja wystawa odniosła prawdziwy sukces - wyjął Hudson.

- Tak. No pewnie - powiedział beznamie Cruz. - Czemu o tym nie pomyślałem?

Popatrzył na Toth.

- Jamie mnie szantażował, żeby mi pomógł ukraść jajo.

- I dlatego go zabiła?

- Co ty wygadujesz? - zapytała, patrząc na niego nieufnymi, czarnymi oczami.

- Mówi o truciu - odrzekł krótko.

- To nie ja, kochanie. E... To najlepszy facet, jakiego miałam. Ten facet mógł mnie dymać całą noc i pierwszy rano wstawał. Takich ogierów nie ma za wiele.

Cruz odchrząknął i ponownie zwrócił się do Hudsona.

- A ty - spytał. - Może to ty go otruła?

- Swann został otruty?

- Tak czy nie?

- Pięć milionów - powiedział Hudson.

Cruz go zignorował.

- Sześć - rzucił.

Pokusa, żeby walnąć Hudsona na odlew była tak silna, że Cruz sam był zaskoczony. Teraz wiedział, jak bardzo jest wkurzony.

Gdyby go znokautował, zredukowałby liczbę osób, na które musiał bardzo uważać. Gdyby cała trójka chciała go przechytryzić i nagle rzuciliby się wszyscy na Laurel, nie strzelałby w obawie, że może ją zranić.

Chryste, Gillie!, pomyślał w ciekły. Gdzie jeste?

- Laurel - powiedział surowym głosem.

Podskoczyła, jakby smagnęła batem.

- Idź sprawdź tylną część - polecił. - Czekam na sieranta-majora, więc nie strzelaj, dopóki nie upewnisz się, kto to.

Kiedy Laurel wyszła z pokoju, Cruz odetchnął z ulgą.

- Siadajcie na podłodze - powiedział do Hudsona i Toth.

- Posłuchaj, młody człowieku - zaczął Hudson.

- Siadaj, bo inaczej ja cię posadzę.

Hudson usiadł.

Toth już siedziała. Dużo lepiej potrafiła ocenić poziom w ciekło niż Hudson.

- Słuchajcie - powiedział Cruz - wszyscy kwalifikujecie się do postawienia w stan oskarżenia za kradzież na ogromną skalę i morderstwo pierwszego stopnia. Ale nie wszyscy musicie zawisnąć. Jedno z was może się wywinąć. Musi tylko oddać mi jajo i powiedzieć, kto otruił Jamiego Swanna.

- Nie słuchajcie go! - zawołał Hudson. - On nie ma żadnych dowodów. Inaczej by tego nie robił!

- Co z wasz dwójką? - zwrócił się Cruz do Cahilla i Toth. - Nie macie miliardów, żeby się wykupić. Jedyne wasze szanse jest jajo i wskazanie mordercy Swanna.

- Ja tego nie zrobiłem - powiedział Cahill. - Mogę przysiąc przed sądem na wiecie.

- On kłamie! - powiedziała Toth. - To on pozbawił biednego Jamiego przytomności ci

niego, nie przeze mnie!

- A co z jajem? - spytał Cruz Toth. - Gdzie ono jest? Mój ład urywa się na Jamiem.

Cruz odchrząknął;

- Cahill, może mi je dać?

- Ja... - zaczął Cahill.

- Cruz! - zawołała Laurel z kuchni.

- Nie teraz, kochanie!

- Ona naprawdę nie ma wyboru! - zawołał Nowikow.

Cruz odwrócił się odruchowo, mierząc do Nowikowa.

Rosjanin wszedł do pokoju, popychając przed sobą Laurel. W jednej ręce trzymał pistolet maszynowy, drugą trzymał Laurel za włosy. Lufa pistoletu przywierała od dołu do jej szczęki.

- Puść ją - powiedział Cruz.

- Rzuć broń! - rozkazał Nowikow.

- Nie. I tak masz zamiar nas pozabijać. - Potem zwrócił się do Laurel: - Kochanie, weź głęboki oddech. Wyglądasz, jakby miała zemdleć - powiedział, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo. - Dobrze się czujesz?

Laurel wstrzymała oddech, patrząc w krystalicznie niebieskie oczy Cruza. Napięcie było niemal fizycznie wyczuwalne.

„Zemdleć”.

Nagle nogi Laurel się ugryzły i upadła na podłogę jak długa. Przewracając się, pozbawiła Nowikowa równowagi. Jej noga zaczepiła o kostkę Rosjanina i dokończyła w ten sposób dzieła. Lufa pistoletu wymknęła się z okolic szczęki Laurel, kiedy Nowikow szarpnął się, aby ustać na nogach.

Cruz strzelił, rzucając się do przodu. Kula trafiła w prawy nadgarstek Nowikowa, wytrącając pistolet. Zanim zdążył wyładować, kopnął Nowikowa w szczękę. Ten runął bezwładnie na podłogę.

Cruz nie zwracał sobie głowy sprawdzaniem jego stanu. Doskonale wiedział, jakie są skutki jego kopniaka. Szybko się obrócił, aby sprawdzić Cahilla, Toth i Hudsona. Żadne się nie poruszyło, Toth i Hudson wyglądali na oszołomionych. Cahill wiedział, że powinien uważać na Cruza.

- Laurel? - spytał Cruz, nie spuszczając wzroku z trójki zakładników. - Nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko w porządku.

Laurel złapała jeden głęboki oddech, potem drogi. Łatwo było udawać omdlenie, ale teraz naprawdę była bliska tego stanu:

- Możesz wstać? - spytał Cruz.

- T-tak.

Jej głos drżał, ale zdołała wstać bez niczyjej pomocy.

- Weź broń Nowikowa i stań plecami do mnie - powiedział. - Gdzie na zewnątrz jest jeszcze ochroniarz Nowikowa.

Laurel podniosła pistolet i spojrzała na bezwładne ciało Nowikowa. Odwróciła wzrok, przyjęła odpowiednią pozycję za plecami Cruza i z trudem skoncentrowała się na broni, której przedtem używał Nowikow.

Była odbezpieczona i przeładowana.

- Dziewięć milimetrów, taki sam jak twój - zauważyła Laurel.

- Jest gotowy do strzału?

- Tak... Cruz, kto jest przy frontowych drzwiach!

Do ich uszu dobiegło zdziwione odchrząknięcie, uderzenie i trzask. Potem usłyszeli, jak ktoś gwiżdże dziwną melodię z czterech nut.

- Nie strzelaj - powiedział Cruz. - To Gillespie. Wchodź, sieraniec-majorze. Najwyższa pora.

W chwilę potem Gillie wkroczył do pokoju z automatycznym pistoletem w jednej wielkiej dłoni i bezwładnym Gapanem przerzuconym przez ramię.

- Znalazłem go leżącego w ciemnościach - powiedział Gillespie, zrzucając Rosjanina na podłogę.

- Prawdopodobnie czekał, a udało mi się złożyć do kupy jajo i rubin - uznał Cruz.

- To byłoby całkiem sprytnie - przyznał Gillespie. - Panno Swann, zastąp pani, jeśli sobie pani życzy.

Laurel uniosła oczy i spojrzała na pięknie rzeźbioną twarz Gillespiego.

- Dziękuj - powiedziała, opuściła zmęczony rękaw i zabezpieczyła broń. - Nie jestem do tego stworzona.

- A ja dałbym się nabrać - uśmiechnął się sieraniec-major.

Cruz tak się uśmiechnął, jednak lufa nawet nie drgnęła w jego dłoni.

- Kim jest ten czarny Adonis? - spytała Toth, mierząc Gillespiego od stóp do głów.

- Zamknij się! - rozkazał Cruz. - Kto odezwie się bez pozwolenia, podzieli los Nowikowa.

Nikt nie miał pytań.

Gillespie stanął za trójką przytomnych więźniów. Każde z nich znajdowało się w zasięgu jego ręki.

- Proszę wejść, pani ambasador! - zawołał.

Cassandra Redpath weszła do pokoju i stanęła obok sieraniec-majora. Miała ze sobą błyszczący, mierzwiściegro nie wyglądał pistolet, który luźno zwisał w jej dłoni wzdłuż uda. Rozejrzała się po pokoju, zmarszczyła brwi na widok leżącego ciała Nowikowa i zwróciła się do Cruza:

- Czy Aleksy nie żyje?

- W tym. Staram się nie zabijać klientów, dopóki nie uregulują rachunków.

Redpath uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jajo?

- Hudson i Toth twierdzą, że mają Swann. Kłami. Jedno z nich gdzieś je ukryło.

- Co z nim? - spytała, wskazując na Cahilla.

- Twierdzi, że go nie ma. Wierz mi.

- Rubin?

- Ja go mam.

- Wspaniale - mruknęła Cassandra.

Redpath zabezpieczyła broń i spojrzała na trójkę więźniów.

- Możliwe, że zaczniemy negocjować? - zaproponowała.

Zakończenie

Laurel rozejrzała się po gabinecie Cassandry Redpath w półprzymkniętymi oczami. Nic się tu nie zmieniło od zeszłego miesiąca, kiedy gościła w Karroo. Nadal pełno bezcennych dóbr intelektualnych. Na pustyni wciąż panował upał.

Laurel w dalszym ciągu nie rozumiała, dlaczego Cruz Rowan pociągał ją, jak kiedyś

tego nie odwzajemniał. Ale życie było nieprzewidywalne. Je eli Laurel niewiele nauczyła się w ciągu ostatniego miesiąca, to przynajmniej to jedno zrozumiała na pewno.

- Laurel - powiedziała Redpath, podnosząc się zza biurka. - Dobrze, że przyjechała do nas.

Laurel uśmiechnęła się słodko-gorzko.

- Nie mogłam oprzeć się pani zaproszeniu, pani ambasador. Byłam bardzo ciekawa, jak się to wszystko zakończy.

Laurel nie powiedziała, że wprost nieprzytomnie pragnęła zobaczyć Cruza Rowana, choćby na chwilę. Chciała się przekonać, czy miał w oczach taki sam smutek jak ona. Chciała się dowiedzieć, czy nie mu się po nocach mały staw ukryty pod ród skał w kanionie. Chciała sprawdzić, czy odkrył, na czym polega bolesna różnica między byciem samemu a samotnością.

Co prawda wątpiła w to, ale musiała wiedzieć na pewno. Może wtedy jego twarz przestanie jej przeladować, a jego głos umilknie w jej głowie? Może przestanie bezkocha rozpamiętywać, jak wspaniałe było by z nim czynić, przy którym czuła się tak cudownie kobieco?

Czy ciowo Laurel znała już odpowiedzi na wszystkie dręczące pytania. Cruz nie przyleciał samolotem, który wysłano po niego. Nie czekał na prywatnym lotnisku, by zabrać go do Karroo. W ogóle się nie pokazał.

To znaczyło, że nie tęsknił za nią, tak jak ona za nim. Może jest gdzieś daleko, ratuje życie jakiejś innej kobiecie, pomyślała. Potem da jej to życie w prezencie, wyjedzie bez słowa, zabierając ze sobą jej serce i nawet się za siebie nie obejrzy.

- Usiadł - powiedziała przyjaciółka Cassandra. - Wyglądasz jako... inaczej.

Laurel wiedziała, że Cassandra jest zbyt taktowna, żeby to powiedzieć wprost. Wyglądała starszej, mizerniej, stała się bardziej nieufna.

Przypominała ojca.

- Jestem inna - powiedziała Laurel. - Miniony miesiąc był prawdziwym piekłem.

- Dla nas wszystkich - mruknęła Cassandra pod nosem.

- Słucham?

- Nieważne. Usiadł, proszę, Laurel. Mam wrażenie, że chcesz się zniknąć.

Uśmiech Laurel był tak jak jej oczy, pełen rezerwy. Ale usiadła.

- Pani nie zmieniła się ani trochę - powiedziała do Cassandry. - Widać, że odnalazła pani swoje miejsce w tym wszystkim.

- To stałe miejsce. Nie należy wychodzić do mnie.

- Domyślam się. Jak się ma sierżant-major? Cięgle zabójczo przystojny?

- O, tak - uśmiechnęła się Cassandra. - Masz ochotę napić się czegoś?

- Nie, dziękuję. Kiedy otrzymałam zaproszenie od pani, zastanawiałam się, czy je przyjąć. Teraz rozumiem, że popełniłam błąd. Im szybciej wyjadę z Karroo, tym lepiej dla mnie.

- Dlaczego?

- Proszę nie udawać, że pani nie rozumie - odparła Laurel. - Widziałam panią w akcji. Niech mi pani opowie, co wydarzyło się po tym, jak Cruz odwiózł mnie do szpitala do ojca?

Po tym jak mnie tam zostawił, dodała w myślach. Bez słowa. Bez jednego spojrzenia. Nawet nie uśmiechnął mi się na pożegnanie.

- S dziłam, e Cruz mógł ci opowiedzie .

- Mógł, ale nie opowiedział. Miałam nadzieję , e znajd co w gazetach, ale to były strz py informacji.

- Na przykład?

- Och, na przykład w „Los Angeles Times” w kompletnie niewidocznym miejscu zamie cili informacj o dwóch rosyjskich turystach, Aleksym Nowikowie i Georgim Gapanie, których napadni to w starym, złym Hollywood. Jednemu złamali r k , drugi doznał lekkiego wstrz su mózgu.

- Mieli du o szcz cia. W dzisiejszych czasach ulice miast s bardzo niebezpieczne.

- Potem na wystawie w Muzeum Sztuki Hudsona zobaczyłam tabliczk z informacj pod szkatułk po Rubinowej Niespodziance.

- Nie byłam tam,

- W takim razie pewnie pani nie wie, e jajo zostało uszkodzone w drodze z Tokio do Los Angeles - powiedziała ironicznie Laurel. - Podczas naprawy okazało si , e dzieło jest prawdopodobnie falsyfikatem, a nie oryginalnym Fabergé, dlatego postanowiono wycofa je z wystawy.

- To smutne. Człowiek zastanawia si , do czego to dochodzi na tym wiecie.

- Człowiek w szczególno ci zastanawia si , co stało si z Damonem Hudsonem i t ... kreatur .

- Claire Toth?

Laurel pokiwała głow .

- Obawiam si , e zdrowie pana Hudsona uległo dramatycznemu pogorszeniu - powiedziała Cassandra. - Ale to normalne u człowieka w jego wieku.

- W jego wieku? Wygl dał na rówie nika mojego ojca.

- Niestety, Hudson poddał si nielegalnej, b d cej dopiero w fazie eksperymentów, kuracji odmładzaj cej. Przez jaki czas była bardzo skuteczna. Potem wyst piła alergia na lek.

- Kiedy?

- Jaki miesi c temu.

- Doprawdy? - powiedziała Laurel. - To do niezwykle.

Cassandra na potwierdzenie wydała z siebie d wi k, który podgrzanie przypominał mruczenie kota.

- Lekarze s zafascynowani objawami regresu u Hudsona - powiedziała Cassandra. - Jego ciało starzeje si dosłownie na ich oczach, jak zapalka trawiona przez płomie . Spodziewaj si , e zako czenie procesu jest ju bliskie.

- Zako czenie?

- mier .

Laurel wci gn ła gł boko powietrze i wypu ciła je powoli.

- Rozumiem. A ta kanalia, która podała trucizn mojemu ojcu?

- Ach, ol niewaj ca panna Toth.

Redpath spojrzała na swój pod wietlan map , jedyny nowoczesny element w całym gabinecie.

- Jak my to nazywamy - powiedziała - panna Toth przekracza wła nie lini ci kich czasów.

Laurel spojrzała na błyszcz c lini oddzielaj c na mapie dzie od nocy. Linia przemieszczała si bardzo wolno ze wschodu na zachód Europy.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała Laurel.

- Jaka dusza, która nie potrafi wybaczać, przesłała kompletne dossier dotyczące jej działalności na rzecz obcego rządu...

- Szpiegostwo?

- Mówi ci bez ogródek, tak. Wszystkie listy dotyczące gazet na całym świecie otrzymały dossier. Tam gdzie trzeba, było nawet przetłumaczone. Doskonale przekład, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Laurel rzuciła okiem na półki, rzędy księzek i gabloty z cennymi dziełami we wszystkich wariantach językach świata. Wystarczy co o pomocy naukowych, aby oddać wszystkie niuanse i odcienie kariery panny Toth w dowolnym języku.

- Jestem bardzo wdzięczna tej duszy - powiedziała Laurel. - Szkoda, że ta dziewczyna nie poddała się kuracji odmładzającej.

- Może szkoda, może nie. Im człowiek staje się starszy, tym lepiej rozumie, że są rzeczy gorsze od śmierci.

- Na przykład? - rzuciła Laurel.

- Jedzenie wyłkniętych kostek lodu w obozie pracy na Syberii do końca nędznego życia - powiedziała Cassandra.

Laurel spojrzała na mapę. Błęszcząca, złotopomarańczowa granica między nocą a dniem przesunęła się, pograjała Syberię w czarnogranatowych ciemnościach.

- Jak wsadzili cię do samolotu? - zapytała Laurel.

- W tej drobnej sprawie wyrzucił nas Aleksy. Pomysł pochodzi od twojego ojca.

- Taty? - Laurel spytała zaskoczona. - Nie wiedziałam o tym. Ale ja w ogóle mało wiem o swoim ojcu, prawda?

- Znał Clair Toth lepiej niż ktokolwiek. Doskonale wiedział, czego może najbardziej nienawidzić.

- Był dla niej łaskawszy, niż ja bym była - powiedziała krótko Laurel. - Na jego miejscu ustawiłabym ją w kolejce do piekła.

- W rzeczywistości ci Jamie planował zabić ją za to, co zrobiła tobie - powiedziała rzeczowo Cassandra. - Ale wykazałam mu pewne wady tego pomysłu. Po pierwsze, rozgłos. Po drugie, wiązanna cela. W końcu się zgodził.

- Udało się pani odwieźć go od tego? Jestem pod wrażeniem.

- Po prostu zaproponowałam mu, aby zaplanował prywatne, osobiste piekło dla Toth. Zrobił to. Gapan znalazł takie miejsce i wysłał ją tam.

Laurel prawie bała się zapytać, ale ciekawo zwyciężyła.

- Jakie jest to prywatne piekło panny Toth?

- Do żywocie w obozie pracy, gdzie ziemia nigdy nie rozmraża, a cele opalane są łajnem przemieszanym ze słomą. Wszyscy pozostali więźniowie to bez wyjątku homoseksualiści.

Po tych słowach zapadła cisza. Po chwili Laurel westchnęła długo i ciężko.

- Wycisz jej długiego, parszywego życia - mruknęła.

- Amen - powiedziała cicho Cassandra. - Jak się teraz czuje ojciec?

- Znacznie lepiej. Lekarze uważają, że wkrótce wróci do pełnego zdrowia. Nigdy nie będzie już taki silny jak przedtem, ale będzie mógł normalnie żyć.

- To wspaniale. Czy bierze pod uwagę moje oferty pracy?

Laurel wyglądała na zdumioną.

- Nic mi o tym nie wspominał.

- To lubi w twoim ojcu. Człowiek, który ma wiele tajemnic, a każda z nich warta z

- Wierz pani na słowo - powiedziała z nut niepokoju w głosie Laurel. - Czy Gapan uczestniczył w tym od samego początku? Czy dlatego wam pomógł?

- Czy ojciec ci to powiedział?

- Nie - odparła łagodnie Laurel. - Pani mi to powiedziała. Mój ojciec obmył liść piekła dla Toth, a Gapan je znalazł. Powieki Cassandry były do połowy opuszczone. Za nimi skrywały się niezwykle inteligentne zielone oczy.

- Miałam mnóstwo czasu, żeby rozmówić się o Rubinowej Niespodziance - oznajmiła Laurel. Jej rozbiegane oczy skupiły się na jakimś krajobrazie, widocznym tylko oczyma duszy. - Kto z Rosjan musiał pomagać ojcu. Kto, kto...

- Dlaczego? - przerwała jej Cassandra.

- Co?

- Dlaczego mówisz, że twój ojciec miał wspólnika w Rosji?

- Drugi rubin - powiedziała zwyczajnie. - Ten, który ojciec podmienił, kiedy kazał mi wyjść z pokoju w Cambrii. Ten rubin, na który nabrała się zabójcza panna Toth. Ten rubin, który mierzył, ważył i wyglądał tak samo jak oryginał.

Oczy Cassandry zwiły się jeszcze odrobinę. Zieleń, która pozostała, była intensywna, prawie rozjarzona.

- Skąd o tym wiesz? - spytała spokojnie.

- To proste. Tata nie jest głupi. Nie podłożyłby czegoś, co można byłoby odróżnić na oko albo zważyć.

Nic nie mówiąc, Cassandra czekała.

- Wynika z tego, że podmianną zaplanowano wcześniej. A więc niezbadana była pomoc kogoś, kto miał bezpośredni dostęp do Rubinowej Niespodzianki - stwierdziła Laurel. - To musiał być albo Gapan, albo Nowikow. Biorąc pod uwagę zachowanie Nowikowa, podejrzewam, że to Gapan wynajął ojca, żeby ukraść jajo w taki sposób, by nie kojarzyło tego z Gapanem ani z jego poplecznikami w rodzinie.

- Interesujące - powiedziała Cassandra.

- Tak jak powiedziałam, miałam sporo czasu, żeby przemyśleć całą sprawę. Laurel nie wspomniała, że o wiele prościej przychodziło jej składanie w całość układanki pod tytułem Rubinowa Niespodzianka niż bliższej jej sercu, bardziej osobistej, ale jednocześnie nie trudniejszej, niepełnej układanki pod tytułem Cruz Rowan.

- Co jeszcze? - spytała Cassandra.

- Jasne. Najtrudniejszą zagadką stanowiło odgadnięcie, czym naprawdę jest rubin.

Cassandra zachowywała absolutny spokój.

- Wbrew temu, co mówił mi Cruz o ludziach mordujących się nawzajem bez sensu - powiedziała Laurel - rzadziej mają swoje motywacje, a ich celem jest władza. We współczesnym świecie władzę zapewnia informacja. Stąd bierze się to całe szpiegostwo.

Laurel przerwała, czekając na jakiś znak aprobaty czy dezaprobaty ze strony Cassandry. W wyrazie twarzy pani ambasador dostrzegła tylko wielkie zainteresowanie.

- Zastanawiałam się nad tym trochę dłużej - ciągnęła Laurel. - Wtedy przypominały mi się artykuły, które czytałam kilka lat temu o laserach i syntetycznych kamieniach, o możliwości gromadzenia informacji w sieci krystalicznej. Taką informację odzyskuje się później za pomocą wiązki światła, jak z płyty kompaktowej.

Laurel znów przerwała, żeby wywnioskować z twarzy Cassandry, czy zgadzała się z jej spekulacjami, czy uważała je za kompletną herezję. Ale i tym razem nie było żadnego znaku.

- Zamiast gromadzić informacje na cienkiej, bardzo cienkiej warstewce, jak w przypadku CD, można je zapisać w trójwymiarowym rubinie, który jest sieci krystaliczny. Liczba informacji, jak można na ten sposób zapisać, jest nieprawdopodobna, na przykład można na niej całą bibliotekę Kongresu nosić w tylnej kieszeni. Gdyby zapisano w ten sposób tajemnice państwowe, dotyczące obrony, wojskowości, szpiegostwa etc., wówczas byłby to powód, aby zabić. Prawda, pani ambasador?

- Rzeczywiście.

Cassandra przez całe życie uczyła się przetrzymywać w niepewności i przechytrzać rozmówców.

- Jeśli jakaś grupa ludzi została pozbawiona władzy, to posiadanie takich akt mogłoby okazać się bardzo cenne.

Redpath odchrząknęła w nic nie znaczący sposób.

- A zatem... - Laurel zahałała się. - Zatem uznałam, że stara gwardia w Rosji przechwycała dokumenty i chciała wymienić je na pieniądze albo wpływy. Nowa gwardia chciała je odzyskać, ale nie miała takich możliwości, aby po prostu pójść i je sobie odebrać.

Redpath wyglądała na zainteresowaną i jednocześnie nie zainteresowaną. To taka dyplomatyczna wersja kamiennej twarzy.

- Podejrzewam nawet, że nowi nie mieli pojęcia, czym jest Rubinowa Niespodzianka, dopóki jej nie stworzono i nie wywieziono z resztą wystawy poza granice kraju.

- No więc czym jest w rzeczywistości Rubinowa Niespodzianka? - spytała Cassandra.

- Najbardziej przechwalani informacji wymyślonej przez człowieka.

Po tych słowach na długo zapadło milczenie.

- Zaczynam myśleć, że zaproponowałam pracę niewłaściwej osobie z rodziny Swannów - odezwała się w końcu Cassandra. - Czy to ojciec nauczył cię tak wnikliwej analizy?

- Nie. To jest jak projektowanie biuterii. Jeden kamień do dyspozycji i nieograniczona liczba możliwości. Analizujesz to. Myślisz tym. A nagle, któregoś dnia przed oczami wyłania się wzór i już wszystko jest na swoim miejscu.

- Czy to dlatego odwróciła się od Cruza? Nie podobał ci się wzór, który zobaczyła?

- Czy on to pani powiedział?

- Cruz nic nie powiedział - poinformowała ją Cassandra.

- Co za zbieg okoliczności. Mnie też nic nie powiedział, kiedy odwiózł mnie na izbę przyjęć. Ani jednego cholernego słowa. Rozmawiałam z lekarzami na temat stanu taty. Obejrzałam się, bo chciałam go zobaczyć, ale zobaczyłam same obce twarze. Cruza nie było.

- Może myślałam, że winisz go za to, co się stało z twoim ojcem?

- To niemożliwe. Cruz wiedział, że go kocham. Podejrzewam, że próbował bym się. Jedno krótkie cięcie i po wszystkim.

- Sądziłam, że pomyliły ci się wzory.

- Nic mi się nie pomyliło.

Nagle Laurel wstała.

- Do widzenia, pani ambasador. Dziękuję za zaspokojenie mojej ciekawości.

- Zostać przynajmniej na obiedzie.

- Nie, dziękuję. Przebywanie tutaj przypomina mi, że nie mogę konkurować z J

walce o wierność i czyny. A co dopiero o jego miłość.

Laurel szybko się odwróciła i wpadła wprost na Cruza Rowana. Krzyknęła z przerażeniem, kiedy Cruz chwycił ją i pomógł odzyskać równowagę.

- Moje teraz mi uwierzysz - powiedziała cierpko Cassandra do Cruza - i przestaniesz wreszcie kopać ten swój grób w kanionie.

Redpath obeszła biurko energicznym, prawie wojskowym krokiem.

- Jeśli któreś z was będzie chciało opuścić to pomieszczenie przedziejnie za pół godziny - powiedziała - sierant-major dosłownie wrzuci was tu z powrotem. Dodam tylko, że zrobi to z prawdziwą rozkoszą. Gilliemu jest już niedobrze od tego imponującego uporu Cruza. Mnie też. A teraz, dzieci, negocjujcie.

Drzwi zamknęły się za panią ambasadorką do stanowczo.

Oczy Cruza spoglądały na twarz Laurel. Była blada, wymizowana, a tętno pulsowało jej wyraźnie na skroni. W oczach odbijało się zbyt wiele wspomnień, które bolały tak, że Laurel niemal krwawiła.

- Laurel - powiedział Cruz po piesznie. - Nigdy nie chciałem cię zranić. To ostatnia rzecz, jakiej bym się dopuścił. Dlatego wtedy wyszedłem.

Zamknęła oczy, jakby nie chciała wpuścić go do środka siebie. Ale cokolwiek by zrobiła, nie była w stanie odciąć się od dotyku ręk na ramionach, ich siły i ciepła.

- Zapomnij o mnie - powiedziała.

- Nie.

Otworzyła oczy i doznała wstrząsu.

Uśmiech Cruza był tak smutny, że rozdzierał jej serce.

- Nie mogłem - powiedział zwyczajnie. - Próbowałem. Bóg wie, że próbowałem. Szczerze, że tak będzie lepiej dla ciebie.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem, czym jest miłość. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Nadal nie wiem. Wiem tylko, że cię gdzieś widzę. Cię kocham, słyszę twój głos za plecami, serce wali mi jak oszalałe, odwracam się ...

Głos Cruza urwał się. Jego palce mocno zaciskały się na ramionach Laurel. Nie przeszkadzało jej to. Patrzyła w jego inteligentne, smutne oczy i widziała w nich siebie.

- ...odwracam się, a ciebie nie ma - powiedział drżącym głosem. - I wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo za tobie tęsknię. Myślałem, że przyzwyczaję się do tego. Ale za każdym razem jest tak samo, tyle że bardziej boli. Czy ty czujesz podobnie?

- Tak - szepnęła.

- Za każdym razem, kiedy spojrzę na wodę, przypomina mi się sadzawka w kanionie i ogień, który rozpałała w moich żyłach. Nie mogę oblizać warg, nie smakuję cię. Nie mogę zamknąć oczu, żeby nie widzieć, jak mi się oddajesz. Nie mogę oddychać, nie słyszę cię obok twojego oddechu, urywanego namiastkami, twoich ust wymawiających moje imię. Czy czujesz podobnie?

- Tak - szepnęła Laurel.

- Najgorsze są noce - powiedział łamiącym się głosem. - Kiedy zasypiam, czuję słodki cięś twojego ciała skulonego obok mnie. Czuję twój miękki oddech na mojej skórze. Czuję spokój, którego zaznałem tylko przy tobie. I wtedy się budzę ...

Cruz zamknął oczy i próbował zapanować nad sobą.

Laurel wyszeptała jego imię i uniosła dłoń do jego twarzy. Jej palce rysowały jego brwi, nos, usta, mocne linie szczęki, połyskujące czersze.

Dreszcz przebiegł po silnym ciele Cruza.

- Laurel?

- Tak - odpowiedziała lekko zachrypnięta - czuję tak samo jak ty. Nazywaj mnie miłociem.

Oczy Cruza otworzyły się roziskrzona od radości. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Przycisnął Laurel, ukrył twarz w jej włosach i tulił ją z całej siły. Ona odwzajemniała jego uściski.

Po pół godzinie z zegarkiem w ręku sierżant-major odszedł od drzwi gabinetu, wesoło pogwizdując. Znalazł Cassandrę w słonecznym cieniu ramady, obserwując pustynię.

- I co? - spytała.

- Będzie nas czworo na obiedzie, proszę pani.